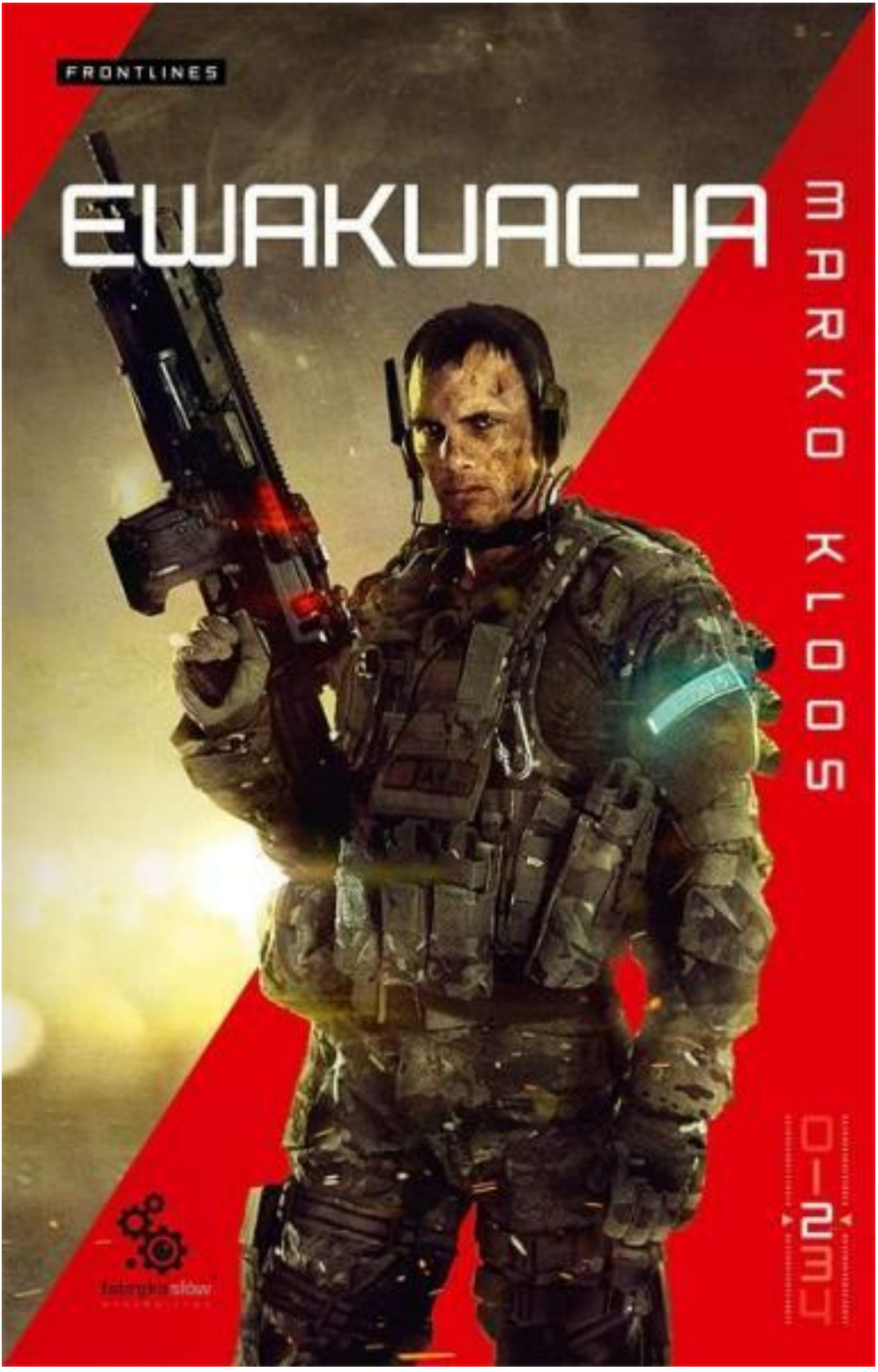


FRONTLINES

EWAKUACJA

BERKOR
KLOOS

0-2111



Dla Lyry i Quinna.

Ilekoliwiek powieści bym napisał, to Wy zawsze będziecie moim największym osiągnięciem.

Prolog

Starzy sierżanci opowiadają czasami o dawnych, dobrych czasach.

O wspaniałym i owianym legendami okresie, gdy służba wojskowa okazywała się pożądanym zajęciem: przepustką do bezpiecznej kariery, źródłem porządnego wyżywienia i znośnych dochodów. Armia była wybredna, ale jeśli udało się do niej zaciągnąć, do końca życia pozostawało się członkiem uprzywilejowanej klasy.

Oczywiście dawne, dobre czasy musiały dobiec końca jakieś dziesięć minut po podpisaniu przeze mnie papierów werbunkowych.

Toczyliśmy wojnę z nowym wrogiem już od niemal pięciu lat i nie potrafiliśmy nawet porozumieć się, jak go określać. Ksenobiolodzy zaproponowali niemożliwy do wymówienia łaciński termin, którego nie stosowano nigdzie poza pracami naukowymi. Piechociarze, znani ze swojej prostolinijności, mówili o Dryblasach lub Wielkich Brzydalach. Chino-Ruscy przez pierwszy rok wojny nie mieli dla nich nazwy, uważali bowiem, że Wspólnota Północnoamerykańska snuła bajeczki, aby ukryć katastrofalne wyniki terraformowania lub klęski żywiołowe w koloniach, traconych przez nas jedna po drugiej.

Wtedy Dryblasy zajęli zasiedloną przez ZCR Nową Rosję, leżącą tuż za trzydziestką. Sto trzydzieści tysięcy martwych kolonistów później ich naukowcy zaczęli wreszcie porównywać notatki z naszymi.

Obcy, mierzący blisko dwadzieścia pięć metrów wzrostu i okryci niezwykle grubą skórą, łazili grupami. Potrzeba było ciężkich pocisków przeciwpancernych, by wyszczerbić Dryblasa, a ich wysokich na półtora kilometra budowli terraformujących nie ruszało nic poza dziesięciokilotonową taktyczną atomówką. Istniał tylko jeden sposób, by usunąć ich z zajętej kolonii: zasypać z orbity ich wymienniki atmosferyczne i osady głowicami nuklearnymi o sumarycznej mocy kilku setek megaton. Problem w tym, że po takiej terapii planeta nie nadawała się do ponownego zasiedlenia przez ludzi. W momencie, gdy okręty nasienne obcych pojawiały się nad kolonią, w zasadzie ją traciliśmy. Dla nas to była wojna, dla nich – jedynie usuwanie szkodników.

W czasach, kiedy zaciągałem się do wojska, ZCR i WPA dysponowały kilkuset koloniami, od dawnych osad na Lunie aż do świeżo terraformowanej Nowej Kaledonii tuż przed linią siedemdziesięciu lat świetlnych. Wówczas pojawili się Dryblasy i wyrzucili nas z planety o nazwie Willoughby, po pięciu latach zaś nie została nam już żadna zasiedlona planeta poza linią trzydziestu lat świetlnych, kiedyś stanowiącą granicę między koloniami wewnętrznymi i zewnętrznymi.

Mieliśmy już tylko sześćdziesiąt dziewięć kolonii, a ich liczba spadała co roku o około dziesięć. Zjawiali się Dryblasy, likwidowali duże osiedla, niszczyli nasze kosztowne stacje

terraformujące, stawiali w pełni sprawną, niezwykle wydajną sieć wymienników atmosferycznych w mniej czasu, niż my potrzebowaliśmy, by przesłać posiłki przez najbliższy komin Alcubierre'a, i przejmowali planetę. Gdy wchodzili na orbitę, ludziom z powierzchni pozostawało jedynie rozproszyć się i czekać na przybycie sił ewakuacyjnych marynarki, ponieważ garnizon marines mógł gówno zrobić obcym.

W dzieciństwie uwielbiałem oglądać w sieciowizji kiepskie wojskowe filmy przygodowe. Pamiętałem te bardziej optymistyczne, w których Ziemię najeżdżał gatunek jeszcze bardziej skłonny do przemocy i ekspansji niż my, narody Ziemi zaś zapominały o dzielących je dawnych różnicach i stawały ramię w ramię, aby odeprzeć zewnętrzne niebezpieczeństwo.

Tymczasem nawet to, że obcy zagrażali ich koloniom, nie potrafiło powstrzymać ZCR przed wchodzeniem nam w paradę i wykorzystywaniem faktu, że trzy czwarte naszej wojskowej potęgi zostało nagle skierowane na front. W głębokiej przestrzeni musieliśmy okopywać się i bronić osiedli przy użyciu batalionów i pułków tam, gdzie wcześniej stacjonowały kompanie i plutony. W wewnętrznych koloniach nagle wzmożyły się na nowo śmiałe najazdy Chino-Ruskich i musieliśmy odpędzać ich od planet, które pozostawały pod naszym władaniem od ponad pięćdziesięciu lat.

W związku z tym wszystkim przez ostatnich pięć lat praca ludzi w mundurach była daleka od bezpiecznej.

Zakończyły się odloty z Ziemi do kolonii i z tego powodu nasza ojczysta planeta stała się jeszcze mniej przyjemna niż w czasach, gdy wstępowałem do wojska. Transporty miały wcześniej dwie funkcje: zmniejszały liczbę populacji i dawały nadzieję na lepszą przyszłość każdemu, kto jeszcze nie zdobył biletu. Miejsce na statku kolonijnym stanowiło najwyższą nagrodę w loterii i dopóki istniała szansa na zdobycie go, niespokojne masy posiadały jakieś perspektywy. Teraz zniknęło nawet to niewielkie prawdopodobieństwo i w biednych dzielnicach w ciągu miesiąca wybuchało więcej zamieszek niż dotychczas w ciągu roku. Co gorsza, wiecznie zmagający się z deficytem rząd WPA był teraz naprawdę splukany.

Kolonizacja przestrzeni to cholernie kosztowne przedsięwzięcie i straciliśmy biliony dolarów w sprzęcie w koloniach przejętych przez Dryblasów. Na tych światach nie wydobywano już surowców, nie przywożono z nich nic, co równoważyłoby cenę zasiedlenia, a żadna z prywatnych korporacji nie chciała udzielać kredytów lub brać nowych kontraktów kolonijnych. Na domiar złego wojsko było wyposażone i zorganizowane tak, by walczyć z innymi siłami zbrojnymi, w budżecie zaś nie zostały pieniądze potrzebne do przeekwipowania dziesięciu dywizji marines oraz pięciuset okrętów kosmicznych, aby stały się zdolne do walki z dwudziestopięciometrowymi stworami, a nie tylko z chińskimi bądź rosyjskimi żołnierzami.

Dawno, dawno temu kariera wojskowa mogła stanowić świetny pomysł na życie. Teraz byliśmy zbyt rozproszeni, niedofinansowani i niedoceniani. Za sobą mieliśmy niespokojne masy przeludnionego ojczystego świata, przed nami zaś znajdował się nowy przeciwnik, znacznie przewyższający nas pod względem fizycznym i technologicznym. Tylko szaleni zgodziłby się w takiej chwili zaciągnąć i trzeba było mieć nie po kolei w głowie, aby pozostać w służbie, gdy kontrakt dobiegł końca.

Zatem gdy nadeszła chwila, bym znów złożył podpis albo spakował rzeczy i wrócił do cywila, oczywiście podpisałem się na wykropkowanej linii.

Rozdział 1

Nowy kontrakt

Uroczyście przysięgam służyć wiernie Wspólnocie Północnoamerykańskiej i z odwagą bronić jej praw oraz wolności jej obywateli.

Wczoraj podpisałem w gabinecie kapitana formularz ponownego zaciągu, więc mój tyłek był już własnością publiczną na kolejnych pięć lat, lecz wojsko lubiło rytuały. Znajdowaliśmy się w jednym z pokojów odpraw, kapitan i pierwszy oficer stali po bokach pulpitu dla spikera. Ktoś wyciągnął pogniecioną flagę Wspólnoty Północnoamerykańskiej i zawiesił ją na ściennym wyświetlaczu. Gdy z uniesioną dłonią po raz drugi w wojskowej karierze powtarzałem przysięgę, z nieznanego mi powodu całą ceremonię filmował kapral z biura prasowego floty. Nawet przy ostatnich kłopotach wojsko utrzymywało wskaźnik retencji po pierwszym kontrakcie na poziomie dziewięćdziesięciu procent, mój powtórny zaciąg nie był więc raczej niczym niezwykłym.

– Gratuluję, sierzancie sztabowy Grayson – oznajmił kapitan, gdy skończyłem. – Wracacie do interesu na następną pięciolatkę.

A co innego miałbym robić? – pomyślałem.

– Dziękuję, sir – powiedziałem, odbierając z jego wyciągniętej dłoni zupełnie ceremonialne świadectwo ponownego zaciągu. Oznaczało premię na moim koncie, którego saldo miarowo rosło od pierwszego dnia szkolenia przygotowawczego przed pięciu laty, jednak waluta Wspólnoty stawała się coraz bardziej bezwartościowa. Gdy stąd wyjdę, zawartość rządowego rachunku zapewne wystarczy mi, żeby zapłacić za śniadanie i bilet na pociąg do komunalnej dzielnicy Bostonu.

Jednak nie zaciągnąłem się na nowo dla pieniędzy, ale dlatego, że nie wiedziałem, czym innym mógłbym się zająć. Wszystkie moje fachowe umiejętności związane były z różnymi metodami zabijania oraz z tajnymi systemami sieci neuronowych, raczej niezbyt przydatnymi w cywilnym świecie. Nie za bardzo miałem ochotę wrócić na Ziemię i zająć mieszkanie komunalne, w którym mieszkałbym do szybkiej śmierci. Odkąd skończyłem szkolenie wstępne marynarki w ośrodku nad Wielkimi Jeziorami i odleciałem do Szkoły Floty na Lunie, nie postawiłem stopy na Terze, lecz z tego, co czytałem w MilNecie, na starej planecie nie działało się najlepiej. Ludzie, którzy bywali tam ostatnio na przepustkach, powtarzali, że najgorszą rzeczą, jaką moglibyśmy zrobić Dryblasom, byłoby pozwolić im na zajęcie Ziemi.

Przed dwoma laty tamtejsza populacja osiągnęła trzydzieści miliardów, z których trzy tłoczyły się w Ameryce Północnej. Terra była niczym mrowisko rojące się od wygłodniałych, niezadowolonych oraz antyspołecznych mrówek, a ja nie miałem ochoty dołączać do ich grona. Przynajmniej wojsko wciąż karmiło swoich, czego nie dało się powiedzieć o cywilnych władzach WPA. Mniej więcej raz na miesiąc mama zachodziła do urzędu dzielnicy, aby skorzystać z dostępu do sieci, i w ostatniej wiadomości wspominała, że podstawowy przydział żywieniowy został okrojony do trzynastu tysięcy kalorii dla osoby na tydzień. Wyglądało na to, że kończyły im się gówno i soja.

Nie, nie musiałem długo zastanawiać się nad kolejnym zaciągiem. Oczywiście moja dziewczyna Halley też podpisała nowy kontrakt, więc tak naprawdę nie miałem większego wyboru.

– No to stało się – stwierdziła Halley. Przekaz wideo był trochę niewyraźny, ale nie

miałem problemów z dostrzeżeniem ciemnych kręgów pod jej oczyma. Miała za sobą długi dzień w Szkole Lotnictwa Bojowego, gdzie uczyła nowych pilotów, jak unikać chińskich przenośnych rakiet ziemia-powietrze oraz biomin Dryblasów. Wyjątkowo znajdowaliśmy się w tym samym systemie, ponieważ mój okręt wchodził w skład zespołu zadaniowego ćwiczącego tajną dyslokację na jednym z licznych księżyców Saturna, mogliśmy więc oboje łączyć się z przekaźnikiem na orbicie Marsa, dysponującym wystarczającym zapasem przepustowości, żeby dało się przez kilka minut pogawędzić z podglądem.

– Ano, stało się. Nie miałem wyboru, skoro byłaś uprzejma po prostu zaciągnąć się przede mną.

– Chyba uzgodniliśmy, że oboje podpiszemy nowe kontrakty – odparła. – Pamiętasz? Podliczyłeś wszystko i uznałeś, że nasze premie wystarczą w tym momencie na waciki.

– No wiem. Tylko się droczę. Dobrze się bawisz w szkole?

– Kurwa, nawet nie zaczynaj. – Wywróciła oczyma. – Nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do floty. Jasne, jest miło, gdy przez kilka miesięcy nic do ciebie nie strzela, ale mogłabym przysiąc, że niektóre żółtodzioby grają dla przeciwnej drużyny. W samym minionym tygodniu trzy razy omal nie zginęłam.

– Wychowujesz następną grupę bohaterskich pilotów. To ważne zadanie.

– Następną grupę wkładek do trumien – skomentowała ponuro. – Nasi przyjaciele z ZCR mają nową przenośną głowicę nuklearną ziemia-powietrze o sile pięćdziesięciu mikroton. Akurat w sam raz, żeby rozwalić eskadrę desantowców, nie bałaganiąc przy tym na dole.

– Cholera. – Zasępiłem się. – Mów, co chcesz, o Dryblasach, ale przynajmniej jeszcze nie wydurniają się z atomówkami.

– Oni nie potrzebują atomówek. I bez nich wystarczająco kopią nam tyłki.

Nie licząc towarzyszącego mi nieustannie ryzyka naglej i gwałtownej śmierci, Halley pozostawała jedyną stałą w moim życiu, odkąd poznaliśmy się w plutonie szkolenia podstawowego 1066 w OSWPA Orem. Zdołaliśmy utrzymać swoisty związek na odległość, spędzając miesiące w oddaleniu i krótkie wspólne urlopy w zaniedbanych placówkach rekreacyjnych marynarki lub w koloniach na zadupiu. Oboje wspinaliśmy się po szczeblach własnych ścieżek kariery. Ona została porucznikiem dowodzącym zupełnie nowym modelem bojowego okrętu desantowego, ja zaś już drugi rok pracowałem jako kontroler walki, odkąd zgłosiłem się z własnej woli do, jak to określiła Halley, „roboty dla czubków”.

Kontrolerzy walki wkraczali z oddziałami bojowymi w sam środek działań wojennych podczas misji o krytycznym znaczeniu, lecz zamiast nowoczesnej broni byli obwieszani nadajnikami radiowymi oraz desygnatorami celu. Uznałem to za logiczny krok naprzód od mojego wcześniejszego stanowiska w sieciach neuronowych, ponieważ zostałem już przeszkolony we wszystkich systemach informacyjnych floty. Szukali ochotników, ja zaś szukałem bardziej ekscytującej pracy niż tylko obserwowanie wskaźników postępu w pokoju kontrolnym. Zgłosiłem się i ekscytacji miałem po dziurki w nosie.

Przeszedłem przez nabór na ścieżkę kariery kontrolera walki i niemal cały trzeci rok służby spędziłem na szkoleniach. W tym czasie Halley wylatała tysiące godzin, wzięła udział w dwustu misjach bojowych i zgarnęła Zaszczytny Krzyż Lotniczy za naprawę szalone manewry podczas wrywania drużyny rozpoznawczej z łap marines ZCR w samym środku ciężkiej strzelaniny. Oboje sądziliśmy, że to drugie ma bardziej niebezpieczne zajęcie, i oboje mieliśmy rację, w zależności od tego, jakie misje przynosił kolejny tydzień.

– Za parę dni znów schodzę na planetę – poinformowałem Halley. Nawet przez bezpieczne łącze nie powinienem zdradzać szczegółów operacyjnych. Oprogramowanie filtrujące przekazywało transmisję z trzysekundowym opóźnieniem, by móc ją przerwać w razie wykrycia,

że podaję nazwy planet, okrętów czy systemów gwiazdnych.

– Dryblaszy czy ZCR? – spytała.

– Dryblaszy. Schodzę z drużyną rozpoznawczą. Będziemy szukać czegoś, na co warto zrzucić parę kiloton.

– Tylko z drużyną? To niezbyt duża siła.

– Chodzi o to, żeby w marę możliwości unikać używania siły. Idę z rozpoznaniem.

Będzie dobrze.

– Wiesz, nawet goście z rozpoznania umierają – stwierdziła Halley. – Już parę razy zjawiałam się w umówionym miejscu odbioru, na którym nikogo nie było, bo cała drużyna została zamieniona w mielonkę.

– Jeśli wpadnę w kłopoty, pozwolę strzelać ludziom z rozpoznania, a sam ucieknę w drugą stronę. Jestem tylko chodzącym radiem.

– Jak na ludzi, którzy zwykli przyciągać do siebie wszelkie możliwe gówno, mamy chyba niezłe szczęście, co nie? – zadumała się Halley i oboje się roześmialiśmy.

– Dziwnie definiujesz „szczęście” – uznałem, ale musiałem przyznać jej rację.

Wykonywaliśmy jedno z najbardziej niebezpiecznych zadań w całej flocie, a jednak udało nam się przeżyć niemal cztery lata dyslokacji bojowych bez poważnych obrażeń. Na zakończenie szkolenia podstawowego w naszym plutonie zostało tylko dwanaścioro żołnierzy i do dziś ośmioro z nich zginęło w walce. Co dziwne, wciąż żyła cała obsada naszego stolika ze stołówek i tylko ja spośród nas oberwałem na tyle mocno, by zdobyć Purpurowe Serce. Ze swoim ZKL Halley była najwyżej odznaczona z całej grupki, a ponieważ jako jedyna z całego plutonu załapała się na ścieżkę oficerską, miała też najwyższy stopień z całego stolika.

– Udało nam się zajechać aż tutaj – rzekła Halley, jakby myślała o tym samym. – Kolejnych pięć lat unikania ognia naziemnego to pikuś.

– Mogło być gorzej – odparłem. – Mogliśmy być teraz na Ziemi.

Należałem teraz do załogi lotniskowca OWPA „Nieustraszony”, jednego z trzech okrętów nowego typu Essex, szybkich i dobrze uzbrojonych. W dającej się przewidzieć przyszłości flota nie mogła liczyć na inny sprzęt. Okręty zostały zamówione przed wybuchem wojny z Dryblasami i zanim jeszcze opuściły stocznię, pospiesznie wprowadzono w nich pewne poprawki wymagane w bieżącej sytuacji taktycznej. Marynarka chciała siedmiu więcej, by dziesięć nowych lotniskowców utworzyło nowy szkielet sił uderzeniowych WPA, jednak skończyły się jej fundusze, tak więc szkielet okazał się dość kruchy. Unowocześniona wersja nie była tak wielka jak wcześniejsze superlotniskowce Nawigator, lecz przewyższała je szybkością i lepszym zestawem sensorów, co w zetknięciu z Dryblasami okazywało się ważniejsze niż sam rozmiar czy grubość pancerza. Okręty Essex zawsze były potrzebne i zawsze trafiały w sam środek akcji.

Lubiłem służbę na lotniskowcu, ponieważ wielkie ptaszarnie oferowały znacznie więcej miejsca niż ciasne puszki, na których zwykle lądowałem wcześniej jako administrator sieci neuronowych. Jako jeden z trzech kontrolerów walki na „Nieustraszonym” dostałem własną pojedynczą kajutę, choć takie luksusy były zwykle zarezerwowane dla starszych podoficerów i oficerów sztabowych. Oznaczało to, że mogłem toczyć rozmowy wideo na osobności, bez zgrai kompanów podsłuchujących mnie z tyłu. Poza tym kontrolerów było niewielu, zawsze okazywali się potrzebni, dysponowaliśmy więc pewnymi przywilejami przewyższającymi naszą rangę i stopień zaszerogowania. W całej flocie służyło nas tylko dwustu, nigdy zatem nie skarżyliśmy się na bezczynność.

Odkąd skończyłem szkolenie i włożyłem szkarłatny beret, skakałem od jednego systemu gwiazdowego do kolejnego, tu walcząc z ZCR, tam zaś z Dryblasami. Gdyby flota płaciła mi

jednego centa za każdy pokonany milion kilometrów, stałbym się największym bogaczem w historii Ziemi. Ponieważ okręty marynarki musiały co jakiś czas udać się na remont i dozbrojenie, a kontrolerów walki było zbyt mało, by mogli robić sobie podobne przestoje, mniej więcej co pół roku zmieniałem łajbę. Przed „Nieustraszonym” pracowałem na „Atlasie”, „Tecumsehu”, „New Hampshire” i paru innych okrętach, których nazw nie potrafiłem już nawet podać, nie zaglądając do przebiegu służby.

Ostatecznie i tak zawsze wyglądało to tak samo: desantowałem się z lotniskowca albo krążownika z jednostką poważnych i milczących piechociarzy Wspólnoty, by stoczyć bitwę z Ruskimi, Chinolami czy Dryblasami i w razie potrzeby ściągnąć na wroga gniew bogów. Żołnierze dysponowali karabinami, wyrzutniami rakiet i taktycznymi moździerzami nuklearnymi, lecz ja miałem coś znacznie straszliwszego: zestaw nadajników, dzięki którym mogłem kontaktować się z okrętami zespołu zadaniowego na orbicie, oraz komputer w zasadzie kontrolujący ten zespół.

Gdy piechociarze natrafiali na drobny kłopot, korzystali ze swych karabinów i rakiet. Jeśli problem okazywał się większy, wypluwali pół nuklearnej kilotony. Przy naprawdę solidnych tarapatach odzywali się do mnie, ja zaś kierowałem do nich skrzydło najeżonych uzbrojeniem Dzierzb albo załatwiałem zrzut z orbity pięćdziesięciu megaton, dzięki którym całe osiedle Dryblasów na obszarze kilkuset kilometrów kwadratowych zmieniało się w abstrakcyjną sztukę oddaną w rozżarzone żużło. Jeden z kolegów kontrolerów nazwał swoją taktyczną konsolę „zestawem do przemeblowywania planet” i wcale nie było to przesadzone określenie.

Dzięki specyfice podróży międzygwiazdnych godziny czy dni podniecenia, stresu oraz zupełnej grozy zostawały jednak przedzielone dniami lub tygodniami nudy. Następna misja, od której dzieliło mnie osiem dni, miała odbyć się na orbicie planety nazywanej Nową Walią, czwartego globu w systemie theta Persei. Podróż do położonego w naszym systemie krańca odpowiedniego komina Alcubierre’a miała zająć nam siedem dni, przebycie zasadniczych trzydziestu siedmiu lat świetlnych – jedynie dwanaście godzin.

Po dotarciu na miejsce czekała nas bitwa z Dryblasami. Nie wiedziałem jeszcze, z czym zetkniemy się na Nowej Walii, ale przez ostatnich kilka lat parę czynników pozostawało stałych: wróg dysponował przewagą technologiczną i liczebną, my zaś, wiecznie balansując na granicy całkowitej klęski, staraliśmy się utrzymać i nie dopuścić, by coraz mniejsza bańka skolonizowanej przestrzeni skurczyła się jeszcze bardziej.

Byliśmy żołnierzami, tak wyglądała nasza praca. Wspólnota, a w zasadzie cała ludzkość, wpadła po uszy w gówna, i to my trzymaliśmy szufle. Problem w tym, że gówna była cała góra, a szufle wydawały się maleńkie.

Rozdział 2

Nowa Walia

Skutecznych oficerów zawsze można poznać po tym, w jaki sposób prowadzą odprawy. Ci z marynarki oraz technicy gładzą i każdy punkt wykonują zgodnie z procedurą, zatem wszyscy obecni zwykle przysypiają, słysząc tę samą informację na sześć różnych sposobów. Oficerowie z rozpoznania zazwyczaj od razu przechodzą do rzeczy i odprawa się kończy, zanim obecni zdążą zjeść połowę przygotowanych w sali kanapek.

– Dzisiejsza misja będzie błyskawiczna – oznajmił major Gomez, gdy zajęliśmy już miejsca.

Byłem jedynym kontrolerem walki przydzielonym do tego zadania, a zarazem jedynym członkiem marynarki. Reszta obecnych należała do Sił Bojowo-Rozpoznawczych Piechoty Kosmicznej, formacji, z którą już się kilkakrotnie desantowałem.

– Dryblaszy już od około roku panoszą się na Nowej Walii – ciągnął major. – Jest szansa, że traficie tam na spore osiedla. Mieli dużo czasu, żeby się okopać i zadomowić.

Na ścianie za plecami majora holograficzny ekran pokazywał zapętloną sekwencję trójwymiarowych renderingów docelowej planety. Jak zawsze dysponowaliśmy ogólnym pojęciem, gdzie zlokalizowane są główne ośrodki Dryblasów, jednak, również jak zawsze, to ogólne pojęcie nie wystarczało do przeprowadzenia nalotu orbitalnego. Otaczające Nową Walię pole minowe obcych nie pozwalało okrętom zwiadowczym zbliżyć się na tyle, by zebrały odpowiednie dane na temat celów. Dzięki temu drużyny bojowo-rozpoznawcze miały co robić.

– Na dole jest zwyczajowa zupa z gówna, która klasycznie ogłupia nasze sensory, ale dron zwiadowczy zdołał porządnie przyjrzeć się północnej półkuli w infrawizji, zanim go zdmuchnęli. Rozgościli się niedaleko dawnej stolicy kolonii.

Mapa za oficerem przybliżyła się, by ukazać obszar docelowy. Nad danymi topograficznymi widniał symbol taktyczny oznaczający „niepotwierdzone osiedle”. Nowa Walia została skolonizowana piętnaście lat przed tym, kiedy Dryblaszy pojawili się i ją zajęli, na powierzchni znalazło się więc całkiem sporo porządnej roślinności i upraw, zanim stosunek tlenu do dwutlenku węgla w atmosferze uległ pełnemu odwróceniu w ciągu zaledwie półtora miesiąca. Teraz planeta wyglądała jak typowy świat Dryblasów: gorąco, wilgotno i pewna śmierć dla każdego człowieka, który nie miał na sobie skafandra próżniowego.

– Główny obszar działania otrzymał kryptonim „Normandia”. Jeśli chłopcy od katapult względnie prosto wystrzelą kapsuły, znajdziecie się na ziemi dwadzieścia do pięćdziesięciu kilometrów od skraju domniemanej głównej osady. Dochodźcie tam z buta, oznaczacie wymienniki atmosferyczne i cokolwiek wartościowego wpadnie wam jeszcze w oko po drodze, po czym obserwujecie miasteczko Dryblasów, pozwalając, by facet z floty wykonał swoją robotę.

Odkąd zaczęliśmy przenosić walkę na terytorium obcych, osiemdziesiąt procent moich misji można by określić jako błyskawiczne. Ponieważ Dryblaszy zabezpieczali swe nowe kolonie gęstymi orbitalnymi polami minowymi, żaden z naszych okrętów nie mógł zbliżyć się blisko zajętego przez nich świata na tyle, by zebrać pewne dane celownicze lub w odpowiedni sposób sterować zdalnymi dronami. Krążowniki obronne typu Protektor potrafiły oczyścić wystarczająco dużą sekcję pola minowego, aby udało się posłać skrzydło uderzeniowe albo salwę nuklearnych pocisków przestrzeń-ziemia, ale wcześniej na miejscu musiały się znaleźć oddziały rozpoznania, które potwierdzały cel, by Protektory nie marnowały ograniczonego zapasu bardzo kosztownych rakiet. Desantowaliśmy się, oznaczaliśmy wszystko, co warte zbombardowania w strefie docelowej, po czym przekazywaliśmy dane do czekających za polem minowym okrętów.

Protektory szykowały lukę, lotniskowiec wysłał prezent, po czym łajby ewakuacyjne pojawiały się, żeby nas zabrać.

Podczas takich misji najtrudniejsze okazywało się zawsze wejście. Miny zbliżeniowe Dryblasów atakowały wszystkie wytwory ludzkiej ręki powyżej pewnego rzędu wielkości, desantowce zaś były zbyt duże i wykonane zbyt ludzką ręką, aby się przedostać. Właśnie dlatego zespoły rozpoznania trafiały na światy obcych przesyłką ekspresową – w balistycznych kapsułach wystrzeliwanych z wielkich okrętowych wyrzutni. Był to naprawdę cholernie ekscytujący sposób dojazdu do pracy.

– Zakładacie sprzęt o godzinie siódmej zero zero. Start o ósmej trzydzieści – poinformował major, kończąc odprawę. – Wszyscy robiliście to już kilkadziesiąt razy, znacznie więc procedurę od podszewki. Wszelkie problemy ze strojem zgłaszajcie zbrojmistrzowi, żebyśmy mogli w razie potrzeby wziąć kogoś z załogi rezerwowej. Udanych łowów, ludzie. Odmaszerować!

– Który to desant dla was, Grayson? – spytał mnie dowódca zespołu rozpoznania, porucznik Graff, gdy opuszczaliśmy salę odpraw.

– Chyba straciłem już rachubę – odpowiedziałem mu, choć dobrze wiedziałem, ile razy zostałem wystrzelony w przestrzeń w biokapsule. Liczba zrzutów stanowiła główny miernik męstwa w Piechocie Kosmicznej, więc jej weterani udawali, że traktują ją z pewnym zblazowaniem. – Wydaje mi się, że blisko dwóch setek.

– W mordę. Naprawdę powinni wymyślić jakiś nowy pułap dla odznaki za desant. Platynową, tytanową czy coś takiego. Już cztery razy zasłużyliście na złoto.

– A pan, poruczniku?

– Sześćdziesiąt dziewięć.

– Też pan liczy zrzuty? – podpuszczałem go.

– Nie wszyscy jesteśmy tak potrzebni jak wy, Grayson.

– Proszę się z tego cieszyć. Nie byłem na porządnej przepustce od szkolenia na kontrolera. Chętnie zamieniłbym część tych desantów na odrobinę wolnego czasu. Nie widziałem matki na żywo, odkąd wyjechałem na przygotowawcze.

– Niewiele tracicie – odparł Graff. – Na następną przepustkę wylećcie na kolonię albo do któregoś centrum wypoczynkowego. Ziemia nie jest ostatnio za ciekawa.

– Był pan tam ostatnio? Skąd pan w ogóle pochodzi?

– Z metropleksu Houston. Zajrzałem do domu trzy miesiące temu. Teraz to pieprzona strefa wojny. A wy?

– DZK Boston-7. Czuję się tam jak w strefie wojny, zanim jeszcze wyjechałem.

– Chyba nie tak powinno być, co nie? Zaharowujemy się, żeby zapewnić Ziemi bezpieczeństwo, a oni do nas strzelają, gdy tylko pokażemy się w mundurze. Aż człowiek zaczyna się zastanawiać, za co walczy.

Nie musiałem się zastanawiać. Walczyłem, bo jedyną alternatywą było wsysanie przetworzonego gówna uchodzącego za jedzenie w którejś z ziemskich dzielnic komunalnych i czekanie na nieuniknioną chwilę, gdy Dryblaszy zakończą swą międzygwiazdną kompanię likwidacji szkodników, wskakując na orbitę Terry i zagazowując nasze mrowisko.

Walczyłem, bo tylko w ten sposób mogłem choć trochę kontrolować swoje przeznaczenie.

Potrzeba było około pół godziny, by przebrać się w bojowy pancerz przeciwśrodkowy.

Zestawy BPP były względnie niedawno wprowadzonym sprzętem. Zaprojektowano je na potrzeby misji ofensywnych na światach Dryblasów i tak naszpikowano nowinkami technologicznymi, że standardowe stare pancerze przypominały przy nich powgniatane średniowieczne zbroje. Owszem, one też działały na planetach zajętych przez obcych, miały jednak zbyt małe zbiorniki tlenu, a systemy filtracyjne nie wyrabiały się z oczyszczaniem obecnego w powietrzu licznych zanieczyszczeń biologicznych. Dryblasy rozsiewali w atmosferze jakieś pyłki, z których błyskawicznie wyrastały ich uprawy, i filtry zatykały się od nich w zaledwie parę godzin.

Nowe pancerze wyposażono w zmodyfikowane filtry i system przechowywania tlenu, który pozwalał żołnierzowi na kilka dni wzmożonej aktywności fizycznej. W stosunku do standardowych strojów były mniej odporne na pociski z broni konwencjonalnej, lecz bardziej elastyczne i tylko półtora razy cięższe. Umieszczony w hełmie pakiet sensorów pozwoliłby zapewne nawigować nawet okrętem gwiazdym: infrawizja, obrazowanie termiczne, radar o fali długości milimetra, ultradźwięki.

Całość uzupełniały zestaw ratunkowy i superszybki komputer taktyczny. Projektanci BPP zauważyli, że wizjery są najsłabszym elementem hełmu i że system zapobiegający ich zamgleniu w atmosferze bogatej w dwutlenek węgla stanowi niepotrzebny wydatek energii, w nowych systemach ich więc nie umieszczano. Brak widocznych oczu w połączeniu z niewielkimi wybrzuszeniami matryc sensorycznych upodabniał żołnierzy do owadów, od przekazania pierwszych BPP minęło więc jakieś pięć sekund, zanim ktoś nadał im dość oczywiste miano: robalowe skorupy.

Były indywidualnie dopasowywane do właścicieli i koszmarnie drogie. Przy tak okrojonym budżecie obronnym stanowiły towar ścisłego zarachowania. Przydzielano je tylko żołnierzom odbywającym częste wizyty na światach Dryblasów: służbom rozpoznania, kontrolerom walki, pilotom okrętów desantowych i ratownikom kosmicznym. W sumie może jakieś trzy tysiące osób w całej armii dysponowało robalowymi skorupami. Absolutnie zakazane było korzystanie z nich w misjach przeciwko ZCR, ponieważ dowództwo nie chciało, by sprzęt wpadł w rosyjskie lub chińskie ręce.

Do własnego BPP miałem dość mieszany stosunek. Owszem, był bardzo wygodny, a dzięki danym z sensorów czułem się niemal wszechwiedzący, lecz gdy zakładałem strój, czyniłem to ze świadomością, że zaraz znajdę się na terenie Dryblasów.

– Wszystkie pancerze sprawne – oznajmił porucznik. – Możemy zabierać się do roboty. Sprawdzić broń.

Wycelowaliśmy karabiny w próbny cel na grodzi, by komputery pogadały sobie przez bezprzewodową sieć. Byliśmy wyposażeni w nowe M-80, również zaprojektowane specjalnie pod kątem Dryblasów. Stare fleszetowe karabiny M-66 wciąż znajdowały się w użyciu, ale korzystaliśmy z nich tylko przeciwko Chino-Ruskim. Wystrzelwane z nich małe tungstenowe igły nie robiły większych szkód gruboskórnym obcym, więc nowa broń wypuszczała dwufunkcyjne dwudziestopięciomilimetrowe pociski złożone z supergęstych uranowych penetratorów niesionych ładunkiem wybuchowym. Aby przebić skórę Dryblasów, penetrator potrzebował ogromnej prędkości nadawanej przez sporą ilość bezłuskowego materiału miotającego. Nowe karabiny zaopatrzone w dwie lufy w układzie pionowym i wyeliminowano magazynek – siła odrzutu okazała się tak wielka, że mechanizm wielostrzałowy byłby

niepraktycznie duży i ciężki. Ponieważ M-80 mieściły tylko dwa ładunki, nie zdałyby się na wiele przeciwko ZCR, lecz całkiem niezłe działały na obcych.

– W porządku – stwierdził porucznik, gdy po raz ostatni skontrolowaliśmy broń. – Przeróbmy paru Wielkich Brzydali na mielonkę.

W skład zespołu rozpoznania wchodziło czworo żołnierzy: porucznik Graff, sierżant sztabowy Humphrey, sierżant Keller i kapral Lavoie. Czułem się jak piąte koło u ich wozu, lecz nikt nie miał nic przeciwko mojej obecności, ponieważ niosłem nadajniki, które w razie potrzeby mogły przywołać burzę. Desantowaliśmy się w indywidualnych kapsułach, żeby cały zespół nie został zlikwidowany, gdyby nasi błędnie obliczyli chwilę wystrzału i wypuścili nas prosto na minę zbliżeniową Dryblasów. Artylerzyści byli dobrzy – szansa na katastrofalne w skutkach spotkanie kapsuły z miną wynosiła tylko jeden procent – lecz dwie setki misji na koncie oznaczały, że kości zostały już rzucone dwieście razy.

Wpiąłem się do pojemnika wyglądającego jak pocisk artyleryjski wykuty w kamieniu. Miny nie wybuchały przy zetknięciu z małymi bezwładnymi obiektami, takimi jak asteroidy, nasze biokapsuły zaprojektowano więc na ich całkiem niezłe podobieństwo. Jak dotąd działały zgodnie z zamierzeniem, lecz przed każdym desantem obawiałem się, że akurat teraz Dryblasy zorientują się, w jaki sposób nasze zespoły dostają się na planetę, i to moja kapsuła jako pierwsza zostanie wytrącona z trajektorii przez świeżo zmodyfikowaną minę.

– Ostatnie sprawdzenie łączności – oznajmił porucznik na kanale zespołu. – Odliczyć się i dać znać, czy komunikacja działa.

Wysłuchałem kompanów odpowiadających na wezwanie porucznika i dodałem własne potwierdzenie, gdy reszta skończyła:

– Echo Pięc, potwierdzam i zgłaszam gotowość do wystrzelenia.

– Echo Jeden, potwierdzam, jesteśmy gotowi do wystrzelenia. Cisza radiowa po tym przekazie, dopóki nie znajdziemy się na dole. Widzimy się za trzydzieści minut. Echo Jeden bez odbioru.

Technikowi stojącemu przy mojej kapsule pokazałem uniesiony kciuk. Odwzajemnił gest i zamknął wieko. Zapadła ciemność i hełm natychmiast aktywował wzmocnienie słabego światła. Nie widziałem nic poza gładką wewnętrzną powierzchnią pokrywy, ręcznie wyłączyłem więc obraz, by oszczędzać akumulatory.

Automatyczny podajnik załadował kapsułę do wyrzutni. W takich momentach w zasadzie nie różniłem się od innych pocisków przestrzeń-ziemia z arsenału lotniskowca, tyle że stanowiłem broń biologiczną, a nie chemiczną czy nuklearną. Dziesięć ze stu czterdziestu czterech wyrzutni „Nieustraszonego” zostało zmodyfikowanych tak, by pozwalały wystrzelić na raz cały oddział. Przez następnych dwadzieścia kilka minut moje życie miało pozostawać w pełni na łasce automatycznych systemów okrętu: komputera balistycznego, który obliczał dla kapsuły trajektorię pozwalającą jej przedostać się przez pole minowe, oraz mechanizmu wyrzutni, wypuszczającego mnie z odpowiednią prędkością. Jedna usterka maszyny, jedno przeciążenie albo spadek mocy w niewłaściwej chwili, jeden błędny punkt po przecinku w procedurze programu i zostaną wystrzelony w głęboką przestrzeń lub rozpadną się w chmurę organicznej materii w górnych warstwach atmosfery.

Najgorszy był zawsze moment tuż przed startem, gdy kończyła się wyboista jazda podajnikiem amunicji i miałem świadomość, że tkwię w tytanowej wyrzutni niczym nabój w lufie. Chwila tuż przed wystrzeleniem, ostatnich kilka sekund, zanim elektryczny mechanizm spustowy wypuszczał kapsułę w zimny mrok przestrzeni, prosto w paszczę orbitalnego systemu

obronnego nieprzyjaciela. Gdy już leciałem, strach zawsze lekko słabł, lecz wcześniej zwykle byłem tak przerażony, że niemal srałem po gaciach.

Tuba wyrzutni zabręczała po włączeniu pola elektrycznego. Rozbrzmiał głośnie świs gwałtownie odsysanego powietrza i zostałem wypchnięty z przeciążeniem ośmiu g.

Podczas startu zawsze wstrzymywałem oddech, co nie było trudne, skoro przyspieszenie ścisnęło mi pierś, jakby lądowała na niej płoza desantowca. Pozwalałem sobie zaczerpnąć powietrze, dopiero gdy czułem, że tracę poczucie ciężaru – znak, że kapsuła opuściła pole sztucznej grawitacji lotniskowca.

Niektórzy żołnierze uruchamiali w drodze na dół wyświetlacze w hełmach, żeby przywołać taktyczny interfejs ukazujący im dokładną pozycję na zaplanowanej trajektorii oraz chwilę, w której będą przechodzić przez pole minowe Dryblasów. Sam wolałem lecieć w ciemności. Nie chciałem wiedzieć, na kiedy przypada prawdopodobieństwo gwałtownej śmierci. Gdybym wpadł na minę albo wystrzeliłaby ona w kapsułę swe długie na metr penetratory, zginąłbym w mgnieniu oka. Jeśli się przedostanę, zorientuję się po odgłosie rozgrzanego powietrza, o które mój pocisk będzie trzeć w górnych warstwach atmosfery.

Przez kilka kolejnych minut kapsuła przedzierała się przez wrogą próżnię pomiędzy lotniskowcem a planetą i znajdowałem się w zupełnej izolacji: ślepy, głuchy, pozbawiony ciężaru, czując się jak najsamotniejsza osoba w Galaktyce. Niczego nie widziałem, niczego nie czułem, nic nie mogło odwrócić mojej uwagi od strachu. Nagle kapsuła zakołysała się lekko i usłyszałem znajomy stłumiony ryk powietrza mknącego wokół skorupy pocisku. Jeszcze pięć minut do otwarcia spadochronu. Po raz sto dziewięćdziesiąty drugi miałem spaść na obcy i nieprzyjazny świat. Znowu zwyciężyłem w grze w kości ze śmiercią, znowu udało mi się przemknąć przez sieć min, które potrafiły momentalnie zmienić fregatę w strzępy.

Oczywiście zejście stanowiło nieskomplikowaną część misji. Czekał mnie pobyt na globie skolonizowanym przez Dryblasów, a w takich miejscach szybka śmierć mogła mnie spotkać na wiele różnych sposobów.

Rozdział 3

Nuklearne odrobaczanie

Zanim jeszcze moja kapsuła dotknęła ziemi, wiedziałem już, że desant się nie powiodł. Opadając na spadochronie, włączyłem wyświetlacz w hełmie, by sprawdzić pozycję, i aż się wzdrygnąłem, widząc, że trajektoria zniosła nas prosto w strefę docelową. Mieliśmy wylądować kilka kilometrów od wielkiego czerwonego kwadratu na mapie, lecz wyglądało na to, że spadamy w jego obręb. Ktoś znalazł się już na dole i rozglądał, ponieważ wyświetlacz nagle pokazał mi wszędzie dookoła znaczniki celu i wektory zagrożenia.

Kapsuła grzmotnęła o ziemię tak, że aż zatrzęsły mi się kości. Wieko odskoczyło automatycznie i ujrzałem nad sobą znajome ołowiane niebo sterraformowanego przez Dryblasów świata. Lubili, gdy było ponuro: gęste chmury, deszcz i mgła. Mój pocisk osiadł z nietypowo opuszczonym czubkiem i gdy zwolniłem uprząż bezpieczeństwa, by podnieść się do pozycji siedzącej, zauważyłem, że znajdowaliśmy się na stromo opadającym zboczu.

– Echo Pięć wylądował – poinformowałem na kanale zespołu. – Wszystko w jednym kawałku.

– Wspaniale – odparł natychmiast porucznik Graff. – Zgarnijcie rzeczy i sformujcie się przy mnie. Wygląda na to, że tym razem puszkarze zjebali sprawę.

Zdjąłem karabin z uchwytu, upewniłem się, czy obie lufy są naładowane, i wzmocnionym przez komputer wzrokiem rozejrzałem się w poszukiwaniu reszty zespołu. Jeśli chodziło o rozrzut, wystrzeliwująca nas ekipa spisała się fenomenalnie – znajdowaliśmy się w promieniu ćwierć kilometra od siebie. Z odległości jednej czwartej miliona kilometrów trafili niemal w to samo miejsce, tyle że położone zupełnie nie tam, gdzie zamierzony cel. Gdy zbiegałem w dół wzgórza, by dołączyć do dowódcy, ujrzałem wymiennik atmosferyczny Dryblasów górujący w odległości niespełna piętnastu kilometrów oraz skupisko dziwnie organicznych budynków niecałe trzy kilometry na prawo od nas. Zamiast podkradać się do ustalonego obszaru, spadliśmy w sam jego środek, a jeśli tubylcy nie spali albo nie byli martwi, wkrótce mógł pojawić się komitet powitalny. Jediną pozytywną rzeczą było jak dotąd to, że wszyscy wylądowaliśmy pomyślnie. Brałem udział w paru misjach, w których komuś nie otworzył się spadochron. Rezultatem upadku kapsuły z wysokiej orbity okazywał się zwykle trzymetrowy krater, na którego dnie zalegały szczątki materii organicznej wymieszane z poskręcanyimi fragmentami pocisku. W większości przypadków nie dawało się nawet zebrać nieśmiertelników.

Staaliśmy obok porucznika. Nie dysponowaliśmy żadną osłoną i czułem się niemal nagi na zboczu, tak blisko zabudowań Dryblasów. Wprawdzie dzieliły nas od nich trzy kilometry, jednak dwudziestopięciometrowy stwór miał bardzo długie kroki i widywałem już obcych bez szczególnego pośpiechu pokonujących kilometr w trzy minuty. Na szczęście porucznik podzielał moje obawy.

– Widać nas tu jak podświetlone billboardy – stwierdził. – Najpierw zejdzmy z tego zbocza, a później pomyślimy, jak naprawić to zjebane lądowanie.

– Na godzinie dziesiątej, u podstawy wzgórza, jest parów – poinformował kapral Lavoie.

– Oddalimy się od tych budynków i zejdziemy z pola widzenia.

– Może być. Zbierajcie tyłki. Szyk rozproszony, odstęp sto metrów.

Nie pokonaliśmy nawet pół kilometra w dół kamienistego zbocza, gdy od strony asymetrycznych ażurowych iglic Dryblasów zauważyliśmy ruch. Po kilku chwilach

dostrzeżliśmy wyraźne sylwetki trzech obcych idących w kierunku naszej strefy zrzutu powolnymi, miarowymi krokami. Nigdy nie sprawiali wrażenia, by się spieszyli, ale i tak wiedziałem, że nie było szans przegonić ich bez pojazdu.

– Intruzi na godzinie czwartej, kierunek jeden-dziesięć – oznajmiła zwięźle i rzeczowo, ze swym kanadyjskim akcentem sierżant Humphrey. Gdy tylko pierwsze z nas dojrzało Dryblasów, na wyświetlaczach we wszystkich hełmach pojawiły się symbole „nieprzyjaciół”, jednak trudno jest wykorzystać wpojone szkolenie. Komputer taktyczny obliczył prędkości oraz wektory ruchu, po czym poinformował mnie, że osiągniemy parów tuż przed dotarciem komitetu powitalnego do zbocza.

– Szybciej – niezbyt potrzebnie rozkazał porucznik. Pobiegliśmy w dół stoku tak szybko, jak tylko pozwalało nam pięćdziesiąt kilogramów pancerza oraz broni. – Włączyć kamuflaż. W wąwozie rozproszyć się i nie wychylać.

Nasze stroje wyposażono w nowy system kamuflażu polichromatycznego. Składał się z szeregu małych projektorów elektrooptycznych mających za zadanie wtopić nas w dowolny teren. Nie stawaliśmy się dzięki temu niewidzialni, ale całość działała na tyle dobrze, że żołnierze w maskowaniu dawało się zauważyć tylko z bliskiej odległości. Nie wiedzieliśmy, czy Dryblasy widzą w podobny sposób jak ludzie – ani czy w ogóle potrafią widzieć – lecz gdy żołnierze w robalowych skorupach kilkakrotnie włączyli kamuflaż, by ukryć się przed pobliskimi obcymi, nikt nie zginął. System projekcyjny pożerał baterie, mogliśmy więc korzystać z niego tylko w poważnych przypadkach. Według mnie bieżące tarapaty w pełni podchodziły pod tę klasyfikację.

Parów przypominał pustynne wadi. Miał dwadzieścia metrów szerokości i płaskie dno, gładkie i zasypane piaskiem naniesionym przez burze przetaczające się tędy kilka razy do roku. Ściany były strome i nierówne, schodziły niemal pionowo z wysokości ponad trzech metrów. Pomogliśmy sobie nawzajem w zejściu. Ze zboczy wystawało mnóstwo kamieni i głazów różnej wielkości, uznałem jednak, że wąż stanie się dla nas pułapką, jeśli Dryblasy nas w nim wyśledzą, ponieważ nie było jak szybko się z niego wydostać. Sensory pancerza nie wykrywały już dokładnej pozycji Dryblasów, lecz zanim rozproszyliśmy się i poszukaliśmy osłon, znajdowali się na tyle blisko, że nie potrzebowałem radaru, by o tym wiedzieć.

Sto metrów za nami nad krawędzią parowu pojawiła się wielka szara masa. Nie śmiałem ruszyć głową, gdy Dryblas przystanął, po czym pokonał wąż jednym krokiem. Jak zawsze, gdy obcy znajdowali się w promieniu ćwierć kilometra, ziemia trzęsła się pod ich powolnymi krokami. Nikt nie zdołał jeszcze przetransportować całego cielska do okrętu na orbicie, by zostało poddane sekcji, ale po bitwach wycinaliśmy fragmenty i nasi naukowcy szacowali, że przeciętny obcy ważył około tysiąca ton.

Gdy Dryblas zniknął z pola widzenia i ruszył w górę zbocza do porzuconych przez nas kapsuł, na skraju parowu pojawił się kolejny. Znajdował się jeszcze bliżej niż tamten, może jakieś osiemdziesiąt metrów, i nie podążył śladem poprzednika, lecz zatrzymał się i obrócił głowę w dół. W masywnych czaszkach obcych nie było widać oczu, lecz niemal czułem na sobie jego wzrok, gdy wydawał się przepatrywać zagłębienie. Po chwili obrócił się w prawo i zaczął iść wzdłuż krawędzi w stronę, gdzie staraliśmy się wtopić w miejscowy teren.

– Nie zaczynajcie jeszcze strzelać – ostrzegł nas cicho porucznik na kanale zespołu. – Jeśli zejdzie do parowu, przywalimy mu. Jeśli przejdzie, nie ruszamy się. Wstrzymać ogień.

Obserwowałem zbliżającego się do nas Dryblasa, kołyszącego powoli wielką głową. Nawet po paru latach przyglądania im się z bliska wciąż wydawali mi się zupełnie obcy i niepokojący. Niektórzy żołnierze uważali, że ze swymi bezzębnymi paszczami i kostnymi wyrostkami z tyłu czaszek Dryblasy wyglądali jak wyewoluowane wersje prehistorycznych ziemskich dinozaurów.

Nieprzyjaciel znajdował się tak blisko nas, że jego czerwona i moja niebieska ikonka nakładały się na siebie na wyświetlaczu taktycznym. Gdy stawiał trójpalczystą nogę na kamienistym gruncie, z przeciwległej krawędzi wąwozu sypał się piasek. Jeśli nas odkrył i postanowił zadeptać, nie mielibyśmy zbyt wiele czasu, by skorzystać z broni, lecz przedwczesna salwa z karabinów natychmiast sprowadziłaby jego pobratymców. Owszem, ryzykowaliśmy, lecz więcej mogliśmy zyskać, czekając spokojnie aż do ostatniego momentu.

Dryblas przetoczył się obok nas i przez parę chwil szedł wzdłuż parowu. Następnie pokonał go jednym krokiem pięćdziesiąt metrów od naszych pozycji i ruszył w górę wzgórza, wzbudzając wstrząsy pod moimi nogami. Jeśli można było powiedzieć coś pozytywnego o przeciwnikach mierzących dwadzieścia pięć metrów wzrostu, to na pewno to, że nie mogli się do nas podkraść.

– Ruszamy. W dół wąwozu, szybki marsz.

Zaczęliśmy biec, oddalając się od miejsca lądowania, które przyciągało obcych. Zostaliśmy odkryci, co stanowiło najgorszy możliwy początek dla misji rozpoznawczej, lecz wciąż żyliśmy, co było dalekie od najgorszego możliwego wyniku. Z każdym kilometrem dzielącym nas od strefy zrzutu zwiększaliśmy swoje szanse na przetrwanie.

– Wiecie, byłoby znacznie łatwiej, gdybyśmy mogli zabierać na zrzut coś z kółkami – wydyszał sierżant Keller, gdy truchtaliśmy wąwozem wraz z całym ciężkim sprzętem. Nikt się nie sprzeciwił.

Parów wyprowadził nas na kamienistą równinę trzy kilometry od wzgórza. Oddaliliśmy się już od strefy lądowania, więc sierżant Humphrey odważyła się omieść okolicę radarem milimetrowym, by sprawdzić, czy w pobliżu nie ma Dryblasów. Na wyświetlaczach pojawiło się sześć czerwonych ikonek, wszystkie na zboczu. Najbliższy obcy przemierzał obszar pomiędzy wąwozem a kapsułami, dwa i pół kilometra od naszych pozycji. Chwilowo mieliśmy spokój, lecz gdyby przeciwnicy domyślili się, którędy się wymknęliśmy, mogli nas szybko dopaść.

– No, mało brakowało, nie? – spytał porucznik. – Już dawno nie byłem tak blisko nich.

– Znajdujemy się w kiepskim miejscu, poruczniku – stwierdziłem. – Za blisko wymiennika atmosfery. Nie możemy się ukryć pod osłoną chmur.

Obszar pod wieżą terraformującą Dryblasów pozostawał zwykle jałowy. Obcy dysponowali szybko rosnącą roślinnością, lecz nigdy nie uprawiali nic tak blisko wymienników. Ich światy były mgliste i deszczowe, lecz wokół wieży zawsze znajdował się czysty obszar, niczym oko cyklonu.

– Przedostańmy się do linii pogody, a stamtąd skierujmy na północ – rozkazał porucznik.

– Północ-północny zachód, wygląda na jakieś dziesięć kilometrów. Jeśli zbierzemy dupy w troki, możemy znaleźć się w zupie w półtorej godziny.

Przemieszczaliśmy się w rozproszonej formacji, utrzymując między sobą stumetrowe odstępy, żeby mina czy szczęśliwy Dryblas nie dopadli nas w grupie. Jak dotąd jeszcze nie musieliśmy walczyć, jedynie biegaliśmy i kryliśmy się, lecz tak zwykle wyglądał przebieg typowej misji rozpoznania: krótkie chwile czystej grozy przedzielone długimi okresami biegania. Jeśli wracaliśmy z pełnym zapasem amunicji, wyprawa okazywała się udana, ponieważ znaczyło to, że nie zostaliśmy dostrzeżeni.

Dotarliśmy do obszaru złej pogody, nie nawiązując kontaktu bojowego z nieprzyjacielem. Dryblaszy kręcący się po odległym zboczach nie wydawali się szukać pasażerów pustych kapsuł, co w pełni nam odpowiadało. Gdyby sytuacja była odwrotna i jeden z garnizonów natknął się na pusty pojazd obcych na naszej kolonii, każdy znajdujący się tam żołnierz przeczesywałby okolice w poszukiwaniu intruza, lecz Dryblaszy nie myśleli jak my. Kiedy zajmowali kolonię, spuszczaali trujące gazy na zamieszkane ośrodki, lecz rzadko męczyli się z pojedynczymi osobami lub grupkami. Podchodzili do nas, jakbyśmy nie byli ważni w małej liczbie, podobnie jak my wykurzaliśmy dymem mrowisko znajdujące się w nieodpowiednim miejscu, lecz nie zawracaliśmy sobie głowy wybijaniem zabłąkanych mrówek jednej po drugiej.

Gdy znaleźliśmy się we mgle i deszczu, zrobiliśmy sobie krótką przerwę. Wykorzystałem tę chwilę, by za pośrednictwem szyfrowanej transmisji przesłać do floty informacje o zauważonych obcych oraz znaczniki celów dla wymiennika atmosfery i pobliskiego skupiska budynków.

– No dobra, ludzie. Misja trwa, chyba że flota zgłasza zastrzeżenia – odezwał się porucznik Graff. Przewyższał mnie o kilka stopni i dowodził na ziemi, ale w tych kilku desantach, w których braliśmy wspólnie udział, zwykle prosił mnie o opinię na temat ogólnej sytuacji taktycznej. Wydawał się wyjątkowo błyskotliwy, jak na młodszego oficera.

– Flota nie zgłasza zastrzeżeń – skomentowałem. – Szkoda byłoby zmarnować całą tę amunicję. Znajdźmy coś, na co warto spuścić atomówkę.

Przerywanie misji kosztowało. Krążowniki typu Protektor i tak musiały oczyścić część pola minowego, co wymagało około setki bardzo drogich balistycznych rakiet przechwytyjących, lecz reszta floty nie marnowała jeszcze cenniejszych ładunków nuklearnych bez precyzyjnych namiarów celowniczych. Gdybyśmy teraz zrezygnowali, amunicyjne zapasy krążownika poszłyby wyłącznie na wykonanie luki dla ewakuacyjnych okrętów desantowych. Nie porzucaliśmy tego typu misji, dopóki większość zespołu nie była martwa, a reszta nie krwawiła z gałek ocznych.

– Wspaniale – uznał porucznik. – Jeszcze pięć minut na odpoczynek i napicie się, a później idziemy zwiedzić miasto.

Dzięki nowym robalowym skorupom unikanie nieprzyjaciela okazywało się absurdalnie proste. Komputery taktyczne wykonywały większość pracy. Skanowały teren, przewidywały wektory przemieszczania wrogów i wytyczały dla nas najbezpieczniejszą oraz najbardziej ukrytą drogę. Przemykaliśmy między coraz większymi i coraz gęściej rozmieszczonymi osiedlami, zbliżając się do głównego miasta Dryblasów na tym globie. Komputer podliczał wszystkich wykrytych przez nas obcych i wyświetlał kilka tysięcy z nich na zasiedlonym obszarze. Nasza piątka, jedyne ludzkie istoty na całej planecie, przedzierała się przez przedmieścia obcych niczym Jaś skradający się na paluszkach przez zamek olbrzyma na szczycie pędu fasoli. Oczywiście nie szukaliśmy skarbu, tylko namiarów celu, aby nasze okręty za pomocą kilkudziesięciu głowic atomowych mogły zmienić ów zamek w stertę gruzu.

Zanim wstąpiłem do wojska, niczego nie pragnąłem bardziej, niż polecieć w kosmos. Miałem mnóstwo romantycznych wyobrażeń o pionierskim życiu w koloniach, lecz po kilku latach walki na zasiedlonych planetach doszedłem do wniosku, że większość naszych sterraformowanych posiadłości nie była warta włożonego w nie wysiłku. Dwie trzecie kolonijnych światów wyglądało zupełnie jak Nowa Walia: jałowe, kamieniste pustkowia, na których trzeba było harować przez kilka dekad, by przypominały choćby ugór na przeludnionej Ziemi. Na domiar złego nie przybyliśmy tu nawet, by odebrać Dryblasom teren, bo po prostu nie

potrafiliśmy tego zrobić. Natomiast zamierzaliśmy uniemożliwić egzystencję obydwu gatunkom, pokazując obcym, że wolimy zupełnie zrezygnować z planety, niż pozwolić im ją zamieszkiwać. Próbowaliśmy zniechęcić ich do atakowania kolejnych naszych kolonii. Była to desperacka, szalona i typowo ludzka strategia, lecz nie pozostało nam nic innego, nie licząc całkowitej kapitulacji. Natknęliśmy się na pierwszych konkurentów w międzygwiazdnej rywalizacji o zasoby i okazało się, że strącają nas z drogi, nawet się przy tym nie pocąc.

Główne osiedle Dryblasów leżało w zakrzywionej dolinie pomiędzy stromymi granitowymi urwiskami. Wspięliśmy się na wysokie wzgórze, by dobrze się rozejrzeć po okolicy, i mój komputer już wybrał optymalny cel oraz wielkość głowicy, która najskuteczniej zmaże to miejsce z mapy.

– Są coraz sprytniejsi – odezwał się porucznik Graff. – Spójrzcie, gdzie założyli miasto. Wszędzie dookoła granit, jak w okopie przeciwbombowym.

– Tak, zauważyłem – odparłem. – Trzeba trafić prosto w dolinę, inaczej fala uderzeniowa przetoczy się zupełnie nad nimi. Całkiem zmyślnie.

– Cóż, są gatunkiem zdolnym do podróży kosmicznych – wtrąciła sierżant Humphrey. – Głupie istoty nie budują statków międzygwiazdnych.

Miasta Dryblasów bardzo przypominały podmorskie rafy. Obcy nie budowali domów w schludnych rzędach jak my, lecz w skupiskach kojarzących się z gromadą połączonych ze sobą rozgwiazd. Osiedle pokrywające dno doliny wyglądało, jakby wyrosło tam w sposób naturalny. W pewnym sensie czułem się źle z myślą, że pokazywałem flocie, jak je zniszczyć, ale przypominałem sobie odprawę przed misją, podczas której usłyszałem, że gdy pojawili się tu obcy, straciliśmy dwanaście tysięcy kolonistów oraz całą wzmoczoną kompanię Piechoty Kosmicznej.

– Wszystkie znaczniki ustawione – poinformowałem zespół. – Znajdźmy sobie dobre miejsce na przeczekanie wybuchu, a później odpalę zegar.

Przyjrzelśmy się mapie topograficznej i zdecydowaliśmy na skierowanie w przeciwną stronę zboczne wzgórze w odległości pięciu kilometrów, gdzie nie skoncentrowano zbyt wiele peryferyjnej infrastruktury Dryblasów. Według wyliczeń mojego komputera odległość ta pozwalała przetrwać eksplozję wszystkiego słabszego niż pięćdziesiąt kiloton w dolinie poniżej, a ponieważ ściany doliny miały wzmocnić i odbić falę wybuchu, wystarczyło dziesięć procent tej mocy, aby całość przemieniła się w radioaktywne rumowisko. Najbliższym wymiennikiem atmosferycznym był ten leżący w pobliżu miejsca naszego lądowania, czyli ponad trzydzieści kilometrów, a więc zdecydowanie więcej, niż trzeba było, aby nie dało nam się we znaki piętnaście kiloton, jakie flota zwykle zrzucała na terraformery obcych.

– „Nieustraszony”, tu kontrola walki – nadałem przez radio C3.

– Kontrola walki, tu „Nieustraszony” – dobiegła słaba odpowiedź. Sygnał musiał przebiec ćwierć miliona kilometrów oddzielających nas od oczekującego okrętu, a po drodze leżało sporo obszarów paskudnej pogody.

– Flary odpalone. Kierujemy się teraz w bezpieczne miejsce. Uruchomcie zegar.

– Kontrola, potwierdzam odbiór danych celu. Powodzenia, nie wychylajcie się.

– Jasne, „Nieustraszony”. Kontrola bez odbioru.

Zakończyłem transmisję i przełączyłem się na kanał zespołu.

– Słuchajcie, ludzie. Zegar tyka. Przejdźmy pod osłonę i włóżmy okulary przeciwsłoneczne.

Najgorszym elementem eksplozji atomowej jest fala uderzeniowa. W przeciwieństwie do klasycznych materiałów wybuchowych ciśnienie wywołane przez atomówkę napiera i cofa się, miażdżąc obiekty na swojej drodze niczym olbrzymia pięść. Towarzyszy temu oczywiście wielka ognista kula, która w chwili detonacji zamienia w parę wszystko, co znalazło się na jej obszarze, ale to stała matematyczna, łatwa do wyliczenia z mocy głowicy, na dodatek krótkotrwała. Fala uderzeniowa promieniuje z ogniska eksplozji, odbija się od zbocz górskich i niszczy wszystko, na co natrafi. Owszem, to najgwałtowniejszy efekt, jaki potrafimy wygenerować, lecz jest nieprzewidywalny, bezładny i łatwo go uniknąć za kilkudziesięcioma metrami zbocza.

Nie oznaczało to, rzecz jasna, że przeczekiwanie wybuchu bomby nuklearnej za wzgórzem leżącym zaledwie kilka kilometrów od centrum eksplozji stanowiło przyjemne przeżycie.

Gdy na dolinę spadła bomba, mój pancierz wyłączył przekazy ze wszystkich sensorów, abym nie oślepl i nie ogłuchł, ale i tak poczułem falę uderzeniową. Pomknęła z prędkością dźwięku z miejsca eksplozji, kilka sekund później wstrząsając ziemią pod naszymi nogami. Podobnie jak na początku każdej misji, również pod koniec zawsze spodziewałem się błędnych obliczeń. Gdyby jakiś technik wpisał złą liczbę po przecinku, dziesięciokilatonowa głowica mogłaby spaść mi tuż pod stopy zamiast w prawidłowym, odpowiednio oddalonym miejscu. W takim przypadku zginąłbym równie szybko jak w wyniku zderzenia kapsuły z miną w drodze w tę stronę. Wyparowałbym, zanim informacja o bólu płynąca z błyskawicznie rozgrzanej skóry dotarłaby do martwego już mózgu, by poinformować mnie, że nie żyję.

Ojciec miałby niezłą frajdę z faktu, że moja praca związana była z okrętami wystrzeliwującymi głowice atomowe tuż obok mojej pozycji. Skomentowałby, że wreszcie znalazłem robotę pasującą do mojego poziomu intelektualnego.

Przeczekaliśmy eksplozję w kokonach własnych panczerzy, odcięci od obrazów i dźwięków, dopóki komputery nie uznały, że można na powrót włączyć sensory. Gdy wrócił mi wzrok, ujrzałem wszędzie dookoła spadający żwir, napromieniowany piach, fragmenty błota i elementy budynków Dryblasów. Bez wspomaganych zmysłów byłbym ślepy w tym huraganie, a nawet dzięki wbudowanej w strój elektronice widziałem jedynie na kilkaset metrów.

W końcu opad zelżał i wdrapaliśmy się na wzgórze, by przyjrzeć się okolicy. Gdy osiągnęliśmy szczyt, ujrzałem radioaktywny obłok w kształcie grzyba wznoszący się zaledwie kilka kilometrów od nas. Kłębił się i wił niczym skóra żyjącej, oddychającej istoty.

– Nigdy nie znudzi mi się ten widok – stwierdził sierżant Keller.
– Co, kręci cię adrenalina? – spytałem.
– Nie całkiem – odrzekł. – Moja rodzina została zabita kilka lat temu na Willoughby. Mama, tata, obie siostry. Dopiero co się wtedy zaciągnąłem, inaczej też bym tam był. Moim zdaniem każda atomówka zrzucona na te stwory to dobrze wydane pieniądze. Szkoda, że nie mogę rozpiąć panczerza i naszczać na ich prochy.

Dolina została porządnie wyczyszczona. Jak się spodziewałem, siła wybuchu została wzmocniona stromymi granitowymi ścianami kanionu i fala uderzeniowa odbiła się kilkakrotnie od urwisk. W samym środku długiej na półtora kilometra rozpadliny widniał teraz nowy, głęboki na trzydzieści metrów krater. Nie widzieliśmy tam nic za pośrednictwem sensorów optycznych, ponieważ kłębiąca się chmura pyłu, stanowiąca podstawę atomowego grzyba, miała się jeszcze trochę utrzymać, ale systemy obrazowania radarowego, laserowego i ultradźwiękowego dawały nam całkiem niezłą wizję zniszczeń spowodowanych przez nas w osiedlu Dryblasów.

– Juhu! – gwizdnął porucznik. – Niech nikt nie ściąga hełmu, żeby podrapać się w nos. Poziom promieniowania to „mocno przypieczony”.

Z powodu panującego w okolicy po eksplozji szumu elektromagnetycznego komunikacja głosowa z flotą nie wchodziła w grę, dysponowałem jednak połączeniem danych z „Nieustraszonym” i przesłałem nim kolejną szyfrowaną transmisję, tym razem zawierającą dane z sensorów oraz status naszego zespołu: misja wykonana, brak ofiar, gotowi do ewakuacji. Powtórzyłem przekaz parę razy na kilku kanałach, dopóki na ekranie nie błysnęła odpowiedź floty.

– Taksówka w drodze, przyjaciele i sąsiedzi. Przewidywany czas przybycia: dwadzieścia pięć minut.

– Wspaniale – odparł porucznik Graff. – Kolejny miły dzień w biurze.

Czekając na przybycie okrętu ewakuacyjnego, zespół ustanowił perimetr. Środki bezpieczeństwa były w tym momencie w zasadzie ceremonialne, ponieważ wszyscy Dryblasy, którzy pozostali przy życiu w obrębie dziesięciu kilometrów, odsuwali się od nieprzyjaznej atomowej chmury, jednak trudno było zlekceważyć nawyki ze szkolenia.

Spędziłem kilka samotnych minut na szczycie wzgórza, przyglądając się zniszczeniom, jakie skierowałem na głowy niespodziewających się tego obcych.

Nigdy nie uważałem się za religijnego, choć gdy byłem dzieckiem, mama próbowała wprowadzić mnie na łono Kościoła. Znałem jednak Biblię. Przypomniałem sobie Księgę Wyjścia oraz wersety mówiące o aniele śmierci krocącym nocą przez Egipt i zabijającym wszystkie pierworodne dzieci, oszczędzającym jedynie domy o drzwiach skropionych krwią baranka. W pewnym stopniu również byłem takim aniołem, lecz moc, której służyłem, wydawała się jeszcze bardziej mściwa i bezlitosna niż Bóg Izraela. To ja oznaczałem nocą progi i żadnego nie pomijaliśmy.

Rozdział 4

Nowy przydział

Czas spędzony na planecie: niespełna osiem godzin. Czas poświęcony na dekontaminację, badanie lekarskie, odprawę, zwrot broni i inwentaryzację sprzętu: niespełna osiem godzin. Gdy po zgarnięciu paru kanapek z masy dla podoficerów zwałem się wreszcie na koję, miałem za sobą niemal dobę bez snu. Nie potrzebowałem tabletek nasennych, które wydawano nam po ukończeniu zadań, by natychmiast zapaść w sen wypełniony koszmarami o popiele i ogniu.

Rankiem, a przynajmniej w porze, która za niego uchodziła w głębokiej przestrzeni na pozbawionym okien okręcie, udałem się do centrum operacyjnego, by sprawdzić rezultaty misji.

Nasz zespół nie był jedynym, który zszedł na powierzchnię. Dwie kolejne grupy, również w towarzystwie kontrolerów walki, wylądowały tuż po nas, by zlokalizować i oznaczyć dwa mniejsze osiedla Dryblasów na tym samym kontynencie. Również udało im się wrócić na „Nieustraszonego” bez ofiar, zresztą ich misje mniej obfitowały w wydarzenia niż nasza. W sumie cała operacja okazała się niekwestionowanym sukcesem: piętnastu żołnierzy oznaczyło trzy ważne osady i dwanaście wymienników atmosferycznych do zbombardowania, flota zaś zrzuciła piętnaście głowic o sumarycznej mocy ćwierć megatony. Wykorzystywano najmniejszą możliwą moc potrzebną do wykonania zadania, aby do minimum ograniczyć ewentualne sprzątanie, gdybyśmy kiedyś odzyskali konkretny świat. W kategoriach osobowych i sprzętowych byliśmy zdecydowanie do przodu. Poświęciliśmy około stu rakiet z Protektora, by wykonać wyłom w polu minowym, oraz piętnaście atomówek, by usunąć cele naziemne. Takim nakładem środków wyrządziliśmy Dryblasom straty rzędu kilku tysięcy ofiar i pozbawiliśmy ich piętnastu procent możliwości terraformujących. Jeśli jednak rozpatrywać skalę, nie byłem pewien, czy nasze wysiłki można przyrównać choćby do zadrapania. Obcy w mniej niż miesiąc postawią nowe wymienniki atmosferyczne w miejscach wolnych od promieniowania, Protektor zaś wystrzelił jedną czwartą swych zapasów amunicji na zaledwie trzy naloty. Potrzebowalibyśmy dziesięciokrotnie większego zespołu zadaniowego, by usunąć budowle Dryblasów z całej Nowej Walii.

Po pięciu latach kopania nam tyłków przez obcych dopiero co zaczęliśmy im się lekko naprzykrzać. Jeszcze kolejnych pięć lat tej asymetrycznej wymiany i nie zostanie nam nic do obrony.

Następnego dnia przenieśliśmy się z powrotem do ziemskiego systemu słonecznego.
– Do wszystkich, koniec stanu gotowości bojowej. – Dobiegło z radiowęzła, gdy zaczęliśmy hamować w przestrzeni między Ziemią a Marsem, gdzie kończył się komin Alcubierre’a z thety Persei. Podróż powrotna do Stacji Węzłowej miała zająć jeszcze siedem dni.

Zamierzałem właśnie trochę się przespać, gdy mój OTI zawibrował, sygnalizując nadejście wiadomości o zwykłym priorytecie. Wyciągnąłem tablet z kieszeni. Okazało się, że nominalny szef mojego działu, major Gomez, wzywał mnie do swego gabinetu „w najbliższej dogodnej chwili”.

– Sierżant sztabowy Grayson melduje się na rozkaz, sir – oznajmiłem po zapukaniu w gródz przy otwartych drzwiach biura majora.

Gomez podniósł wzrok znad terminalu MilNetu i gestem zaprosił mnie do środka.

– Wejdźcie, sierżancie. Usiądźcie.

Wykonałem polecenie, wciskając się w szczelinę pomiędzy przynitowanym do pokładu krzesłem dla gości a biurkiem majora.

– O co chodzi, sir? Zaakceptowano już mój awans na starszego sierżanta sztabowego?

– Dopiero co zostaliście sierżantem sztabowym... Ile, dziewięć miesięcy temu?

– Osiem – wyjaśniłem. Chciałbym sądzić, że major podał tę liczbę z pamięci, ale zapewne wyświetlał właśnie moje dane osobowe na ekranie, otwarte na części z harmonogramem awansów.

– Zatem musicie poczekać jeszcze szesnaście miesięcy na kolejny szewron, podobnie jak wszyscy pozostali chłopcy i dziewczęta na liście do promocji. Właśnie zsynchronizowaliśmy się z węzłem Marsa. Macie nowy przydział.

– Słyszałem, że „Nieustraszony” idzie do remontu – powiedziałem, zerkając na wydruk komputerowy, który major podniósł z biurka. – Co tym razem?

– Po powrocie do Węzłowej zgłosisz się na OWPA „Manitoba”.

– Oho – skomentowałem. – No proszę.

– No proszę co?

– Byłem już kiedyś na „Manitobie”. Właśnie ten okręt uratował nam tyłki na Willoughby, gdy pierwszy raz wpadliśmy na Dryblasów.

– To mała flota – uznał major. – I z każdą chwilą robi się coraz mniejsza.

Podał mi wydruk. Rzuciłem okiem, by potwierdzić nazwę okrętu. W polu PLACÓWKA widniało: OWPA „Manitoba” CV-1034.

– Problem w tym, że „Manitoba” jest teraz w drodze. Wracają z lambda Serpentis i planują dotrzeć do Węzłowej piętnaście dni po nas.

– O cholera – stwierdziłem.

Skoro „Nieustraszony” miał wylądować w doku remontowym, czekały mnie dwa tygodnie w Tymczasowym Zasobie Kadrowym, czyszczeniu na Węzłowej, gdzie ludzie wykonują bezproduktywne zajęcia, czekając, aż okręty, na które dostali przydział, wrócą z dyslokacji. Już niemal wolałbym uczestniczyć zamiast tego w kolejnych desantach bojowych na Dryblasów.

– A może weźmiecie część urlopu i skoczycie na stare śmieci?

– Wykorzystałem już cały urlop, panie majorze.

– Jest styczeń – oznajmił Gomez. – Zaciągnęliście się w styczniu, prawda? Wasz kolejny roczny limit urlopowy stanie się dostępny pierwszego lutego. Dolecimy do Węzłowej dopiero trzeciego lutego. Przyda wam się chwila przerwy między desantami, zupełnie jak maszynom.

Zamierzałem zachować wolne dni, aby spędzić je z Halley, gdy tylko marynarka pozwoli i jej wziąć przepustkę, ale przypomniałem sobie, że moja dziewczyna stacjonowała obecnie w Szkole Floty na Lunie. Nawet jeśli nie będzie mogła wziąć urlopu, zawsze mogę tam polecieć promem osobowym i wpaść do niej z wizytą.

– W takim razie chyba zgłoszę wniosek o urlop, sir. Jeśli miałbym spędzić kolejny dzień w TZK na liczeniu ręczników, już wolałbym zamknąć się w służbie.

Chciałem podzielić się wieściami z Halley twarzą w twarz, jednak wideorozmowy musieliśmy zgłaszać z wyprzedzeniem, by oszczędzać pasmo, ona zaś była w środku dnia pracy w szkole, puściłem jej więc wiadomość na OTI przez MilNet.

Masz szansę na trochę wolnego? Wracam na Węzłową na wymuszony urlop i jeśli chcesz, mogę wpaść na Lunę z wizytą.

Nacisnąłem „Wyślij” i wróciłem do kajuty, by się położyć.

Gdy obudziłem się przy następnej zmianie wachty i chciałem sprawdzić godzinę na OTI, na ekranie znalazłem nową wiadomość.

Dni mam całe wypełnione, ale wieczorami nic nie robię, mam też wolne niedziele. Liczę, że podczas ostatniej misji nie uszkodziłeś żadnego ważnego sprzętu. Daj znać, gdy dotrzesz na Węzłową, to trochę ogarnę kajutę i powiem dyżurnemu, żeby się Ciebie spodziewał. H.

Zamknąłem list i z uśmiechem wyłączyłem OTI.

No proszę. Przegrywaliliśmy międzygwiazdną wojnę, świat wokół nas powoli się zawałał, a ja się ekscytowałem, że przez dzień czy dwa będę się widział ze swoją dziewczyną. Może i w ciągu dwóch tysięcy lat przeszliśmy od napędzanych wiosłami galer do półkilometrowych okrętów kosmicznych, ale niektóre aspekty ludzkości pozostawały stałe niezależnie od epoki.

Było niemal niemożliwe, aby żołnierze utrzymywali kontakt z kimkolwiek na Ziemi, ponieważ z powodów bezpieczeństwa wojskowa sieć nie łączyła się ze światem cywilnym, pozwalali nam jednak wysyłać wiadomości do bezpośrednich krewnych. Matka miała w systemie skrzynkę pocztową jako „Uprzywilejowana osoba na utrzymaniu/Krewny” i na godzinę lub dwie w miesiącu otrzymywała ściśle reglamentowany dostęp do MilNetu. Wiedziałem, że w każdą trzecią niedzielę miesiąca wybierała się do urzędu dzielnicy, aby odebrać pocztę. Z początku długo nie mieliśmy kontaktu, jednak gdy Halley i ja ledwo uszliśmy z życiem na Willoughby podczas pierwszego zetknięcia z Dryblasami, zacząłem przysyłać mamie wiadomości.

Najpierw nie miałem jej zbyt wiele do przekazania, wykorzystałem więc listy jako swoisty pamiętnik. Po jakimś czasie zaczęła odsyłać podobne wpisy, opowiadając, co działo się w jej świecie. Mama całkiem nieźle pisała. Była rozważna i spostrzegawcza, a dzięki wieściom od niej zacząłem postrzegać nasze życie w DZK w zupełnie nowym świetle. Szkoda, że musiałem polecieć w kosmos i oddalić się całe lata świetlne od domu, by dowiedzieć się, że moja matka posiada opinie, które warto poznać.

Ułożyłem wiadomość, przekazując mamie, że czeka mnie urlop i że wreszcie chciałbym wpaść na Ziemię. Gdy ją wysłałem, poczułem nagle pragnienie, by poszukać jakiejś pamiątki, czegoś, co mógłbym przywieźć mamie jako dowód swoich działań. Rozejrzałem się po kajucie i zdałem sobie sprawę, że nie miałem ani jednej rzeczy, która nie została mi wydana przez wojsko. Pięć lat potu, krwi i znoju, pokonane miliardy kilometrów, odwiedzonych ponad sto kolonijnych planet, a mogłem pochwalić się jedynie kolekcją kolorowych baretek na mundurze klasy A i abstrakcyjną liczbą na koncie bankowym gdzieś w rządowym komputerze. Jeśli w przyszłym miesiącu zginę w walce, nie pozostanie żaden dowód mojego istnienia.

Patrząc jednak z drugiej strony, jeśli wszystkie posiadane rzeczy mieszczą się w małej szafce, łatwo spakować się do przeprowadzki.

Rozdział 5

Na Ziemię

Miałem dwa worki na wydane ubrania oraz sprzęt. Większy, płócienny, posiadał wszyte polimerowe usztywnienia i był wystarczająco duży, aby pomieścić większość zawartości mojej okrętowej szafki. Tego rodzaju worki wykorzystywało się zwykle do przenoszenia rzeczy pomiędzy placówkami i mój po pięciu latach przeskakiwania z miejsca na miejsce, z okrętu na okręt stał się już wytarty i postrzępiony. Mniejszy pozwalał spakować ubrania i środki czystości na kilka dni. Zwykle brało się go, wyjeżdżając na urlop, i ten znajdował się w niemal idealnym stanie.

Ponieważ podróż powrotna miała nam zająć tydzień, dysponowałem mnóstwem czasu, by się spakować i pożegnać ze znajomymi. Gdy „Nieustraszony” przybił do kłamry dokującej na Stacji Węzłowej, byłem gotów do zejścia. Dużą torbę zostawiłem na półce, by zabrać ją przy przenosinach, i chwyciłem mniejszą, spakowaną na dwa tygodnie. Wbrew moim pesymistycznym przewidywaniom BCI nie ogłosiło stanu gotowości bojowej i nikt mnie nie zatrzymał, gdy przechodziłem obok wartowników przy głównym władze, by na dobre opuścić okręt. Poszedłem korytarzem Stacji Węzłowej i mijając ostatnią gródź, poklepałem kadłub.

Żegnaj, OWPA „Nieustraszony” CV-1941, pomyślałem. Obyś umarł ze starości za trzydzieści lat w doku demobilizacyjnym.

Stacja Węzłowa stanowiła ośrodek całej wojskowej komunikacji związanej z Ziemią i Luną. Składała się z bazy orbitalnej i portu kosmicznego umieszczonych w wielkiej, potężnej strukturze, na stałe zawieszanej na wysokiej orbicie. Bezustannie przepływał przez nią strumień ludzi oraz towarów i potrzebowała remontu już na długo przed tym, zanim wstąpiłem do wojska.

Czekała mnie długa droga z zewnętrznego pierścienia, przy którym dokowały lotniskowce, do głównego holu, gdzie mogłem znaleźć miejsce w promie osobowym kursującym na Lunę. Kroczyłem znajomymi wąskimi korytarzami, płynąc wraz z tłumem zmierzającym w stronę środkowej części stacji. Gdy tylko zawijał lotniskowiec, wąskie skrzyżowania zatykały się setkami ludzi i przejście trwało wieczność.

Główny hol okazał się bardziej zatłoczony, niż kiedykolwiek widziałem. Wszędzie znajdowali się marynarze i kosmiczni piechociarze, często w uniformach klasy A, wymaganych przy transferach na nową placówkę. Rozejrzałem się szybko i zauważyłem, że większość stanowili szeregowi, zapewne świeżo po szkoleniu przygotowawczym i kierujący się do Szkoły Floty lub Szkoły Piechoty Kosmicznej. Na ich twarzach widniała zwykle ta sama niepewna mina, jaką niewątpliwie sam miałem, gdy wysiadłem z promu i pierwszy raz znalazłem się na Węzłowej. Idąc w tłumie, dostrzegałem, że część nowych szeregowych zerknęła na moją skromną kolekcję baretek i odznaczeń oraz na szkarłatny берет.

Przepchnąłem się do głównego rzędu stanowisk służby koordynacji transportu i stanąłem w kolejce za połową plutonu PK. Gdy nadeszła moja kolej, podszedłem do kabiny i podałem urzędnikowi legitymację wojskową do zeskanowania.

– Dokąd, sierżancie? – spytał urzędnik, przeskakując wzrokiem ze swego terminalu na szkarłatny берет, który wsunąłem teraz pod lewy naramiennik. Kolor był świadectwem starego przywileju – kontrolerzy walki stanowili jedną z niewielu specjalizacji zawodowych, którym pozwalano nosić berety o innej barwie niż standardowa zieleń Sił Obrony Ziemi, czerń floty lub bordo Piechoty Kosmicznej. Owszem, wskazywał, że zasłużyłem sobie na stanowisko ciężką pracą, ale często wyróżniał mnie z tłumu.

– Muszę skoczyć na kilka dni na Lunę – oznajmiłem. – Zamierzam odwiedzić kogoś w

Szkole Lotnictwa Bojowego.

– Aż do soboty promy na Lunę priorytetowo wożą flotę – wyjaśnił urzędnik bez śladu współczucia. – Jeśli chcecie udać się tam wcześniej, potrzebne wam prawomocne rozkazy podróży.

– Cholera. To aż pięć dni od teraz. Nie zmuszajcie mnie, żebym zmarnował połowę urlopu w TZK.

– Przykro mi, sierżancie. Sami widzicie, że stacja pęka w szwach. Wszystkie trzy obozy dla rekrutów wypłuły z siebie dziś rano nową porcję świeżaków i jak najszybciej przerzucamy ich na Lunę. Wróćcie w sobotę, to załatwię wam miejsce na promie, ale teraz całość należy do floty.

– A możecie mnie przynajmniej puścić na Ziemię?

– Na dół? Jasne. Co godzina leci tam dwadzieścia pustych promów po nowych rekrutów.

Dokąd chcecie się udać?

– Port kosmiczny najbliższej Wielkiego Bostonu.

– Czyli PKSOZ Cape Cod. Już sprawdzam, co tam leci.

Stuknął kilka razy w terminal, ja zaś przelykałem rozczarowanie, że moje spotkanie z Halley się opóźni. Zamierzałem najpierw udać się na Lunę, a później do mamy, ale wyglądało na to, że jeśli nie chciałem utknąć na Węzłowej na kilka dni, musiałem odwrócić kolejność.

– O, mamy. Prom FA-2992, godzina siedemnasta zero zero. Zgłóście się do szefa załadunku przy bramce Alfa Trzy Dziewięć.

– Dziękuję.

Odsunąłem się od kabiny i zarzuciłem worek urlopowy z powrotem przez ramię. Była już piętnasta czterdzieści, a więc miałem ponad godzinę, by przedrzeć się przez Węzłową do bramki osobowej A39. Mama dopiero w weekend miała skorzystać z przydzielonego jej dostępu do MilNetu i nie mogłem się z nią w żaden inny sposób skontaktować, żeby powiadomić, że zjawię się na Ziemi wcześniej, znałem jednak jej nowy adres i mogłem za darmo jeździć wszystkimi środkami transportu publicznego. Minęło pięć lat, odkąd ostatni raz stałem na ojczystej planecie, ale wątpiłem, czy zmieniła się tak bardzo, bym nie potrafił się na niej odnaleźć bez przewodnika.

Pomiędzy opuszczeniem promu w porcie kosmicznym Sił Obrony Ziemi w Cape Cod a dotarciem do Dworca Południowego w środku bostońskiego metropoleksu byłem czterokrotnie zatrzymywany przez patrole żandarmerii. Za każdym razem skanowali moją legitymację, by potwierdzić status „na przepustce”. Widać było wielu wojskowych, nawet w cywilnej części systemu transportowego. Uzbrojeni żołnierze stali przy każdym wejściu i skrzyżowaniu, a także we wszystkich pociągach. Pięć lat temu żandarm zapuszczający się do cywilnego świata miał przy sobie pałkę elektryczną i nanofleksowe kajdanki. Dziś oprócz nich nosili broń krótką i pistolety maszynowe. Magazynki tych drugich wykonano z przejrzystego plastiku, widziałem więc, że w środku znajdowały się standardowe pociski piechoty.

– Spodziewacie się chińskich szpiegów? – spytałem krępego sierżanta sztabowego o siwiejących, przystrzyżonych na jeża włosach, dowódcę czwartego patrolu sprawdzającego moje dokumenty, i podbródkiem wskazałem PDW przerzucony przez jego pierś. Gdy otworzył usta do odpowiedzi, od razu wiedziałem, że będzie pozbawiona humoru, lecz zerknął na naszywkę jednostki na mojej kurtce mundurowej i wymienił spojrzenia ze stojącym obok kapralem.

– Flota, prawda? Chyba dawno nie byliście na Ziemi?

– Pięć lat.

– Zmieniło się przez ten czas – odparł. – I to sporo. Dokąd właściwie jedziecie?

- DZK Boston-7. Chcę odwiedzić matkę.
- Chcecie wejść do DZK w mundurze klasy A?
- Nie zostały mi żadne cywilne ciuchy. A co?
- O rany. – Znów wymienił spojrzenia z kapralem i podrapał się po potylicy, unosząc zielony beret SOZ. – Coś wam powiem, sierżancie. Jesteście zaledwie dwadzieścia minut od Cape. Na waszym miejscu cofnąłbym się do bazy i sprawdził, czy nie wynajdą wam jakichś cywilnych łachów. Mundury nie są obecnie zbyt mile widziane w DZK.
- Dorastałem tam. Znam złe miejsca. Poradzę sobie.
- Parsknął bez wesołości.
- Teraz to jedno wielkie złe miejsce.

Nowe mieszkanie mamy znajdowało się w całkiem niezłej okolicy, przynajmniej jak na sektor komunalny. Tylko dwie przecznice dzieliły ją od urzędu dzielnicy, który znajdował się w najbezpieczniejszej i najczystszej części rewiru.

Gdy tu mieszkalem, wielokrotnie przechodziłem przez tę stację, jednak po wyjściu na zewnątrz z peronu metra z początku chciałem zawrócić do pociągu, miałem bowiem wrażenie, że wysiadłem na niewłaściwym przystanku. Znana mi stacja Columbia była obskurnym stuścięćdziesięcioletnim budynkiem z poplamionymi ścianami i farbą łuszczącą się z odsłoniętych belek sufitowych. Z kolei Columbia, na której się znalazłem, okazała się nową budowlą odlaną z surowego betonu. Nie widziałem plam czy odłóżającej farby, jednak stary, rozwalający się budynek wyglądał jakoś bardziej zachęcająco. Nowa stacja przypominała betonowy bunkier, a wrażenie to potęgowały dziesiątki uzbrojonych policjantów. Gdy wyjeżdżałem stąd przed pięć laty, policja nawet nie nosiła hełmów, lecz teraz ich stroje niewiele ustępowały pancerni bojowemu, jaki nosiłem w Armii Terytorialnej. Gliniarze stali w grupkach po trzech lub czterech w holu wejściowym, nie racząc się przesunąć, by ustąpić sunącym wokół nich cywilom. Zauważyłem, że mijający ich ludzie utrzymywali spory dystans. Jeden z policjantów dostrzegł mój mundur i na wpół uprzejmie skinął w moją stronę. Wykorzystałem okazję, by przystanąć i zasięgnąć informacji.

- Co stało się ze starą stacją?
- Spłonęła doszczętnie dwa lata temu – wyjaśnił gliniarz, który wcześniej mi skinął. – Podpalili ją. Tamtej nocy zabili też dwudziestu sześciu policjantów.

- Zamieszki?
- Nie, to było tylko pokojowe zgromadzenie. – Policjant ironicznie podkreślił ostatnie dwa słowa. – Jestem pewien, że te płonące butelki to tylko przypadek.
- Przykro mi – rzekłem. – Nie wiedziałem. Nie pozwalają nam oglądać zbyt często sieciowizji, a wiadomości zawsze są spóźnione przynajmniej o miesiąc.

- I tak cenzurują co bardziej soczyste kawałki. Co w ogóle robicie tu, na Ziemi? Przyjechaliście do Bostonu na wakacje? Przestrzeń jest za mało niebezpieczna?

Pozostali gliniarze zaśmiali się. Byli w paskudnym nastroju i nie przestawali gładzić rękoiści pałek, odkąd zacząłem ich obserwować. Postanowiłem zachowywać się pogodnie.

- Nie, tylko odwiedzam matkę. Dostałem dwa tygodnie urlopu, choć nie sądzę, żebym całość spędził tutaj.

- Nie winię was. Uważajcie na siebie i nie wychodźcie po zmroku. Gdy jest ciemno, nie dzieje się tu nic dobrego.

- Tak zrobię. Trzymajcie się bezpiecznie.
- Poprawiłem pasek worka, skinąłem im przyjaźnie i zacząłem odchodzić.

– Sierżancie? – zawołał za mną pierwszy z gliniarzy.

Odwrociłem się.

– Tak?

Wskazał mi gestem, bym wrócił. Gdy znów przed nimi stanąłem, ściszył głos.

– Co tam się dzieje? Jak nam idzie?

Popatrzyłem po ich zaniepokojonych twarzach. Chciałem powiedzieć coś optymistycznego, dać jakiś kęs informacji, który trochę by ich rozchmurzył, ale wiedziałem, jakie baty dostawaliśmy, i nie mogłem zmusić się do radosnej paplaniny.

– Cóż... – Wzruszyłem ramionami. – Próbujemy się utrzymać. Wiecie, okopać się i utrzymać.

Dostrzegałem rozczarowanie policjantów, ale widziałem, że woleli szczerą od oczywistych bzdur.

– Jasne – odparł pierwszy gliniarz. – Tu jest tak samo.

Ulice na zewnątrz były zasłane śmieciami. Przed stacją ujrzałem wypalony wrak hydrobusu, zepchnięty do krawężnika i wypruty ze wszystkiego, co przydatne. W pobliżu stała mała betonowa budka, w której kiedyś urządzano comiesięczną loterię kartek żywnościowych, jednak teraz okna z poliplastu były rozbite, a na ścianie nad nimi widniały długie smugi sadzy. Wyglądało na to, że już od dłuższego czasu nikt nie zwracał sobie głowy sprzątaniem śmieci czy wydawaniem kartek. Słońce zaczęło już zachodzić, a cienie szarych, podniszczonych budynków przemieniały rozciągającą się przede mną ulicę w labirynt ciemnych, niebezpiecznych miejsc. Dwie przecznice dzielące mnie od nowego bloku mamy przebyłem najszybciej jak mogłem, bez uciekania się do biegu. Wkrótce miał zapaść mrok, a wtedy szczury wyjdą całymi sforami.

Pozycja mamy poprawiła się nieco od mojej wyprowadzki. Jej nowe mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze bloku wyglądającego na mniej więcej dwukrotnie młodszy i dwukrotnie czystszy niż ten, w którym kwaterowaliśmy ponad dziesięć lat. Nie miałem legitymacji, którą mógłbym przyłożyć do panelu przy drzwiach wejściowych, więc po prostu wdusiłem przycisk oznaczony GRAYSON P.

Nad panelem umieszczono niewielki ekran służący do potwierdzania tożsamości. Ten w naszym starym bloku przez większość czasu był zepsuty lub zasmarowany gównem, lecz tutaj wszystko działało. Gdy na ekranie pojawiła się mama, nawet na wyświetlaczu o niskiej rozdzielczości mogłem dostrzec, że przez ostatnich pięć lat postarzała się o przynajmniej dziesięć. Zmrużyła oczy do kamery, po czym otworzyła je szeroko z zaskoczenia.

– Andrew!

– Cześć, mamó. Dotarłem wcześniej. Otwórz, zanim mnie tu obrobiją.

Zamiast odpowiedzi wcisnęła guzik zwalniający drzwi. Wszedłem do środka, pamiętając, by obejrzeć się przez ramię i upewnić, czy nikt nie próbuje wcisnąć się za mną do środka, żeby mnie ograbić.

Minąłem windę i wszedłem po schodach. W dawnym bloku klatka schodowa niemal zawsze śmierdziała zaschniętymi wymiocinami i szczykami, ale tu czułem tylko detergenty.

Na piętrze mama czekała przy drzwiach windy. Obróciła się, słysząc moje kroki. Pomachałem jej lekko.

– Przecież wiesz, że zawsze wybieram schody.

– Andrew! – powtórzyła, po czym podeszła szybko i uściśnęła mnie mocno. – Co tu robisz tak wcześnie? Mówiłeś, że przyjedziesz w poniedziałek. Nawet jeszcze nie posprzątałam.

– Nie przejmuj się. Miałem w planach coś, z czego musiałem zrezygnować.

– Nie powinienes tu przychodzić sam. To zbyt niebezpieczne. Wyszłabym po ciebie do

urzędu dzielniccy.

Zaprzestała prób zmiążdżenia mi klatki piersiowej i przytrzymała na długość wyciągniętych rąk, by przyjrzeć się mundurowi.

– Dobrze w tym wyglądasz. Chyba nieźle zmężniałeś, co?

– Sporo biegania i noszenia. Raczej nie obijamy się całymi dniami.

Mama wydawała się mniejsza, niż pamiętałem, smuklejsza i jakby mniej realna. Straciła nadmiarowe kilka kilogramów, jakie nosiła od lat, lecz zamiast wydawać się sprawna i szczupła, wyglądała raczej na wychudzoną i wyczerpaną. W mysich włosach pojawiły się liczne siwe pasma, kąciki oczu i ust zaś okalały głębokie zmarszczki, których tam wcześniej nie było.

– Widzę, że dostałaś lepsze mieszkanie.

– Gdy wyjechałeś, kazali mi się wyprowadzić, bo nie przysługiwały mi już dwie sypialnie, ale trafiłam dobrze. Dawna okolica jest teraz tragiczna. Przy każdym zamieszkach wyłączają tam prąd i przestają wydawać racje żywnościowe. Już miałam dość siedzenia całymi dniami po ciemku i bez jedzenia.

Poklepała mnie po piersi kurtki mundurowej i przejechała palcami po baretkach nad kieszenią.

– Tak się cieszę, że nie musisz się już o to martwić. Tutaj ludzie oglądają bez przerwy sieciowizję i narzekają na rzeczy, których nie mają. No ale chodź do środka. Tylko nie przejmuj się bałaganem. Dałam sprzątacze wolny miesiąc.

Nowe mieszkanie mamy było schludniejsze i nowocześniejsze niż poprzednie, lecz o połowę mniejsze. I tak wydawało się jednak niczym pałac w porównaniu z kajutą na „Nieustraszonym”. Obejmowało salon z wnęką kuchenną, oddzielną sypialnię, łazienkę i dużą szafę w korytarzu. Na lotniskowcu nawet dowódca nie dysponował taką przestrzenią dla siebie. Rozejrzałem się przelotnie i zauważyłem, że na ścianie w salonie mama wywiesiła parę zdjęć, głównie wydrukowanych w niskiej rozdzielczości z plików, które wysyłałem jej przez MilNet. Była tam nawet moja fotografia z Halley, wykonana przed dwoma laty na wspólnej przepustce w ośrodku wypoczynkowym floty na Marsie.

– Niewiele mam jedzenia – powiedziała mama z wnęki kuchennej, napełniając dwie szklanki wodą z kranu. – Dwa miesiące temu znów obcięli racje o tysiąc kalorii. Teraz nie mogę nawet nic odłożyć, na wypadek gdyby z powodu zamieszek znów zdarzyły się przerwy w dostawach. Zresztą bez prądu i tak nic bym nie podgrzała.

– Nie martw się o jedzenie, mamo. Mówili mi, że mogę zaprowadzić najbliższą rodzinę na rządową stołówkę. Pojedziemy pociągiem na Dworzec Południowy, tamtejsza jadłodajnia jest całkiem niezła.

– Naprawdę? Byłoby wspaniale.

– Nie powinno być problemu. Chcesz iść już teraz? Myślę, że serwują kolację. Zaraz z pracy wyjdzie dzienna zmiana, więc może być trochę tłoczno.

Mama wyjrzała przez okno, by ocenić poziom dziennego światła.

– No to chodźmy – stwierdziła po krótkim zastanowieniu. – Zanim zrobi się zbyt ciemno.

Po pięciu latach skakania od kolonii do kolonii i przebywania pod otwartym niebem na pustych światach powrót do betonowego labiryntu rodzinnego miasta wzbudzał we mnie poczucie klaustrofobicznego zamknięcia. Wieżowce dzielnicy komunalnej, zaśmiecone ulice i chodniki sprawiały wrażenie niebezpiecznych i pełnych bezinteresownej wrogości. Cienie coraz bardziej się wydłużały.

Staliśmy z mamą pod blokiem. Rozglądałem się po okolicy jak w czasach, gdy tu

dorastałem. Na chodniku po drugiej stronie ulicy siedziała grupka dzieciaków, popijających coś pomarańczowego z przekazywanego sobie naczynia. Istniało wyraźne rozgraniczenie wieku i zachowania, gdy młodzi blokerzy kończyli z wandalizmem i odreagowywaniem emocji, a przechodzili do kradzieży oraz krzywdzenia bliźnich. Z tego, co pamiętałem z własnego dzieciństwa, te młodziki znajdowały się właśnie na granicy.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie wrócić do mieszkania, lecz pomyślałem, że ostatnich pięć lat spędziłem, wrzeszcząc na ludzi i walcząc z Dryblasami w miejscach znacznie gorszych niż DZK Boston-7. Stacja kolejki znajdowała się w odległości zaledwie dwóch przecznic, a w pobliżu była policja.

– Chodźmy – zdecydowałem, prowadząc matkę w odpowiednią stronę. Gdy ruszyliśmy zwawym krokiem, zerknąłem na grupę wyrostków i zauważyłem, że jeden się w nas wpatruje.

– Nie masz przy sobie broni? – spytałem mamę.

– Oczywiście, że nie. Została w kuchni, w szafce nad kuchenką.

Zerknąłem przez ramię i dostrzegłem, że obserwują nas już wszyscy początkujący bandziorzy i że toczy się między nimi ożywiona, choć cicha dyskusja.

– Idź szybciej – poleciłem mamie.

Uszliśmy pół przecznicy, kiedy usłyszałem, że za nami biegną.

– Ej, żołnierzyku, czekaj.

Mama obejrzała się i otworzyła usta do odpowiedzi, ale pokręciłem głową.

– Idź dalej – nakazałem jej.

Blokerzy byli młodszy i drobniejszy ode mnie, lecz w piątkę przeciwko mnie samemu, na dodatek nieuzbrojonemu, mogli stanowić zagrożenie. Nieodległa już, przypominająca betonowy bunkier stacja kolejki wyglądała znacznie bardziej zachęcająco niż wcześniej. W pobliżu zaparkowanego przy wejściu hydrowozu kręcili się gliniarze, lecz znajdowali się poza zasięgiem krzyku. Po lewej mijaliśmy akurat wylot uliczki. W tym momencie chuligani podbiegli i wepchnęli nas do zaułka, z dala od spojrzeń nielicznych osób, które o tej porze chodziły jeszcze po okolicy.

– Nie mamy prochów ani kartek – poinformowałem ich znacznie spokojniej, niż się czułem. – Idę tylko na stację z matką. Możecie nas puścić?

– Co se, kurwa, myślisz, łącz tu w tym? – spytał jeden z nich, pokazując mój mundur. Był chudy, zresztą jak cała reszta, i miał okropne zęby, nawet jak na mieszkańca DZK.

– Nie mam teraz żadnych innych ciuchów – wyjaśniłem. Próbowałem ocenić odpowiedni moment, by przejść od ustępstw do działania, jeśli podejdziesz bliżej. Był niższy ode mnie o pół głowy, lecz za nim stało czterech kumpli. Miałem już za sobą pięć lat zabijania marines z ZCR i Dryblasów, ale tu, w wyjściowym mundurze i bez broni, czułem się odsłonięty. Odkryłem, że frustruje mnie poczucie bezsilności.

– Co masz w torbie? – zapytał mamę. Zdjęła ją z ramienia ze zrezygnowaną miną, jakby musiała już tak czynić wiele razy wcześniej.

– Nic, czego byście chcieli – odparła. Podała chłopakowi torbę, on zaś chwycił ją tak naturalnym gestem, jakby pomagał nieść zakupy. Pozostali otoczyli nas półokręgiem. Nie zauważyłem jeszcze żadnej broni i postanowiłem najpierw położyć tego z dzieciaków, który pierwszy ją wyciągnie.

Chłopak z zepsutymi zębami otworzył torbę i wyciągnął zrolowany płaszcz przeciwdeszczowy. Odłożył go na ziemię, pogrzebał głębiej i wydał odgłos rozczarowania, nie trafiając na nic, co by mu się spodobało.

– Hej – odezwałem się, czując narastający gniew.

Podniósł na mnie wzrok. Nie widać w nim było zaniepokojenia ani ciekawości, jedynie

znudzenie i tępą wrogość.

– Lepiej to oddaj – poleciłem.

– Naprawdę? – Popatrzył na kolegów i uśmiechnął się lekko.

Stali tak blisko siebie, że jeśli by nie wyjęli broni, zapewne położyłbym dwóch lub trzech.

– A może wcale nie chcę – oznajmił, po czym uniósł dół brudnej koszulki i pokazał oklejoną taśmą rękojęść czegoś, co wyglądało na pistolet samoróbkę.

– Nie – usłyszałem za sobą głos mamy. – Nie rób tego.

Rozległo się ciche puknięcie i chłopak z zepsutymi zębami wzdrygnął się konwulsyjnie, a potem przewrócił. U wylotu alejki stało trzech policjantów w pełnym osprzęcie do tłumienia zamieszek, jeden opierał na przedramieniu paralizator. Pozostali czterej chuligani obrócili się. Dwóch z nich zamarło w miejscu, a reszta pomknęła w dół alejki niczym przerażone króliki.

– Kretyni – powiedział gliniarz, po czym pobiegł za nimi, mijając nas w pancerzu niczym lecąca całą naprzód kosmiczna fregata. Pozostali dwaj policjanci weszli do zaułka, celując w bandziorów, którzy właśnie próbowali nas obrabować. Chłopak, który zabrał mamie torebkę, leżał, podrygując. Między jego łopatkami widać było elektrody z paralizatora.

– O, zobacz – odezwał się gliniarz. – Broń.

Domowej roboty pistolet wysunął się chłopakowi z za paska, spadł na brudny asfalt. Bardzo niedbałym gestem drugi policjant wymierzył ze swego tasera i wystrzelił kolejną parę elektrod w młodzika, który znów zadrzał.

– Słuchajcie, on już leży – powiedziała mama.

– Ma szczęście, że nie strzeliłem mu w głowę – odparł gliniarz. Ich obecność uratowała nas przed ograbieniem lub nawet gorszym losem, ale z jakiegoś powodu czułem się bardziej zagrożony tak niedbałym pokazem siły niż zawadiackim zachowaniem bandziorów.

Policjant pochylał się i podniósł torebkę, po czym podał ją mamie.

– Dziękuję – powiedziała.

Obrócił się do pozostałych dwóch blokerów, którzy stali nieruchomo z dłońmi za głowami.

– Ten gość jest we flocie – oznajmił, wskazując w moim kierunku. – To dzięki niemu ci paskudni obcy nie przylecieli tu jeszcze i nie zagazowali nas wszystkich na śmierć. Jest wart stu takich marnujących kalorie śmieci jak wy.

Nie zareagowali, jedynie wpatrywali się przed siebie, jakby nie chcieli dawać policjantowi najmniejszego powodu do użycia paralizatora. Byli chuliganami, ale nieszczególnie niebezpiecznymi, natomiast gliniarze wręcz promieniowali zagrożeniem.

– A teraz się stąd wynoście – pierwszy z policjantów rzekł do mnie. Uniósł wizjer hełmu bojowego i zauważyłem, że to sierżant, z którym rozmawiałem wcześniej przy stacji. – Mówiłem, że nic dobrego nie dzieje się tu po zmierzchu. Macie szczęście, że was zauważyliśmy.

– Dzięki – odparłem, lecz nie byłem pewien, czy mówiłem szczerze.

– Chodźmy – odezwała się mama.

Opuściliśmy szybko alejkę, żeby zostawić za sobą nie tylko niedoszłych złodziei, ale i policjantów.

Wyglądało na to, że nie byłem jedynym pracownikiem budżetówki sprowadzającym kogoś z rodziny na kolację. Państwowa stołówka na Dworcu Południowym była wypchana po brzegi, lecz tylko połowa obecnych miała mundury lub rządowe identyfikatory na szyjach. Pomimo tłumy wydawanie posiłków przebiegało niemal równie sprawnie jak w mesie dla szeregowych na okręcie kosmicznym. Wraz z mamą staliśmy w kolejce tylko pięć minut, by

dostać tace. Nie było tu bufetu – każdy dostawał taką samą tacę, z takimi samymi potrawami, w takiej samej ilości.

Jedzenie okazało się kiepskie, smakowało tylko trochę lepiej niż przetworzone gówno z soją z racji PPŻ. W porównaniu z wojskowymi standardami wydawało się ledwo zjadliwe, lecz mama wsuwała, jakby dostała delicje. Sam zjadłem odrobinę, by żołądek miał się czym zająć, po czym jedynie grzebałem w reszcie, obserwując jedzącą mamę.

– Karmią cię tak codziennie? – spytała pomiędzy dwoma solidnymi kęsami sojowego kurczaka. Odkąd się zaciągnąłem do wojska, ani razu nie jadłem przetworzonej soi, ale nie chciałem uświadamiać mamie, że otrzymujemy prawdziwe jedzenie, podczas gdy ona musiała żyć na tych zmielonych śmieciach.

– W zasadzie tak – powiedziałem. – Spalamy trochę więcej kalorii niż cywile, bo często biegamy z bronią i w pancerzach.

– Gdy ostatnim razem dostałam kartkę żywnościową, wołowina kosztowała pięćset dolarów za pół kilograma – wspomniała. – Ponad rok temu. Bóg jeden wie, do ilu teraz zdrożała.

– Widziałem, co zrobili z budką z kartkami. Czyli co, już ich nie wydają?

– Nic już nie robią – przyznała mama. – Śmieci są zbierane tylko raz czy dwa razy w miesiącu, a już w ogóle, gdy trwają zamieszki. Ledwo widuje się gliniarzy, chyba, oczywiście, że trwają zamieszki. Wtedy pokazują się setkami. Co miesiąc jest jak na wojnie. Ludzie giną zastrzeleni na ulicach i całymi dniami nikt nie zabiera ciała.

– Nie robią już nalotów w blokach?

Mama pokręciła głową.

– Boją się chodzić po ulicach. Przez jakiś czas było bardzo źle z powodu chuliganów, ale trochę się poprawiło. Teraz można sobie wynająć ochronę. Za tysiąc kalorii dziennie chodzi za tobą człowiek z bronią. Policji już to nie obchodzi.

– Rany, mam. To kto teraz pilnuje porządku?

– Nikt. – Wzruszyła ramionami. – A może wszyscy. Każdy ma teraz broń. Kurczę, nawet ja mam, ale trzymam ją w mieszkaniu. I tak zresztą niewiele wychodzę, chyba że do urzędu, żeby przeczytać maile od ciebie, a tam nadal mają detektory.

Gdy mieszkałem jeszcze z mamą, nie cierpiała broni. Sądzę, że gdyby mnie z nią przyłapała, sama wydałaby mnie policji. Jeśli wbrew prawu oraz swoim dawnym zasadom trzymała pistolet w mieszkaniu, sytuacja musiała zrobić się naprawdę ponura.

Skończyliśmy posiłek i sprzątnęliśmy stół dla ludzi czekających na miejsce. Gdy przechodziliśmy obok strażników sprawdzających przy drzwiach legitymacje, mama rozglądała się ze zdziwieniem.

– Wiesz, nigdy tu nie byłam. Powyżej publicznych peronów.

– Naprawdę?

– Tak. Mieszkam tu od ponad dwudziestu lat, a nigdy nie miałam powodu, żeby wejść po tych schodach.

– Nie wyjeżdżałaś z Bostonu?

– Jasne, że wyjeżdżałam. – Wzruszyła ramionami. – Gdy poznałam twojego ojca. Zanim się urodziłeś. Kilkakrotnie byliśmy cały dzień w Cape. Raz zabrał mnie do New Hampshire, pojechaliśmy hydrobusem odjeżdżającym z Dworca Północnego.

Obróciłem się i podeszedłem z powrotem do strażników przy wejściu do stołówki.

– Przepraszam bardzo, sir – zwróciłem się do wyższego rangą, szczupłego osobnika o skwaszonej minie i z oznaczeniami sierżanta na naramiennikach. Przewyższałem go stopniem, ale znajdował się na swoim terenie i miał tu znacznie wyższą pozycję niż ja.

Sierżant SOZ uniósł brew.

- Co mogę dla was zrobić, sierżancie sztabowy?
- Dość długo przebywałem poza Ziemią – odezwałem się. – Moglibyście mi powiedzieć, jakie obecnie panują regulacje dotyczące przewożenia krewnych prywatną komunikacją?
- To wasza matka?
- Zgadza się.
- Najbliższa rodzina może jeździć za darmo do pięciu tysięcy kilometrów rocznie. Musi jednak widnieć w waszych papierach.
- Co to znaczy?
- To znaczy – rzekł tonem, jakiego by użył sierżant szkolenia tłumaczący coś oczywistego niezbyt bystremu rekrutowi – że musi być umieszczona w waszych dokumentach jako najbliższa rodzina. Żadnych kolegów, żadnych dziewczyn, żadnych innych krewnych.
- Jest w moich papierach – odparłem. – Dziękuję, sierżancie.
- Wróciłem do mamy.
- O co chodziło? – spytała.
- Chcesz wejść jeszcze jeden poziom wyżej, do prywatnych pociągów? Jeśli nie spieszysz ci się z powrotem do domu, możemy się przejechać.

Rozdział 6

Liberty Falls w stanie Vermont

Mama wczytywała się w rozkład jazdy niczym ktoś zapoznający się z menu w eleganckiej restauracji. Na górze, na peronach, z których odjeżdżały pociągi prywatnej sieci kolejowej, środki bezpieczeństwa wyglądały na bardziej zaostrzone niż na publicznym dworcu. Pociągi publiczne były darmowe, lecz za prywatne koleje regionalne płaciło się prawdziwymi pieniędzmi i szczer na zasiłku w żaden sposób nie zdołałby się tu wśliznąć. Strażnicy sprawdzali karty pokładowe i legitymacje, a prywatni ochroniarze sprawiali wrażenie jeszcze bardziej drażliwych niż policjanci w środkach komunikacji publicznej i żołnierze SOZ na dworcu poniżej.

Stacja ekspresów regionalnych, znajdująca się ponad wieloma podziemnymi warstwami systemu transportu publicznego, była jedyną częścią Dworca Południowego, do której docierało światło słoneczne. Nad ziemią wszystko wydawało się znacznie czystsze, jaśniejsze i mniej hałaśliwe niż niżej. Technicznie rzecz biorąc, regionalna sieć pociągów magnetycznych również była publiczna, ponieważ dotowana przez Wspólnotę, jednak na składach widniały logotypy prywatnych korporacji. Wyjazd z miasta wymagał prawdziwych pieniędzy, nie rządowych kart zasiłkowych. Gdy byłem jeszcze cywilem, nigdy nie zastanawiałem się, dlaczego tak jest, teraz jednak wiedziałem, że to mechanizm niepozwalający mieszkańcom dzielnic komunalnych na opuszczanie ich terenu.

– Dokąd pojedziemy? – spytała mama. Wyglądało na to, że paraliżowały ją rozpościerające się przed nią możliwości. Magnetyczne pociągi jeździły w jedną stronę aż do Halifax, w drugą zaś do dawnej stolicy, Waszyngtonu. Dysponujący pieniędzmi pasażerowie mogli opuścić Boston na całą masę sposobów.

– A co chcesz zobaczyć? Góry, ocean, wielki metropleks, może coś innego? Nic nas nie ogranicza.

– Nie chcę wielkiego miasta – odparła. – Może jedźmy tam, gdzie zostały jakieś drzewa. Znów przez parę chwil przyglądała się schematowi połączeń regionalnych, po czym dźgnęła go palcem. – Tu. Jedźmy tutaj.

Wskazała jedną z północnych stacji linii tranzytowej Green Mountain – miejsce o nazwie Liberty Falls w stanie Vermont, pomiędzy Montpelier a Burlington.

– Jesteś pewna?

– Tak. Chciałabym zobaczyć góry i drzewa.

– No dobrze. Pójdę po bilety.

Hala odjazdów wydawała się niczym pałac w porównaniu z ciasnymi i wiecznie zatłoczonymi podziemnymi platformami systemu publicznego. Strop sięgał dziesięciu metrów, na ścianach zaś znajdowały się wysokie okna, wyraźnie będące projekcjami, ponieważ pokazywały lekko zachmurzone błękitne niebo zamiast całunu smogu oraz pyłu, który odkąd sięgałem pamięcią, zalegał nad Bostonem. Tylną ścianę zajmował ogromny wyświetlacz ukazujący stacje końcowe, godziny odjazdu oraz numery peronów. Poniżej stał rząd automatów biletowych oraz stanowiska informacyjne. Podszedłem tam i podałem nasz cel.

– Liberty Falls w stanie Vermont.

Chwilę później ekran przede mną wyświetlił schemat połączeń. Przyjemny kobiecy głos przeczytał tekst:

– Proponuję linię Green Mountain do Burlington z przystankami w Nashua, metropleksie Concord-Manchester, Hartland-Lebanon oraz Montpelier.

Wybrałem przycisk AKCEPTUJ/ZAPŁAĆ na ekranie. Wyświetlacz ukazał mi rozmaite

opcje płatności: KARTA KREDYTOWA, „LEGITYMACJA RZĄDOWA”, ZAGRANICZNA KARTA KREDYTOWA (TYLKO EURO, DOLARY ANZAC I NOWE JENY) oraz INNE. Kliknąłem drugą pozycję, przyłożyłem wojskową legitymację do skanera, po czym w polu LICZBA PASAŻERÓW wybrałem 2. Automat wypluł plastikowe karty pokładowe. Wziąłem je i podałem mamie.

– Wspólnota stawia. Jutro rano odetchniesz świeżym górskim powietrzem.

System kolei magnetycznych został wybudowany na długo przed moim urodzeniem, gdy WPA nie wydawała jeszcze każdego dostępnego dolara na kolonizację. W związku z tym najnowsze pociągi liczyły czterdzieści lub pięćdziesiąt lat, a i tak pozostawały w znacznie lepszym stanie niż składy wykorzystywane w komunikacji publicznej. W środku znajdowały się przedziały dla sześciu lub ośmiu osób, na początku każdego wagonu umieszczono małą łazienkę. W publicznych pociągach śmierdziało spaloną gumą i szczykami, siedzenia wykonano z niemal niezniszczalnego polimeru, a jazda była tak wyboista, że z zębów wyskakiwały ceramiczne plomby. W magnetycznych składach pachniało po prostu starzejącą się tkaniną, fotele wyścielono wygodnymi antyseptycznymi nanowłóknami, podróż zaś odbywała się tak gładko, że ledwo odczuwało się ruch. Zajęliśmy jeden z pustych przedziałów i do końca jazdy mieliśmy go tylko dla siebie.

Bostoński metropleks rozciągał się aż do granicy ze stanem New Hampshire. Przez pierwsze pół godziny widzieliśmy wyłącznie ciemny betonowy krajobraz: kolejne rzędy komunalnych wieżowców przerywane w równych odstępach słabo oświetlonymi, regularnie wytyczonymi ulicami, niczym polany w miejskim lesie. Pociągi magnetyczne sunęły po tytanowych łukach wznoszących się dziesięć metrów nad betonową puszcza. Im bliżej przedmieść i dalej od blokowisk, tym niższe stawały się budynki, ulice zaś szersze i lepiej oświetlone. Dopiero gdy przejechaliśmy granicę stanu, między miejską zabudową ujrzeliśmy pierwsze duże skrawki zieleni.

– Tylu ludzi – rzuciła w zadumie mama. Odkąd opuściliśmy Dworzec Południowy, przyglądała się światu zewnętrznemu przez dwuwarstwowe polikarbonowe okno. – Pomyśl tylko, ile osób mieszka na tym skrawku ziemi.

– Sześćdziesiąt milionów – odparłem. – I to tylko w Bostonie oraz Providence. Nowy Jork dobija już do setki.

– Znam liczby – powiedziała. – Tylko że czym innym jest czytać je z ekranu, a innym widzieć na własne oczy.

– Tak jest na całym Wschodnim Wybrzeżu – oznajmiłem. – Metropleksy przechodzą w siebie nawzajem. Jest nas zbyt wiele na zbyt małej Ziemi, a kolonie wciąż są niemal puste.

– Jak tam jest? Masz w ogóle okazję spędzić trochę czasu na tych planetach?

– Byłem na większości naszych i na wielu chińskich i rosyjskich. Jest inaczej. Dziko, jałowo. To niełatwe miejsca do życia.

– Kiedyś co roku zgłaszałam nasze nazwiska do loterii kolonijnej. Dopóki jej nie zamknęli. Nie mogę uwierzyć, że zlikwidowali loty do kolonii.

– Ponad połowę z nich zajęli Dryblasy. Nie sądzę, żeby komuchom powiodło się lepiej. To kiepskie czasy dla kolonistów. Jeśli obcy pojawiają się na orbicie, cztery tygodnie później planeta jest martwa. Nie da się kontratakować, a ucieczka i ukrywanie na nic się nie zdadzą. Tamci po prostu zagazowują wszystkie osiedla, jakby mieli do czynienia ze szczurami.

– Może na to zasługujemy – stwierdziła ponuro mama, wyglądając znów za okno, gdzie miasto Nashua trwało pogrążone w niespokojnym śnie. Nawet mała Nashua, o populacji półtora miliona, posiadała na obrzeżach sporą dzielnicę komunalną, charakterystyczne skupiska wysokich, całkowicie praktycznych wieżowców ustawionych na najgorszym obszarze miasta. –

Może wszyscy powinniśmy zostać zagazowani jak szczury. Popatrz tylko, co zrobiliśmy z tym światem, a teraz rozprzestrzeniamy zarazę na inne.

– Wszyscy chcą żyć, mamó. Po prostu obcym lepiej idzie rozprzestrzenianie się niż nam.

– Myślisz, że dotrą aż na Ziemię? – Po jej minie widziałem, że ta perspektywa nie przerażała jej jakoś szczególnie.

Zastanowiłem się przez chwilę i wzruszyłem ramionami.

– Możliwe. Nie widzę powodu, dla którego mieliby się zatrzymać, skoro tak się już rozpędzili.

Wróciłem wzrokiem do nocnej Nashuy, jednego z dziesiątek tysięcy ludzkich mrowisk w Ameryce Północnej, przepelnionego istotami wiodącymi żywot, który trudno było nazwać godnym. Wyobraziłem sobie na niebie okręt nasienny Dryblasów, z którego na ulice i bloki lecą kapsuły ze skroplonym gazem działającym tak szybko, że ofiary padają martwe już po kilku sekundach od wciągnięcia w płuca zaledwie miligrama lub po zetknięciu maleńkiej kropelki ze skórą.

Chciałem nie zgodzić się z mamą, ale część mnie przyznawała, że inwazja Dryblasów na Ziemię stanowiłaby akt miłosierdzia dla naszego gatunku. I tak większą część swojej historii spędziliśmy, próbując się nawzajem unicestwić. W ten sposób przynajmniej jakiś bezstronny sędzia z zewnątrz rozstrzygnąłby raz na zawsze wszystkie waśnie ludzkości. Skończyłyby się trwające od pokoleń spory i dawne urazy. Nikt nie próbowałby już wywierać zemsty na osobach, które odziedziczyły stare winy po swych pradziadach. Stałoby się z nami po prostu to, co sami zgotowaliśmy wielu innym gatunkom, i pozostałaby po nas jedynie notka w podręcznikach do ksenobiologii innych ras, gdzie wymieniano by nas jako „wymarłych”.

Już wcześniej zastanawiałem się, czy nasze zmagania z Dryblasami mają jakikolwiek sens, lecz dopiero gdy mknęliśmy przez noc ponad morzem niedożywionych, niezadowolonych ludzi zamieszkujących miasto rozpościerające się pod torami kolei magnetycznej, pierwszy raz doszedłem do wniosku, że zapewne nie.

Zasnęliśmy w wygodnych fotelach, zanim pociąg dotarł do stacji Concord-Manchester. Kiedy się obudziłem, świat zewnętrzny malował się w zieleni oraz bieli, a słońce właśnie wynurzało się zza horyzontu. Zerknąłem na mapę wyświetlaną na ścianie przedziału. Była już niemal siódma rano i czekał nas ostatni odcinek podróży, już tylko piętnaście minut do Liberty Falls. Przespaliśmy Concord-Manchester, Hartland-Lebanon i Montpelier.

Mama wciąż spała naprzeciwko mnie. Opierała się o miękki zagłówek, wyglądała na spokojną i zrelaksowaną. Liczyła sobie jedynie czterdzieści pięć lat, ale wyglądała, jakby dobiegała do sześćdziesiątki. Jeśli posiadało się dostęp do prywatnej służby zdrowia, przewidywalna długość życia wynosiła ponad sto lat, ale szczury na zasiłku raczej zdychały w młodszy wiek z powodu połączonego wpływu kiepskiego wyżywienia oraz pełnej stresów codziennej egzystencji w blokowiskach. W publicznych szpitalach istniały długie listy oczekujących na wszystkie zabiegi poważniejsze niż zatamowanie krwotoku z nosa. Gdy ojciec umierał na raka, wydali mu jedynie środki przeciwbólowe przypisane do jego DNA, aby ułatwić przemianę w biomasę.

Dotknąłem ramienia mamy, by ją obudzić. Otworzyła powoli oczy i rozejrzała się.

– Już dojechaliśmy?

– Prawie. Jeszcze piętnaście minut. Spójrz, pada śnieg.

Wskazałem widok za oknem. Kłęby drobnych śniegowych płatków tańczyły na wietrze między drzewami, gdy z prędkością dwustu kilometrów na godzinę mijaliśmy niezasiedlone okolice stanu Vermont. Jadąc cały czas tak szybko, pociąg mógłby pokonać odległość z Bostonu w niecałe dwie godziny, lecz musiał powoli przejeżdżać przez obszary miejskie, a niemal cała

Nowa Anglia składała się na jedno wielkie miasto.

– No proszę. Od wieków nie widziałam tyle śniegu na ziemi.

Z powodu wiecznego smogu i pyłu w atmosferze nad wielkimi metropleksami śnieg padający w DZK stawał się brudny, zanim jeszcze wylądował na ulicy. Tutaj był czysty i biały – nietknięty, porywający. Świat zewnętrzny wyglądał niczym zdjęcie z dawno zapomnianej przeszłości: otulone bielą nierówne rzędy drzew i tylko od czasu do czasu krajobraz zakłócony bezprzewodowym przekaźnikiem mocy.

– Pięknie – zauważyła mama. – Jak na starym obrazie olejnym. Już niemal zapomniałam, że nie cały świat jest pokryty betonem.

– Niestety, niemal cały – odparłem.

Liberty Falls okazało się tak małe, że podróż z obrzeży do stacji trwała jedynie kilka minut. Nie widzieliśmy żadnych bloków, tylko porządne rzędy domków jednorodzinnych stojących wzdłuż schludnych ulic.

Pociąg wjechał na czysty i dobrze oświetlony dworzec o przejrzystym zadaszeniu nad peronami. Na polikarbonowej kopule widziałem spłachetki śniegu, za nimi zaś niebieskoszare niebo. Słońce już niemal całe wyszło zza horyzontu, malując od spodu chmury bladym odcieniem różu.

Budynek stacji okazał się lekką konstrukcją opartą na szeroko rozstawionych słupach nośnych z dużymi oknami pomiędzy, przez które wpadało mnóstwo światła słonecznego. W przeciwieństwie do bostońskiego Dworca Południowego nie były to ekrany dające ludziom zaledwie iluzję czystego nieba. Nie zobaczyliśmy ochroniarzy w ciężkich pancierzach, jedynie znużonego cywilnego strażnika wałęsającego się po peronie oraz dwóch schludnie ubranych policjantów stojących przy wejściu na dworzec. Skinęli nam przyjaźnie, gdy mijaliśmy ich w wyjściu.

Na zewnątrz było tak rześko i zimno, że aż zapiekł mnie nos. Przebywałem w Bostonie jedynie kilka godzin, ale już zdążyłem przystosować się na powrót do paskudnego powietrza metropleksu. Tutaj pachniało jak w OSWPA Orem – ośrodku na pustyni w stanie Utah, w którym przeszedłem szkolenie przygotowawcze.

Liberty Falls stanowiło połączenie starej architektury z nową. Przy ulicy biegnącej wzdłuż stacji stały budynki z dwudziestego i dziewiętnastego wieku, a przy nich nowoczesne konstrukcje z polikarbonu oraz aluminium. Starsze budowle wyglądały na dobrze utrzymane, remontowane i odnawiane, nie rozsypywały się i nie były pomazane sprayem jak w Bostonie. Przed dworcem zauważyliśmy zaśnieżony trawnik z prawdziwymi drzewami. Przy uliczkach znajdowały się małe sklepiki: spożywcze, księgarnie, samoobsługowe restauracje, i tylko nielicznych pilnowali ochroniarze. Chodniki nie były zaśmiecone, a przechodnie wyglądali na lepiej odżywionych niż pracownicy budżetówki na Dworcu Południowym. Od bostońskiego metropleksu dzieliło nas zaledwie trzysta kilometrów z hakiem, a jednak czuliśmy się jak w innym świecie. Tutaj znów czułem dumę z munduru marynarki, ponieważ w starych cywilnych ciuchach wyróżniałbym się jak brudna szmata na starannie zastawionym stole.

Mama weszła na trawnik przed stacją, ignorując otaczające go oczyszczone chodniki. Śnieg miejscami sięgał do kolan, lecz mama parła przez niego niezrażona. Dołączyłem do niej i zostawialiśmy za sobą wąską koleinę. Gdy doszliśmy do drugiego skraju, mama zatrzymała się i oparła o jedno z drzew stojących w równym rzędzie, niczym sztachety w płocie. Pochyliła się, zagarnęła garść nieskałanego śniegu i podsunęła mi przed twarz.

– Nie widziałam tak czystego śniegu, odkąd się urodziłem.

Uniosła do ust i dotknęła koniuszkiem języka.

– Smakuje jak nicość – oznajmiła.

– Na planecie, na którą trafiłem w zeszłym roku, zima trwa trzy lata – powiedziałem. – Latem nie ma tam nic poza kamieniami i pyłem, a w zimie temperatura spada do minus czterdziestu. Najpaskudniejsze miejsce, w jakim byłem. Nawali ci pancierz i w parę godzin giniesz z zimna.

– Na rok przed twoim urodzeniem pojechaliśmy do New Hampshire – zaczęła mama, jakby nie usłyszała mojej anegdotki. – Wspięliśmy się na Górę Waszyngtona. Leżał tam śnieg, na początku października. Nigdy nie trafiłam w piękniejsze miejsce. W promieniu wielu kilometrów żadnych miast, jak okiem sięgnąć tylko góry i drzewa, wielki pomarańczowo-czerwono-zielony koc rozciągający się aż po horyzont.

– To był wasz miesiąc miodowy?

– Tak. Miesiąc później przeprowadziliśmy się do DZK, ponieważ dostępne było mieszkanie z dwiema sypialniami. A później wszystko zaczęło się psuć.

Mama bardzo się zmieniła, odkąd wyjechałem. Nie przywykłem do jej introspektywnej strony. Zanim zaciągnąłem się do wojska, uważałem mamę za podobną do wszystkich innych komunalnych robotów w naszej dzielnicy: całymi dniami przyklejona do ekranu sieciowizji, nieprzejmująca się zbytnio niczym poza rozkładem programów i racjami żywnościowymi. Jednym z powodów, dla których wcześniej nie starałem się, by spędzić choć część urlopu na Ziemi, było przekonanie, że mama i tak nie miała nic ciekawego do powiedzenia.

– Ja wam wszystko popsulem? Gdy się urodziłem?

Popatrzyła na mnie i pokręciła głową, uśmiechając się smutno.

– Oj nie, kochanie. Sama popsulałam, a i twój ojciec mocno pomógł. Głównie chodziło o mnie. Małżeństwo z twoim ojcem po prostu było złym pomysłem. Miałam jednak tylko dziewiętnaście lat i nic nie wiedziałam o życiu.

Upuściła trzymany śnieg i wytarła wilgotną dłoń o kurtkę. Było zimno, a jej strój nie wydawał się dostosowany do tutejszego klimatu, ale chyba nie przejmowała się temperaturą.

– Powiedział, że zaciągnie się do wojska. Że skończy z tym po pięciu albo dziesięciu latach, odbierzemy pieniądze i kupimy sobie mały domek na przedmieściach, z dala od bloków. „To tylko parę lat”, mówił.

Pokręciła głową i zaśmiała się bez cienia wesołości.

– Zamiast tego wrócił po dwóch. Został wyrzucony za niewykonywanie rozkazów. Nie dostał złamanego dolara. Wprowadził się więc z powrotem do naszego mieszkania i z pięciu czy dziesięciu lat na zasiłku zrobiło się dwadzieścia pięć. Jestem przekonana, że będę tam mieszkać do śmierci, jak twój ojciec.

– Przykro mi, mamó – rzekłem szczerze. Nigdy tak bardzo jej nie współczułem i gdy teraz to sobie uświadomiłem, poczułem wstyd, że dotąd nie uważałem matki za osobę potrzebującą empatii. Po prostu nigdy nie sądziłem, by jej życie posiadało jakąś wartość, że nie była jedynie apatycznym szcurem na zasiłku jak cała reszta.

– Niepotrzebnie – odparła. Zimną od śniegu dłonią pogładziła mnie po policzku. – Przynajmniej nie utkniesz tu jak my. I nawet przez chwilę nie myśl, że to ty coś mi zepsułeś. Jesteś jedyną dobrą rzeczą, jaka wynikła z tego małżeństwa, jaka przydarzyła mi się w całym moim życiu. Bez ciebie już piętnaście lat temu weszłabym na dach starego wieżowca i skoczyła.

Przypomniałem sobie wszystkie przypadki, gdy o kilka dni spóźniałem się z cotygodniowymi wiadomościami do mamy albo zupełnie o nich zapomniałem, i poczułem palący wstyd, od którego wezbrały mi łzy. Wziąłem dłoń mamy i włożyłem między swoje, by ją rozgrzać.

– Przykro mi, że przez tyle lat byłem takim egoistycznym gnojkiem – powiedziałem. – Raczej niezbyt ci to pomagało.

Mama uśmiechnęła się do mnie i wzruszyła ramionami.

– Andrew, byłeś tylko dzieckiem. Nastolatki przecież takie są.

Staliśmy tak razem przez chwilę, trzymając się za ręce, rozkoszując kojącymi dźwiękami budzącego się Liberty Falls: przemykającymi hydrosamochodami, cichą muzyką dobiegającą z jednego ze sklepików, ludźmi rozmawiającymi przyciszonymi głosami, gdy mijali trawnik w drodze na dworzec. Zupełnie jakbyśmy po wyjściu z pociągu trafili do zupełnie innego czasu oraz przestrzeni.

– Pójdziemy sprawdzić, czy gdzieś dadzą nam śniadanie na moją wypasioną rządową legitymację? – spytałem, a mama skinęła głową.

– Konam z głodu. W tak czystym powietrzu jestem bardziej głodna niż kiedykolwiek.

Ruszyliśmy chodnikiem wzdłuż głównej ulicy w poszukiwaniu rządowej stołówki lub przynajmniej zautomatyzowanej jadłodajni, która pośród naklejek z różnymi typami płatności miałaby umieszczone logo rządu.

W pewnym momencie jakieś dwadzieścia metrów przed nami na ulicę wyszedł mężczyzna w białym kucharskim kitlu. Na chodniku postawił staromodną sztalugę z tablicą. Obserwowaliśmy, jak przykucnął i zaczął pisać kawałkiem zielonej kredy. Podeszliśmy bliżej, żeby odczytać pierwsze pozycje menu:

Jajka po benedyktyńsku: 150 DW

Frittata: 125 DW

Placki drwala: 175 DW

Na koncie posiadałem już około miliona dolarów Wspólnoty, ale nie mogłem z nich korzystać, przy sobie nie miałem żadnej gotówki. Przyjrzałem się symbolom umieszczonym na drzwiach, lecz nie znalazłem pośród nich rządowej karty.

Mężczyzna zauważył nas i podniósł się. Wydawało mi się, że dopiero teraz dostrzegł mój granatowy mundur floty. Gdy przemknął wzrokiem na beret, a następnie na rząd baretek na piersi, widać było, że wiedział, kogo ma przed sobą. Skinąłem mu na powitanie, on zaś odpowiedział uśmiechem.

– Kontroler walki – bardziej stwierdził, niż spytał. Był wysoki i szczupły, wyglądał na bardzo sprawnego. Włosy miał przycięte na jeża i lekko przyprószone siwizną.

– Zgadza się – potwierdziłem.

Popatrzył na moje naramienniki i uniósł brew.

– Nie rozpoznaję zbyt dobrze tych nowych stopni. Jest pan sierżantem?

– Sierżantem sztabowym – sprostowałem. – E sześć.

– To nie w porządku, żeby podoficerowie floty nosili teraz stopnie piechoty – oznajmił. – Gdy odchodziłem, byłby pan starszym bosmanem.

– Służył pan w marynarce?

– No jasne. Dwadzieścia lat we flocie. Odszedłem, zanim zaczęła się ta awantura z Dryblasami. Wtedy jeszcze nazywali to marynarką.

– Wtedy sam się zaciągałem – odrzekłem. – Wstąpiłem do floty mniej więcej na rok, zanim połączyli formacje i wszystkim dali stopnie sił lądowych. Przez jakieś dwa miesiące byłem starszym matem, zanim zabrali mi szewron i przerobili na kaprała.

– No nieźle. – Uśmiechnął się, po czym wytarł prawą dłoń w fartuch i wyciągnął do mnie.

– Steve Kopka, starszy chorąży marynarki. W stanie spoczynku – dodał z cieniem żalu w głosie.

– Andrew Grayson – odparłem, odwzajemniając gest. Miał silny, stanowczy uścisk. – A to moja mama.

– Dzień dobry pani. – Skinął jej głową.

– Miło pana poznać – odrzekła.

Przyjrzał się czystym, lecz wyraźnie pochodzącym z dzielnicy komunalnej ubraniom mamy.

– Wybraliście się na poranny spacer? Jest pan na przepustce?

– Tak, moją łajbę czeka remont i wzięłem sobie trochę wolnego między przydziałami.

– Pracowałem trochę z kontrolerami walki, tyle że nosiłem beret bordo, nie szkarłatny.

– Był pan w kosmicznych ratownikach? – spytałem, a on przytaknął.

– Bóg jeden wie, jakiego koloru naleśniki noszą teraz kapsle.

– Wciąż bordowe – odparłem. – Zlikwidowali wszystkie stopnie floty i dali nowe naramienniki, ale nie kombinowali z kolorami beretów. Pewnie bali się, że wybuchnie bunt.

– No jasne – stwierdził starszy chorąży Kopka. – Dobrze wiecie, ile trzeba wylać pieprzonego potu, żeby sobie zasłużyć na coś takiego. Bardzo panią przepraszam za język – dodał w kierunku mamy.

– Nie ma sprawy – odrzekła. Widziałem, że nie miała pojęcia, o czym rozmawialiśmy, ale wyraźnie cieszyła ją nasza pogawędka.

– Starszy chorąży Kopka służył w kosmicznych ratownikach – wyjaśniłem jej. – To jedyna robota we flocie bardziej niebezpieczna niż ściąganie sobie atomówek na głowę. Właśnie oni wystrzelują się w kapsułach balistycznych, żeby ratować pilotów po katastrofach.

– Ojej – powiedziała z uśmiechem mama. – I przez cały okres służby tak pan robił? Musiał pan być w tym dobry.

– To dzieje przed Dryblasami – sprostował Kopka. – Tylko od czasu do czasu szarpaliśmy się z Rosjanami i Chińczykami. Pani syn ma znacznie cięższą pracę niż moja.

– A co pan teraz robi? – spytałem. – Zamienił pan naleśnik na kucharską czapkę?

– Ano – przyznał. – Zgarnąłem pieniądze i wraz z kolegą otworzyliśmy ten lokal. Zmarł w zeszłym roku, więc wszystko jest teraz moje. – Z dumą posiadacza popatrzył na stary, lecz czysty ceglany budynek.

– Gratuluję, panie chorąży. Miło było pana poznać.

– Spieszycie się? Chętnie zrobiłbym wam śniadanie. Rzadko spotyka się innego kapsla, a mam zasadę „darmowego posiłku” dla dawnych kompanów.

– Och, ależ nie moglibyśmy... – zareagowała mama.

– Z przyjemnością – odpowiedziałem w tym samym momencie.

– Kto to są „kapsle”? – spytała cicho mama, gdy Kopka wprowadzał nas do restauracji.

– Wyspecjalizowane służby floty – wyjaśniłem. – Kosmiczni ratownicy, kontrolerzy walki, obsługa wyrzutni osobowych przestrzeń-powietrze-ziemia. Reszta floty tak nas nazywa, bo często korzystamy z balistycznych kapsuł desantowych.

– A więc to robisz? – zaniepokoiła się mama. – Myślałam, że siedzisz przy konsoli sieciowej gdzieś na okręcie. Nigdy nie mówiłeś mi o kapsułach desantowych i broni atomowej.

– Nie musiałaś wszystkiego wiedzieć, mamo.

Idący przed nami Kopka zachichotał cicho.

Weszliśmy do niewielkiego, przytulnego wnętrza. W środku było z dziesięć stolików, wszystkie przykryte takimi samymi kremowymi obrusami i ozdobione małymi wazonikami z kwiatami. Mama rozejrzała się. Nie mogłaby mieć bardziej osłupiałej miny, nawet gdyby właśnie wysiadła z promu lecącego ze Stacji Węzłowej do wielkiego kosmoportu na Lunie.

– Otwieram w zasadzie o ósmej – wyjaśnił przez ramię chorąży. – Kelnerka przyjdzie dopiero kwadrans wcześniej, ale rozpałem już kuchnię.

Zaprowadził nas do stolika w rogu, tuż przy jednym z okien wychodzących na ulicę, i

odsunął mamie krzesło.

– Siadajcie, przyniosę karty. Czego byście się napili?

Mama usiadła i podniosła wzrok na kucharza.

– Oj, nie mam pojęcia. Może kawy?

– Dobry wybór. Mam jeszcze świeże ziarna. Już się robi. A co dla pana, sierzancie?

– Ja też poproszę – odrzekłem. – Proszę nie marnować na nas rzeczy z górnej półki, panie chorąży.

– To już moja decyzja – stwierdził Kopka.

Odszedł do kuchni. Mama popatrzyła na mnie z miną po równo wyrażającą zaskoczenie, podniecenie i rozbawienie.

– Często zdarza ci się coś takiego?

– Pierwszy raz. Nigdy nie dostałem niczego za darmo tylko za to, że noszę mundur.

Kopka wrócił po chwili z małą tacą, na której stały dwie filiżanki. Mama obserwowała z zachwytem, jak stawiał je przed nami wraz z małym dzbanuszkim na śmietankę.

– To miejscowa śmietana, z prawdziwych vermonckich krów. Mam umowę z pobliską mleczarnią.

Zawartość stołu, już bez żadnego jedzenia wartą sto dolarów, uzupełnił jeszcze o miseczkę granulowanego cukru, po czym położył przed nami oprawione w skórę menu. Mrugnął do mamy i wskazał jej filiżankę.

– Proszę spróbować kawy, gdy będziecie wybierać. I nie zrażajcie się nagłówkami „Lunch” albo „Obiad”. Mogę wam przygotować wszystko, co jest w karcie. Wrócę za chwilę, żeby przyjąć zamówienie.

Odszedł, zostawiając mamę z otwartymi ze zdumienia ustami.

Kawa okazała się znacznie lepsza niż pyliste paskudztwo, które dostawaliśmy do picia we flocie, a już daleko jej było do ohydneho rozpuszczalnego proszku sojowego o aromacie kawy dodawanego do racji PPŻ. Mama starannie przygotowała sobie napój, dodając do filiżanki dwie łyżeczki cukru i odrobinę śmietanki. Trzymała dzbanuszek tak, jak żołnierze z oddziałów chemicznych obsługiwali fiolki z gazem, zupełnie jakby uronienie jednej kropli mogło skończyć się katastrofą. Gdy jej kawa osiągnęła prawidłową barwę i słodycz, włożyła palec do dzbanuszka, po czym oblizwała, by posmakować czystej śmietanki.

– O Boże – powiedziała z zamkniętymi oczyma po chwili rozkoszy. – Jest taka gęsta. Łyżeczka stałaby w niej na sztorc. Niesamowite.

– Uważaj z nabiałem, mamó – ostrzegłem. – Jeśli nie jesteś do niego przyzwyczajona, może ci zrobić rewolucję w kiszka. I nie pytaj, skąd to wiem.

– Nie będę żałować – zdecydowała. Upiła łyk kawy i westchnęła z pełnym ukontentowaniem.

Sam również dodałem trochę śmietanki i cukru, po czym spróbowałem. Napój okazał się tak bogaty w smaku i aromatyczny, że marynarska kawa wydawała się przy nim niczym woda z zęzy.

– Co zamierzasz zjeść?

– Nie wiem – przyznała. Otworzyła ostrożnie menu i opuszkami chwyciła róg pierwszej strony. – Na pewno wszystko jest przepyszne i na pewno cokolwiek zamówię, okaże się najlepszą rzeczą, jaką jadłam od pięciu lat.

Po paru minutach od rozpoczęcia śniadania mama zweryfikowała opinię i przekazała mi, że dzieła kucharza Kopki są najlepszą rzeczą, jaką jadła w całym życiu. W karcie znajdowały się

również dania mięsne i umieszczone przy nich liczby wydawały się okrutną kpiną ze szczurów na zasiłku. Menu obiadowe obejmowało steki i skorupiaki, które osiągały czterocyfrowe ceny. Nie chcąc bezwstydnie wykorzystywać szczodrości naszego gospodarza i zamawiać czegoś, co kosztowałoby tysiąc pięćset dolarów za kawałek mięsa, wybraliśmy pozycje o średniej cenie. Ja wziąłem placki drwala, które okazały się wspaniałą mieszanką prawdziwych startych ziemniaków z kawałkami peklowanej wołowiny, zwieńczoną sadzonym jajkiem. Mama zdecydowała się na jajka po benedyktyńsku, ugotowane w koszulkach na kształt serc, pieczołowicie ułożone na babeczkach wraz z grubym plastrem bekonu i kawałkiem awokado. Z tego, co mogłem stwierdzić, w żadnym z tych dań nie było nawet grama soi.

Gdy niemal zupełnie oczyściliśmy talerze, chorąży Kopka przeszedł z kuchni do naszego stolika, trzymając książkę oprawioną w skórę.

– Mogę się dosiąść na kilka minut? – spytał. – Chciałbym coś panu pokazać, sierzancie.

– Oczywiście, proszę siadać. To pański lokal.

Spoczął i położył książkę na lnianym obrusie. Otworzyłem na pierwszej stronie i zobaczyłem, że zawiera zbiór wydrukowanych fotografii i pamiątek z okresu spędzonego w marynarce. Przeglądając album, widziałem, że sporo zdjęć pochodziło z czasów podoficerskich, jakby założył go dopiero pod koniec służby. Kilka stron poświęcono naszym jednostkom, na które Kopka został przydzielony: OWPA „Niepodległość” CV-606, OWPA „Nassau” FF-476, OWPA „Wainwright” CA-41 oraz kilka innych. Fotografie przedstawiały chorążego w mesie lub sali rekreacyjnej wraz z innymi podoficerami, było też parę ujęć z planet kolonijnych, z charakterystycznymi budynkami z prefabrykatów w tle.

– Zadam panu pytanie, sierzancie – odezwał się po chwili. – Przebywa pan tam cały czas, i to na powierzchni, nie przy konsoli. Bardzo jest źle?

– Wie pan, że nie mogę podawać szczegółów.

– Nie proszę o złamanie tajemnicy służbowej. Proszę nakreślić mi tylko ogólny obraz.

Jeśli dostajemy jakieś wieści o Dryblasach, przechodzą one przez tyle cykli prania, że stają się równie nijakie jak to gówno, którym karmią ludzi w blokowiskach. – Popatrzył na mamę i uśmiechnął się do niej nieśmiało. – Znowu przepraszam za język.

– Nic się nie stało – odparła mama, odpowiadając uśmiechem. – W końcu to rzeczywiście jest nijakie gówno.

– Nie sądzę, żebym cokolwiek zdradzał – oznajmiłem – ale naprawdę kopią nam tyłki.

Nie zostało już nic do obrony za linią trzydziestu lat świetlnych. Wszystko nam odebrali.

– Cholera jasna. – Kopka oparł się na krześle i odetchnął gwałtownie. – Ciągłe powtarzają, że walczymy za trzydziestką.

– Cóż, nie kłamią. Robimy, co w naszej mocy, żeby zaleźć im za skórę, ale to tylko desanty z zaskoczenia i bombardowania nuklearne. Nawet gdyby udało nam się wykopać ich z powrotem z naszych kolonii, na dłuższą metę na nic by się to nie zdało. Gdy przylatują nad kolonię, zaczynają od zniszczenia naszych terraformerów i postawienia własnych. Jeśli program kolonizacyjny zostanie kiedykolwiek wznowiony, wszystko trzeba będzie budować od zera.

– Na to wychodzi. – Chorąży Kopka pokręcił z niesmakiem głową. – Dwadzieścia lat we flocie i poszedłem na emeryturę akurat tuż przed rozpoczęciem prawdziwej akcji. Niezły moment sobie wybrałem.

– Według mnie wybrał pan doskonały moment. Na powierzchni jest ciężko, ale przynajmniej mamy coś do powiedzenia. Ci brzydale są twardzi jak cholera, ale da się ich zabić. A ich okręty? Proszę zapomnieć. Nigdy nie zwyciężyliśmy w starciu z okrętem nasiennym Dryblasów. Za każdym razem, gdy zostawaliśmy, żeby walczyć, a nie uciekać, rozwalali nas na strzępy. Służba we flocie, za konsoletą, jest teraz niemal równie niebezpieczna jak roboty w

terenie.

– I tak wolałbym dawne stanowisko. Tutaj mam tylko stojak pełen noży kuchennych i paralizator w biurku na zapleczu. Niełatwo żyć jak wcześniej, skoro wiem, co tam jest, i gdy wiem, że jeśli tu się zjawia, będę mógł sobie co najwyżej nagwizdać.

Chciałem powiedzieć Kopce, że z koloniami wcale nie jest lepiej, lecz rozumiałem jego punkt widzenia. Jednym z powodów, dla których zdecydowałem się na przedłużenie kontraktu, była obawa, że nie zdołam już kontrolować własnego losu, na co teraz, nawet jeśli tylko w nieznacznym stopniu, pozwalały mi pancierz, broń oraz zestaw radiostacji taktycznych. Dysponowałem przynajmniej ograniczonym wpływem na przebieg wydarzeń i celem w życiu. Gdybym miał siedzieć na Ziemi ze świadomością, jak naprawdę wygląda sytuacja, zmuszony do wykonywania zwykłych codziennych czynności, zapewne czułbym się podobnie.

– No dobrze – odezwał się kucharz. – Proszę cieszyć się posiłkiem. Dziękuję za wieści, sierżancie. Muszę przygotować lokal dla reszty załogi.

– Oczywiście, panie chorąży. I dziękujemy za poczęstunek. Bije na głowę wszystko, co jadłem od pierwszego dnia szkolenia przygotowawczego.

– Nie ma za co. Czy po powrocie do floty mógłby pan przekazać wiadomość? Nie dopuszczają cywilów do MilNetu, nie licząc najbliższej rodziny. Chciałbym dać znać dawnej załodze, że stary kucharz wciąż ma się dobrze.

– Pewnie. Proszę mi dać nazwiska. Nie będę jednak mógł odesłać odpowiedzi.

– W porządku – odparł Kopka. – I tak bym się tylko zadreślał, wiedząc, jak dobrze bawią się beze mnie.

– Ja to zrobię – zaproponowała mama, a kucharz popatrzył na nią z zaskoczeniem.

– Co takiego, mamó?

– Przekażę wszystko, co będziesz mógł odesłać. Dołącz po prostu do cotygodniowej poczty, a ja skontaktuję się z panem chorążym.

– Nie pozwolą ci nic skopiować z terminalu MilNetu – przypomniałem. – A automatyczny cenzor wykasuje nazwiska i nazwy okrętów.

– A więc niech wiadomości będą krótkie – oznajmiła mama. – Wrócę od razu do domu, wpiszę je do własnego publicznego terminalu sieciowego i przekażę panu Kopce. Żaden problem. Choć tak spróbuję się odwdzińczyć za wszystkie te przepyszne rzeczy.

Wymieniłem spojrzenia z chorążym i uśmiechnęliśmy się, że mama tak się paliła do obchodzenia przepisów.

– Będę bardzo wdzięczny, proszę pani – powiedział kucharz. Wyciągnął zza fartucha kartę, otworzył na ostatniej stronie i podał mamie. – Mam nadzieję, że zostawiliście sobie trochę miejsca na deser.

Gdy opuszczaliśmy lokal chorążego Kopki, mama lekko się chwiała, jak ktoś, kto wypił jednego drinka za dużo.

– Chyba zjadłam właśnie więcej kalorii na śniadanie niż zwykle w tydzień – powiedziała do mnie, oglądając się przez ramię na restaurację. – Nie mogę uwierzyć, że nakarmił nas tym wszystkim za darmo!

– Ja nie mogę uwierzyć, że wpadliśmy na kapsla. Nie ma ich zbyt wielu, czy to w służbie, czy już poza nią.

W czasie gdy spożywaliśmy wystawne śniadanie, niebo nad Liberty Falls z niebieskiego stało się szare i kiedy znów ruszyliśmy główną ulicą, zaczął obficie padać śnieg. Białe płatki wirowały wokół nas, niesione porannym wietrzykiem. Mama zmrużyła oczy, spoglądając w górę,

a na jej twarzy pojawił się błogi uśmiech.

– Mogłabym teraz umrzeć – rzekła.

Pięć lat temu takie słowa by mnie przerażyły, lecz teraz dobrze wiedziałem, co miała na myśli.

Rozdział 7

Halley

Gdy byłem jeszcze cywilem, Księżyc stanowił dla mnie mityczne miejsce. To nasza pierwsza stała baza w kosmosie, a jednak widoczna z Ziemi – przy bezchmurnym niebie porządnym teleskopem można było dostrzec większość budowli na obróconej ku planecie stronie. W dzieciństwie cały czas wymyślałem kreatywne i szaleńczo niepraktyczne sposoby, jak tam dotrzeć, skoro nie stać mnie było na bilet do Luna City.

W ciągu pięciu lat służby we flocie trafiałem na Lunę dziesiątki razy. Przebywałem w Szkole Floty, szkole technicznej i na kilku specjalistycznych kursach dla kontrolerów walki. Teraz cały związany z ziemskim księżycem mistycyzm dawno już ze mnie wyparował. Jednym z powodów mógł być fakt, że tamtejsze wojskowe budynki w większości były pozbawione okien, żołnierze czuli się więc jak na okręcie kosmicznym. Owszem, podczas szkoleń bojowych na kontrolerów mieliśmy sporo zajęć w próżni, ale zwykle zbyt zajmowało mnie wypełnianie pancerza potem, by podziwiać krajobrazy. I tak większość militarnych struktur znajdowała się po ciemnej stronie, nad głową widziało się zatem tylko pustą przestrzeń i odległe gwiazdy.

Nikt nie jeździł na Lunę dla zabawy. Podczas lotu ze Stacji Węzłowej w sobotni poranek byłem w przedziale osobowym jedynym pasażerem, który nie udawał się na nowe miejsce przydziału. W zwykłe weekendy promy transferowe latały zazwyczaj na wpół puste, ten jednak był wypełniony do ostatniego fotela, co świadczyło, że flota przyjęła przyspieszony cykl szkoleniowy. Traciliśmy coraz więcej terenów na rzecz Dryblasów, jednak ładowaliśmy coraz więcej żołnierzy na te światy, które nam zostały, i zmagania z ZCR o resztę kolonii stawały się coraz zacieklejsze oraz kosztowniejsze.

Halley pracowała jako instruktorka w Szkole Lotnictwa Bojowego, zajmującej spory obszar na skraju wielkiego kompleksu Szkoły Floty. Wsiadłem do księżycowej kolejki jadącej do uczelni dla lotników i gdy drzwi pociągu otworzyły się na końcowej stacji, byłem już ostatnim pasażerem.

Halley czekała już na mnie, gdy przeszedłem przez podwójną służę oddzielającą peron od głównego holu szkoły. Stała przed stanowiskiem dyżurnego, bujając się lekko w lotniczych butach. Miała oliwkowozielony kombinezon oraz swą zwyczajową fryzurę – krótkie, potargane włosy, w sam raz pod hełm.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziałem, podchodząc do budki wartownika, by się wpisać. – Nie dali mi wcześniej wsiąść na prom z Węzłowej.

W budce siedział kapral, stanąłem więc przed Halley, by wykonać formalny salut wymagany od podoficerów w obecności oficera. Zanim zdążyłem podnieść dłoń do beretu, Halley złapała mnie za kłapy munduru i przyciągnęła. Kapral taktownie odwrócił wzrok, gdy wyciskała solidnego całusa na moich wargach.

– Witajcie na kursie podstawowym dla pilotów okrętów desantowych, sierżancie – oznajmiła Halley, gdy już mnie puściła. – A teraz chodźmy do mojej kajuty, żebym mogła zdjąć to małe przebranie i poużywać sobie z tobą.

Nie przywykłem do bezceremonialnego okazywania przez nią uczuć w obecności młodszych stopniem, nie sprzeciwiałem się jednak zaproponowanemu biegowi wydarzeń, poszedłem więc posłusznie, gdy wzięła mnie za rękę i wciągnęła do korytarza za stanowiskiem wartownika. Usłyszałem, jak kapral cicho chichocze.

Halley nie znajdowała się chyba w nastroju na wstępne pogawędki. Gdy tylko włąz kajuty zamknął się za nami, zabrała się do wypełniania złożonej deklaracji i zaczęła niecierpliwie

rozpinąć guziki mojego munduru. Jej jednoczęściowy kombinezon okazał się znacznie praktyczniejszy. Pociągnąłem za suwak, by ściągnąć z niej workowaty zielony strój, nazywany przez pilotów torbą na kości.

Mój do niedawna schludny jeszcze mundur klasy A dołączył do kombinezonu na podłodze. Kajuta Halley była zasłana książkami, podręcznikami, wydrukami i innymi rzeczami związanymi ze szkołą. Taki bałagan był dość niezwykły, jak na moją ambitną dziewczynę. Odkąd ją znałem, zawsze uzyskiwała sto procent w każdym teście i w każdej wojskowej normie. Tamta Halley ze szkolenia przygotowawczego nigdy nie zostawiłaby brudnej skarpetki na ziemi. Ta Halley rozłożyła wszystkie trzy mundury na łóżku oraz na sąsiadującym z nim małym składanym stoliku, w rogu pokoju stał pełny worek na pranie. Cisnęła całą zawartość koi na podłogę, po czym pchnęła mnie na posłanie i wdrapała się na mnie.

Kochaliśmy się szybko, wściekle i gwałtownie. Halley była znacznie bardziej szorstka i agresywna, niż ją zapamiętałem. Gdy skończyliśmy, miałem szramy na plecach i krew na dolnej wardze.

– O rany – wydyszałem, wciąż lekko oszołomiony. – Nie zużyj mnie całego na raz. Zostało mi jeszcze parę dni wolnego.

– Jeśli uważasz, że masz tak mało do zaoferowania, to zabieraj dupsko z mojej kajuty. – Halley wyszczerzyła zęby. – Znajdź mi tego młodego jurnego szeregowca, który na przygotowawczym potrafił zabrać się do roboty trzy razy pod rząd.

– Jest tutaj – zaprotestowałem. – Tylko czuje się trochę zmęczony od bohaterskich prób ocalenia Wspólnoty.

– Nie martw się tak o Wspólnotę – odparła, po czym pocałowała mnie w kącik ust i wyszła do łazienki, po drodze odkopując na bok zrzucone ubrania oraz podręczniki. – Staraj się tylko pozostać przy życiu. Na tym etapie nie chciałabym szukać nowego faceta.

– Chyba nie miałabyś problemu ze znalezieniem zastępstwa – powiedziałem. – We flocie roi się od ogierów w ciasnych kombinezonach lotniczych, którzy chcieliby, uhm, przelecieć się z tobą w ciasnym szyku.

– I w tym właśnie problem – skomentowała z łazienki. – Piloci są zbyt pewni siebie, egoistyczni i uzależnieni od adrenaliny. Gdybym chciała kogoś takiego, mogłabym po prostu umówić się sama ze sobą. Mniej zachodu.

Rozglądałem się po zabałaganionej oficerskiej kajucie Halley, nasłuchując jednocześnie odgłosów wody pod prysznicem. Przez pięć ostatnich lat pozbyła się kujońskiego przywiązania do zasad i regulaminów. Nie straciła natomiast niezwykłej kompetencji. Nie trzymała medali i odznaczeń na ścianach kajuty, ale znałem możliwości przeciętnego młodszego oficera, Halley zaś należała do czołówki pilotów okrętów desantowych w całej flocie. Wiedziałem, że w którejś szufladzie kisił się Zaszczytny Krzyż Lotniczy, a na porucznika awansowała po absolutnie minimalnym wymaganym czasie służby. Nie miałem wątpliwości, że kiedyś zostanie dwudziestogwiazdkowym generałem, oczywiście jeśli postanowi zostać w wojsku na zawsze, a Dryblasy pozwolą nam żyć tak długo.

Dwuminutowy automat odciął wodę pod prysznicem. Po paru chwilach Halley wyszła z łazienki, wycierając się szorstkim przydziałowym ręcznikiem. Nieśmiertelniki dzwoniły cicho na łańcuszku, gdy suszyła krótkie ciemne włosy.

– Jesteś głodny? – spytała.

– Trochę – odparłem.

– Mamy całkiem niezłą część rekreacyjną. Kambuz jest pierwsza klasa. Ubierz się i chodźmy coś wrzucić na ruszt. Chcę z tobą porozmawiać.

Stołówka Szkoły Floty posiadała prawdziwe okno z trójwarstwowego polioplastu,

zajmujące dziesięciometrowy odcinek jednej ze ścian. Gdy usiedliśmy przy pustym stoliku z tacami, widzieliśmy Ziemię – a przynajmniej jedną jej półkulę – wyłaniającą się zza księżycowego horyzontu. Kompleks floty na Lunie został zbudowany, zanim zarzucono koncepcję zewnętrznych okien jako niepotrzebny wydatek i po prostu zaczęto montować wyświetlacze. Czuję się dość nieprzyzwoicie, jedząc posiłek liczący koło dwóch tysięcy kalorii w mesie z widokiem na Amerykę Północną, gdzie dwóm trzecim populacji taka wartość energetyczna musiała wystarczyć na cały dzień.

Z kieszeni na nogawkach kombinezonu Halley wyciągnęła dwie butelki sojowego piwa. Ściągnęła z obu kapsle i pchnęła jedną w moją stronę.

– Przywilej oficerski – poinformowała. – Jesteś na przepustce, a ja poza służbą aż do jutrzejszego ranka. Pij do dna.

– Tak jest. – Udałem salut i podniosłem butelkę. Nieszczególnie lubiłem piwo sojowe, smakujące jak sfermentowane tofu z odrobiną bąbelków, ale był to jeden z nielicznych napojów alkoholowych dostępnych w oficjalnej sieci zaopatrzeniowej.

– To o czym chcesz rozmawiać? – spytałem.

– O nas – odrzekła. – O tym, gdzie się znajdujemy i dokąd to wszystko zmierza. Który to raz się spotykamy, odkąd skończyliśmy przygotowawcze? Szósty?

– Siódmy – sprostowałem. – Ósmy, jeśli liczyć „Wersal”. – Miałem dość niepokojące uczucie, że za chwilę usłyszę klasycznego dearjohna[*]. – Zważywszy na nasze specjalności, całkiem nieźle, jak na pięć lat.

– Owszem, ale i tak nie jest za dobrze. Nie chcę wciąż czekać dziewięć miesięcy pomiędzy urlopami, by nacieszyć się tobą na kolejnych dziewięć. To nieszczególnie idealny układ.

– Zgadza się – przyznałem. – Ale tak musi być, dopóki nie uda nam się dostać na ten sam okręt.

– Ten los na loterii już wykorzystaliśmy – powiedziała. – Musimy więc wymyślić coś innego, bo ten związek na wyjątkowo dużą odległość już mi nie wystarcza.

Wziąłem kęs jedzenia. Dzisiejszą specjalnością kambuza była wołowina z kluskami jajecznymi. Sos lekko smakował soją, ale mięso było prawdziwe, nie sztuczną podróbą wydawaną w DZK.

– Służymy w wojsku – stwierdziłem. – Podczas wojny. A nawet dwóch. Nie sądzę, żeby priorytetem floty było uszczęśliwienie jednej konkretnej pary i umożliwienie jej spędzania ze sobą większej ilości czasu.

– Jasne, że nie – odparła Halley. Dźgnęła wołowinę widelcem i zapakowała słusny kęs do ust. Była mądra i piękna, a poza tym okazała się najzdolniejszym młodszym oficerem, jakiego znałem, ale odkąd poznaliśmy się na szkoleniu przygotowawczym, zawsze jadała z szybkością i wdziękiem wygłodniałego kosmicznego dokera.

– Moglibyśmy jednak wykorzystać system, żeby dali nam więcej – ciągnęła.

– Niby jak?

Przyglądała mi się przez chwilę, jakby próbując zdecydować, czy wtajemniczyć mnie w swój plan. Zanim odpowiedziała, umieściła w ustach kolejną porcję i przeżuła.

– Co wiesz o mojej rodzinie?

– Niewiele. – Wzruszyłem ramionami. – Nie mówisz zbyt dużo o swoich rodzicach. Wiem, że pochodzisz z przedmieść i że nie byli zbyt zadowoleni, gdy się zaciągnęłaś.

– Nie całkiem – przyznała Halley. – Niemal się mnie wyrzekli. Nie zastanawiałaś się nigdy, dlaczego nie prosiłam, żebyś pojechał do mojego domu na przepustkę?

– Uznałem, że nie chciałaś, żebyśmy zmarnowali większość urlopu na przeloty.

– To też. Głównie chodziło jednak o to, że nie chciałam wszczynać czwartej wojny światowej, zjawiając się w mundurze i z kimś, kogo uznaliby za seksualną zabawkę.

Zachichotałem z ustami pełnymi mięsa z kluskami.

– Ale – kontynuowała, machając w moją stronę widelcem z nabitym kawałkiem wołowiny – gdybym przywiozła stosowną perspektywę wnucząt, jestem niemal pewna, że kwestia wojska straciłaby znaczenie. Przynajmniej dla mamy, a to o nią powinniśmy się tak naprawdę martwić.

– Chwila – powiedziałem. – Chcesz się chajtnąć? Czy pani mi się właśnie oświadcza, poruczniku Halley?

Moja dziewczyna była pragmatyczna, nie znalazłoby się w niej za grosz romantyzmu. Słyszając, że mówi o małżeństwie, nawet w tak zawołowany sposób, byłem równie zaskoczony, jak gdyby Dryblas recytował mi Szekspira idealną angielszczyzną. Spojrzałem na Halley z niedowierzającym uśmiechem.

– Oto, w czym rzecz – oznajmiła. – Zajrzałam do regulaminu. Małżeństwa dostają dodatkowy urlop. Moglibyśmy widywać się dwukrotnie częściej. I gdyby jedno z nas kopnęło w kalendarz, drugie otrzyma osiemdziesiąt procent sumy za odwołanie kontraktu.

Przez pięć lat naszego związku nigdy nie rozważałem małżeństwa, a gdybym nawet rozważał, nigdy bym go Halley nie zaproponował. Zawsze miałem wrażenie, że bardziej odpowiadał jej luźny układ, ale część mnie niezwykle ucieszyła się z domniemych oświadczeń, nawet jeśli okazały się owinięte w tak dużą porcję typowego dla Halley pragmatyzmu.

– Moi rodzice nie są po prostu klasą średnią – rzekła. – Mama jest głównym chirurgiem w prywatnym szpitalu, a tata projektuje systemy transportu balistycznego dla Zarządu Kolonii. Jestem ich jedynym dzieckiem. Jeśli wrócę do domu z godnym pokazania mężem i zadyndam im przed nosami dziecięcą marchewką, po zakończeniu służby moglibyśmy wieść całkiem niezłe życie. Byłoby gdzie wykorzystać wynagrodzenie za kontrakt.

– Szkoda, że właśnie podpisaliśmy kolejny – uznałem. Przypomniałem sobie Liberty Falls, tę nieskazitelną enklawę wyższej klasy średniej w górach Vermontu, i myśl o tym, że mógłbym zamieszkać w takim miejscu, wydała mi się niemal surrealistyczna. Czyste powietrze, posprzątane ulice, mleczarnie. Brak cotygodniowych racji PPŻ. Brak konieczności oglądania się przez ramię, gdy idzie się ulicą.

– Posłuchaj. Wiem, że nie jestem zbyt romantyczna – podjęła Halley. – I gównu mnie obchodzą pierścionki zaręczynowe czy inne takie. Nie chcę jednak, żebyś uważał, że składam ci jedynie propozycję biznesową.

Odetchnęła powoli i spojrzała w stronę okna. Ziemia wisiała nisko nad horyzontem, stanowiąc plamę niebieskości i szarości na tle wszechogarniającej czerni kosmosu.

– Pasujemy do siebie – ciągnęła. – Śmiejemy się z tych samych rzeczy, nie muszę ci wiele wyjaśniać, dobrze się bawimy na urloпах i wspólnie braliśmy udział w niezłym cholerstwie. Jesteś dobrym chłopakiem i będziesz dobrym mężem. Poznałam dość facetów z floty, by wiedzieć, że musiałabym naprawdę długo i ciężko szukać, żeby znaleźć kogoś równie do mnie dopasowanego. Odkąd się poznaliśmy, stanowimy dla siebie niemal rodzinę. Zalegalizujmy to.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się kącikiem ust. Gdybym nie znał jej lepiej, powiedziałbym, że się denerwowała.

– I warto też wykorzystać przywileje pieniężne – dodała.

Roześmiałem się. Napięcie opuściło mnie jak powietrze uciekające z dekompresującej się śluzy.

– W mordę – stwierdziłem. – To najromantyczniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek do mnie powiedziałaś.

Sięgnąłem przez stół i wziąłem Halley za dłoń, dotykając kciukiem miejsca na jej palcu, gdzie zwykle nosiło się pierścionek zaręczynowy.

– Tak – oznajmiłem, a ona się roześmiała.

– No to chodź. Sprawdźmy, co trzeba zrobić, żeby chajtnąć się we flocie.

Należeliśmy do Sił Zbrojnych Wspólnoty Północnoamerykańskiej, a wojsko nigdy nie pozwalało zrobić niczego w jednym kroku, jeśli tylko mogło cię zmusić do wykonania dziesięciu. Skierowaliśmy się do urzędnika do spraw osobowych, by poznać procedurę zawierania małżeństwa przez członków służby, i po wcześniejszych emocjach poczuliśmy się, jakby ktoś spuścił nam na głowy kubel zimnej wody.

– Proszę zgłosić dziś zamiar i za sześć miesięcy otrzymacie zezwolenie na zawarcie małżeństwa – powiedział nam urzędnik.

– To cholernie długi okres oczekiwania dla dwojga żołnierzy frontowych – odparłem. – Nie wiem, czy zauważyliście, ale trwa wojna.

– Nie ja tworzę regulaminy. Takie panują zasady we flocie. Chodzi o to, by ludzie nie pobrali się tuż przed desantem, żeby zapewnić pieniądze współmałżonkom.

– Nie chciałabym ograbić rządu z pieniędzy, zbyt wcześnie zostawiając pogrążonego w żalu męża – rzekła Halley. Rzuciła legitymację wojskową na biurko przed urzędnikiem. – Zatem proszę dokonać zgłoszenia, kapralu.

Wyjąłem swój dokument i położyłem obok. Spojrzała na mnie i jej twarz rozpogodziła się nieco.

– Nie pozwolę, żeby popsuło mi to nastrój – stwierdziła. – Weźmy więcej piwa i wróćmy do kajuty. Chcę pobaraszkować z moim narzeczonym.

Kapral wziął nasze legitymacje i je zeskanował. Kilka chwil później w oczach floty byliśmy już oficjalnie zaręczeni.

– Zegar tyka – odezwałem się do Halley, gdy odebraliśmy dokumenty. – Teraz musimy tylko pozostać przy życiu przez kolejnych sześć miesięcy.

– Tobie łatwiej niż mnie – rzekła. – Masz tu jednak wrócić za pół roku. Nieważne, co będziesz musiał w tym celu zrobić.

– Postaram się – odparłem.

– Nieważne, co będziesz musiał w tym celu zrobić – powtórzyła.

– Obiecuję, że wrócę za dokładnie sto osiemdziesiąt dni.

– Lepiej – uznała Halley.

* Dear John a. dearjohn (ang.) – potoczne określenie otrzymywanych przez amerykańskich żołnierzy listów oznaczających zakończenie związku przez dziewczyny/narzeczone/żony. Uważa się, że powstało podczas II wojny światowej (przyp. tłum.).

Rozdział 8

Odprawa

Urlopy spędzane z Halley zawsze wydawały się zbyt krótkie, lecz ten okazał się jeszcze krótszy niż zwykle. Gdy musiała już wrócić do uczenia młodych pilotów, jak pozostać przy życiu, z wielką niechęcią zgłosiłem się do Tymczasowego Zasobu Kadrowego, aby czekać na przybycie nowego okrętu.

Dawno, dawno temu, gdy cała flota pływała po wodzie, okręty wracały do portu po dyslokacji i przez jakiś czas pozostawały w nim, dając załogom trochę wolnego. Nowoczesna, kosmiczna marynarka nie posiadała wystarczającej liczby jednostek, by pozwalać sobie na takie luksusy. Zamiast tego każdy okręt miał dwie pełne załogi, nazywane „złotą” oraz „niebieską”, i ich wymiana stanowiła szybką, dobrze przeciwzoną procedurę. „Manitoba” została wyczyszczona, wyposażona i przygotowana do nowej dyslokacji w zaledwie sześć dni po tym, jak wszedłem na pokład, by zameldować się nowemu dowódcy.

– Naszym celem – oznajmił major Gould – jest Syriusz A d.

W sali odpraw rozbrzmiała kakofonia szeptów, wszyscy starali się przetrwać tę informację. System Syriusza A pozostawał terytorium chińsko-rosyjskim, odkąd na poważnie ruszyła kolonizacja układów pozaziemskich. Stanowił wrogą ziemię w niemal równym stopniu jak Petersburg lub Dalian.

– Operacja posiada kryptonim „Uderzenie Młota”. Od kilku lat broniliśmy własnych terenów przed ich najazdami. Dowództwo uznało, że nadszedł czas, żebyśmy odplacili im pięknym za nadobne.

– Będą musieli wysłać pusty transportowiec na same worki z ciałami – odezwał się do mnie cicho sąsiad z miejsca obok, również kontroler walki, sierżant Macfee, a ja przytaknąłem. Chino-Ruscy dość paranoicznie podchodzili do zabezpieczania swych planet. Stawiali zintegrowane sieci obrony przed atakiem z powietrza i z przestrzeni, zanim jeszcze pierwsza fala cywilnych statków konstrukcyjnych zdążyła w ogóle wylądować na nowej kolonii. W miejscu, które znajdowało się w ich posiadaniu od ośmiu lat, zapewne roilo się od środków ochronnych. Właśnie dlatego walczyliśmy ze sobą głównie o nowe światy – stare stanowiły zbyt twarde orzech do zgryzienia i nie były warte ofiar, jakie należało ponieść.

– Wiem, co myślicie – ciągnął major. – Myślicie, że będzie to kolejna Gwiazda Barnarda. Myślicie też, że dowództwu zupełnie się pozajętkowało i że staruch może sobie pozwolić na potrząsanie szabelką, bo nie będzie się wykrwawiać w pyłe wraz z wami.

Od strony żołnierzy PK w pierwszych rzędach dobiegły chichoty, lecz Macfee i ja nie dołączyliśmy do nich, ponieważ Gould miał sporo racji. Gwiazda Barnarda była miejscem nieudanej ofensywy sprzed trzech lat. WPA próbowała odebrać ZCR zasobną w surowce kolonię górniczą i dostała niezłe baty. Nasze wojska spodziewały się Rosjan w sile pułku, a wpadły na pełną chińską brygadę obejmującą połączone rodzaje broni. Atakowaliśmy przy równym stosunku sił, ofiary ponieśliśmy w stosunku trzy do jednego.

– Nie będzie to jednak kolejna Gwiazda Barnarda i zaraz powiem wam dlaczego.

Major włączył wyświetlacz holograficzny na ścianie za sobą i ujrzeliśmy trójwymiarowy obraz taktyczny planety docelowej.

– Po pierwsze, tym razem mamy doskonałe dane. Flota pozwoliła nam skorzystać z trzech nowych, superdrogich niewykrywalnych dronów, które przez ostatnich siedemnaście dni zbierały informacje. Mamy również na miejscu łajbę wywiadowczą. Znamy wielkość garnizonu i dokładne rozmieszczenie przeciwnika na powierzchni. Wiemy, że na orbicie znajduje się w

goście zespół zadaniowy: statek zaopatrzeniowy oraz krążownik kontroli przestrzeni „Kijów”. Dowiedzieliśmy się, jak brzmi nazwisko dowódcy, ile razy w tygodniu chadza do klopa, żeby się wysrać, i co zabiera ze sobą do czytania. Goście z wywiadu podaliby wam też pewnie menu ze stołówki na następne dwa tygodnie.

Wdusił przycisk na pilocie i wyświetlany obraz zaczął się oddalać, dopóki planeta Syriusz A d nie stała się zaledwie kropką na środku, a my ujrzeliśmy resztę systemu.

– Po drugie, i to jest ważna rzecz: odkryliśmy, gdzie znajdują się ich strefy tranzytowe Alcubierre’a. I to zarówno dla odlotów, jak i przylotów.

Niektórzy z obecnych wydali okrzyki zaskoczenia i w sali znów zrobiło się głośno od z trudem ścisanych rozmów. Major Gould uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony z wywołanej reakcji. Odkrycie stref tranzytowych przeciwnika, czyli miejsc, w których wchodziły i wychodziły z systemu ich kominy podrózne Alcubierre’a, stanowiło poważne osiągnięcie wywiadu. Lokalizację takich miejsc utrzymywano w ścisłej tajemnicy, ponieważ znający ją nieprzyjaciel mógłby zastawić zasadzkę na przechodzącą flotę lub po prostu zaminować strefę, by nie dopuścić do przybycia posiłków. Wpadnięcie na minę przy wyskakiwaniu z Alcubierre’a stanowiło największy koszmar dowódcy okrętu.

– Oż kurwa – skomentował Macfee. – Jeśli to prawda, to tym razem my mamy szansę spuścić im manto. Nieźle.

– Wywiad wojskowy zwykle nie trafia w cel – przypomniałem mu. – Chcesz się założyć, że przed Gwiazdą Barnarda też mieli „doskonałe dane”?

– Tak to wygląda w skrócie – podjął Gould. – Damy im solidnego łupnia. Operację przeprowadzi zespół zadaniowy lotnikowca Siedemdziesiąt Dwa. Lecimy z dwoma Protektorami, dwoma niszczycielami, fregatą, stawiaczem min i jednym z nowych krążowników kontroli przestrzeni typu Młot. Zabieramy również cały Drugi Pułk Piątej Dywizji PK, oprócz naszego Czwartego Pułku.

Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio uderzaliśmy na cel, desantując się z połową brygady. Dwa pełne pułki Piechoty Kosmicznej przedstawiały sobą potężną siłę: cztery tysiące żołnierzy w nowoczesnych pancerzach bojowych, dwa skrzydła okrętów desantowych, cztery baterie samobieżnej artylerii polowej oraz dwie wzmocnione kompanie pancerne.

– Obecnie nasi rosyjscy i chińscy przyjaciele trochę gonią w piętke. Od dłuższego czasu stopniowo przesuwają wojska z kolonii do tych mobilnych zespołów zadaniowych, które nam uprzykrzają życie. Wywiad donosi, że garnizon na Syriuszu A d składa się z jednego niepełnego chińskiego Pięćset Czterdziestego Czwartego Pułku połączonych rodzajów broni. Są też rozproszeni po całej planecie, możemy więc najpierw grzmotnąć ich z orbity, a później zaatakować naszymi dwoma pułkami. Przy odrobinie szczęścia, gdy już Dzierzby z nimi skończą, będziemy mieć przeciwko sobie niepełną kompanię.

Oficerowie sztabowi słynęli z nadmiernego optymizmu podczas odpraw, ale nie opuszczała mnie odrobina nadziei, że misja okaże się mniej mordercza, niż mogło się z początku wydawać. Jeśli dysponowaliśmy dobrymi danymi i na czas gromienia garnizonu udałoby się zamknąć system, istniała nawet szansa, że optymizm majora Goulda był usprawiedliwiony.

– Gdy przejdziemy do systemu, stawiacz min oraz eskortująca go fregata odłączą się i skierują bezpośrednio do wrogich stref tranzytowych. Po dotarciu tam zasypią je minami nuklearnymi i Syriusz A na jakiś czas straci dla ZCR wjazd oraz wyjazd. Przeważająca część ZZL Siedemdziesiąt Dwa będzie kontynuować podejście do Syriusza A d, gdzie zaatakujemy i zniszczymy okręty znajdujące się na orbicie. Następnie uderzymy z góry na garnizon, zrzucimy wojska i posprzątamy wszystko, co zostanie po Dzierzbach.

– A tamci po prostu położą się i będą na nas czekać – rzuciłem do Macfee.

– Gdy tylko się zorientują, co jest grane, puszczą całą pieprzoną dywizję w komin, żeby odzyskać planetę – odparł. – Jasne, już widzę, jak nam się udaje.

– Ale byłoby miło dla odmiany coś od nich wyszarpać – uznałem. – Już chce mi się rzygać od tej zabawy w ciuciubabkę.

– Wkrótce rozpoczną się odprawy dotyczące konkretnych misji – mówił jeszcze major Gould. – Znajdujemy się pięć dni od komina do Syriusza A i gdy tylko wyjdziemy z Alcubierre’a, zrobi się gorąco, wykorzystajcie więc rozsądnie ten okres. Operacja „Uderzenie Młota” rozpocznie się za sto dwadzieścia godzin. Przygotujcie się i sprawdźcie w swoich OTI harmonogram odpraw. Odmaszerować.

Czas pozostały do wejścia w Alcubierre’a wykorzystaliśmy na sprawdzanie sprzętu, trening i rozrywki typowe dla żołnierzy idących do boju. Za dnia chodziliśmy na strzelnicę, na siłownię lub do sal odpraw. Wiezorami przesiadywałem w mesie, klubie podoficerskim i zaimprovizowanym kasynie, które jacyś mechanicy zorganizowali po kryjomu w cichym kącie ładowni.

Dołączenie do jednostki oznacza, że kolejny raz jest się nowym i trzeba na powrót zdobywać sobie szacunek. Zostało mi niewiele czasu na poznanie ludzi, którzy wkrótce mieli polegać na mnie w walce. Przypuszczam, że niektórzy woleliby zachować w takiej sytuacji dystans, wiedząc, że pięć dni nie wystarczy, by nawiązać z kimkolwiek porządną więź, i że część tych żołnierzy zapewne i tak nie wróci z misji. Nie przesiadywałem jednak samotnie, ponieważ pragnąłem dowiedzieć się jak najwięcej o ludziach, których skórę być może będę musiał ratować lub którzy będą ratować moją. Nie mieliśmy motywacji finansowej i tylko najbardziej naiwni lub optymistycznie nastawieni z nas uważali, że ostatecznie zwyciężymy, skoro tkwiliśmy między Dryblasami a Chino-Ruskimi jak między młotem a kowadłem.

Nigdy nie wierzyłem w patriotyczną agitkę, a teraz już szczególnie, i byłem zde gustowany głupotą oraz krótkowzroczną agresją panującymi po obu stronach. Traciliśmy ludzi i zasoby, wyklócając się o te nieliczne skrawki, których Dryblasy jeszcze nam nie wyszarpnęli. Nie sądziłem, abyśmy w czymkolwiek byli lepsi od ZCR. Nasze motywacje z pewnością nie były szlachetniejsze niż ich i posługiwaliśmy się identycznymi metodami. Jeśli sytuacja miała rozwijać się jak do tej pory, czekało nas jeszcze parę lat, najwyżej dekada, zanim wszystkie nasze kolonie zostaną zajęte przez obcych, i w tym otrzymanym na kredyt czasie potrafilibyśmy jedynie zabijać się nawzajem, jak dwa rozpieszczone dzieciaki kłócące się, jak podzielić wspólny pokój, podczas gdy wokół nich płonie dom.

Mimo to piłem i żartowałem z nowymi kompanami, wiedząc, że gdy nadejdzie odpowiednia chwila, włożę wraz z nimi pancerze i desantujemy się wspólnie na pole bitwy. Będę wówczas przerażony, lecz nikt nie zabierze mi wolnej woli, a może i poczuję odrobinę zadowolenia.

Rozdział 9

Desant bojowy

Gotowość bojowa, gotowość bojowa. Do wszystkich, ogłaszam gotowość bojową. To nie są ćwiczenia. Powtarzam...

Byłem już ubrany w pancerz i w pełni uzbrojony. Alert rozbrzmiewający z głośników nie ponaglał mnie ani reszty pułku ustawionej na pokładzie hangarowym. Szykowaliśmy się do desantu przez ostatnie dwie godziny i byliśmy gotowi do walki. Technicy z pokładu lotniczego krzżeli się wokół okrętów desantowych mających zabrać nas na powierzchnię, zdejmowali zabezpieczenia z zasobników z amunicją oraz z luf działek automatycznych. Po raz trzydziesty sprawdziłem sprzęt: szczelność pancerza, status broni, łączność, poziom tlenu, stan filtrów.

Pokład lotniczy zajmował całą dolną połowę okrętu niemal od dziobu do rufy, od jednego krańca do drugiego wypełniały go desantowce i żołnierze. Każda Osa mogła przewieźć pluton, a desantowaliśmy się całym pułkiem. Naprzeciwko nas rozgrzewały silniki dwadzieścia cztery desantowce. Nigdy dotąd nie widziałem ich tyłu w jednym miejscu, ustawionych skrzydło w skrzydło. Choć uczestnictwo w operacji wymagającej użycia tak brutalnej siły wydawało się przerażające, w pewnym sensie wzbudzało również podniecenie. Stanowiłem ledwie zębatkę w maszynie, lecz takie chwile przypominały mi, jak wielki i potężny był to mechanizm.

– Pierwszy pluton, powstań!

Nasz sierżant sztabowy ruszył wzdłuż szeregu gotowych do walki żołnierzy PK, podkreślając swe słowa klepięciami w polimerową osłonę karabinu M-66.

– Czas zasłużyć sobie na miesięczny żołd, chłopcy i dziewczęta. Jeśli zobaczę choć jeden pocisk wystrzelony, zanim na to pozwolę, padnie już pierwsza dzisiejsza ofiara.

Zostałem przydzielony do pierwszego plutonu kompanii Alfa Czwartego Pułku Piechoty Kosmicznej. Mieliśmy brać udział w pierwszej fali ataku i nasza kompania otrzymała zadanie przyciśnięcia ogniem, a następnie zniszczenia garnizonu okopanego w trzeciej co do wielkości osadzie. Stanowiliśmy grot włóczy i właśnie dlatego brałem udział w desancie jako jeden z trzech obecnych na okręcie kontrolerów walki. Macfee szedł z kompanią z Czterdziestego Drugiego Pułku, a trzeci z nas desantował się wraz z dowództwem Czterdziestego Czwartego Pułku. Piechociarze byli wyposażeni w karabiny, wyrzutnie rakiet i rakiety przeciwpancerne. My zabieraliśmy nadajniki radiowe i zintegrowane z tak-łączem komputery, dzięki którym potrafiliśmy zdalnie kierować szturmowymi Dzierzbami i ostrzałem orbitalnym. Z zasady żołnierze starali się ochraniać swych kontrolerów walki niemal w takim samym stopniu jak sanitariuszy.

Tyłna rampa naszego okrętu desantowego otworzyła się z cichym hydraulicznym sykiem i pojawił się na niej szef załogi. Rozłożył ręce niczym sygnalizatory pozwalające kierować ruchem na lotnisku i gestem wskazał nam, byśmy weszli do ładowni.

– Z życiem, z życiem. Siadać, zapiąć się i przestać gadać! – krzyczał sierżant Ferguson nad harmidrem rozgrzewających się silników.

Wbiegliśmy po rampie do wnętrza Osy. Po obu strojach ładowni znajdowały się rzędy foteli, więc dwie połówki plutonu siedziały naprzeciwko siebie. Na wypadek nagłego przebiccia kadłuba mieliśmy opuszczone wizjery hełmów. Za spolaryzowanymi osłonami nasze twarze były niewidoczne dla pozostałych i nie musieliśmy udawać braku zdenerwowania.

Gdy desantowałem się z okrętu w biokapsule, odłączałem dane z sensorów i leciałem zupełnie na ślepo, dopóki nie znalazłem się w atmosferze. W przypadku okrętu desantowego robiłem odwrotnie. Gdy klamry dokujące chwyciły Osę, by opuścić ją do komory zrzutowej,

uruchomiłem komputer taktyczny i podpiąłem się do tak-łącza „Manitoby”. Zanim znaleźliśmy się w zrzutni, by oczekiwać na sygnał, trójwymiarowy wyświetlacz pokazywał mi już wyraźnie to samo, co widniało na głównym diagramie w BCI. Diagram bojowy okrętu w oczach laików wyglądał jak gobelin pełen abstrakcyjnych symboli i wektorów, ale pracowałem już z nimi wystarczająco długo, by potrafić interpretować dane nawet na wpół śpiąco lub po pijaku. Był to zupełnie obcy sposób postrzegania świata, ale gdy tylko nauczyło się go odczytywać, zyskiwało się niemal wszechwiedzę.

Gdy wyświetliłem ten obraz w helmie, atak już trwał. Znajdowaliśmy się pół miliona kilometrów od Syriusza A d i odległość do planety gwałtownie malała, ponieważ „Manitoba” i jej zespół zadaniowy podchodzili na pozycje desantowe całą naprzód. Przed naszymi siłami widać było jedynie dwie jednostki nieprzyjaciela: jedna szła w naszą stronę kursem przechwytyjącym, druga uciekała w przeciwnym kierunku. Chiński statek zaopatrzeniowy chciał umknąć kominem Alcubierre’a, krążownik kontroli przestrzeni przechodził do ofensywy, by osłaniać mu odwrót. To szlachetny gest, lecz natarcie na zespół lotniskowca przez jeden przestarzały chiński okręt stanowiło jedynie szlachetną formę samobójstwa. Pozostali pasażerowie mojej Osy nie byli świadomi krótkiego i gwałtownego starcia, jakie miało się zaraz rozpocząć. Ich świat ograniczał się do pozbawionego okien pancerza, w którym siedzieliśmy, upchnięci jak tace w pudełku z racjami żywnościowymi.

Gdy nieprzyjacielski okręt osiągnął zasięg działania naszej artylerii, krążownik OWPA „Alaska” zaczął wystrzeliwać rakiety. Ujrzałem najpierw osiem, później szesnaście i wreszcie trzydzieści dwa niebieskie symbole wyłaniające się z „Alaski” i pędzące w stronę wroga. Wystarczyłaby jedna czy dwie, by zlikwidować wrogi okręt, lecz jednostki ZCR były wyposażone w całkiem niezłe systemy obrony punktowej, nasza doktryna kazała więc przesycać ich możliwości obronne przy pierwszym uderzeniu. Owszem, takie działania okazywały się kosztowne, lecz nawet trzydzieści kilka pocisków przeciwokrętowych stanowiło dobrą cenę za krążownik kontroli przestrzeni.

Chińczycy nie zamierzali poddawać się bez walki. Gdy nasze rakiety pokonały połowę odległości, z nieprzyjacielskiego okrętu wyłoniło się mrowie ikon oznaczających wrogie pociski i karmazynowe symbole V pomknęły na spotkanie naszych niebieskich, rozpraszając się na kształt wachlarza. Następnie „Shenzhen” wypuścił własne rakiety przeciwokrętowe. Najwidoczniej jego dowódca nie zamierzał pojawić się w Valhalli samotnie. Nasze dwa Protektory podjęły wyzwanie i zaczęły wypuszczać pociski przechwytyjące, aż ekran taktyczny stał się pełen dwukolorowych ikon pędzących, by się nawzajem unicestwić.

Wynik bitwy był od początku oczywisty. Na każdy czerwony symbol przypadały dwa lub trzy niebieskie, a chiński krążownik opróżnił zapasy, podczas gdy nasze Protektory dopiero się rozgrzewały. Wrogie ikony rakiet jedna po drugiej spotykały się z naszymi i znikwały wraz z nimi, aż zostały same niebieskie V. „Shenzhen” poległ w ciszy i bez dramatycznych efektów na czystym wyświetlaczu. Kilka wystrzelonych z naszych jednostek rakiet przeciwokrętowych spotkało się na czerwonej ikonie KRAŻOWNIK/NIEPRZYJACIEL i zlikwidowało go. Kolos ważący trzydzieści tysięcy ton i mieszczący pięćset osób zamienił się w chmurę orbitalnych szczątków.

– Chiński krążownik właśnie odwalił kite – poinformowałem żołnierzy ze swojego plutonu.

Rozległy się wiwaty, zupełnie jakby usłyszeli wynik w meczu sportowym i ich ulubiona drużyna wysunęła się na prowadzenie.

Po usunięciu „Shenzhen” nasz zespół zadaniowy ustawił się na pozycjach do rozpoczęcia ostrzału planety. Syriusz A d był małym światem, liczył sobie jednak dwie trzecie powierzchni

Ziemi i nawet gdybyśmy zużyli całą amunicję zabraną przez sześć okrętów, nie podporządkowalibyśmy go sobie całkowicie samym ostrzałem orbitalnym, chyba że użylibyśmy stumegatonowych bomb atomowych nadających się do burzenia metropleksów. Ponieważ chcieliśmy zająć ten glob, a nie przemienić go w radioaktywne pustkowia, musieliśmy trochę roztropniej zastosować siłę ognia. Rozmiar planety działał również przeciwko obrońcom – nie mogli umieścić baterii rakietowej na każdym kilometrze kwadratowym, a nasze drony rozpoznawcze miały trzy tygodnie, by rozpracować siatkę defensywną powierzchni.

Drugi etap natarcia rozpoczął się, gdy tylko wlecieliśmy na orbitę nad strefami lądowania. Wszystkie okręty z zespołu zadaniowego zaczęły opróżniać zasoby pocisków przestrzeń-ziemia, wymierzone w setki priorytetowych celów wyznaczonych przez sondy wywiadowcze. W desantowcu słyszeliśmy jedynie stłumiony ryk silników rakietowych rozgrzewających się w wyrzutniach, gdy „Manitoba” podjęła ostrzał. Po kilku minutach wyświetlacz taktyczny zaczął wyglądać jak najgorszy koszmar dowódcy sił obrony powietrznej: roje pocisków wpadały w atmosferę z trzydziestokrotnością prędkości dźwięku, po czym zwiększały swą liczbę dwadzieścia razy, uwalniając niezależne głowice bojowe. Każda z nich zamiast materiału nuklearnego niosła pół tony konwencjonalnego środka wybuchowego lub ładunek burzący, lecz wydawało mi się, że z uwagi na samą liczbę głowic spadających właśnie w atmosferę Syriusza A d nie stanowiło to zbytniego pocieszenia dla stacjonujących tam oddziałów.

Po pierwszej salwie nastąpiły druga i trzecia. Deszcz rakiet zwielokrotniał się w locie, by siać zniszczenia na powierzchni. Wreszcie nadeszła kolej, by to nas posłać na wroga.

Nie widziałem, jak pod Osą otwierała się komora zrzutowa, poczułem jednak przebiegający przez kadłub lekki wstrząs, gdy automatyczne klamry dokujące opuściły nas ostatnich kilka metrów do pozycji startowej. Podobne komory otworzyły się w dwudziestu czterech miejscach wzdłuż całego kadłuba „Manitoby” i jedynie opancerzone korpusy bojowych taksówek oddzielały nasze ciała od pustki kosmosu.

Niektórzy dowódcy desantowców korzystali z interkomów, by dowcipami złagodzić napięcie żołnierzy oraz swoje, albo też informowali, co działo się poza przepełnioną ładownią, ale pilot naszej Osy nie należał do gadatliwych. Tuż przed tym, jak klamry dokujące zwolniły nasz okręt, lampka statusu na przedniej grodzi zmieniła się z zielonej na czerwoną i nagle żołądek mi się skreślił, gdy wypadliśmy z komory zrzutowej, opuszczając sztuczne pole grawitacyjne „Manitoby”.

Przechodziłem przez tę procedurę przynajmniej ze sto razy, ale zawsze wydawało mi się, że wrażenia muszą trochę przypominać odczucia skazańca przed egzekucją. Wiadomo, że ma się czas na jeszcze kilka oddechów przed przesunięciem dźwigni, ale nie wiadomo, ile konkretnie, a koniec i tak zaskakuje.

Wisieliliśmy w stanie nieważkości w uprzężach, Osa zaś pędziła w stronę atmosfery Syriusza A d. Na ekranie taktycznym widnieliśmy jako jeden z licznych niebieskich symboli oddalających się od zacisza okrętu matki i kierujących prosto między zęby oczekującej obrony.

– Rakietą ziemia-powietrze, ziemia-powietrze! Banshee Dwa-Osiem, środki obronne!

Osa nie miała okien w ładowni, ale dzięki wyświetlaczowi taktycznemu i tak czułem się, jakbym siedział w pierwszym rzędzie na spektaklu. Komunikator ustawiłem na kanał eskadry okrętów desantowych, wyświetlacz pokazywał mi obraz złożony z danych dostarczanych przez wszystkie komputery eskadry. Znajdowaliśmy się trzydzieści kilometrów od strefy zrzutu i właśnie udało nam się przelecieć obok nieprzyjacielskiej baterii artyleryjskiej, która przetrwała wstępne bombardowanie z orbity. Na szczęście lecieliśmy na samym skraju zasięgu baterii, ze sporym zapasem czasu zostaliśmy więc ostrzeżeni o ośmiu naddźwiękowych pociskach, które dopiero co opuściły wyrzutnię, by dopaść w locie naszą liczącą cztery Osy grupę.

– Odbiór. – Pilot Banshee Dwa-Osiem brzmiał niemal na znudzonego, gdy włączał system aktywnego zagłuszania i wprowadzał desantowca w serię uników, by zmylić rakiety. Rosyjskie pociski głuśniały po kolei, ścigając urojone elektroniczne cienie. Tylko jeden z nich pozostał na ogonie Osy i jej pilot wypuścił drony wabiki, po czym zanurkował ku ziemi. Czerwona ikona rakiety i niebieska okrętu desantowego zniknęły mi z ekranu. Przez chwilę byłem przekonany, że Dwa-Osiem oraz czterdziestka lecących w nim żołnierzy stali się drobno zmielonym nawozem organicznym, ale nagle Osa wyłoniła się z cienia doliny parę kilometrów na prawo od nas.

– Zadrapało mi trochę lakier – nadał pilot Dwa-Osiem, nie brzmiąc już na znudzonego.

Oznaczyłem położenie wrogiej baterii na diagramie taktycznym i przełączyłem radio na taktyczny kanał lotniczy, by skontaktować się z eskadrą patrolujących okolice szturmowych Dzierzb.

– Eskadra Młot, w sektorze Alfa Jeden-Cztery jest wroga bateria ziemia-powietrze. Wygląda na SA-255.

– Tu Młot Dwa-Trzy, zrozumiałem. Powiedz swojemu taksówkarzowi, żeby trochę zluzował z gazem, to posprzątamy wam drogę.

– Trzy minuty do strefy zrzutu – oznajmił pilot naszego desantowca, a czerwona lampka statusu na przedniej grodzi zaczęła mrugać. Po chwili Dzierzby minęły naszą eskadrę i choć znajdowały się kilkaset metrów wyżej, w wyniku ich ponaddzwiękowej prędkości kadłub Osy zawibrował. Obserwowałem na diagramie taktycznym, jak szturmowce ustawiły się w formację bojową i pomknęły oczyścić obszar lądowania.

Choć dane wywiadu wydawały się ściśle. Gdy dotknęliśmy ziemi, panował spokój. Nie ujawniły się ukryte baterie artyleryjskie czy wyrzutnie raketowe, a żołnierze nie wyskoczyli z okopów, by powitać naszą kompanię. Znajdowaliśmy się na małym płaskowyżu piętnaście kilometrów od docelowej osady. Jeśli oceniać to lądowanie, można by je porównać do spaceru po parku w słoneczny dzień. Wybiegliśmy z desantowców, ustawiliśmy się w szyku bojowym i ruszyliśmy nawiązać walkę z obrońcami Syriusza A d, okopanymi niedaleko stamtąd.

– Wygląda na to, że w jednym mieli rację – powiedział do mnie sierżant Ferguson, gdy schodziliśmy z płaskowyżu w dolinę biegnącą na wschód. – Akcja zupełnie jak z filmów rekrutacyjnych.

Za nami Osy wystartowały, by zwolnić pole i zająć pozycję w powietrzu. Najwyraźniej wszystko to, czym zasypaliśmy tutejszy garnizon z orbity, nie wystarczyło, by zniechęcić wrogów, ponieważ kilka chwil po tym, jak desantowce z dudnieniem pomknęły w czyste błękitne niebo, ujrzałem czerwone wektory pocisków nadlatujących z obrzeża osiedla ZCR.

– Nadlatujące rakiety, wektor dziewięć-dwa! – wrzasnąłem na kanale kompanii i żołnierze rozbiegli się po skalistej okolicy w poszukiwaniu osłony. Wyświetlacz zagrożeń nie wychwytywał żadnych wiązek radarowych, ale płaskowyż stanowił prawdopodobną strefę lądowania i wroga artyleria zapewne oznaczyła go sobie jako punkt odniesienia. Przykucnąłem za dużym głazem, wskazałem Osom, skąd dochodzi ogień, i czekałem na wrogie pociski. Okazało się, że znów mieliśmy szczęście – Chińczycy strzelali na ślepo, waląc raketami we wcześniej ustawione koordynaty, przelatowały nam więc nad głowami, lądując na opuszczonym przed chwilą płaskowyżu.

Akcja rzeczywiście jak z filmów rekrutacyjnych, powtórzyłem w myślach po Fergusonie, gdy chińskie ładunki wstrząsały okolicą, obsypując nas pyłem i kamieniami.

Rozdział 10

Bitwa o Syriusza A d

Chińscy marines mieli braki sprzętowe, było ich niewielu, pozostawali odcięci od reszty swego pułku i pozbawieni wsparcia lotniczego, ale i tak nie dawali za wygraną. Wchodziliśmy do miasteczka powoli i ostrożnie, lecz nieprzyjaciel dobrze się okopał, wcześniej zaś dysponował latami, by przygotować się do tej ofensywy. Zanim zajęliśmy większość osiedla, w moim plutonie padło osiem ofiar, jedna piąta całej liczby. Chińscy marines nie poddawali się i rzadko wycofywali.

– Jeśli znajdę kiedyś gnojka, który zaprojektował te nowe autonomiczne działka, oskóruję go posolonym scyzorykiem – uznał sierżant Ferguson. Chińczycy zamienili stojący przed nami budynek administracji cywilnej w fortecę i wyglądało na to, że za co drugim oknem na najwyższym piętrze znajduje się broń zespołowa. – Alfa Jeden-Dziewięć, obserwuj stanowisko na najwyższym piętrze w północno-zachodnim narożniku. Mają jedno z tych nowych działek strzelających podwójną amunicją – ostrzegł Ferguson.

– Tu Alfa Jeden-Dziewięć, zrozumiałem. Skończyły mi się rakiety do MARS-a. Wyślij trzeci oddział do tego... Co to właściwie jest to coś w sektorze Brawo Siedem, zbiornik na wodę? Stamtąd powinien im wyjść czysty strzał w tamten narożnik – odpowiedział dowódca pierwszego oddziału.

– Charlie Jeden-Dziewięć, słyszysz? – nadał dowódca plutonu.

– Potwierdzam – odezwał się szef trzeciego oddziału. – Zostały mi dwie termobaryczne. Ruszamy.

Chiński budynek administracji cywilnej nie wyglądał szczególnie cywilnie. Wzmocniona dwupiętrowa budowla sprawiała wrażenie, jakby mogła znieść pobliski wybuch pięciokilatonowej atomówki. Przykucnąłem kilkaset metrów stamtąd wraz z dowództwem plutonu. Chińskie działka automatyczne wypuszczały od czasu do czasu serie w domy i skrzyżowania w naszym sąsiedztwie. Obrońcy nie znali naszej precyzyjnej lokacji, ale całkiem nieźle ją szacowali i jeśli spróbowalibyśmy skokami pokonać pozostały nam dystans, zginęlibyśmy. Ich działka były zdalnie sterowane łączem niemożliwym do zhakowania i bardzo trudnym do zagłuszenia. Chińscy strzelcy mogli siedzieć gdziekolwiek w promieniu czterystu metrów od swojej broni, choćby w klimatyzowanym bunkrze dowództwa, i stamtąd w nas grzmocić. Nowe modele dawało się przestawić na tryb w pełni automatyczny i wtedy komputer działka sam wybierał cele. Korpus Obrony Wspólnoty posiadał własną wersję takiego karabinu, lecz usunął z oprogramowania możliwości autonomiczne, gdy testy polowe wykazały, że komputer w jednym i trzech dziesiątych procent przypadków popełniał błąd przy odróżnianiu sojuszników od nieprzyjaciół. Chino-Ruscy najwyraźniej z większą swobodą podchodzili do tego wskaźnika, ich broń mogła więc działać samoczynnie bez ludzkiego operatora.

Obserwowałem, jak skupisko niebieskich ikonk trzeciego oddziału przedziera się do zbiornika z wodą w sektorze B-7. Przeskakiwali skrzyżowania i trzymali się ścian modułarnych chińskich domów kolonijnych. Ciężkie działko automatyczne na górnym piętrze budynku administracyjnego wciąż wypluwało z siebie krótkie serie, lecz Chińczycy nie śledzili ruchów naszego oddziału, który wreszcie osiągnął pozycję umożliwiającą czysty strzał z wyrzutni MARS w stanowisko ogniowe.

– Uwaga, odpalam! – zawołał operator wyrzutni. Z oddali usłyszałem stłumiony huk wystrzelwanej rakiety i chwilę później ujrzyliśmy rozpalony do białości odrzut pocisku pędzącego nad niskimi dachami w kierunku celu. Nastąpiła eksplozja, od której zatrzęsła się

ziemia, dotarł do nas znajomy niski grzmot wybuchu głowicy termobarycznej i nieprzyjacielski karabin zamilkł.

– W środek tarczy – skomentował dowódca trzeciego oddziału. – Dołóż jeszcze jeden na wszelki wypadek.

– Pierwszy oddział na północno-zachodni narożnik – rozkazał porucznik Benning. – Czwarty na południowo-wschodni. Trzeci podchodzi, żeby osłaniać. Skończmy to już wreszcie.

W szkole podoficerskiej musiałem przeczytać mnóstwo prac autorstwa niezbyt zorientowanych teoretyków, wymądrzających się na temat „zmieniającej się natury nowoczesnego prowadzenia wojny” i tego, że współczesny, postziemski Korpus Obrony Wspólnoty powinien szkolić się w „akcjach kolonialnych o niskim profilu”. Tak naprawdę zasady prowadzenia wojny niewiele się zmieniły, odkąd nasi pradziadowie zabijali się w takich miejscach jak Gettysburg, Somma, Normandia czy Bagdad. Wciąż chodziło w głównej mierze o to, że przerażeni ludzie z karabinami nacierali na miejsca bronione przez innych przerażonych ludzi z karabinami.

Nie dostrzegałem nic „niskoprofilowego” w naszym ostatecznym szturmie na chiński budynek administracyjny w kolonialnym miasteczku na Syriuszu A d. Rzuciliśmy granaty dymne i pobieглиśmy, a pozostali przy życiu chińscy marines otworzyli ogień ze wszystkiego, czym jeszcze dysponowali. Przemykaliśmy od jednej osłony do drugiej, zasypując atakowany budynek granatami oraz raketami z MARS-ów, starając się pokonać ostatnich kilkaset metrów wąskich uliczek i jednolitej kolonialnej pudełkowej architektury. Wezwałem desantowicz trzeciego plutonu, by pełnił rolę wsparcia lotniczego, i po minucie czy dwóch Osa sfrunęła z rykiem silników z nieba, prażąc z działek. Północna fasada budynku wybuchła deszczem iskier i betonowego pyłu, gdy smagał ją strumień trzydziestomilimetrowych pocisków. W zamierzeniu budowla miała stanowić schron, miała więc grube mury i niemal bomboodporną konstrukcję, jednak działka okrętu desantowego strzelały w tempie niemal dwóch tysięcy naboju na minutę każde i w większość okien po tej stronie wpadł przynajmniej jeden pocisk. Gdy przemierzaliśmy ostatni odcinek drogi, obrońcy nie witali nas już ogniem.

Nawet w obliczu oczywistej klęski chińscy marines nie zamierzali przekazać nam dobrowolnie budynku.

– W mordę – stwierdził porucznik Benning. – Miną ze trzy tygodnie, zanim to wszystko połatamy.

We wnętrzu ośrodka administracyjnego panował bałagan. Grube mury zatrzymały większość naszych pocisków, ale przez niemal wszystkie okna od północnej strony wpadły rakietki z MARS-a lub nabój z działka, których cieńsze wewnętrzne ściany już nie zdołały zablokować. Staliśmy na środku pomieszczenia wyglądającego na sypialnię oddziału i gruz sięgał niemal do kolan. W pobliżu okien widzieliśmy, co zostało z trzech chińskich marines, którzy zapewne stanęli na drodze paru trzydziestomilimetrowych pocisków.

– Myśli pan, że długo zostaniemy? – spytałem. – Gdy tylko dowiedzą się, że tu jesteśmy, pošlą przez komin połowę swojej floty.

– Cholera wie, sierżancie. To powyżej mojego stopnia zaszeregowania. – Przełączył kanał w radiu, by sprawdzić status dowódców oddziałów.

– Trzeci skład, podejść. Czwarty oddział, trzymać perymetr. Zachować czujność.

Znajdowaliśmy się na parterze budowli. Nad sobą słyszeliśmy nieregularne staccato palby karabinowej i eksplodujących granatów, świadczących, że oddziały pierwszy oraz drugi oczyszczały górne kondygnacje. Na dole nie trafiliśmy na pomieszczenie, w którym nie leżałby

przynajmniej jeden martwy Chińczyk, a sensory tak-łącza wskazywały, że w budynku pozostawało jeszcze około piętnastu obrońców. Matryce czujników z naszych pancerzy wykonywały swą skomplikowaną magię, korzystając z radaru milimetrowego niskiej mocy, podczerwieni oraz paru innych trybów, dzięki czemu mogliśmy wykrywać nieprzyjaciół przez ściany i stropy. Technologia nie była niezawodna, zwłaszcza przeciwko wrogom również zakutym w pancerze bojowe, ale okazywała się wystarczająco precyzyjna, żebyśmy nie tracili wielu ludzi. Nasi żołnierze nie ryzykowali. Strzelali śrutem przez ściany, a przez drzwi wrzucali po dwa lub trzy granaty. Nawet jeśli Chińczycy długo umacniali tę budowlę, mimo wszystko nie spodziewali się ataku i okazali się zdeorganizowani oraz nieprzygotowani.

Powoli, pomieszczenie po pomieszczeniu, wydzieraliśmy budynek przeciwnikom, którzy ginęli jeden po drugim w jego obronie. Musieli wiedzieć, że ponieśli klęskę, ale i tak z nami walczyli, bo tak czynią żołnierze, i na ich miejscu zachowywalibyśmy się podobnie.

Wreszcie strzelanina umilkła i nasze dwa oddziały spotkały się na środku górnego piętra.

– Budynek zabezpieczony – oznajmił porucznik Benning na kanale plutonu. – Szukajcie informacji i rannych nieprzyjaciół. No i uważajcie na siebie. Te małe gnojki lubią zastawiać pułapki.

W piwnicy weszliśmy do pomieszczenia, które musiało być stanowiskiem dowodzenia chińskiego garnizonu. Na podłodze leżało kilku martwych marines, rozerwanych szrapnelami i fleszetami. Tylko dwóch z nich miało na sobie pełny osprzęt bojowy, pozostali znajdowali się w różnym stopniu przygotowania do walki, w częściowo przywdzianych pancerzach. Najwyższy rangą żołnierz ZCR, chiński major, ubrany był tylko w mundur polowy i uzbrojony w pistolet. Porucznik Benning podszedł do martwego oficera, wyciągnął mu broń z ręki, opuścił pomieszczenie i wsunął pistolet za uprząż własnego pancerza. Korpus Obrony Wspólnoty jakiś czas temu przestał wydawać broń krótką żołnierzom frontowym, ponieważ nawet z amunicją fleszetową okazywała się praktycznie bezużyteczna w starciu z przeciwnikiem w pancerzu, jednak oficerowie ZCR nosili je jako symbole stopnia i niektórzy z naszych zbierali je w charakterze bezkrwawych skalpów.

Podniosłem przewrócone krzesło z siedziskiem wypadającym z otworów wyrwanych szrapnelami i spocząłem na nim. Na ekranie taktycznym widziałem, że operacja zakończyła się ogólnoplanetarnym sukcesem. Wylądowała druga fala naszych żołnierzy, nieliczni ocalali obrońcy ZCR zostali przyparci do ściany.

– Wygląda na to, że dla odmiany coś poszło wreszcie zgodnie z planem – odezwałem się do porucznika Benninga, rozgarniającego gruz czubkami wzmocnionych butów.

– Lepiej nie nazywać tego jeszcze zwycięstwem – stwierdził. – Impreza nie będzie skończona, dopóki nie staniemy z powrotem na lotniskowcu.

Jakby na podkreślenie jego słów, grzmot eksplozji ciężkiego pocisku artyleryjskiego zatrzęsł ścianami piwnicy i niemal zrzucił mnie z krzesła.

– Nieprzyjacielskie lotnictwo! – po paru chwilach zawołał na kanale plutonu dowódca trzeciego oddziału. – Dwa szturmowce nadlatujące z zero-zero-dziewięć.

– Rozgrzejcie rakiety. Oddziały pierwszy i drugi, schowajcie głowy.

– Nadlatuje artyleria! – wrzasnął ktoś z trzeciego oddziału. Ujrzałem czerwone symbole samolotów wlatujących właśnie na wyświetlany obszar, a także cztery oddzielające się od nich ikony V, pędzące w naszym kierunku.

– Padnij! – krzyknąłem, rzucając się na podłogę. Porucznik Benning i sierżant Ferguson poszli za moim przykładem.

Cztery rakiety uderzyły jednocześnie w budynek z potwornym hukiem, brzmącym, jakby „Manitoba” spadła z orbity i walnęła nam o dach. Pancerz odciął natychmiast bodźce z sensorów,

ogłuszając i oslepiając, by mnie ochronić. Gdy wrócił obraz, działał w zielonkawym trybie wzmocnienia słabego światła. Wszystkie lampy w piwnicy zgasły, a w powietrzu było gęsto od betonowego pyłu. Ekran taktyczny ożył, akurat bym ujrzał dwa przelatujące nad nami nieprzyjacielskie pojazdy. Z pozycji trzeciego oddziału w ślad za nimi pomknęły dwie rakiety z ręcznych wyrzutni. Pierwsza z nich dopadła ofiarę i wymazała z ekranu jedną z czerwonych ikon. Drugi szturmowiec umknął z zasięgu, myśląc pocisk środkami obronnymi.

– Jeden z głowy – oznajmił dowódca trzeciego oddziału na tle ogólnych deklaracji zwycięstwa. – Drugi na pewno wróci, mogę się założyć o własny tyłek.

– Chcę tu mieć coś przeciwlotniczego – polecił mi porucznik Benning. – Cokolwiek jest blisko, nie będę wybredny.

– Już się robi, szefie – odparłem.

Poszukałem w systemie najbliższych jednostek latających. Nasz okręt desantowy znajdował się w okolicy, lecz Osa nie dysponowała ani uzbrojeniem, ani prędkością pozwalającymi dogonić coś tak szybkiego. Następne były dwie Dzierzby patrolujące w promieniu pięćdziesięciu kilometrów i na wysokości siedmiu. Sprawdziłem zdalnie ich stany amunicji i ujrzałem na każdym z pylonów standardowy zestaw powietrze-ziemia, uzupełniony o cztery rakiety powietrze-powietrze.

– Eskadra Raptor, tu Dysza Pięć. Potrzebne wsparcie przeciwlotnicze! – wywołałem na taktycznym kanale lotniczym.

– Dysza Pięć, tu Raptor Jeden-Trzy. Mów. – Głos w słuchawkach był konkretny, węzłowaty i profesjonalny, podobny do Halley odzywającej się na kanale oddziału na szkoleniu podstawowym.

– Rozpaczynam przekaz danych. Szybki pojazd tuż nad ziemią obok naszej pozycji. Macie zezwolenie na atak. Zdejmijcie go nam z tyłków.

– Przyjąłem, Dysza Pięć. Ruszamy.

– Nadciąga kawaleria – poinformowałem porucznika. – Dwie Dzierzby.

– Jeśli zestrzeli tego gnojka i się katapultuje, doścignę go i powieszę na jajach – obiecał ponuro sierżant Ferguson. – Nie widzę żadnych sygnałów od pierwszego i drugiego oddziału z góry.

– Trzeci oddział, raport – nadał na kanale plutonu Benning. – Jak wygląda sytuacja?

– Poruczniku, gdzie pan, kurwa, jest?

– W budynku, sierżancie. W piwnicy.

– Nie ma już budynku. Drugie piętro zdmuchnęło, podobnie jak połowę pierwszego.

– Wychodzimy. Zerknijcie na parterze od północy, czy jest tam zawalone gruzem. I sprawdźcie, czy uda się wykryć kogokolwiek z pierwszego i drugiego oddziału. Tutaj nic nie wylapujemy.

Sierżant odpowiedział dopiero po krótkiej chwili.

– Już ich nie ma, poruczniku. Podobnie jak budynku. Ich sygnały zniknęły z sieci.

– Niech to diabli – zaklął Ferguson obok mnie w mroku. – A już prawie mieliśmy tego skurwysyna.

Mruknąłem jedynie potwierdzająco i zacząłem wychodzić za dwuosobowym dowództwem plutonu z grobowca, w który przemieniła się siedziba kompanii ZCR.

Niektórzy żołnierze za nic nie chcą stać się tym ostatnim pechowym gnojkiem, który oberwał w walce. Tym, którego trafiła zabłąkana fleszteta albo laserowa pułapka, gdy wszyscy pozostali otwierali już piwo, lecz ja nigdy się tym nie przejmowałem. Nieważne, czy zginie się jako pierwszy podczas desantu, czy też potknie o coś i złamie sobie kark już na lotniskowcu po powrocie z bitwy, i tak wyląduje się w tym samym worku na ciała, wykonanym z aktywnego

antyseptycznego zielonego polimeru, nieprzenikalnego dla patogenów i wydzielin cielesnych. Oczywiście pod warunkiem, że da się odzyskać twoje cielsko, że nie rozerwie cię na strzępy chińska głowica paliwowo-powietrzna, jak kompanów z pierwszego i drugiego oddziału, którzy właśnie zginęli co do jednego kilka metrów nad nami. Zaden z martwych nie ma mniej szczęścia niż inni.

Schody pokrywał gruz z zawalonych górnych kondygnacji. Z piwnicy na powierzchnię prowadziły dwa wyjścia. Wybraliśmy to, przed którym leżało mniej rozłupanego betonu, i zaczęliśmy się odkopywać, podczas gdy trzeci oddział pracował od drugiej strony. Wreszcie opuściliśmy ciemne podziemie i wróciliśmy na słoneczną powierzchnię Syriusza A d.

– Co teraz, szefie? – dowódca trzeciego oddziału spytał porucznika.

– Utrzymujcie perymetr i wezwijcie Osę w celu ewakuacji. Sprawdźmy teraz, czy w całym tym gównie uda się znaleźć naszych. Szukajcie transponderów pancerzy.

W mgnieniu oka nasza zdolność bojowa została zmniejszona o połowę. Zostało nam ośmioro żołnierzy z trzeciego oddziału oraz siedmioro z czwartego, znajdujących się w odległości kilkudziesięciu metrów. Wylądowaliśmy na planecie w liczbie trzydziestu dziewięciu, a teraz było nas w sumie osiemnaścioro. Zajęliśmy cel i wykonaliśmy zadanie, wymieniając dwadzieścia jeden żywotów na dymiącą stertę gruzu oraz niepełny pluton martwych Chińczyków.

Z okolicy biegnącej przez osiedle głównej drogi, gdzie czwarty oddział zajął pozycje osłaniające, dobiegła nagle kakofoniczna palba. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że chińscy cywile zaczęli wychodzić na zewnątrz, by sprawdzić wynik bitwy, lecz nagle umknęli z powrotem pod wątpliwą osłonę cienkościennych domów. W tym samym momencie na kanale plutonu rozległy się rozszalałe głosy czwartego oddziału.

– Skąd oni się, kurwa, wzięli?!

– Zbliżają się!

– Róg ulicy, sto metrów, trzech gości z wyrzutnią rakiet!

– Alfa Jeden-Dziewięć, w cholerę Chinoli idzie od strony lotniska. Jakichś piętnastu, może dwudziestu... Kurwa, tam jest pewnie połowa pieprzonej kompanii!

– Przyjąłem – nadał w odpowiedzi porucznik. – Wycofajcie się i odciągnijcie ich w naszym kierunku. Podejźmy drogą i zajmijmy pozycję obronną przy drugim skrzyżowaniu od was, w sektorze Charlie Dwa.

– Zrozumiałem. Wycofać się i odciągnąć nieprzyjaciela do pozycji obronnej przy drugim skrzyżowaniu. Spadamy.

Sprawdzaliśmy w biegu status broni. Szła na nas niemal cała kompania i tylko wsparcie lotnicze mogło sprawić, że nie wylądujemy w chińskim obozie jenieckim albo w zbiorowej mogile. Przebiegając od osłony do osłony, odpaliłem znów taktyczny ekran lotniczy, szukając zasobów powietrznych.

– Banshee Dwa-Pięć, tu Dysza Pięć. W naszą stronę idzie kontratak w sile powyżej plutonu. Sprzątnijcie ich i osłaniajcie nas z góry, jeśli możecie.

– Dysza Pięć, potwierdzam. Jesteśmy w drodze. Przewidywany czas przybycia dwie minuty.

Nasz desantowiec zużył większość amunicji powietrze-ziemia w początkowym szturmie, a przeloty z karabinem czasami okazywały się niebezpieczne, lecz bez automatycznych działek Banshee Dwa-Pięć mogłoby nie zostać z nas nic, co dałoby się odwieźć z powrotem na lotniskowiec. Na wyświetlaczu w moim hełmie czerwone symbole NIEPRZYJACIEL pojawiały

się z coraz większą częstotliwością, gdy członkowie czwartego oddziału dostrzegali kolejnych wrogów, i przewyższały one nasze niebieskie w stosunku przynajmniej cztery do jednego.

Czwarty oddział przeprowadzał zorganizowany odwrót, przeskakując przez skrzyżowanie przed nami. Główna ulica biegnąca przez osiedle miała zaledwie koło siedmiu metrów szerokości i otaczały ją zwarte rzędy parterowych oraz jednopiętrowych budynków z prefabrykatów. Dotarliśmy do zadeklarowanego celu tuż przed wycofującymi się kompaniami i szybko zajęliśmy stanowiska strzelnicze, by ich osłaniać.

– Nie marnujcie amunicji – oznajmił sierżant Ferguson. – Osłaniamy czwarty oddział, dajemy im się minąć, a później w razie potrzeby przeskakujemy do centrum osiedla.

Sprawdziłem szczelność pancerza, po raz dwudziesty upewniłem się, czy w komorze karabinu znajduje się świeży magazynek, i przykleknąłem za klimatyzatorem ustawionym przed czymś, co wyglądało na herbaciarnię. Tutejsze budynki posiadały cienkie ściany, wykonano je bowiem ze standardowych kolonialnych modułów mieszkalnych, podobnie jak osiedla na naszych planetach. Nie mogły zatrzymać fleszety czy szrapnela, ale wykorzystywanie ich jako osłony miało większe znaczenie psychologiczne niż czajenie się na otwartym terenie.

– Idą. Pilnujcie swoich sektorów – polecił Ferguson.

Przed nami, w odległości niecałych pięćdziesięciu metrów, zza rogu wybiegło trzech żołnierzy z czwartego oddziału. Nie dostrzegałem ścigających ich chińskich marines, ale wyświetlacz na bieżąco ukazywał mi nieprzyjaciół zauważonych przez innych członków mojego plutonu i w uliczce za tamtym narożnikiem roilo się od czerwonych symboli. Przełączyłem karabin na tryb sterowany przez komputer i ustawiłem cel na skrzyżowanie przed sobą.

– Granaty – rozkazał porucznik. – Wybuch w powietrzu, odległość dwadzieścia metrów. Puśćcie salwę nad dachami po prawej.

Ponieważ byłem wyposażony w sprzęt komunikacyjny, nie nosiłem w uprząży granatów do karabinu, jednak większość pozostałych członków plutonu je miała. Za moimi plecami sześć granatników rzygnęło czterdziestomilimetrowymi, sterowanymi komputerowo pociskami, które poleciały łukiem nad dachami. Wybuchły nad sąsiednią uliczką serią niskich, stłumionych huków. Usłyszeliśmy wrzaski, gdy w odległości pięćdziesięciu metrów chińscy marines zostali zasypani lecącymi z ogromną prędkością szrapnelami. Przed nami zza rogu wybiegła druga połowa czwartego oddziału, poruszając nogami do rytmu automatycznego ognia z karabinów niewidocznych marines ZCR. Po tym, jak spektakularnie ujawniliśmy naszą obecność, tylko idiota albo zupełny żółtodziób wypadłby zza narożnika, by strzelać za naszym wycofującym się oddziałem, ale dwóch Chińczyków właśnie tak zrobiło i szybko zostali przyszpileni fleszetami z dziesięciu karabinów. Na prawo od nas rozbrzmiał odgłos przypominający uderzenie wiadra gwoździ o metalowy dach – to pozostali Chińczycy strzelali w naszą stronę przez cienkie ściany domów.

– Wycofać się w szyku! – zawołał sierżant Ferguson.

Połowa z nas opuściła narożnik i ruszyła drogą za czwartym oddziałem, by zająć nowe pozycje strzeleckie z dala od bieżącego odsłoniętego stanowiska. Reszta, w tym ja, została, by ich osłaniać. W zaułku po prawej stronie otworzyły się drzwi i wysunęła się lufa karabinu. Marine ZCR wypuścił serię w moim kierunku. Skuliłem się za osłoną, gdy fleszety przemknęły obok, wbijając się w ściany domu po drugiej stronie uliczki. Przy odległościach wymuszonych przez ciasną zabudowę walka piechoty przemieniła się w strzelaninę w kabinie szaletu.

– Przebijają się przez tylne ściany! – krzyknąłem na kanale plutonu i nacisnąłem spust. Komputer zmienił tryb działania karabinu na automatyczny ogień zaporowy i poziom amunicji zaczął się raptownie kurczyć, gdy mój M-66 wyrzygiwał fleszety w tempie dwudziestu na sekundę, zasypując wejście oraz framugę tungstenowymi strzałkami.

– Pierwsza sekcja, ruszcie tyłki! – z radia dobiegło wezwanie. – Uważajcie na boczne uliczki!

Z tyłu druga sekcja zajęła pozycje osłaniające nasz odwrót. Wycofywanie się zawsze opiera się na ufności – że kompani z oddziału nie strzelą przypadkowo do ciebie i że wróg nie wsadzi ci kuli w plecy, gdy będziesz biegać. Podniosłem karabin, na wszelki wypadek przeczesalem zaułek jeszcze jedną serią i uniosłem się z przykucu. Wszędzie dookoła słychać było odgłosy strzelających karabinów: nasze wysokie i chrapliwe, wrogów zaś – niskie i powolne, niczym młoty hydrauliczne. Gdy wycofywaliśmy się ze spornego skrzyżowania, chińscy marines odpłacili nam pięknym za nadobne – za moimi plecami na ulicę spadło kilkanaście granatów, niczym wielkie, wściekłe fajerwerki.

– Dysza Pięć, tu Banshee Dwa-Pięć. Widzę ich, ale jesteście paskudnie blisko.

Podbiegłem do wejścia, przy którym wysoki przetwarzacz śmieci oferował choćby minimalną osłonę, i podłączyłem się do taktycznego kanału lotniczego.

– Banshee Dwa-Pięć, walnij w oznaczony przeze mnie narożnik i prowadź ogień uliczką biegnącą stamtąd na północ. Pospiesz się, bo zaczyna im naprawdę odbijać.

– Dysza Pięć, przyjąłem. Uderzę w oznaczony narożnik i stamtąd pojedę na północ. Rozpoczynam przelot.

Ładunki z działek automatycznych okrętu desantowego uderzyły w skrzyżowanie, zanim zdołałem usłyszeć z oddali grzechot karabinów. Wielkokalibrowy ogień z działka okazuje się niezwykle gwałtowny i paskudny, jeśli znajdujesz się zaledwie kilkadziesiąt metrów od miejsca, w które trafiają naboje. Budynek, który dopiero co ostrzelałem, dosłownie zdmuchnęło, i fragmenty laminatu spadły na okoliczne domy. Pilot Banshee Dwa-Pięć zgodnie z poleceniem zmienił kierunek ostrzału i wskazana uliczka wypełniła się hałasem, ogniem oraz dymem.

– Banshee Dwa-Pięć, trafienie w dziesiątkę. Nieprzyjaciel roi się w zaułkach na lewo od twojego namiaru. Zajmij się nimi szybko.

– Przesuwam ostrzał. Nie wychylajcie się.

Ponieważ marines ZCR byli zajęci uchylaniem się przed ogniem, nasz okrojony do połowy pluton zaczął przemieszczać się skokami w kierunku centrum osiedla. Ponad nami, na pułapie najwyżej trzydziestu metrów, Banshee Dwa-Pięć zbliżała się, siekąc miarowym strumieniem hałasu oraz śmierci. Ryk umieszczonych na dziobie wielolufowych działek Osy mieszał się z głuchym hukiem wybuchających ładunków. Jeśli w otaczających nas budynkach ukrywali się jacyś cywile, znaleźli się teraz w naprawdę kiepskim położeniu, lecz ich los nikogo obecnie nie obchodził – ani nas, ani chińskich marines, którzy teoretycznie mieli ich chronić. Liczyło się teraz jedynie to, że tylko jedna z grup mogła opuścić tę planetę o własnych siłach, obie strony robiły zatem, co w ich mocy, by to na nich wypadło.

– Dysza Pięć, nieprzyjaciel podchodzi do was uliczkami po waszej lewej. Wykonam jeszcze jeden przelot, ale robi się tu cholernie ciasno.

– Przyjąłem, Dwa-Pięć – odparłem. – Zrób, ile zdołasz. Zbieramy tyłki z powrotem do budynku administracyjnego w sektorze Brawo Trzy. Wszystko, co na wschód i zachód ode mnie, to wrogowie.

Działka Osy znów zagrzmiały, tym razem znacznie bliżej niż wcześniej, zupełnie jakby desantowiec wisiał niemal nad naszymi głowami. Pociski przeczesaly odcinek zaułka niespełna dwadzieścia metrów po mojej prawej, tuż po drugiej stronie przysadzistego, brzydkiego budynku z prefabrykatów, który mijałem w biegu. Usłyszałem wrzaski marines ZCR i grzechot ich karabinów, gdy odpowiadali ogniem.

– Dysza Pięć, tu Młot Siedem-Sześć. Jesteśmy nad wami z raketami powietrze-ziemia. Możemy się na coś przydać?

Byłem tak nakręcony, że od jakiegoś czasu nie zerkałem na taktyczny ekran lotniczy. Eskadra Młot, licząca dwie szturmowe Dzierby, krążyła wysoko nad polem bitwy, z dala od hałasu i chaosu, lecz świadoma naszego położenia dzięki wspólnej sieci taktycznej.

– Młot Siedem-Sześć, pewnie, że możecie. Na tyłki włązi nam kompania piechoty. Użyjcie namiaru od Banshee Dwa-Pięć i zrzucicie cały przeciwpiechotny towar, jaki wam został. Udzielam zezwolenia, mamy bliskie zagrożenie.

– Dysza Pięć, zrozumiałem. Biorę namiar od Banshee Dwa-Pięć i oczyszczam teren. Wjeżdżam z towarem. Zasłońcie uszy.

– Banshee Dwa-Pięć, opuść strefę i wróć na stanowisko. Dzięki za pomoc.

– Odbiór – odrzekł pilot Dwa-Pięć. – Zabieram się.

Odgłosy silników krążącego nad nami desantowca wzmogły się, gdy pilot otworzył szerzej przepustnicę, by nabrać wysokości. Z tyłu mocy nabrała również kakofonia palby karabinowej i wybuchających granatów, gdy Chińczycy otrząsnęli się po przelocie Dwa-Pięć i na nowo podjęli pościg. Mylili naszą nagłą chęć opuszczenia okolicy z całkowitą ucieczką, a może wiedzieli dobrze, co miało się wydarzyć, i próbowali następować nam na pięty, by utrudnić zadanie Dzierzbom.

Znaleźliśmy się już niemal z powrotem przy zawalonym centrum administracyjnym, gdy kilkaset metrów za nami rakiety eskadry Młot uderzyły w ziemię. Znajdowałem się w połowie sprintu pomiędzy dwiema osłonami, gdy nagle odcięło mi dopływ dźwięku, a fala uderzeniowa ugodziła w plecy i posłała twarzą w pył. Kiedy wrócił słuch, okazało się, że palba z tyłu ucichła zupełnie. Przez kilka chwil nie słyszałem nic oprócz echa eksplozji w całym osiedlu, zupełnie jakby wybuchy całkowicie oszołomiły wszystkich.

Podniosłem się i obróciłem, by ujrzeć znajomą kolumnę dymu unoszącą się w powietrze. Dookoła spadały szczątki budynków, chodnika oraz ludzi, wymieszane z pylistą czerwoną glebą. Bez sensorów w hełmie nie widziałbym dłoni umieszczonej przed twarzą. Kilkanaście kwartałów chińskiego miasteczka przestało istnieć wraz ze wszystkimi znajdującymi się w ich obrębie ludźmi, zarówno marines ZCR, jak i cywilami. Z lekkiej kolonialnej architektury pozostały jedynie płonące resztki, wśród których widać było parę wraków lekkich pojazdów.

– O kurwa – odezwał się ktoś w pobliżu. – Lotnicy się nie opierdalają, co nie?

– Eskadra Młot, tu Dysza Pięć – nadałem do pilota. – Ale miazga. Według mnie za ten nalot możesz wymalować sobie na Dzierzbie ze sto znaczków.

– Dysza Pięć, przyjąłem. Cała przyjemność po naszej stronie.

Rozproszyliśmy się i trzymaliśmy na baczności, gdy opadał pył po bombardowaniu, lecz było oczywiste, że nawet jeśli jacyś marines ZCR przeżyli, roztropnie opuścili okolicę. Rakiety eskadry oczyściły ćwierć kilometra kwadratowego ciasno ustawionych modułarnych budynków.

– Wracamy do centrum administracyjnego – poleciał porucznik. – Wykopiemy naszych i zawołamy ptaszka.

Skierowaliśmy się z powrotem do miejsca, gdzie szesnaścioro naszych kompanów spoczywało pod gruzami urzędu. Chińscy cywile znów zaczęli wylaniać się z domów, lecz szybko chowali się na nasz widok i nikt nie próbował podważać naszego nowo nabytego prawa własności. Czułem się, jakbym cały dzień uchylał się przed ogniem karabinowym i przywoływał naloty, ale komputer pokazywał, że odkąd wsiedliśmy do desantowca, nie minęły nawet trzy godziny.

Chińskie miasteczko nie stanowiło zbyt imponującej zdobyczy. Składało się z kilometra kwadratowego prostych budynków z prefabrykatów i było pozbawione znaczenia, zanim jeszcze zmazaliśmy jego ćwierć z mapy za pomocą materiałów wybuchowych. Gdybyśmy mieli obsadzić to zadupie, przy najbliższej nadarżającej się okazji miejscowi strzeliliby nam w plecy, ZCR zaś z

wielką chęcią rozwaliliby w drzazgi resztę osiedla, starając się je odzyskać. Nie mieliśmy tu jednak zostawać, rzecz jasna. Straciliśmy dwadzieścioro ludzi, niemal dwa oddziały, i zabiliśmy setki marines oraz cywilów ZCR tylko po to, by dać prztyczka w nos najwyższemu dowództwu Chino-Rosjan. Równie skutecznie mogłyby wykonać to zadanie głowice bojowe wypuszczone z orbity.

– Co za gówno – mruknął do mnie sierżant Ferguson, kopnięciem odsuwając sobie z drogi kawałek gruzu. – Nie możemy już sobie pozwolić na zbyt dużo podobnych zwycięstw.

Przekopywaliśmy się ostrożnie przez ruiny zawałonego centrum administracyjnego, ale bez dostępu do ciężkiego sprzętu przypominało to raczej próby opróżnienia wanny łyżeczką. Dookoła ulice zapełniały się na powrót chińskimi mieszkańcami. Skoro ucichła strzelanina, a my pokazaliśmy, że nie zamierzamy zabić ich na miejscu, z każdą minutą stawali się coraz śmielsi i wrzeszczeli na nas ze zmniejszającej się odległości.

– Jeśli zobaczycie broń wycelowaną w waszą stronę, otwórzcie ogień – powiedział nam porucznik. – Nie przylecieliśmy tu, żeby się zaprzyjaźnić. Zebrałem już dość pieprzonych nieśmiertelników, jak na jeden dzień.

Stałem z boku, przyglądając się tłumowi zbierającemu się na ulicy w pobliżu budynku administracyjnego, gdy sieć taktyczna ożyła strumieniem priorytetowych przekazów. Podłączyłem się do ekranu tak-łącza floty, ale zanim zdążyłem się zorientować w kodach nadchodzących transmisji, sieć zupełnie zdechła.

– Co jest, do cholery?

– Jakiś problem, sierżancie? – spytał porucznik Benning.

– Flota zaczęła nadawać kod priorytetowy i nagle straciłem połączenie.

Porucznik podszedł do mnie i zaczął przełączać własne łącza dowódcze.

– Mam kontakt z jednostkami naziemnymi do stopnia kompanii, ale to tyle – oznajmił. – Dowództwo pułku się wyłączyło.

Kilku chińskich cywilów krzyknęło z zaskoczenia, podniosłem więc wzrok na ciemniejące niebo, podążając za ich spojrzeniami. Na fioletowoniebieskim tle późnego popołudnia ujrzałem szybko powiększającą się, rozpaloną do białości kulę – oznakę wybuchu nuklearnego na wysokiej orbicie. Benning również spojrział, akurat w odpowiedniej chwili, by dostrzec drugą kulę ognistą kawałek od pierwszej. Nawet przy takiej odległości wizjery hełmów włączyły filtry polaryzacyjne, by ochronić nasze siatkówki przed punktowymi błyskami. Poczulem w kolanach nagłą, przemożną słabość.

– O kurwa – odezwał się porucznik.

Zacząłem przeglądać wiadomości, które nadeszły do komputera, zanim straciłem połączenie. Widziałem tam liczne transmisje na kanale priorytetowym floty, zaszyfrowane komunikaty między okrętami, nieczytelne dla mojego komputera, dysponującego ograniczonym poziomem dostępu.

– Proszę spróbować wywołać kompanię – poprosiłem Benninga. – Ja odezwę się do floty.

Otworzyłem kanał na awaryjnej częstotliwości floty, ominąłem protokoły wymuszające ciszę radiową i podkręciłem nadajnik do pełnej mocy.

– „Manitoba”, tu Dysza Pięć. Czy mnie słyszysz, odbiór?

Przez chwilę docierał jedynie szum. Po chwili z „Manitoby” dobiegła jednak odpowiedź i jeśli oceniać po ledwo powstrzymywanej panice w głosie radiotelegrafisty w BCI, sytuacja była naprawdę kiepska.

– Dysza Pięć, proszę nie wchodzić na awaryjną częstotliwość komunikacji międzyokrętowej. Zostaliśmy zaatakowani. „Manitoba” bez odbioru.

Zanim połączenie się urwało, w tle usłyszałem nakładające się na siebie sygnały

alarmowe.

– Sir, flota została zaatakowana – przekazałem porucznikowi. – Nie mam pojęcia, co tam się dzieje, ale brzmiało, jakbyśmy wpadli po uszy w gówno.

Nagle tak-łącze floty na powrót ożyło i po moim ekranie przemknęły kolejne komunikaty w karmazynowej czerwieni wysokiego priorytetu.

– DO WSZYSTKICH JEDNOSTEK NAZIEMNYCH, PORZUCIĆ BIEŻĄCE CELE I ZAJĄĆ STANOWISKA OBRONNE. ZESPÓŁ ZADANIOWY ZOSTAŁ ZAATAKOWANY. ZAPRZESTAĆ, POWTARZAM, ZAPRZESTAĆ PRÓB NADAWANIA DO „MANITOBY”.

Wszedłem w świeżo ustanowione łącze z naszym lotniskowcem i przywołałem wyświetlacz sytuacyjny z BCI. Zajęło to znacznie dłużej niż zwykle – wszystkie węzły wymieniały pokażne ilości danych pomiędzy jednostkami zespołu zadaniowego i brakowało przepustowości dla niepriorytetowych przekazów danych. Piętnaście sekund po przesłaniu prośby na ekranie w hełmie ujrzałem diagram taktyczny z „Manitoby” i poczułem, że mdli mnie ze strachu.

Zespół zadaniowy rozstępował się przed nowymi siłami na orbicie, lecz nowo przybyli nie zostali oznaczeni czerwoną ikoną okrętu ZCR. Widziałem jaskrawy pomarańcz.

Wysoko na niebie rozkwiły kolejne eksplozje nuklearne, niczym krótkotrwałe nowe słońca. W tym momencie żołnierze WPA i chińscy cywile już wspólnie przyglądali się pokazowi fajerwerków, nie zdając sobie sprawy z powagi nowego zagrożenia.

Wreszcie odzyskałem głos:

– Dryblasy – poinformowałem na kanale plutonu. – To pieprzony okręt nasienny Dryblasów.

Rozdział 11

Los zespołu zadaniowego

To dopiero główniane zakończenie dnia – stwierdził sierżant Ferguson.

Nie potrafiłem powstrzymać się przed chichotem, słysząc niedopowiedzenie dekady. Wszyscy mówili jeden przez drugiego na kanale plutonu, więc otworzyłem prywatne połączenie z Benningiem.

– Poruczniku, musimy jak najszybciej wezwać desantowiec i spierdalać z tej skały.

– Rozkazy mówiły, żebyśmy nie ruszali się i przeszli do defensywy – odparł dowódca. – Jeśli tam na górze rzeczywiście jest okręt Dryblasów, wpadlibyśmy w sam środek strzelaniny.

– Proszę spojrzeć. – Wydzieliłem przekaz z BCI „Manitoby” i przesłałem porucznikowi. Nasza flota rozlatywała się w dwie strony, podobnie jak niewielki zespół zadaniowy ZCR, który zaatakowaliśmy wcześniej. Lotniskowiec i jeden z eskortujących go niszczycieli schodziły z orbity, oddalając się od Dryblasów, a okręty typu Obuch i krążownik kontroli przestrzeni osłaniały odwrót „Manitoby”. Pomiędzy naszymi okrętami a zbliżającymi się obcymi roilo się od ikon rakiet, ponieważ trzy krążowniki opróżniły zasoby w kierunku nowego wroga. Wspólnie przewoziły kilkadziesiąt megaton w atomówkach, co wystarczyłoby do przemienienia niewielkiego księżyca w nuklearne pustkowienie, ale okręty nasienne Dryblasów były niesłychanie solidne, a poza tym w próżni bomby atomowe nie osiągały nawet jednej czwartej mocy, jaką miały w atmosferze.

– Próbują dostać się do komina, a krążowniki zamierzają dać im czas. Jeśli za pięć minut wciąż tutaj będziemy, odlecą za daleko i za miesiąc zostaniemy zmuszeni do oddychania dwutlenkiem węgla. Nie wrócą już, sir. Nie zaryzykują kolejnego zespołu zadaniowego dla uratowania byle pułku. Dobrze pan to wie.

– Zostaną zdmuchnięci w przestrzeni i zginiemy wraz z nimi, sierżancie.

– Jeśli dotrą do Alcubierre’a, będziemy bezpieczni. Inaczej zginiemy, tak czy owak. Po prostu zajmie to parę dni dłużej.

– Kurwa.

Porucznik nie zastanawiał się długo. Zamknął prywatne połączenie i odezwał się na kanale plutonu:

– No dobra, koniec gadania. Spadamy stąd. Oznaczcie miejsce dla ptaszka. Wydostajemy się stąd, póki możemy. Banshee Dwa-Pięć, ląduj w celu ewakuacji.

– Odbiór. Przewidywany czas przybycia trzydzieści sekund.

Oznaczyliśmy puste miejsce i czekaliśmy na taksówkę, nie zapominając o chińskich cywilach, którzy wciąż kręcili się w okolicy, nie wiedząc, co spowodowało naszą nagłą aktywność. Dzięki tak-łączu dysponowałem bieżącym obrazem toczącej się na orbicie bitwy. Znałem powagę sytuacji i trzydzieści sekund oczekiwania na Osę wydawało się ciągnąć niczym trzy tygodnie. Wreszcie Banshee Dwa-Pięć sfrunęła z ciemniejszego nieba, wykonała przelot na niskim pułapie, by przyjrzeć się miejscu lądowania, po czym spoczęła zgrabnie prosto na naszych znacznikach.

Znajdowałem się w tylnej straży i nie spuszczałem karabinu z chińskich cywilów, gdy pierwsza połowa naszego dziesięciokrotnie większego kontyngentu wbiegała na pokład Osy. Przed sobą, na wąskich uliczkach biegnących za zniszczonym budynkiem administracyjnym, widziałem jakichś czterdziestu, pięćdziesięciu miejscowych. Większość z nich jedynie nas obserwowała, lecz niektórzy zebraли się na odwagę, by wykrzykiwać obelgi lub rzucać kawałkami gruzu w naszą stronę.

Wy biedne gnojki, pomyślałem. Przetrwaliście nasze karabiny i bomby, a teraz i tak zginiecie, albo zagazowani przez Dryblasów, albo dusząc się jak ryby wyrzucone na ląd.

Nie potrafiłem dostatecznie dobrze mówić po chińsku, by wyjaśnić im, co ich czeka, ale nawet gdybym znał więcej niż tych kilka zwrotów, których nauczyłem się podczas szkolenia we flocie: „stój”, „poddaj się”, „idź się jebać”, i tak nie marnowałbym na to czasu. Sami wkrótce się dowiedzą, jeśli atomówki wybuchające na orbicie nie stanowiły wystarczającego wyjaśnienia. Nie stosowaliśmy broni nuklearnej przeciwko ZCR i oni nie używali jej przeciw nam, ponieważ napromieniowanie zasobów, o które się walczy, to kiepska taktyka. Wykorzystywaliśmy głowice atomowe tylko wtedy, gdy atakowaliśmy Dryblasów.

– Druga grupa, ruchy! – zawołał sierżant Ferguson. Zaufałem, że pierwsza połowa plutonu będzie mnie osłaniać, i obróciłem się, by pobiec w stronę tylnej rampy okrętu desantowego stojącego na jałowym biegu w odległości jakichś stu metrów. Pod stertą gruzu na prawo ode mnie wciąż leżały ciała kompanów. Będzie musiała służyć im za grób, dopóki nie wrócimy tu, by odzyskać Syriusza A d od Dryblasów, którzy zawładną nim zupełnie w ciągu miesiąca.

Wbiegłem po rampie, przypiąłem się do fotela w ładowni i wyjrzałem na zewnątrz. Gdy kłapa zaczęła się unosić, moim ostatnim widokiem na planecie była chmara chińskich cywilów rojąca się na szczątkach dawnego centrum administracyjnego. Czuję się, jakbym opuszczał więzienie pełne skazanych na śmierć, do którego właśnie wkraczał kat.

Gdy wspinaliśmy się na orbitę, mogłem spoglądać jedynie na pomalowaną na szaro gródź, a do roboty nie pozostawało mi nic poza zaciśnięciem pasów, tkwiłem więc przyklejony do ekranu taktycznego. Tocząca się w górze bitwa stanowiła strzelaninę pomiędzy zdecydowanie nierównymi przeciwnikami. Choć stosowaliśmy przeciwko obcym naszą najbardziej zaawansowaną technologię, przy ich poziomie moglibyśmy równie dobrze ciskać kamieniami i patykami zamiast dwudziestomegatonowymi głowicami, które nie czyniły spodziewanych zniszczeń. Krążowniki ustawiły się pomiędzy okrętem Dryblasów a wycofującym się lotniskowcem, wypluwając z siebie kolejne salwy pocisków, lecz okręt nasienny zupełnie nie zmieniał trajektorii, jakby nasze głowice po nim spływały. „Manitoba” wraz z eskortą opuszczała obszar z maksymalnym przyspieszeniem, jednak obcy dysponowali dużym pędem, a krążowniki nawet ich nie spowolniły.

Wspinaliśmy się na niską orbitę na pełnym gazie, lecz nasz lot wydawał się boleśnie powolny. Z każdym kolejnym osiągniętym przez Osę metrem lotniskowiec i jego eskorta coraz bardziej się oddalali. Gdy wreszcie poczułem, że nieważkość lotu orbitalnego unosi mnie w uprząży, „Manitoba” znajdowała się już w odległości niemal ćwierć miliona kilometrów. Okręt Dryblasów był znacznie bliżej.

– Nie ma szans, żebyśmy ich dogonili – powiedział do nas szef załogi ze swego rozkładanego siedziska przy przedniej grodzi. – Chyba że trochę zwolnią i pozwolą nam nadrobić.

– Jeśli się nie uda, po prostu wrócimy na powierzchnię – odparł porucznik Benning. – I tak nie będziemy mieć bardziej przejebane, niż mamy teraz.

Jak na zawołanie, pilot odezwał się przez interkom:

– Uwaga, manewry uchyleniowe.

Desantowiec zaczął wykonywać pochylenia i przechylenia w niskiej grawitacji. W ładowni byliśmy ślepi i głusi, nieświadomi zagrożenia, z powodu którego pilot wprowadził Osę w zwroty. Poczucie braku kontroli i informacji okazywało się niemal gorsze niż znalezienie się w

środku paskudnej strzelaniny. Przeskanowałem pokładowe węzły danych i podłączyłem się do zewnętrznej kamery umieszczonej na grzbiecie pojazdu. Przez chwilę nie dostrzegałem nic poza przemykającymi odległymi gwiazdami, lecz nagle pilot wyprostował lot i szerokokątny obiektyw ukazał wycinek toczącej się w pobliżu bitwy.

Od strony naszej sterburty wirował jeden z krążowników Obuch, brocząc powietrzem i zamrażającymi płynami z setek otworów w kadłubie zewnętrznym. Tuż za nim masywne cielsko nasiennego okrętu Dryblasów przepychało się przez pospiesznie ustawioną blokadę. Przy błyszczącym, wydłużonym statku obcych, przypominającym coś pomiędzy roślinnym strąkiem a staroświeckim nabojem karabinowym, nasze krążowniki wyglądały niczym jaskółki próbujące atakować orła. Wiedziałem, że Obuch liczył niemal czterysta metrów długości, a okręt nasienny wydawał się przynajmniej pięciokrotnie większy. Podczas odpraw wywiadu widywałem już wcześniej zdjęcia wykonane przez drony, teraz jednak pierwszy raz spoglądałem na takiego kolosa okiem kamery i sam jego widok sprawiał, że chciałem schować się we własnych opancerzonych butach. Wszystkie trzy krążowniki wyglądały na sponiewierane i nawet z odległości setek kilometrów dostrzegałem w ich kadłubach dziury, lecz po statku Dryblasów nie widać było żadnych uszkodzeń. Obuchy stanowiły nasze najnowsze osiągnięcie. Nowoczesne krążowniki obronne potrafiły przetrwać atak całego zespołu zadaniowego ZCR, lecz obcy spychali właśnie dwa z nich z drogi, nawet nie naciskając hamulca.

Pilot zmienił nasz kurs, by gonić uciekający lotniskowiec, i kamera zaczęła wskazywać obszar pomiędzy Syriuszem A d a naszym tajnym punktem przejścia w Alcubierre'a. Nie byłem astronawigatorem, lecz potrafiłem odczytywać wektory ruchu i przeprowadzać w głowie dość szybkie obliczenia, dostrzegałem więc, że szef załogi mówił prawdę: nie mieliśmy szans dogonić „Manitoby” i jej eskorty, choć lecieliśmy najszybciej, jak to możliwe. Lotniskowiec wycofywał się z maksymalnym przyspieszeniem, próbując osiągnąć komin, zanim Dryblasy dogonią go i zamienią stutysięcznotonowy okręt flagowy w kupę złomu.

– Co za pojebany dzień – odezwał się sierżant Ferguson do nikogo szczególnego.

Bez najmniejszego ostrzeżenia tylne drzwi desantowca przestały istnieć. Przez Osę przebiegł wstrząs przypominający falę uderzeniową po wybuchu granatu. Coś szybkiego i niezwykle gorącego przedarło się przez ładownię od tyłu do przodu, po czym przebiło przez gródź po mojej prawej stronie. Nastąpiła gwałtowna dekompresja, gdy powietrze zostało wysane przez szramę w zewnętrznym kadłubie. Szarpnęło mnie w uprząży, a mój pancerz automatycznie się zhermetyzował i włączył własne źródło tlenu. Uderzyłem potylicą w ścianę i choć hełm miał wyściółkę, ujrzałem przed oczyma czerwone gwiazdy. W ładowni zapanował zupełny chaos, wszystko, co nie było przymocowane, zostało rozrzucone. Nie otaczało nas już powietrze, nie docierały więc do mnie żadne zewnętrzne dźwięki i nagła cisza jeszcze wzmagała wrażenie surrealizmu całej sceny. Gdy wrócił wzrok i świat przestał wirować, zupełnie odruchowo sięgnąłem po karabin, lecz mój M-66 zniknął, wyrwany z mocowania.

Wnętrze Osy przypominało rzeźnię. Cokolwiek przedostało się przez tylną klapę, przemknęło przez cały desantowiec od rufy do dziobu, lekko na skos od osi. Przed moimi oczyma przelatywały dryfujące do tyłu fragmenty pancerza, siedzeń, uprząży i ludzi. Zerknąłem w lewo i dostrzegłem, że ciągniemy za sobą ogon szczątków i zamrażającego tlenu. Rząd siedzeń naprzeciwko mnie przestał istnieć, podobnie jak żołnierze siedzący tam jeszcze przed chwilą. Połowa grodzi oddzielającej nas od kokpitu została wyrwana i zamiast widzieć znajdujące się wcześniej za nią małą kuchnię i toaletę, spoglądałem w pustkę przestrzeni. Zniknął również wąż do kokpitu, a obszar przed nim wyglądał, jakbyśmy z pełną prędkością wbili się dziobem w pancerz „Manitoby”. Po ruchach gwiazd widocznych przez ogromne dziury w kadłubie mogłem stwierdzić, że wirowaliśmy.

Niektórzy z żołnierzy wołali o pomoc przez radio, inni mówili przez siebie, krzyczeli i wrzeszczeli w szoku albo przerażeniu. Ładownia była wyposażona w dwa umieszczone po bokach rzędy siedzeń i ja znajdowałem się w przedniej części od sterburty. Cała tylna połowa mojego rzędu została wyrwana i w miejscu, w którym pocisk Dryblasów przedarł się przez Osę, pozostał jedynie powykręcany metal oraz podarta wyściółka kadłuba. Atak zniszczył również część siedzeń od bakburty, począwszy od punktów mocowania skrzydeł w połowie desantowca aż do przedniej grodzi. Czystym zrządzeniem losu znalazłem się w jednym z miejsc, które nie zostały unicestwione przez miliony dzuli energii kinetycznej. Na dłuższą metę i tak nie miało to jednak znaczenia – okręt był zniszczony i znajdowaliśmy się wysoko na orbicie Syriusza A d. Wszystkie jednostki naszej floty brały udział w walce, przestały istnieć albo uciekały przed obcymi. Nie został nikt, kto mógłby podlecieć i wyciągnąć mnie ze szczątków.

Wbrew rozsądkowi uruchomiłem kanał pilotów.

– Banshee Dwa-Pięć, słyszycie mnie?

Nie doczekałem się odpowiedzi, rzecz jasna. Wychyliłem się w uprząży, nie chcąc jej rozpinąć i ryzykować, że zostanę wyrzucony za Osę, i wyjrzałem za róg włazu w przedniej grodzi. Zbrojownia wciąż istniała, prawa strona kokpitu wydawała się raczej nieuszkodzona, ale druga została całkowicie roztraskana. Zupełnie zniknął lewy fotel, a pilot z prawego zwiślał bezwładnie, przechylony na bok. Stracił głowę wraz z większą częścią szyi i małe bąbelki zamrożonej krwi wypływały ze zniszczonego kokpitu, rozpluwając się w przestrzeni niczym chmura drobniotkich różowych baloników.

– Odliczyć się – poleciał na kanale plutonu jeden z dowódców oddziałów – jeśli jeszcze żyjecie.

Zerknąłem na ekran taktyczny, by sprawdzić dane z pancerzy, i zauważyłem, że pozostałem jedną z czterech wciąż żyjących w ładowni osób. Kolejne dwie wciąż były przypięte do siedzeń, lecz ich systemy nie wykazywały oznak życia – może pancerze nie zhermetyzowały się na czas albo pędzący z wielką prędkością odłamek przebił hełm. Sześcioro żywych żołnierzy dryfowało w przestrzeni poza Osą niczym śmieci wyrzucane z dużych okrętów, coraz bardziej oddalając się od niesionego siłą bezwładności desantowca.

– Zgłasza się Grayson – zameldowałem się. – Sprawdźcie poziom tlenu i przytrzymajcie się czegoś solidnego. Spróbuję wywołać flotę na kanale awaryjnym.

– Jeśli to coś w ogóle da – odpowiedział sierżant. – Mam nadzieję, że cię usłyszą. Zostało mi powietrza na dwie godziny.

Zerknąłem na własne zapasy tlenu i nie okazały się dużo lepsze: trzy godziny i trzynaście minut przy bieżącym zużyciu, jak z niepotrzebną precyzją poinformował mnie komputer. Zbiorniki stanowiły niewielką rezerwę przeznaczoną na nagłe wypadki w próżni, na przykład gdyby desantowiec stracił szczelność podczas zejścia, lecz projektanci zakładali, że w pobliżu znajdują się jednostki ratownicze. Stroje bojowe kiepsko nadawały się do spacerów kosmicznych – połączenia w stawach nie były zbyt wytrzymałe i draśnięcie nieprzyjacielską fleszetą oznaczało, że z trzygodzinnego zapasu powietrza robiło się pięć minut. Robalowe skorupy wyposażano w znacznie bardziej rozbudowane systemy tlenowe, ponieważ służyły do walki na światach Dryblasów, o wysokiej zawartości dwutlenku węgla w atmosferze, lecz mój wisiał w szafce na „Manitobie”, oddalonej obecnie o niemal pół miliona kilometrów.

Włączyłem znów nadajnik, podkreśliłem go na pełną moc i zacząłem nadawać informacje o zagrażającej nam śmierci:

– Do wszystkich jednostek floty, do wszystkich jednostek floty. Mówi Dysza Pięć w Banshee Dwa-Pięć, okręcie typu Osa. Mamy drastycznie uszkodzony kadłub i dryfujemy. Obaj piloci nie żyją. W kadłubie znajduje się czworo ocalałych, kolejnych sześcioro na zewnątrz.

Ogłaszam sytuację awaryjną.

Czekałem na odpowiedź, słyszałem jednak tylko szum niewykorzystywanej częstotliwości. Powtórzyłem przekaz jeszcze trzykrotnie, ale nikt nie chciał lub nie mógł zareagować.

– A więc to by było tyle – stwierdził sierżant.

– Komuś została broń? – spytała inna z ocalałych.

– Tak, Goodwin, mam karabin – odparł sierżant. – A co zamierzasz robić tu z tą pieprzoną wiatrówką?

– Zostało mi powietrza na dwie i pół godziny – poinformowała Goodwin. – Gdy miną dwie godziny i dwadzieścia dziewięć minut, chętnie pożyczę pański karabin, sierzancie.

– Sam nie będę już wtedy żył, dziewczyno, więc się nie krępuj.

– Dzięki, sierzancie – odrzekła Goodwin z beztroską uprzejmością, jakby podoficer zgodził się właśnie zamienić z nią na desery.

– Co za pojebany dzień – oznajmił sierżant, powtarzając wcześniejsze słowa Fergusona, który siedział naprzeciwko mnie i zapewne zginął w tym samym ułamku sekundy, w którym pocisk Dryblasów przedarł się przez Osę.

Dryfowaliśmy w mroku i w milczeniu, zastanawiając się nad wygłoszonym właśnie epitafium. Uznałem, że jak na przemowy pogrzebowe, Fergusonowi poszło całkiem nieźle.

Nasz zniszczony desantowiec unosił się w ciemnej przestrzeni, pozbawiając nas poczucia orientacji. Bez zegara w hełmie nie potrafiłbym ocenić upływu czasu. Co pięć minut nadawałem ten sam awaryjny przekaz, lecz nawet pół godziny po zniszczeniu Banshee Dwa-Pięć nikt nie odpowiedział na nasze wezwanie o pomoc. Moje łącze danych z flotą przestało ściągać aktualizacje w czasie rzeczywistym, ekran taktyczny zaś pokazywał tylko szacunkowe pozycje okrętów. Na obu Protektorach błyskały ikony awaryjne, a krążownik kontroli przestrzeni typu Obuch zupełnie zniknął z diagramu. „Manitoba” znalazła się poza zasięgiem mapy taktycznej, podobnie jak okręt nasienny Dryblasów. Znajdowaliśmy się sami w przestrzeni nad Syriuszem A d.

Systemy chłodzące pracowały w nadgodzinach, by ciepłota ciała nie ugotowała mnie we wnętrzu pancerza. Powietrza miałem jeszcze na dwie i pół godziny, akumulatory zaś mogły zasilać strój jeszcze przez dzień czy nawet dwa, zanim wszystko się wyłączy. Zastanawiałem się, czy w pamięci komputera taktycznego zostawić ostatnią wiadomość, pożegnanie z mamą i z Halley, lecz uznałem, że to bezcelowe. Wcześniej czy później grawitacja Syriusza A d pochwyłaby zniszczony desantowiec, zatem spłonęlibyśmy w atmosferze. Może przetrwałyby jakieś szczątki, ale nawet gdybyśmy zdołali odzyskać planetę, nikt nie szukałby paru nieśmiertelników i przypalonych kości pamięci.

Czterdzieści pięć minut po moim pierwszym wezwaniu pomocy na ekranie wyświetliła się kolejna awaryjna ikonka z wektorem wskazującym, że okręt znajduje się daleko poza zasięgiem ekranu. Po chwili zupełnie siadło połączenie sieciowe tak-łącza.

– Oż cholera.

– Co się dzieje, Grayson? – chciał wiedzieć sierżant.

– Straciliśmy „Manitobę”. Właśnie pojawiła się jej boja wypadkowa.

Od strony pozostałych żołnierzy dobiegły rozpaczliwe jęki. „Manitoba” nie zdążyła dolecieć do komina Alcubierre’a. Nikt nie dowie się o naszym losie, dopóki na Stacji Węzłowej nie zaczną się niepokoić przedłużającą się nieobecnością zespołu zadaniowego i nie wyślą kogoś na poszukiwania. Licząc sam lotniskowiec i trzy krążowniki, straciliśmy tego dnia dziesięć tysięcy ludzi, a kolejnych pięć tysięcy piechoty utknęło w pyłe Syriusza A d, czekając na nieuniknioną eksterminację ze strony nowych władców systemu. Nie miałem pojęcia, ilu

cywilów uzupełni tę liczbę, zanim Dryblasy zakończą proces przejmowania planety, ale kolonia była stara, założona pół wieku temu, mogła więc liczyć ponad milion osadników, pozaziemian w trzecim pokoleniu.

Miałem dwadzieścia sześć lat. Przez ostatnich pięć lat życia służyłem Wspólnocie, gdzie tylko postanowiła mnie wysłać. Straciłem rachubę, ile osób zabiłem – bezpośrednio, za pomocą karabinu, oraz pośrednio, przywołując na nich naloty oraz wsparcie lotnicze. Ściągałem bomby atomowe na osady obcych, a podczas okresu służby w Armii Terytorialnej strzelałem do własnych rodaków podczas zamieszek w dzielnicy komunalnej. Wszystko to doprowadziło mnie do tego losu: miałem udusić się w zniszczonej ładowni okrętu desantowego wysoko na orbicie drugorzędnej kolonii, której i tak nie zamierzaliśmy zatrzymywać, albo strzelić sobie w głowę, by szybko zakończyć cierpienia.

Pomyślałem o Halley – o tym, jak poznaliśmy się pierwszego dnia szkolenia podstawowego, gdy zrządem kolejności w alfabecie trafiliśmy na to samo piętrowe łóżko – i poczułem głęboką wdzięczność za nasz przerywany, rozpaczliwy oraz dziwaczny związek, intensywny i ekscytujący pomimo wszelkich przeszkód rzucanych nam pod nogi przez beznamienne wojsko. Pomyślałem o mamie i o smutku, jaki poczuje na wieść o śmierci jedynego dziecka, lecz cieszyłem się, że udało nam się spędzić trochę czasu razem, zanim wyruszyłem na tę szaleńczą awanturę.

Uznałem, że niczego nie żałuję, i gdybym otrzymał taką możliwość, wszystko bym powtórzył w dokładnie taki sam sposób. Choć moje życie nie trwało długo, przynajmniej jego ostatni okres zdołałem wieść na własnych warunkach.

Po upływie godziny, gdy zapas powietrza skurczył mi się do niewiele ponad dwóch godzin, znów włączyłem nadajnik.

– Do wszystkich jednostek floty, do wszystkich jednostek floty. Mówi Dysza Pięć w Banshee Dwa-Pięć. Dryfujemy w przestrzeni i kończy się nam tlen. Jeśli ktoś mnie słyszy, proszę o potwierdzenie.

Nie spodziewałem się reakcji i gdy na moje wezwanie odpowiedział urywany głos, tak mocno wzdrygnąłem się z podniecenia, że aż uderzyłem głową o ścianę za plecami.

– Dysza Pięć... „Nassau”. Słyszę cię jeden na pięć. Podaj pozycję.

– „Nassau”, jesteśmy nad Syriuszem A d w zniszczonej Osie i wyczerpuje nam się tlen. Przesyłam namiar. Macie coś, co moglibyście wysłać w naszą stronę?

– Dysza Pięć, nie mamy – dobiegła po chwili odpowiedź. – Jesteśmy czterdzieści pięć minut od Alcubierre’a i pomiędzy nami a wami znajdują się Dryblasy. Przykro mi.

„Nassau” była fregatą eskortującą stawiacz min, który oderwał się od zespołu zadaniowego zaraz po naszym dotarciu do systemu. Posiadała własne desantowce, jeśli jednak znajdowali się mniej niż godzinę od punktu przejścia, od naszej pozycji dzieliły ją cztery godziny drogi. Nawet gdyby zawrócili i skierowali się w naszą stronę z maksymalnym przyspieszeniem, już dawno byśmy nie żyli, zanimby tu dotarli, a dowódca fregaty nie zamierzał podzielić losu lotniskowca i trzech krążowników. Przełknąłem gorzką pigułkę rozczarowania, gdy zgasła ta nowa nadzieja.

Nagle na kanale awaryjnym przemówił nowy głos, wyraźnie, głośno i niecierpliwie:

– „Nassau”, cofam tę decyzję. Zawróćcie i przygotujcie pokład lotniczy na przybycie desantowców. Tu DGL z „Manitoby”.

Zerknąłem na wyświetlacz taktyczny, by sprawdzić źródło nowej transmisji, i ujrzałem formację czterech okrętów desantowych wznoszących się z atmosfery Syriusza A d. Pierwszy z nich nosił oznaczenia DGL i D4P: dowódca grupy lotniczej i dowódca 4. Pułku, a zatem wiozł na pokładzie zarówno dowódcę grupy lotniczej z „Manitoby”, jak i dowódcę naszego pułku

piechoty, dwóch najwyższych rangą oficerów w całym zespole zadaniowym. Miałem ochotę wstrzymać oddech, by nie wydawać żadnych niepotrzebnych dźwięków i nie przegapić ani słowa z przekazywanych komunikatów.

– DGL z „Manitoby”, tu „Nassau”. Nie jesteśmy w stanie odwrócić kursu. Znajdujemy się czterdzieści pięć minut od komina.

– „Nassau”, tu DGL z „Manitoby”. Widzę was na diagramie. Zwolnijcie i trzymajcie się w pobliżu punktu przejścia. Mam tu eskadrę czterech desantowców wypakowaną żołnierzami. Możemy po drodze zgarnąć Dyszę Pięć i jego świtę, a potem dogonimy was za cztery godziny.

– Sir, na ogonie siedzi nam okręt nasienny Dryblasów, jeśli nie śledził pan bieżących wydarzeń.

– Potrafię odczytywać diagram. Dryblasy już nie przyspieszają. Możemy ich obejść. Dlaczego w ogóle z wami rozmawiam? Dajcie tu dowódcę „Nassau”, i to, kurwa, już.

Po jakichś dziesięciu sekundach ciszy rozległ się nowy głos:

– DGL, tu dowódca „Nassau”.

– Podpułkownik Carignan, byłbym bardzo wdzięczny, gdybyście zwolnili i dali nam się dogonić.

– Pete, prosisz mnie, żebym ryzykował okrętem. Nie widziałeś, co stało się z „Manitobą”? Nie mam zamiaru dodać nas do listy poległych.

– Dryblasy są na kursie wstecznym i daleko od was. Zaczekajcie w pobliżu komina i jeśli ten okręt nasienny ruszy w waszą stronę, przechodźcie. A jeśli nie, pozwólcie nam spróbować się przekraść. Mam tu setkę ludzi, a tylko wy możecie wejść w Alcubierre’a.

Dowódca „Nassau” znów potrzebował dziesięciu sekund, by odpowiedzieć:

– Pułkowniku, nie mogę tego zrobić. Najwyższym priorytetem jest dla mnie załoga.

– No dobrze – stwierdził DGL głosem pełnym gniewu. – Podpułkowniku, pozwólcie, że inaczej sformułuję swoją prośbę. Mam tu cztery Ważki wiozące w sumie szesnaście standardowych atomówek. Proszę zrobić, co sugeruję, i poczekać na nas, inaczej wyślę w waszą stronę wszystkie te jebane rakiety. Być może nie zdołają was dogonić, ale to już pańskie ryzyko. Potrafią lecieć z pięćdziesiąt g nieprzerwanego przyspieszenia, a ta wasza stara łajba stanowi spory cel.

Ledwo zdołałem powstrzymać śmiech w ciszy, jaka zapadła po groźbie rzuconej przez DGL. Pułkownik Barrett, dowódca grupy lotniczej „Manitoby”, cieszył się opinią szorstkiego i wyglądało na to, że perspektywa porzucenia w systemie zajmowanym właśnie przez Dryblasów wyzuła go z resztek dyplomacji. Nie miałem pojęcia, czy tylko blefował, ale szczerze wierzyłem, że nie. Długodystansowe standardowe głowice Ważek nie były tak naprawdę przeznaczone do użytku przeciwokrętowego i systemy lotniskowca przechwyciłyby je na długo, zanim znalazłyby się w groźnej odległości, ale „Nassau” była jedynie starą fregatą i szesnaście półmegatonowych bomb wyczerpałoby możliwości jej obrony.

– To groźba ataku nuklearnego na mój okręt? Czy doszczętnie cię pojebało? Pamiętaj, że każę cię zamknąć i postawię przed sądem wojennym – odparł wreszcie kapitan „Nassau”. Brzmiał teraz na równie wkurzonego jak DGL.

– Tym będziemy się martwić później – nadał w odpowiedzi pułkownik Barrett.

– Macie cztery godziny – oznajmił dowódca „Nassau”. – Zwalniamy. Jeśli do tego czasu nie znajdziecie się w kłamrach dokujących, przechodzimy. Jeśli Dryblasy ruszą w naszą stronę, również przechodzimy. Rozumiemy się?

– W pełni. DGL bez odbioru.

W mroku roztraskanego kadłuba pozwoliłem sobie na radosny okrzyk.

Eskadra podleciała do naszej martwej Osy i dziesięć minut manewrowania wydawało nam się ciągnąć jak dziesięć godzin. Desantowe Ważki miały służyć dla sił specjalnych, mogliśmy więc wejść do środka bez potrzeby dekompresowania ładowni. Nie dysponowaliśmy jednak skafandrami kosmicznymi, a ostatnie ćwiczenia w zerowej grawitacji odbyłem przed kilkoma miesiącami, poza tym nieszczególnie lubiłem zmieniać środek transportu na orbicie. W normalnych okolicznościach otaczająca nas sceneria stanowiłaby widok zapierający dech w piersiach: smukłe i groźne szturmowe Ważki mrugające światłami pozycyjnymi i dopasowujące kurs do naszego wraku, a wszystko to na tle czerwono-brązowej powierzchni Syriusza A d. Skupiałem jednak wzrok na włazie Ważki, małym celu leżącym dwadzieścia metrów od zniszczonej tylnej rampy Osy. Odpychając się, błędnie wymierzyłem trajektorię i pomknąłem zbyt wysoko w stosunku do wejścia, lecz pilot Ważki na ułamek sekundy uruchomił pędniki i wprawnie zgarnął mnie we właz, niczym łapacz chwytający piłkę rękawicą w baseballu. Po chwili drzwi się zamknęły i usłyszałem szum powietrza napływającego z powrotem do słuzy. Desantowce nie miały sztucznej grawitacji jak duże okręty, musiałem więc trzymać się sieci rozwieszonych na ścianach, aby nie obracać się w środku jak groszek w puszcze.

– Wytrzymaj jeszcze dwadzieścia sekund, żołnierzu – powiedział ktoś przez interkom. – Otworzę właz, gdy tylko ciśnienie wróci do normy.

– Żaden problem – odparłem. – Nie spieszy mi się.

W stanie nieważkości nie odczuwałem bezpośrednio ruchów pojazdu, lecz gdy pilot znów zwiększył obroty, poczułem wibracje przenoszące się z kadłuba na trzymaną przeze mnie siatkę. Na ekranie taktycznym widziałem cztery ustawione w formację rombu Ważki odłączające się od symbolu oznaczającego martwą Banshee Dwa-Pięć, a następnie oddalające się z maksymalnym przyspieszeniem od Syriusza A d. Skoro w perspektywie mieliśmy teraz tylko czterogodzinny lot i omińcie okrętu nasiennego Dryblasów, zamknąłem ekran taktyczny. Gdyby udało nam się uciec, chyba po raz pięćdziesiąty zawdzięczałbym życie pilotowi desantowca, a gdyby obcy nas przechwycili, nie chciałem widzieć zbliżającej się śmierci.

Gdy po czterech godzinach zacumowaliśmy do „Nassau”, spodziewałem się na pokładzie lotniczym eskorty, która odprowadziłaby nas prosto do aresztu, jednak wyglądało na to, że kapitan fregaty postanowił zostawić sprawę sądu wojennego na później. Gdy wyszliśmy z ładowni, witał nas tylko szef pokładu, ponaglący niecierpliwymi gestami. Niewielki hangar „Nassau” zwykle mieścił dwa desantowce przygotowane do walki oraz dwa zapasowe, a gdy w środku znalazły się jeszcze cztery wielkie nowe Ważki, pojazdy musiały stać skrzydło w skrzydło.

– Do wszystkich, przygotować się do przejścia w Alcubierre’a. Powtarzam, przygotować się do przejścia w Alcubierre’a. Zostało piętnaście minut.

Po przybyciu na małą fregatę niemal setki nowych żołnierzy okręt był teraz przepełniony ludźmi i sprzętem. Nie mieliśmy do czego się przypiąć, siadaliśmy więc, gdzie tylko udało nam się znaleźć kawałek wolnej przestrzeni. Wszedłem w róg magazynu, zdjąłem hełm i spocząłem na zaplamionej olejem podłodze, czekając na wejście w komin.

Zostawialiśmy za sobą lotniskowiec, niszczyciel oraz trzy krążowniki wraz z całym załogami. Na Syriuszu A d porzuciliśmy ponad połowę składu dwóch pełnych pułków Piechoty Kosmicznej, tysiące żołnierzy nieprzygotowanych sprzętowo do walki z Dryblasami, którzy wkrótce mieli im spaść na głowy. Nawet gdyby udało im się na razie wymknąć obcy, wszyscy ludzie na planecie i tak mieli zginąć w ciągu najwyżej dwóch miesięcy z powodu nienadającej się

do oddychania atmosfery. Wykonaliśmy podręcznikowe planetarne natarcie, wygraliśmy wszystkie bitwy na powierzchni i ponieśliśmy najgorszą klęskę sił wojskowych WPA od połowy dekady: dziesięć tysięcy osób zginęło w pół godziny, kolejnych pięć tysięcy miało umrzeć, a Dryblaszy zawładnęli systemem leżącym w odległości zaledwie siedmiu lat świetlnych lub jednego skoku od naszej ojczystej planety.

Po zadaniach bojowych rozmawiałem już z setkami wojskowych psychologów. Musieliśmy przechodzić przez badania psychologiczne za każdym razem, gdy wracaliśmy z misji, w której kogoś straciliśmy, aby nie skończyło się na tym, że ktoś zacznie strzelaninę w mesie albo palnie sobie w łeb. Spece od czubków zawsze zadawali te same pytania, aby otrzymywać odpowiedzi pozwalające im stawiać znaczki we właściwych miejscach w formularzach. Wielu z nich troszczyło się o syndrom ocalonego – koncepcję, że my, żołnierze frontowi, odczuwaliśmy winę, zadręczaliśmy się mentalnie za to, że przeżyliśmy bitwy, w których polegli nasi przyjaciele oraz kompani. Według mnie wszystko to było stekiem bzdur.

Gdy wlecieliśmy w komin i otaczające okręt pole Alcubierre'a sprawiło, że każda molekula mojego ciała zaczęła słabo boleć, jedyna odczuwana przeze mnie wina wiązała się z poczuciem ulgi, że nie znajduję się wśród biednych gnojzków porzuconych na powierzchni i skazanych na pewną śmierć z łap Dryblasów. Nie winiłem się jednak za to, że umknąłem losowi, i wiedziałem, że wielu zostawianych przez nas żołnierzy też by się nie zadręczało na moim miejscu.

Rozdział 12

Chwytnie się brzytwy

Gdyby walka z Dryblasami szła nam równie dobrze jak wyrzynanie się nawzajem, flota zebrałaby wielki zespół zadaniowy i przeszła w kupie do systemu Syriusza A, aby nakopać obcym i uratować wszystkich porzuconych żołnierzy. Zamiast tego jedynymi ludźmi, którzy natychmiast rzucili się do akcji, byli wojskowi biurokraci.

Przez cały okres naszej podróży od komina Alcubierre'a na Ziemię flota wykorzystywała pełną przepustowość łączy, by prowadzić przesłuchania wideo z ocalałymi członkami zespołu zadaniowego lotniskowca Siedemdziesiąt Dwa. Rozmawiałem z niekończącą się procesją majorów, pułkowników i generałów, do których dołączyła zgraja cywilnych urzędników z departamentu obrony, i dziesiątki razy powtarzałem tę samą opowieść. Ponieważ przeżyłem jako jedyny kontroler walki z obu pułków, które wylądowały na powierzchni, kości pamięci z mojego pancerza bojowego bardzo zainteresowały naczelstwo i kapitan wywiadu został specjalnie wysłany wraz z eskortą żandarmerii, by zabrać mój strój, zupełnie jakbym był na tyle głupi, by przypadkowo nadpisać dane wiadomościami z sieciowizji albo nadać wszystkie zebrane informacje przez systemy komunikacyjne „Nassau”.

Po trzecim dniu wypełnionym przesłuchaniami zrobiłem coś, do czego nigdy dotąd nie posunąłem się w karierze wojskowej – uchyliłem się od obowiązków, idąc do ambulatorium. Nie musiałem się szczególnie starać, psycholog zalecił mi środki uspokajające oraz nasenne i kolejne trzy dni podróży powrotnej na Ziemię spędziłem w stanie przyjemnego odrętwienia na stosunkowo odosobnionej rozkładanej koi w magazynie 2204L.

– Do wszystkich. Przygotować się do cumowania na Stacji Niepodległość. Przewidywany czas przybycia: sto dwadzieścia minut.

– Stacji Niepodległość? – powtórzył sierżant sztabowy West, spoglądając na mnie z uniesioną brwią. – To korporacyjna stacja cywilna. Ciekawe, co jest nie tak ze starą, dobrą Węzłową.

– Nie mam pojęcia – odparłem, biorąc kolejny łyk kawy. – Może wreszcie spadła do Atlantyku. Za każdym razem wydawała mi się w coraz gorszym stanie.

– Wiesz, jak to jest we flocie. Eksploatuje się, dopóki się nie zepsuje, a wtedy wystarczy załatać poliklejem i jeszcze na trochę wystarczy.

Sierżant West był jednym z żołnierzy, którzy przetrwali wraz ze mną zagładę Banshee Dwa-Pięć. W ciągu ostatnich dni spędziliśmy razem trochę czasu w mesie dla podoficerów, radząc sobie z wydarzeniami z Syriusza A za pomocą rozmowy o zupełnie innych rzeczach – taki pośredni wojskowy sposób na urazy psychiczne.

Zmiana procedury w połączeniu z faktem, że odkąd przed tygodniem wyskoczyliśmy z Alcubierre'a, ograniczono nam możliwości komunikacyjne, wydawała się złym zwiastunem na przyszłość. Gdy podzieliłem się tym przypuszczeniem z Westem, jedynie wzruszył ramionami.

– Jesteś tu już wystarczająco długo, Grayson. Nigdy nie zakładaj złej woli, jeśli możesz coś wytłumaczyć złym planowaniem.

Gdy wreszcie przybiliśmy do Stacji Niepodległość, czekał na nas komitet powitalny wyglądający jak kompania złożona z oficerów wywiadu i żandarmerii wojskowej. Co więcej, wśród nich znajdowali się również ludzie w strojach cywilnych i wystarczyło mi raz na nich spojrzeć, by wiedzieć, że to agenci bezpieczeństwa wewnętrznego WPA. Rozdzielano nas na

coraz mniejsze grupki, dopóki nie znalazłem się w małym, obitym płócienną tapetą gabinecie wraz z kapitanem wywiadu o skwaszonej twarzy.

– Sierżant sztabowy Grayson – powiedział, czytając z tabletu trzymanego w dłoniach. – Przykro mi z powodu „Manitoby”. Na pewno straciliście na tym okręcie wielu znajomych.

Tak naprawdę nie miałem na „Manitobie” zbyt wielu znajomych, ponieważ dopiero zostałem na nią przeniesiony, ale i tak skinąłem głową.

– Widzę, że to nie pierwszy okręt, jaki straciliście. W dwa tysiące trzynastym był „Wersal”. Nie udaje wam się uciec od Dryblasów, prawda?

– To nie moja wina, kapitanie. Gdyby mi pozwolili, z chęcią trzymałbym się od nich z daleka.

– Tak, robią się irytujący. – Palcem wskazującym przerzucał coś na tablecie. – Znajdowaliście się na powierzchni, gdy pojawił się okręt nasienny. Czy odebraliście wiadomość nakazującą wszystkim naziemnym jednostkom pozostanie na pozycjach i przejście do defensywy?

– Nie przypominam sobie, sir. Wie pan, sytuacja zrobiła się trochę nerwowa, na orbicie wybuchały atomówki.

– Komputer z waszego pancerza twierdzi, że ją odebraliście. Następnie poradziliście dowódcy plutonu, aby wezwać okręt desantowy i wrócić na lotniskowiec, wbrew rozkazom.

– Widzi pan to? – Wskazałem naramienniki munduru. Na każdym z nich znajdowały się szewrony w obramowaniu w kształcie litery U. – To oznacza „sierżant sztabowy”. Dowódcy plutonów mają na każdym ramieniu gwiazdkę. To oznacza „podporucznik”. A podporucznicy nie przyjmują rozkazów od sierżantów sztabowych.

Kapitan wywiadu przez chwilę spoglądał na mnie beznamiętnie, jak biolog obserwujący dziwny okaz wijący się na czubku szpilki, po czym odłożył tablet na biurko i odchylił się na krześle.

– Jesteście kontrolerem walki. Łącznikiem oddziałów naziemnych z flotą. Każdy dysponujący choć połową mózgu dowódca plutonu słuchałby waszych rad. Żyjecie wyłącznie dlatego, że postąpiliście wbrew rozkazom i że DGL z „Manitoby” zagroził wystrzeleniem rakiet nuklearnych w inny okręt. Według mnie to wystarczający powód, by każdego żołnierza z tych czterech desantowców, który ma stopień powyżej kaprała, postawić przed sądem wojennym.

Przez chwilę przyglądałem się kapitanowi z niedowierzaniem, po czym jakiś zawór w moim mózgu nie wytrzymał.

– Poważnie winicie nas za to, że uszliśmy z życiem z tamtej planety? Chyba pan sobie żartuje.

– Absolutnie nie w tym rzecz, sierżancie. Problem nie w tym, że przeżyliście, lecz w tym, że postąpiliście wbrew rozkazom.

– Pierdol się – oznajmiłem, krzyżując ręce na piersi. – Koniec rozmowy z mojej strony. Wezwij mi adwokata albo wynoś się stąd.

– Nie potrzebujecie adwokata. Nie jesteście jeszcze o nic oskarżeni.

– Więc albo mnie oskarż i niech żandarmi zawloką mnie do aresztu, albo przestań marnować mój czas.

Kapitan podniósł z powrotem tablet i z rozwągą stuknął palcem w ekran. Musiałem powstrzymać pragnienie, by sięgnąć przez blat i wyrwać mu to cholerstwo z rąk. Szukali kozła ofiarnego, by udowodnić, że naczalstwo nie jest jedynie zgrają obiboków gromadzących punkty do awansu, choć przecież tak właśnie było. Przegrywaliśmy wojnę, której stawkę stanowiło przetrwanie naszego gatunku, a dowództwo wciąż było gotowe wyrzucać zwykłych żołnierzy przez służę, by tylko ocalić swoje tyłki.

– Jesteście ważnym zasobem floty, sierżancie sztabowy Grayson. Nie mamy tylu kontrolerów walki, żeby pozwolić wam spędzić miesiąc czy dwa w Leavenworth, zanim armia zdecyduje, czy postawić wam zarzuty. Pamiętajcie jednak, że ten incydent znajdzie się w waszych aktach i że wrócimy do sprawy, gdy sytuacja trochę się uspokoi.

Pokręciłem głową i zachichotałem.

– Dryblaszy właśnie skopali nam tyłki siedem lat świetlnych stąd. Przy aktualnym rozwoju sytuacji nie martwiłbym się teraz zbyt perspektywą sądu wojennego, panie kapitanie.

Flota posiadała nieformalne określenie dla marynarzy, którzy przetrwali zniszczenie swego okrętu: SBK, sieroty bez krypy. „Sobki” byli zwykle przenoszeni z jednego Tymczasowego Zasobu Kadrowego do drugiego, gdy próbowano znaleźć dla nich nową przystań. Tych, którzy przeżyli katastrofę Syriusza A d, nie traktowano jak sobków, nawet jeśli nimi byliśmy. Zamiast tego ograniczono nam swobodę poruszania się i traktowano z życzliwym brakiem zainteresowania, dzięki czemu czuliśmy się tylko nieznacznie lepiej niż chińsko-ruscy jeńcy wojenni. Nie pozwalano nam korzystać z MilNetu i skoszarowano w oddzielnej części Stacji Niepodległość, za kordonem żandarmów trzymających nas z dala od innych żołnierzy i marynarzy. W tygodniu po naszym przybyciu przez stację przepływał coraz szerszy strumień osób i sprzętu, dzięki czemu Niepodległość zaczęła wyglądać jak nieco czystsza i nowsza wersja wiecznie zatłoczonej Węzłowej. Należałem już wystarczająco długo do floty, by wiedzieć, że nasze embargo komunikacyjne spowodowane jest decyzją dowództwa, by szeregowi żołnierze nie dowiedzieli się jeszcze o klęsce. Zwiększony ruch wojskowy w jednym z trzech najistotniejszych ośrodków orbitalnych WPA wydawał się dość oczywisty: szykowaliśmy się do ważnej operacji i tym razem sztab zamierzał rzucić przeciwko Dryblasom wszystko, co się dało.

Wreszcie, po półtora tygodnia kolejnych przesłuchań, długich drzemek, badań medycznych i jeszcze dłuższych okresów otepiałego znużenia, flota postanowiła, co ze mną zrobić.

– Sierżant sztabowy Grayson – wywołał mnie porucznik, wchodząc do magazynu służącego nam za tymczasową mesę.

Odłożyłem kanapkę z szynką i serem, a potem podniosłem się, by zsalutować.

– Spocznijcie, sierżancie – zezwolił, siadając naprzeciwko mnie. Miał na sobie standardowy czarny beret floty, a naszywka specjalizacji wskazywała, że był gryzipiórkiem z działu logistyki i kadr, nie z wywiadu jak inne widywane przeze mnie ostatnio szychy.

– Tak jest, sir – odparłem, odsuwając kanapkę. – O co chodzi?

– Koniec wakacji. Flota chce, żebyście wrócili do akcji, jeśli jesteście gotowi.

– Oczywiście, sir.

Wyciągnął tablet, stuknął kilka razy i obrócił, żebym mógł spojrzeć na wyświetlacz.

– Jutro o godzinie trzynastej zameldujecie się na OWPA „Midway”. Zmierzają właśnie do Stacji Niepodległość.

– „Midway”? – Przeszukiwałem własne zwoje pamięci. – Czy nie przeszedł kilka lat temu do demobilu?

– Został umieszczony w rezerwie. W zeszłym tygodniu przywrócono go do aktywnej służby. Obsługa techniczna przeprowadza właśnie okręt z kotwiczowiska rezerwy strategicznych.

– O rety – uznałem. – Flota wyskrobuje resztki. Okręty typu Pacyfik mają już osiemdziesiąt pieprzonych lat. Myślałem, że wszystkie poszły na zyletki.

– Wszystkie poza „Midway” i „Iwo Jimą” – sprostował porucznik. Schował tablet i wstał. – Flocie kończą się jednostki, sierżancie. Pacyfiki są stare, ale duże. Powodzenia na nowym

okręcie.

- A co z moimi rzeczami? Robalowa skorupa spłonęła na „Manitobie” z resztą gratów.
- Spytajcie kwatermistrza na „Midway”. Na pewno wydadzą wam wszystko na nowo.

Gdy dopasowywali mi robalową skorupę, musiałem polecieć do Centrum Operacji Specjalnych na Lunie i przymiarki oraz testy polowe zajęły cały tydzień. Wiedziałem bez cienia wątpliwości, że zaopatrzeniowcy z tego zarzewiałego złomu nie będą dysponowali nowym strojem. Wiedziałem, że zostanę wysłany do walki z Dryblasami bez odpowiedniego osprzętu, na dodatek na okręcie, który w ostatniej chwili wymknął się spod plazmowych palników złomowiska. Stojącego przy mnie kadrowego nie obchodziło to jednak, a nawet gdyby, to i tak guzik mógłby z tym zrobić, zasalutowałem więc i odprowadzałem go wzrokiem, gdy opuszczał pomieszczenie.

Jako stacja cywilna Niepodległość dysponowała luksusami, których próżno było szukać na Węzłowej. Wiele stref publicznych miało okna zapewniające dobry widok Ziemi poprzez kilkuwarstwowe, grube arkusze z polikarbonu. Na Węzłowej spoglądaliśmy na planetę na monitorach, lecz nic nie mogło zastąpić obserwowania jej własnymi oczyma. Na wydzielonym dla nas obszarze znajdowała się mała poczekalnia i większość czasu pozostałego do przybycia „Midway” przesiedziałem właśnie tam, obserwując ruch na orbicie i zjawiska atmosferyczne kłębiące się poniżej w atmosferze. Gdzieś tam w dole, pod pokrywą chmur, mama zajmowała się swoimi sprawami w DZK Boston-7. Być może podgrzewała racje żywnościowe, oglądając coś w sieciowizji. Luna leżała po drugiej stronie stacji, poza moim polem widzenia, ale wiedziałem, że Halley siedziała teraz w sali lekcyjnej albo w kokpicie desantowca, ucząc kolejną grupkę kosmicznych motorniczych, jak latać Osą. Jedyne dwie osoby, na których mi zależało, znajdowały się obecnie bliżej mnie niż przez większość mojej pięcioletniej kariery, a z powodu nałożonych na mnie restrykcji w przemieszczaniu się i komunikacji równie dobrze mogłyby tkwić w odległości sześćdziesięciu lat świetlnych i sześciu skoków Alcubierre’em.

Po raz pierwszy, odkąd wstąpiłem do wojska, nie chciałem opuszczać Ziemi.

Rozdział 13

„Midway” odlatuje

Midway” przypominał obiekt muzealny, był luźną zbieraniną części ułożonych w kształt ogólnie kojarzący się z lotniskowcem. Gdy pojawiłem się na nowej jednostce, wszędzie wciąż uwijały się gromady cywilnych techników, starających się doprowadzić przestarzały okręt do stanu używalności. Gdzie spojrzałem, widziałem dowody, że „Midway” miał za sobą długie i ciężkie życie oraz że nie dostał zaszczytu ostatecznego remontu, zanim został odstawiony na bok. Wykładzina na pokładach była postrzępiona, farba na grodziach stara i spłowiała, a cały lotniskowiec pachniał jak dawno nieużywany magazyn. Rozglądałem się w poszukiwaniu jakiegoś pozytywnego akcentu, lecz po kilku spędzonych na „Midway” godzinach mogłem stwierdzić jedynie, że jego kadłub wciąż wygląda na w zasadzie hermetyczny.

– Wiem, co myślicie – oznajmił nowy szef. Na naszywce miał napisane MICHAELSON i w przeciwieństwie do moich wcześniejszych dowódców był kapitanem, nie majorem. Stacjonującą na okręcie kompanią do zadań specjalnych zwykle kierował oficer stopnia sztabowego, lecz wyglądało na to, że nawet oni się już kończyli.

– Nie płacą mi za myślenie, sir – powiedziałem mu. – To zadanie tych, którzy posiadają gwiazdki na naramiennikach.

Przyjrzałem się naszywkom na mundurze kapitana. Nigdy go jeszcze nie spotkałem we flocie, ale jego twarz z czymś mi się kojarzyła, dysponował też niezłymi referencjami: odznaką SEAL, złotymi skrzydełkami za desant, wszystkimi odpowiednimi specjalizacjami oraz naszywką sił specjalnych na czarnym berecie wciśniętym pod naramiennik. Trochę mnie uspokajało, że był w mundurze bojowym, a nie klasy A.

– Tak, pozostaję w czynnej służbie – poinformował, zauważając, że oglądam jego uniform. – Jestem nowym dowódcą kompanii sił specjalnych na „Midway”. Jakakolwiek by była.

– Jeśli mogę coś powiedzieć, sir, jestem zaskoczony, że przydzielili na tę łajbę całą kompanię kapsli.

Uśmiechnął się lekko i założył ręce na piersi.

– Ja również, sierżancie. W każdym razie jesteście pełną kompanią tylko na papierze. W rzeczywistości składa się ona tylko z was i mnie, dopóki nie zjawi się reszta. Mam podobno otrzymać dwa plutony rozpoznawcze PK, dwóch gości od ratownictwa kosmicznego i drużynę SEALS.

– Ilu jeszcze będzie kontrolerów walki, sir?

– Obiecali mi dwóch kolejnych, ale na razie jesteście sami.

– Będę potrzebował nowego sprzętu, sir. Wszystko spaliło mi się wraz z lotniskowcem, którego straciliśmy nad Syriuszem A d. Robalowa skorupa, mundury, wszystko.

– Byliście na Syriuszu A d? – spytał kapitan z nagłym błyskiem zainteresowania w oczach. – Oż, w mordę. To wy jesteście jednym z tych, którzy zdołali się stamtąd wydostać?

– Tak jest. Ja i jakaś setka PK. Cztery pełne okręty desantowe.

– Wrzucili informacje do MilNetu dopiero trzy dni temu, tuż przed anulowaniem wszystkich rozkazów przeniesienia. Wygląda na to, że przetasowują całą flotę. Przebywałem na szkoleniu na Ziemi, w Coronado. Nie zdążyli mi nawet wrzucić gratów do szafki, gdy nadeszły nowe rozkazy. To tyle z sześciu miesięcy na Ziemi. – Odchylił się na fotelu i położył nogi na biurku. Buty miał mocno znoszone, ale nieskazatelnie czyste. – Macie cholerne szczęście, sierżancie. Jeśli podczas tej operacji znajdę się na powierzchni, zamierzam trzymać się blisko was.

– Nie radzę, sir – odparłem z uśmiechem. – W zeszłym tygodniu wykorzystałem całe przysługujące mi szczęście. Jeśli coś się spieszy, pewnie ja oberwę pierwszy.

Wybuchnął śmiechem.

– Znajdźcie sobie kajutę i rozgoście się, sierżancie. Gdy dotrze reszta ekipy, zrobimy sobie naradę kompanii. Skieruję was do zaopatrzeniowców, ale sam dopiero tu trafiłem i jeszcze nigdy nie służyłem na okręcie typu Pacyfik. W razie czego pytajcie mechaników.

„Midway” może był reliktem, ale dysponował przestronnymi kajutami. Nic nie musiałem układać, ponieważ miałem przy sobie jedynie mundur pożyczony od sierżanta z działu zaopatrzenia na „Nassau”, zajęcie kajuty polegało więc na wejściu do niej i wbiciu nazwiska oraz stopnia na konsoli bezpieczeństwa przy drzwiach.

Gdy wreszcie odnalazłem sekcję zaopatrzeniowo-logistyczną, sierżant siedzący za ladą z ubraniami i sprzętem wydał mi się znajomy. Okazało się, że ja jemu również. Intendent strzelił palcami i wskazał na mnie.

– Szkoła Floty – oznajmił. – Byłeś w moim plutonie. Grayson, zgadza się?

Odczytałem nazwisko na jego naszywce i mózg wreszcie umieścił zaopatrzeniowca w prawidłowej szufladce.

– Simer. Miałeś koję na drugim końcu sali. Co porabiałeś?

– Wiesz, jak jest – odparł, ściskając mi dłoń. Było w nim coś miękkiego, świadczącego, że większość kariery spędził za biurkiem albo na składaniu prania. – Przeskakuję z okrętu na okręt co pół roku, jak wszyscy. Nie mam jednak pojęcia, co zjebałem, że wyłądowną na tej łajbie. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Straciłem cały sprzęt, gdy mój ostatni okręt poszedł na dno – poinformowałem. – Potrzebuję od nowa całego zestawu podstawowego.

– Sprawdź, co mamy na zapleczu. Jaką masz specjalność?

– Jeden Charlie dwa pięć jeden.

– Kontroler walki? O, w mordę. Wydawało mi się, że po Wielkich Jeziorach miałeś lecieć do Szkoły Sieci Neuronowych.

– I byłem w niej. To długa opowieść. Powiedzmy, że po drodze przesiadłem się na inny pociąg.

– Na to wychodzi. – Wziął tablet i zerknął na ekran. – Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, co tu jest. Sytuacja trochę powariowała. Wszyscy starają się zrobić tutaj w trzy dni robotę przeddyslokacyjną, która powinna zająć trzy tygodnie.

Przerzucił kilka ekranów na tablecie.

– Macie całą masę wyspecjalizowanych zabawek, których w życiu nie widziałem. Posiadam oczywiście cały standardowy sprzęt, ale na pewno nie BPP. Nie wydają ich w zwykłych punktach zaopatrzeniowych.

– Tak, wcześniej dopasowywali mi na miejscu.

– I tak zgłoszę zapotrzebowanie w systemie. Może przygotują ci pancerz na Ziemi, zanim opuścimy Niepodległość.

– Wiesz może, dokąd lecimy? Nic jeszcze nie słyszałem od dowództwa.

– Wszyscy trzymają gęby na kłódkę. Powiem ci jednak coś. – Simer rozejrzał się, po czym pochylił w moją stronę i zniżył głos. – Dzieje się coś dziwnego. Widziałem, co dociera w dostawach, i nigdy dotąd nie trafiłem na takie rzeczy przed dyslokacją.

– Co tam było?

– Przede wszystkim mamy trzy razy więcej jedzenia, niż potrzebujemy na półroczny rejs. A do wszystkich wyrzutni trafiają atomówki. Nigdy nie miałem do czynienia z tak wieloma kodami nuklearnymi naraz w systemie. Ktoś na górze musiał otworzyć zajebiście wielki magazyn

pełen megaton.

Skrzywiłem się na te wieści. Flota ładowała dużo bomb atomowych, gdy ruszaliśmy przeciwko Dryblasom, a zaledwie tydzień po Syriuszu A d nie zamierzałem trafić znów w przestrzeń kontrolowaną przez obcych, zwłaszcza bez porządnego sprzętu.

– Tony żarcia, atomówki... Wygląda na to, że wpadniemy w niezłe gównno.

– Może znaleźliśmy ojczysty świat Dryblasów? – podsunął sierżant Simer.

– Oby nie – odparłem, wzdrygając się na myśl o znalezieniu się w systemie rojącym się od jednostek obcych. Pamiętałem dobrze, że jeden ich okręt nasienny zdołał zlikwidować cały zespół zadaniowy, nawet nie zadrapiując sobie kadłuba. Potrzebował zaledwie czterdziestu pięciu minut na zniszczenie pięciu procent całej naszej floty, a przecież przeciwko niemu stanęły między innymi trzy największe, najnowocześniejsze modele. Dziesięć takich kolosów zapewne przedarłoby się przez całą naszą flotę niczym fleszeta przez kawałek sojowego kurczaka.

Zamierzaliśmy z rozpędu wałnąć głową w niewidoczną barierę. Dowództwo chyba znowu doszło do wniosku, iż nasza strategia nie sprawdza się tylko dlatego, że nie biegniemy dość szybko.

Choć „Midway” był wielki, flota szybko zdołała wypełnić go ludźmi oraz wyposażeniem. Dwa dni po moim przybyciu ekipy zaopatrzeniowe załadowały już po sufit wszystkie magazyny, a poruszanie się biegnącymi wzdłuż okrętu korytarzami oraz schodniami utrudniały ustawione pod ścianami palety i pojemniki. Nawet pokład lotniczy, jedyne otwarte miejsce na całym lotniskowcu, na którym dawało się pobiegać, przypominał przerośniętą komórkę.

– Jeśli nie przestaną ustawiać gratów na każdej wolnej powierzchni, pod względem wyporności zamienią tę łajbę w superlotniskowiec – stwierdził kapitan Michaelson, gdy obserwowaliśmy gorączkowy harmider na pokładzie lotniczym trzeciego poranka przyspieszonych przygotowań do dyslokacji „Midway”. Przyszliśmy, by przebiec parę kilometrów przed śniadaniem, ale wątpiłem, czy nawet najskuteczniejszy komputer balistyczny w całej flocie zdołałby wytyczyć kurs przez rozciągający się przed nami bałagan. Po jednej stronie zaparkowano eskadrę okrętów desantowych, wyglądających jak grupka ledwo tolerowanych gości, reszta przestrzeni zaś została zajęta przez pojemniki transportowe, palety z amunicją oraz zbiorniki z paliwem.

– Te desantowce są z zeszłej epoki – skomentowałem, wskazując oliwkowozielone pojazdy. – Osa-A. Już nie widuje się ich we flocie. Sądziłem, że do tej pory wszystkie zostały zmodernizowane albo zezłomowane.

– Mogę się założyć, że wszystkie te rzeczy pochodzą z rezerw strategicznych. Wygląda na to, że stawiają wszystko na jedną kartę.

Na przeciwległym końcu pokładu ekipy zaopatrzeniowe wznosiły coś, co wyglądało jak namioty polowe żołnierzy PK. Stało już kilka schludnych rzędów, a sądząc po liczbie przygotowanych elementów, zapewne budowano tu osiedle zdolne pomieścić cały pułk Piechoty Kosmicznej wraz z pełnym wyposażeniem.

Gdy zauważyłem sierżanta Simera przechodzącego z tabletem w dłoni i wyrazem zabiegania na twarzy, machnąłem do niego.

– Hej, Simer – powiedziałem. – Co to za miasteczko namiotowe? Zabieramy uchodźców?

– Chuj wie. – Simer wzruszył ramionami. – Kazali rozstawić to wszystko, zanim ruszymy. Krążą plotki, że weźmiemy w drogę sporo pasażerów. Zupełnie jakby ta łajba nie była już zapakowana po nadburcia.

– Jak sądzicie, dokąd lecimy? – spytał mnie kapitan, gdy Simer odszedł.

– Atomówki w wyrzutniach, dość namiotów, żeby pomieścić pułk, i wszyscy gonią jak ze sraczką – odparłem. – Mam nadzieję, że naczelstwo dobrze wyznaczyło priorytety i wracamy do Syriusza A d, żeby skopać Dryblasom tyłki.

– To byłoby godne i sprawiedliwe – zgodził się kapitan Michaelson.

I właśnie z tego powodu wiem, że lecimy dokądś indziej, pomyślałem.

Gdybyśmy wystartowali w ciągu następnych paru dni i z maksymalnym przyspieszeniem ruszyli tyłki do komina prowadzącego do Syriusza A, dotarlibyśmy akurat, by ewakuować naszych, zanim wymienniki atmosferyczne Dryblasów zamienią planetę w toksyczny szybkuwar. Gdybyśmy choć raz połączyli siły z ZCR, zamiast szarpać się z nimi o ochłapy, może nawet zdołalibyśmy wyrzucić stamtąd obcych i uratować cywilów.

Przypomniałem sobie twarze kapsli desantujących się ze mną na tamtą misję.

Zastanawiałem się, czy Macfee, drugi kontroler walki, przetrwał początkowe natarcie Dryblasów i czy ukrywał się gdzieś z oddziałem PK na Syriuszu A d, czekając na okręty ratunkowe, choć wiedział, że nie zdążą dotrzeć na czas?

– Jeśli nie tam lecimy, to chyba poszukam sobie alternatywnego zajęcia – uznałem.

Michaelson z nieodgadnioną miną rozejrzył się po nieładzie panującym na pokładzie lotniczym.

– Jeśli nie tam lecimy, powinniśmy zacząć ładować do wyrzutni oficerów sztabowych – odrzekł.

Popatrzył na mnie i uśmiechnął się lekko, jakby właśnie uświadomił sobie, że nie powinien wypowiadać takich myśli w obecności podoficera.

– Bóg mi świadkiem, że jest ich już wystarczająco wielu. Gdyby wystrzelić kapsułę pełną generałów w okręt Dryblasów, może udałoby nam się ich porządnie wyszczerbić. A już na pewno nie byłaby to dla nas żadna strata.

Po raz pierwszy zobaczyliśmy mieszkańców miasteczka namiotowego przy obiedzie, gdy siedzieliśmy w zatłoczonej mesie podoficerskiej na pokładzie lotniczym. Byłem odwrócony plecami do ściany, gdy nagle usłyszałem, że szmer otaczających mnie rozmów nabrał mocy. Obróciłem się i ujrzałem grupę wchodzących do pomieszczenia żołnierzy. Wszyscy mieli na sobie standardowe mundury WPA z kamuflażem, ale berety wsunięte pod naramienniki nie były czarnymi floty ani kasztanowymi SK, lecz w spłowiałym odcieniu zieleni.

– Siły Obrony Ziemi? Co oni tu, kurwa, robią?

Nowo przybyli rozglądali się z tym charakterystycznym, stłumionym podenerwowaniem typowym dla żołnierzy, którzy znaleźli się w nowym, nieznanym środowisku. Dostrzegli koniec kolejki i podeszli, by zająć w niej miejsca. Nie licząc koloru beretów, nie odróżniali się od naszych kosmicznych piechociarzy, również wyglądali na twardych i szczupłych.

– To chyba jakieś jaja – powiedział do mnie sierżant Simer. – Przez pięć lat służby nie widziałem na okręcie floty nikogo z SOZ.

– Ja też nie.

– Chyba tym razem naprawdę sięgamy do szamba, co?

– Hej. – Spojrzałem na niego nieprzyjaźnie, a Simer uniósł brew. – Gównu z szamba też ma coś do powiedzenia. Zanim wstąpiłem do floty, też byłem w SOZ.

– Nie świruj.

– Nie świruję. Gdy wciąż nazywała się Armią Terytorialną, przed wszystkimi tymi bzdurami o ujednoczonym wojsku.

Przybysze świetnie zdawali sobie sprawę, że większość obecnych im się przygląda,

ignorowali to jednak. Po jakiejś minucie powab nowości pobladł i poziom głosów wrócił do standardowego stołkówkowego poziomu.

Jadłem, jednym uchem słuchając toczonych wokół mnie rozmów, i zerkałem na żołnierzy z SOZ, którzy stłoczyli się przy stole w pobliżu wejścia. Gdy wstali, by odłożyć tace, zrobiłem tak samo i wyszedłem z mesy przed nimi.

Kręciłem się w korytarzu, dopóki podoficerowie SOZ nie wyszli ze stołówki. Szli małymi grupkami, wciąż niepewni, jak dzieciaki pierwszego dnia w szkole. Ostatni z nich był sierżantem, o stopień niżej ode mnie, lecz wciąż wystarczająco blisko, by można było pominąć wojskową etykietę. Zrównałem się z nim, gdy podążał za kompaniami.

– Sierżancie, proszę zaczekać.

Uśmiechnął się do mnie z rezerwą.

– O co chodzi, sierżancie sztabowy?

– Co Siły Obrony Ziemi robią w przestrzeni? Wydawało mi się, że nie latacie w próżnię.

– Teraz chyba już latamy. – Wzruszył ramionami.

– Andrew Grayson – przedstawiłem się, wyciągając rękę. – Sam przez kilka miesięcy służyłem w AT, na samym początku. Trzysta Sześćdziesiąty Piąty Samodzielny Batalion Piechoty, w pobliżu Dayton.

– Naprawdę? – Ścisnął moją dłoń. – John Murphy. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś z AT trafił do floty.

– Tak, rzadko się to zdarza. Chyba miałem szczęście. A może pecha, w zależności od punktu widzenia.

Zerknął na moją kurtkę mundurową, szybkim spojrzeniem typowym dla wojskowego oceniającego referencje rozmówcy, i na chwilę zatrzymał się wzrokiem na odznaczeniu za desant bojowy w randze mistrza, identycznym jak jego.

– Trzysta Sześćdziesiąty Piąty wciąż istnieje. Desantowaliśmy się z nimi kilka miesięcy temu. Jesteśmy z Trzysta Dziewiątego z Nashville.

– Tam na dole skończyła się wam robota?

– Taa, jasne. – Sierżant Murphy parsknął lekko. – Obecnie robimy trzy zrzuty tygodniowo na peryferiach. Można by pomyśleć, że po tylu zamieszkach nie zostało już nic do spalania, a jednak codziennie jest tam strefa wojny.

– Raz desantowałem się w Detroit z Trzysta Sześćdziesiąty Piątym. Od tamtego czasu pięć lat robię zrzuty w koloniach i u Dryblasów, a nigdy nie bałem się tak jak tamtej nocy. Prawie skasowali mi wtedy nieśmiertelnik.

– Detroit – powtórzył. – Rany, tam jest niezły kanał. Co się stało?

– Oddział mocno oberwał. Dostałem z M-66, dwóch naszych poległo, a sierżant straciła nogę.

– Kto był waszym sierżantem?

– Sierżant sztabowy Fallon. Niedługo potem została starszym sierżantem sztabowym.

Teraz pewnie jest już dwudziestoszewronowym starszym chorążym. Znasz ją?

Zachichotał.

– Wszyscy znają Fallon. Jest pieprzoną legendą.

Palcem wskazującym poklepał naszywkę jednostki na rękawie.

– Jesteśmy z drużyny zabezpieczenia logistycznego z Trzysta Dziewiątego. Drugi wylatujący razem z nami batalion to Trzysta Trzydziesty z Knoxville. A główną osobą od kopania tyłków w Trzysta Trzydziestym jest chorąży Fallon.

Nie miałem zbyt wiele do zrobienia oprócz schowania sprzętu i dbania o formę, większość czasu spędzałem więc na pokładzie lotniczym, ćwicząc i jednocześnie zerkając na promy co parę minut dowożące ludzi oraz rzeczy.

Żołnierze SOZ zaczęli przybywać w większej liczbie po południu. Klamry dokujące wciągały kolejne promy wylądowane wojakami w pancerzach bojowych, dźwigającymi worki ze sprzętem. Z przeciwległej strony hangaru nie dostrzegałem twarzy i wszyscy przybyli wyglądali podobnie w masywnych strojach, lecz gdy przyleciała Fallon, nie miałem problemów z wyróżnieniem jej w tłumie. Niedługo przed późnopołudniową zmianą wachty ramię dokujące ustawiło na pokładzie podniszczony prom floty, otworzył się główny wjazd i ze środka wysiadła grupa ziemskich żołnierzy, zachowujących się, jakby znaleźli się w nieprzyjaznym mieście. Karabiny mieli przerzucone przez piersi i bez magazynków, ale mimo to aż promieniowały z nich napięcie i gotowość do walki.

Natychmiast rozpoznałem Fallon. Zeszła po rampie pewnym krokiem, z którego ją zapamiętałem. Nie wykonywała żadnych niepotrzebnych gestów. Przemierzała pokład lotniczy „Midway” niczym drapieżnik badający nowe środowisko. Wiedziałem, że jedna z ukrytych pod pancerzem bojowym nóg składała się ze stopu tytanu oraz nanowęglowych włókien zamiast kości i ciała, lecz nie dawało się tego poznać po jej ruchach. Gdy skierowała się w stronę miejsca zbiórki swej jednostki po drugiej stronie czarno-żółtej taśmy bezpieczeństwa, szła w otoczeniu falangi swych żołnierzy – nie ochroniarzy, lecz kończyn tego samego organizmu, gotowych w razie potrzeby wykonać uderzenie.

Obserwowałem, jak jej grupka zebrała się w krąg na szybką odprawę, po czym przeszła w wyznaczone miejsce, gdzie zaczęła obejmować w posiadanie nieznaną teren, bezpieczna w swej sile.

Nie widziałem się z Fallon, odkąd opuściłem AT przed czterema i pół roku, i od tego czasu jedynie wymieniliśmy ze sobą kilkadziesiąt wiadomości przez MilNet. Mimo to jej obecność na pokładzie trochę mnie uspokoiła. Skoro szykowaliśmy się, by odlecieć Bóg wie dokąd, dobrze było znać choć jedną osobę na okręcie. Czułem się mniej samotny we wszechświecie, wiedząc, że dawna dowódczyni przebywa w pobliżu.

Rozdział 14

Krótkie spotkanie

Do wszystkich, przygotować się do odlotu. Powtarzam, przygotować się do odlotu. Zabezpieczyć wszystkie kołnierze dokujące.

Byłem znów w zaopatrzeniu, by pobrać nowy sprzęt, gdy z radiowęzła dobiegł komunikat o odlocie. Na całym okręcie panowało takie zamieszanie, że wydawało się niemożliwe, by „Midway” został już wyposażony oraz obsadzony do operacji bojowej, a jednak wyglądało na to, że ruszaliśmy na wojnę.

– Tak szybko? – odezwał się sierżant Simer, powtarzając moje myśli. – Rany. Zupełnie jakby wystawiali nas za drzwi z niezawiazanymi sznurówkami.

– I w samej bieliźnie – dodałem. – Nie ma szans, żeby ta łajba już osiągnęła gotowość bojową.

– Masz kwaterę, Grayson?

– Tak, zgarnąłem lokum w krainie podoficerów. To dziwne. Tamtych tłoczą na pokładzie lotniczym, a połowa miejsc na moim jest pusta. Sam mam dla siebie kajutę z dwiema kojami. Zupełnie jakbyśmy wylatywali na minimalnej załodze.

– Bo tak jest – oznajmił Simer. – Najwyżej sześćdziesiąt procent.

– Ale wieziemy trzy razy więcej żołnierzy niż superlotniskowiec. I większość z nich nigdy dotąd nie była w przestrzeni.

– Jeśli będziemy musieli przez miesiąc karmić tych piechociarzy, na miejsce dotrzemy z pustymi magazynami – stwierdził Simer. – Mam nadzieję, że to tylko szybka podróż do komina.

Do tej pory już wszyscy, poza najbardziej nierozgarniętymi szeregowymi prosto ze szkoły technicznej, domyślili się, że czekającej nas dyslokacji daleko będzie do standardowego rejsu zespołu zadaniowego albo szturm na planetę. Nigdy nie przekazywano zwykłym żołnierzom szczegółów misji, dopóki nie wychodziliśmy z komina Alcubierre’a w systemie docelowym, pozostawały nam więc spekulacje. Ponieważ nasz kontyngent piechoty trzykrotnie przekraczał normę i nie mieliśmy dość okrętów desantowych, by ich wszystkich wysadzić naraz, w mesie podoficerskiej doszliśmy do ogólnego wniosku, że wieziemy garnizon, który ma wzmocnić jednostkę Piechoty Kosmicznej stacjonującą na jakiejś zadupiastej kolonijce w pobliżu granicy trzydziestu lat świetlnych. Obecność żołnierzy z Sił Obrony Ziemi oraz podeszły wiek jednostek napędce zebranego zespołu zadaniowego rodziły również inne plotki i wyolbrzymienia bardziej szalone od zwyczajowych pogłosek: ewakuujemy Ziemię. Szturmujemy ojczyzną planetę Dryblasów wszystkim, co zdoła przetrwać się przez komin Alcubierre’a. W tajemnicy podpisaliśmy pokój z ZCR i pomożemy im walczyć z obcymi na Nowym Kijowie. W tajemnicy skapitulowaliśmy przed ZCR i w ramach rozbrojenia przekazujemy im połowę tonażu floty. Żołnierze posiadali bujną wyobraźnię, w przeciwieństwie do sztych z połączonych sztabów czy biurokratów pociągających za sznurki na Ziemi.

Niezależnie jednak od plotek w każdej stołówce i kajucie na okręcie wysnuwano podobne wnioski: ta operacja zostanie zjebana na legendarną skalę i ostatecznie wina spadnie na żołnierzy, pilotów oraz mechaników.

Wreszcie wpadłem na swoją dawną dowódczynię w najbardziej do tego pasującym miejscu na całym „Midway”: na strzelniczy w strefie Piechoty Kosmicznej.

Ponieważ wraz z „Manitobą” straciłem cały sprzęt, okrętowy zbrojmistrz musiał teraz

wygrzebać dla mnie dwa pakiety uzbrojenia. Odkąd dali nam nowe wyposażenie przeciwko Dryblasom, każdy kosmiczny żołnierz nosił teraz dwa warianty, nazywane zestawami Alfa i Bravo. Alfa składał się z modularnego karabinu fleszetowego wraz z granatnikiem, wykorzystywanych przeciwko innym ludziom. Pakiet Bravo opierał się na M-80, potężnym karabinie strzelającym dwudziestopięciomilimetroowymi ładunkami o mocy niszczącej rzędu małej armaty.

Sprzęt, który dostałem, pochodził z szarego końca łańcucha zaopatrzenia, podobnie jak wszystko inne na „Midway”. M-66 wyglądał, jakby został zacyfrowany na śmierć przez rekrutów z pięćdziesięciu cykli szkoleniowych, M-80 zaś tak grzechotał, jakby testowano go z ekstremalnymi obciążeniami na poligonie Aberdeen. Postanowiłem upewnić się, że w razie potrzeby trafią w cel, pewnego luźniejszego poranka zaciągnąłem więc wszystkie graty na strzelnicę.

Gdy meldowałem się u strzelmistrza, przez opancerzone okna widziałem, że wszystkich osiem skomputeryzowanych stanowisk zostało zajętych przez żołnierzy z SOZ i za każdym z nich czekali kolejni. Strzelcy z poszczególnych torów testowali swe karabiny fleszetowe, wypuszczając serie do generowanych przez komputer celów. Wszyscy ludzie z Sił Obrony Ziemi byli wyposażeni w standardowe M-66, niemal bezużyteczne przeciwko tonażowym Dryblasom, potrafiącym swobodnym tempem pokonywać czterdzieści kilometrów w godzinę.

Dziwnie było obserwować ziemskich żołnierzy na terenie floty. Ich pancerze różniły się nieco od tych noszonych przez naszych wojaków z Piechoty Kosmicznej. Miały większe naramienniki i bardziej fasetowane napierśniki oraz napleczniki, kryjące sensory wybrzuszenia na hełmach znajdowały się w trochę innych miejscach. Zauważyłem, że większość żołnierzy na torach strzeleckich miała na pancerzach ślady walki: szramy od szrapneli i ślady po kulach. Nie wiedziałem, co lecące z nami bataliony SOZ porabiały ostatnio na Ziemi, ale wyglądało na to, że raczej nie uskarżały się na mniej zajęć niż nasze jednostki frontowe.

Ludzie z SOZ mieli celowniki w hełmach, podobnie jak my, tak więc wszyscy, którzy akurat strzelali, znajdowali się w pełnym stroju. Z tyłu hełmów umieszczano nazwiska, nie musiałem jednak wcale szukać napisu FALLON, by rozpoznać dawną sierżant. Stała na ostatnim torze po prawej, o pół głowy niższa od kolejnego pod względem wzrostu żołnierza. Karabin w jej dłoniach wypluwał z siebie miarowe, krótkie serie. Było coś w postawie i oszczędnych ruchach Fallon, co wyróżniało ją na tle całego pułku. Obserwowałem, jak opróżniała zapas amunicji, prażąc symulowanymi tungstenowymi fleszetami w holograficznych wrogów, dopóki iglica M-66 nie trafiła w pustkę. Fallon uniosła lufę, wyszarpnęła magazynek z broni i sprawdziła komorę, zanim ustąpiła stanowisko kolejnemu oczekującemu. Następnie ruszyła w stronę wjazdu wyjściowego, przy którym stałem, i gdy uniosła wizjer hełmu, skinąłem krótko głową. W jej zdecydowanych ruchach na ułamek sekundy pojawiło się wahanie, a na fragmencie widocznej w wizjerze twarzy ujrzałem cień zaskoczenia. Podeszła do mnie i gestem wskazała, żebym wyszedł za nią z terenu strzelnicy, z dala od chrapliwego staccato karabinów.

Na zewnątrz, w przedsionku strzelmistrza, zdjęła hełm i obróciła się do mnie.

– Andrew Grayson – powiedziała, przyciągając mnie do silnego jednoręcznego uścisku. Dwóch żołnierzy SOZ zamierzających wejść na strzelnicę wymieniło zaskoczone i rozbawione spojrzenia na widok swej dowódczyni ściskającej jakiegoś wymiota z marynarki. – Kurwa, co robisz na tym zardzewiałym, dziurawym wiadrze?

– Też miło cię widzieć – odparłem. – To zardzewiałe, dziurawe wiadro od zeszłego tygodnia jest moją nową placówką.

– Musiałeś znowu czymś niezłe wkurzyć jakąś szychę.

– Nie, mój Łśniący, nowiutki okręt został kilka tygodni temu rozpieprzony w drzazgi przez

Dryblasów. Ale co ty tu robisz? Myślałem, że nie latasz w przestrzeń.

– Taa, ja też tak myślałam. W dywizji powiedzieli, że jesteśmy do wypożyczenia, musieliśmy więc spakować manatki i ruszyć. Wierz mi, nie jestem fanką tego pomysłu.

Nie widziałem się z Fallon od swojego ostatniego dnia w Armii Terytorialnej, wieki temu. Nie zmieniła się wcale. Wciąż zbierała włosy w ciasny kucyk, z którym ją zapamiętałem, i miała twarde, ostre rysy. Z historii jej służby wiedziałem, że Briana Fallon była ode mnie o jakieś dziesięć lat starsza, lecz nigdy nie pytałem o dokładny wiek, ona zaś nigdy go sama nie zdradziła. Równie trudno byłoby mi jednak odgadnąć jej datę urodzenia jak datę produkcji dobrze utrzymanego okrętu desantowego. Broń utrzymywana w doskonałym stanie okazuje się praktycznie wieczna. Jedyną wyraźną różnicą między stojącą przede mną Fallon a sierżant, która przed pięciu laty prowadziła mój oddział w Detroit, stanowiły insygnia na pancerzu. Od tamtego czasu przeskoczyła o dwa stopnie i teraz nosiła potrójne szewrony chorążego.

Palcem wzmocnionej rękawicy postukała pojedynczy szewron mojej odznaki sierżanta sztabowego.

– Trochę się wspiałeś po drabince, co?

– Tak. Wiesz, jak to jest we flocie. Dają je każdemu.

– Dobrze ci poszło – skomentowała, wskazując błyskawicę kontrolera walki na moim helmie. – Cieszę się, że nie zostałeś przy tej biurkowej posadce, w którą wpakował cię Unwerth.

– Nigdy za wielu czubków do roboty dla samobójców. A co w ogóle dzieje się z majorem Unwerthem?

Fallon prychnęła z niesmakiem, kręcąc głową.

– Major Unwerth jest teraz podpułkownikiem Unwerthem. Został nowym zastępcą dowódcy Trzysty Sześćdziesiątego Piątego Batalionu. Już nie jest tam tak jak dawniej.

– A dlaczego zmieniłaś jednostkę?

– Nie miałam wyboru, Grayson. – Obniżyła lekko głos. – Trzysta trzydziesty to w pewnym sensie batalion karny. Nieźle oberwał podczas zamieszek w Nowym Madrycie w zeszłym roku, rozwiązali go więc i odtworzyli ze wszystkimi odmieńcami i malkontentami, których brygada chciała się pozbyć. Rozumiesz, chcieli nas mieć w jednym miejscu.

Rozejrzała się, by się upewnić, że nikt w pobliżu nie podsłuchuje, ale strzel mistrz znajdował się po drugiej stronie wjazdu i byliśmy sami.

– Muszę teraz wracać do swoich, ale zostaw sobie wolną chwilę. Spotkajmy się wieczorem po żarciu, o dziewiętnastej. Zorganizowaliśmy sobie mały klubik w jednym z warsztatów. Pokład Fokstrot, F dwa zero dwa dziewięć. Mamy sporo do pogadania.

Resztę dnia spędziłem, dostrajając celowniki i przepuszczając nowy pancerz bojowy przez automatyczne testy. Specjalistyczny zestaw kontrolera walki pozostawał o dwie generacje w tyle za sprzętem, który spłonął w mojej szafce na „Manitobie”, ale wszystkie moduły sieciowe i komunikacyjne działały jak powinny, w płytach zaś nie było wyszczerbień i nieszczelności. Bez robalowej skorupy moja zdolność bojowa na światach Dryblasów liczyłaby się w godzinach zamiast w dniach, ale ponieważ nikomu innemu nie wydano zestawu BPP, mogłem stosunkowo bezpiecznie zaryzykować stwierdzenie, że nie rzucimy się na łeb na szyję na dużą kolonię obcych.

Jak na porządnego żołnierza przystało, udałem się na pokład Fokstrot piętnaście minut wcześniej. Pomieszczenie F2029 było warsztatem i magazynem w narożniku terenu mechaników w pobliżu hangaru, oddzielonym od reszty pokładu siatką z plastaluminium. Przy otwartym wejściu stało dwóch żołnierzy SOZ, lecz nie starali się powstrzymać mnie przed wkroczeniem do

środku. We wnętrzu wokół siatkowych ścian ustawiono stosy modułarnych pojemników na sprzęt, tworząc mury wysokości dwóch i pół metra. W tak zaimprovizowanym zaciszu kolejne skrzynki służyły za meble: ławki i stoły. Dostrzegłem kilkunastu wypoczywających wojaków z SOZ, którzy jak jeden mąż obrócili się w moją stronę, gdy wszedłem.

– Zgubiliście się, sierżancie? – jakiś podporucznik spytał mnie z zaledwie cieniem serdeczności w głosie.

– Szukam pani chorąży Fallon – wytłumaczyłem. Ludzie z SOZ może nie patrzyli na mnie wrogo, ale na pewno nie przyjaźnie. Nagle uświadomiłem sobie, że przyszedłem nieuzbrojony i że wszyscy obecni mieli przy sobie przynajmniej nóż taktyczny.

– On jest w porządku – zza mnie dobiegł głos Fallon. Weszła do pomieszczenia, wciąż ubrana w pancerz bojowy. – Grayson był jednym z moich ludzi w Trzystu Sześćdziesiątym Piątym. Przeszedł ze mną przez niezłe gówno.

Powstrzymywana wrogość wyparowała. Zauważyłem, że nawet podporucznik liczył się ze zdaniem Briany. Podeszła do jednej z zaimprovizowanych ławek i usiadła ze stęknieniem.

– Siadaj, Grayson – powiedziała. – Oni nie gryzą. Są tu sami swoi.

Przycupnąłem przy prowizorycznym stoliku naprzeciwko Fallon, która wprawnymi gestami rozpięła sprzączki napierśnika i napełcznika. Ściągnęła skorupy pancerza i upuściła je na podłogę.

– Kurewsko długi dzień – odezwała się do mnie, kładąc nogi na skrzyni służącej za blat. – Nie wiem, jak wy, wyrzygi z floty, możecie znieść całe miesiące w tych trumnach. Jestem tu dopiero półtorej doby, a już zaczynam czuć klaustrofobię.

– Może spróbuj pomyśleć, ile miejsca znajduje się po drugiej stronie kadłuba – podsunąłem. – Wtedy uznasz, że tu jest przytulnie. I ciesz się, że to lotniskowiec. I tak jest sporo miejsca. Fregata ma mniej więcej jedną dwudziestą tego tonażu.

– I właśnie to porabiałeś przez te pięć lat? Zbijając baki w takich konserwach?

– A także latałem nimi do Dryblasów. Coś ci powiem. Ci marines z ZCR nie są nawet tacy źli, jeśli alternatywą jest walka z czymś, co ma dwadzieścia pięć metrów wzrostu i jest kuloodporne.

– Mówili ci, dokąd lecimy?

Pokręciłem głową.

– Nic nie wiem poza tym, że wyciągnęli ten staroć z zakurzonego kąta i kazali nam spadać. To najszybsze przygotowanie do dyslokacji, jakie widziałem.

– To posłuchaj, jak szykowali nas, piechociarzy. Sześć dni w obozie marines ze zgrają szkoleniowców z PK. Sześć dni! I połowa tych kosmicznych małp nie potrafiła odróżnić dziury w ziemi od własnej dupy. Jeśli to oni mają stanowić naszą pierwszą linię obrony, musimy mieć naprawdę przejebane.

– Sześć dni – powtórzyłem z niedowierzaniem. Szkoła bojowa dla żołnierzy PK zajmowała trzy miesiące, z czego połowę spędzało się na treningach w zerowej grawitacji i w symulowanym nieprzyjaznym terenie w obozie na Lunie. Natomiast sześć dni ledwo wystarczało do nauczenia ludzi poruszania się w próżni tak, by się nie pozabijali.

– Taa – skomentowała Fallon. – I nie dostaliśmy nowego sprzętu. Pokazali nam, jak strzelać z M-80 i zespołowych działek automatycznych, ale ich nam nie wydali. Na co się przydadzą te nasze pieprzone wiatrówki?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, pokręciłem więc tylko współczująco głową. Skoro nasze dwa bataliony ziemskich piechociarzy nie dysponowały bronią do walki z Dryblasami, naszym wciąż tajnym celem musiała być jakaś kolonia ZCR, inaczej tych tysięcy pięćset piechociarzy stawało się jedynie balastem.

– Cały oddział mógłby rozwalić obcego tymi wiatrówkami – odezwałem się w końcu. – Trzeba by jednak wystrzelać całą amunicję, a nawet i wtedy nie ma pewności. Poza tym poruszają się grupami, jak my.

– Cudnie – skomentował jeden z żołnierzy, a pozostali zawtórowali ponurymi pomrukami.

– To i tak nieważne – uznała Fallon. – Jeśli każą nam ruszać na te stwory, i tak będziemy mieć przejebane w tym zabytku. Wątpię jednak, czy dlatego tu się znaleźliśmy.

Przyglądała mi się przez chwilę, przygryzając dolną wargę, jakby mnie oceniała.

– Śledzisz wieści z Ziemi, Grayson?

– Nie bardzo – odparłem. – Nie mam czasu, żeby oglądać sieciowizję. I tak zresztą głównie nam mówią. A w MilNecie same nudy, wieści z jednostki i motywacyjne bzdury.

– Tak, nie puszczają pary z gęby – przyznała Fallon. – Ależ zaskakujące.

– Sugerujesz, że dowództwo floty cenzuruje wiadomości? – spytałem z kpiącym niedowierzaniem. Paru żołnierzy zachichotało, lecz Briana nawet się nie uśmiechnęła na mój dowcip. Zamiast tego znów się rozejrzała, po czym pochyliła nad stołem, opierając łokcie o podrapane oliwkowozielone wieko poliplastowej skrzyni.

– Pamiętasz Detroit, prawda? Kiedy straciliśmy dwa desantowce i sporo ludzi?

Dotknąłem lekko boku kurtki mundurowej, kładąc dwa palce w miejscu, w którym uczestnik zamieszek wpakował we mnie dwie fleszety ze skradzionego karabinu, przebijając płuco i kawałek jelita.

– Tak, pamiętam Detroit – powiedziałem. – Choć wolałbym nie.

– No więc pięć lat temu to była sytuacja kryzysowa. Obecnie to norma. DZK posiadają teraz własne bojówki i rządzą terenem. W większości dużych miast gliniarze nawet już tam nie wchodzi, bo szczury na zasiłku mają lepszy sprzęt. Wszystkie nasze operacje dopuszczają teraz użycie broni od samego początku.

– Chyba jaja sobie robisz.

– Chciałabym – odparła, starannie małpując intonację mojej uwagi. – Tutaj wojujecie z Chino-Ruskimi i z Dryblasami. Na Ziemi walczymy z własnymi ludźmi, Andrew.

– We wszystkich DZK? To chyba z pół miliarda ludzi? Cholera, samo BosProv ma dwadzieścia milionów. Nie da się tego wszystkiego uspokoić.

– Zgadza się – przyznała Briana. – Ledwo się utrzymujemy. Pozwalamy im wyrzynać się nawzajem. Wychodzimy z fortów, żeby połamać parę kości, tylko wtedy, gdy szambo zaczyna się rozlewać na przedmieścia i buntownicy biorą się do podpalania klasy średniej w ich hydrowozach i klimatyzowanych domkach. A gdy tylko dwie grupy szczurów na zasiłku prażą do siebie, nikogo to już nie obchodzi.

– I mogą sobie pozwolić, żeby przysłać nam na pomoc dwa pełne bataliony?

– Ach. – Fallon uśmiechnęła się bez cienia wesołości. – Teraz przechodzimy do sedna.

Popatrzyła po swych żołnierzach, jakby pytając ich o zgodę. Nikt się nie odezwał.

– Jesteśmy wichrzycielami, Grayson. Buntownikami. Trzysta Trzydziesty to batalion karny, jak już ci mówiłam. Trzysta Dziewiąty również. Widzisz tych kosmicznych żołnierzików w kasztanowych berecikach i z ostrą amunicją w magazynkach? Nie są tu po to, by nas czegoś uczyć albo wzmacniać nasze morale. Ich zadaniem jest pilnowanie nas, żeby nie przyszło nam do głowy nic głupiego.

Nie było tajemnicą, że flota wykorzystywała szczególną naturę procesu przekazywania wiadomości na dystansie międzygwiazdne, aby przedstawiać wyselekcjonowaną, oczyszczoną

wersję ziemskich wiadomości. Gdy słuchałem opowieści Fallon o ostatnich kłopotach WPA na własnym terenie, mimo wszystko zdumiewało mnie, w jakim stopniu trzymali nas w nieświadomości. Pamiętałem wyprawę do mamy do Bostonu sprzed kilku tygodni i wszechobecnych gliniarzy z przewencji, wyglądających na nieustannie nakręconych. Mówili mi, jak bardzo pogorszyła się sytuacja w mojej dawnej dzielnicy, lecz według Fallon Boston i tak wydawał się oazą obywatelskiego spokoju w porównaniu z niemal każdym metropolem na południe od linii Masona-Dixona oraz na zachód od Gór Skalistych. Zupełnie zaniechano lotów do kolonii i co miesiąc redukowano podstawowe przydziały żywnościowe o kilkaset kalorii. Po zlikwidowaniu tych nielicznych zaworów bezpieczeństwa w strefach komunalnych nagromadziło się zbyt wielkie ciśnienie. W DZK zapanowało bezprawie i tylko cienka zielona linia żołnierzy Sił Obrony Ziemi powstrzymywała całą Wspólnotę od zupełnego upadku. Znowu wyglądało na to, że Dryblasy wcale nie robią naszemu gatunkowi niczego, czego nie czynilibyśmy sobie sami.

– Pierwszy bunt tak naprawdę wcale nim nie był – tłumaczyła Briana. – Po prostu dowódca jakiejś kompanii w Atlancie-Macon odrzucił rozkaz głównodowodzącego batalionem, żeby oczyścili komunalny wieżowiec za pomocą śmigłowców. Nie doszło do żadnych gwałtownych wydarzeń. Szef kompanii rozkazał swojej jednostce, żeby powstrzymała się od działania, i tak się stało. Nie przelano krwi. Dywizja rozwiązała kompanię. Z miejsca zwolniono dyscyplinarnie sto czterdzieści osiem osób, pozbawiając je wszelkich premii i zgromadzonych od tamtej pory pieniędzy.

– O cholera – stwierdziłem. – Wykopano całą kompanię?

– Począwszy od dowódcy aż po ostatniego szeregowca składającego pranie w kwatermistrzostwie.

– Co za kretyńskie posunięcie.

– Za to drugi bunt był już na poważnie. Tym razem trafiło na kapitana, który w szkole oficerskiej studiował prawo neokonstytucyjne i w połowie misji uznał, że wykorzystywanie zdalnie sterowanych działek strażniczych przeciwko nieuzbrojonym cywilom jest nielegalne, rozkazał więc swoim ludziom, żeby ustąpili. Tyle że batalion wysłał kolejną kompanię, żeby ich aresztowała i zabezpieczyła sprzęt, a kapitan prawnik również to uznał za nielegalny rozkaz. Doszło do tego, że na środku zatłoczonej DZK, w której i tak trwały już w najlepsze zamieszki, obie kompanie zaczęły do siebie strzelać. Uzbrojeni cywile dołączyli do walki po stronie zbuntowanej jednostki i niedługo później na ziemi leżała już setka martwych wojaków, należące do batalionu śmigłowce wykonywały naloty ze środkami zapalającymi i ogromny kawał So-Tenn-Chattanooga stanął w płomieniach. Nie wyglądało to za dobrze w sieciowizji, możesz mi wierzyć.

Powinienem czuć osłupienie i gniew, lecz tak naprawdę nie byłem zaskoczony i już dawno temu utraciłem prawo do wściekłości. Przed pięciu laty walczyłem z ludźmi, którzy mogliby być moimi sąsiadami i kolegami ze szkoły, gdybyśmy zamiast do Detroit trafili do Bostonu. Doszło wówczas do tego, że raketę służącą do burzenia bunkrów wpakowałem w wieżowiec pełen ludzi. Do dziś sumienie próbowało mnie przekonywać, że w budynku nie przebywali już bezbronni cywile, że każdy dysponujący choć odrobiną pomysłu dostał się stamtąd, gdy rozpoczęła się strzelanina, ale moja racjonalna strona miała na ten temat inne zdanie. Pamiętam, jak wywalczyliśmy sobie drogę przez ciemne ulice i w myślach oznaczaliśmy wszystkich, którzy nie mieli na sobie pancerza AT, jako cele do natychmiastowego zabicia. Nieistotne, czy nasze działania były usprawiedliwione albo zgodne z prawem, ponieważ moralność przestała odgrywać rolę, gdy tylko pierwsze z nas nacisnęło spust, celując do mieszkańca dzielnicy komunalnej. Wojskowa przysięga kazała mi chronić prawa oraz swobody obywateli Wspólnoty, lecz od momentu zakończenia obozu przygotowawczego złamałem ją

dziesiątki, setki, może nawet tysiące razy.

– Cały czas ktoś z nas wyjeżdża na przepustkę. Nikt nie słyszał nigdy żadnych plotek o zbuntowanych jednostkach SOZ.

– Bo nie ma z kim rozmawiać – wyjaśniła Fallon. – Większość jednostek SOZ musi teraz między desantami przebywać w bazach, a jeśli trafiasz na Ziemię na przepustkę, nie dopuszczają cię do niespokojnej DZK albo niepewnego oddziału. Na ilu sozetów ze służby czynnej trafiłeś podczas ostatniego pobytu w domu, Grayson?

– Na żadnego – przyznałem. – Tylko na gliniarzy i zandarmerię.

Fallon rozłożyła dłonie w geście mówiącym „no właśnie”, a ja przez chwilę przetrawiałem usłyszane informacje.

– Żołnierze SOZ stanowią główną siłę na Ziemi. Gdyby zebrać wystarczającą liczbę batalionów, które odmówiłyby pójścia do akcji, nie dałoby się już zatrzymać buntowników w DZK, chyba że zaczęto by wydawać desantowce miejskim gliniarzom i ich szkolić.

– Zgadza się – odparła.

– A zatem jak ty wylądowałaś na czarnej liście?

– Do cholery, przecież mnie znasz – powiedziała z uśmiechem. – Nie sądzę, żeby poszło o coś konkretnego. Uwierałam dywizję, zanim jeszcze do nas dołączyłeś. Mówią, że mam problem z autorytetami. Ja natomiast mówię, że mam słabą tolerancję na głupotę.

– Jaką podali wymówkę?

– Odmowa wykonania rozkazu bezpośredniego zwierzchnika, spiskowanie, bla, bla, bla. Pamiętasz tę zbuntowaną kompanię, o której ci opowiadałam? Tę, która rozpoczęła strzelaninę z inną jednostką?

– Ano.

– To kompania Brawo z Trzysetnego. Trzysta Sześćdziesiąty Piąty zaś został wezwany, żeby ich wykurzyć. A twój stary kumpel, major Unwerth, tamtego dnia dowodził batalionem. Powiedziałam dowódcy swojej kompanii, że mój pluton nie zamierza strzelać do innych żołnierzy SOZ, a kapitan dał się przekonać do mojego punktu widzenia.

Znów się uśmiechnęła, tym razem z błyskiem szczerzej radości w oczach.

– Boże, ależ to było przyjemne móc powiedzieć temu bezużytecznemu workowi gówna, żeby poszedł się jebać. Być może nawet nadałam to na kanale batalionu. Wyjątkowe przekroczenie regulaminu.

– Wyjątkowe – przyznałem i oboje się uśmiechnęliśmy.

– Oczywiście to on śmiał się ostatni. Po tym wszystkim spędziłam miesiąc w areszcie.

Nie chcieli zapewnić mi porządnego sądu wojennego. Nie chcieli, żeby pojawiły się zdjęcia mnie z Medalem Honoru i w mundurze klasy A stojącej przed trybunałem. Poza tym niektórzy podoficerowie z Trzysetnego bronili się, twierdząc, że wydano im bezprawny rozkaz, i media w jakiś sposób to wywęszyły. Wypuścili mnie zatem z puszki i wręczyli rozkaz przeniesienia. Rozwiązali pluton i rozrzucili nas po całym Trzystu Trzydziestym. Batalion składa się z zebranych z całej brygady ludzi mających problemy z posłuszeństwem.

– A więc nie przysłali was nam na pomoc – uznałem. – Po prostu się was pozbyli.

Briana wzruszyła ramionami.

– Dzięki temu nie wywieramy złego wpływu na jednostki, które wciąż robią, co się im każe.

– I nie powodujecie bezsennych nocy u dowództwa. Nie muszą się martwić, że cały batalion obróci się przeciwko nim i przekaże desantowce bojówkom z DZK.

– Lepiej posłać nas po prostu w kosmos, żeby zmasakrowali nas Dryblasy albo żebyśmy ochłonęli na jakiejś opuszczonej planetce z dala od Ziemi. Dobrze kumasza, Grayson.

– Pozostaje pytanie, dokąd, do cholery, nas wysyłają? Gdzie chcą umieścić dwa bataliony doświadczonych w boju żołnierzy, których zamierzają trzymać z dala od reszty sił?

– Za diabła nie mam pojęcia – odparła Fallon. – Wiem tylko, że armia wpadła w niezłe gównno, podobnie jak cała Wspólnota. Niedługo wszystko wybuchnie, a my będziemy mogli oglądać przedstawienie z pierwszego rzędu.

Nad naszymi głowami głośniki okrętowego radiowęzła ożyły z lekkim piskiem.

– Do wszystkich, przygotować się do przejścia w Alcubierre’a. Powtarzam, do wszystkich, przygotować się do przejścia w Alcubierre’a. Pasażerowie z piechoty mają zgłosić się do wyznaczonych obszarów. Pozostało dwadzieścia minut.

Zebrani w pomieszczeniu SOZ popatrzyli na mnie, czekając na wyjaśnienie nieznannej im procedury.

– Będziemy wchodzić w komin umożliwiający podróż z prędkością wyższą niż światło. Cholera tylko wie dokąd.

– Ile to potrwa? – ktoś spytał.

– Nie wiadomo. Zależy od systemu. Mogą być dwie godziny, może być i dwadzieścia.

Nigdy zawczasu nie zdradzają celu.

Za ścianą ze skrzynek rozległo się szuranie licznych par butów, gdy członkowie załogi „Midway” spieszyli na swoje stanowiska.

– Słyszeliście, co kazały szczy – rzekła Fallon, wstając, by podnieść elementy pancerza.

– Wracajmy do naszego milutkiego miasteczka namiotowego. Poczekajmy, gdzie wysra nas królicza nora.

Mijając mnie, klepnęła w ramię.

– Dobrze cię znowu widzieć, Andrew. Może znajdziemy jeszcze chwilę, żeby pogadać, zanim wszystko się rozpierdzieli w drobny mak.

Ostatnie minuty przed przejściem w Alcubierre’a spędziłem, układając wiadomości do mamy i Halley. Wiedziałem, że najprawdopodobniej nigdy nie opuszczą okrętowych banków pamięci, ale i tak je wysłałem, w razie gdyby była to ostatnia okazja, by się pożegnać.

Dotrzymam obietnicy. Do zobaczenia za sześć miesięcy. Kocham cię.

Andrew

Gdy stuknąłem przycisk, by przesłać wiadomość do mojej narzeczonej, uświadomiłem sobie, że pierwszy raz skierowałem do niej te słowa.

Dokądkolwiek lecieliśmy, zamierzałem stamtąd wrócić, nawet gdybym musiał przepchnąć się przez wszystkich Dryblasów we wszechświecie.

Rozdział 15

Nowa sytuacja

Zespół Zadaniowy 230.7 ledwo zasługiwał na swą nazwę. Niewielka grupka zmęczonych życiem, starych łajb, która przeszła z nami przez komin, być może zdołałaby pokonać samotny nowy niszczyciel, ale nie chciałbym należeć do załogi, która zdecydowałaby się na coś takiego. Główny element stanowił osiemdziesięcioletni „Midway”, eskortowany przez niemal równie stary lekki krążownik, fregatę również bez mała już zlikwidowanego typu oraz statek handlowy z floty pomocniczej. W całym zespole znajdował się tylko jeden okręt młodszy niż ja, był nim jednak „Indianapolis”, lekko opancerzony patrolowiec orbitalny, na tyle niewielki, że miejsca wystarczyło w nim akurat na siłownię fuzyjną i napęd Alcubierre’a. Jedynym pozytywnym aspektem tej zbieraniny okazywał się „Portsmouth”, należący do najszybszych i najlepiej uzbrojonych okrętów zaopatrzeniowych marynarki.

Ten naprędce zebrany motłoch wyskoczył z Alcubierre’a po siedmiu godzinach przejścia. Setki razy latałem ścieżkami międzygwiazdnej sieci i choć przed wejściem w komin nie było sensu choćby zgadywać celu – flota zwykła modyfikować po drodze prędkość i nigdy nie szła bezpośrednim kursem do początkowego punktu Alcubierre’a – znacznie więcej mówiła odległość spędzona w kominie, ponieważ tam okręty nie mogły zbaczać ani zmieniać szybkości. Siedem godzin umieszczało nas w pobliżu linii trzydziestu lat świetlnych. Wyciągnąłem OTI, by w tabeli gwiazd poszukać możliwych kandydatów, jednak BCI oszczędziło mi wysiłku, nadając komunikat na cały „Midway”.

– Do wszystkich, opuścić stanowiska przejściowe. Witamy w Fomalhaut.

Fomalhaut, pomyślałem. Wielki system w znacznej mierze nieprzyjazny dla ludzkiego życia. Jeśli chcieli wysłać nas do międzygwiazdowego gułagu, wybrali doskonałe miejsce.

Cztery godziny po naszym wejściu do systemu Fomalhaut kapitan Michaelson wezwał członków kompanii do zadań specjalnych. Gdy dotarłem do zaimprovizowanej sali spotkań, w środku znajdowało się dość żołnierzy, by zebrać z nich cztery oddziały. Siedzieli na przyniesionych zewsząd składanych krzesłach, Michaelson zaś stał przed nimi, opierając się o pulpit dla spikerów.

– To nie jest odprawa – oznajmił, gdy wszyscy już spoczęli – a jedynie wieści z góry. Nie zawracajcie sobie głowy robieniem notatek.

Szybko policzyłem obecnych i kolory ich беретów. Widziałem trzydziestu żołnierzy PK, większość z naszymi rozpoznania na rękawach. Trzech ludzi z floty siedziało razem w pierwszym rzędzie, a po drugiej stronie pomieszczenia ujrzałem czerwony берет kolejnego kontrolera walki. Kapitan przyjrzał się zgromadzonym i z wyraźną irytacją pokręcił głową.

– Powinna teraz przede mną siedzieć wzmocniona kompania. Zamiast tego dostałem niepełny pluton rozpoznania, trzech kosmicznych ratowników i dwóch kontrolerów walki. Wychodzi na to, że brakuje mi drużyny SEALs i całego plutonu rozpoznania.

– Ale zaskoczenie – mruknął jeden gość z rozpoznania.

– Nieważne jednak – ciągnął Michaelson. – Chyba powinienem się cieszyć, że nie stoję tu sam i nie gadam do tamtej ściany, bo równie dobrze mogło to i tak wyglądać.

Obrócił się do znajdującego się za nim ekranu.

– No dobrze, nie traćmy czasu. Czy jest tu ktoś, kto jeszcze nie odwiedzał przepięknego systemu Fomalhaut?

Kilku ludzi z PK uniosło dość nieśmiało ręce.

– Świetnie, zatem reszta z was to stali klienci.

Wyświetlił strategiczny diagram systemu składającego się z jasnej gwiazdy typu A, otoczonej potężnym pierścieniem szczątków oraz trzema planetami orbitującymi dość załóżnie w przestrzeni między nimi. Za pasem asteroid widać było też czwartą planetę.

– Zrobię szybką wycieczkę dla nowych – oznajmił kapitan. – Fomalhaut to dość niedroga dzielnica, jak na galaktyczne warunki. System jest wielki, zimny i pusty, nie oferuje zbyt wielu miejsc do rozstawienia namiotu.

Wybrał jedną z planet i przybliżył widok.

– Żadna z widocznych tu planet nie nadaje się do terraformowania. Fomalhaut a leży zbyt blisko gwiazdy i praży się w jej promieniowaniu. Fomalhaut b to gazowy olbrzym typu jowiszowego, podobnie jak nieco mniejszy Fomalhaut c. Z kolei Fomalhaut d jest zamrożoną kulą gazu leżącą daleko za pierścieniem szczątków. Jedyne sensowne nieruchomości, na których da się mieszkać w tym systemie, to dwa księżycy: jeden krążący wokół Fomalhaut b, drugi dookoła Fomalhaut c. Jeden z nich należy do nas, drugi do ZCR. Zgadnijcie, komu dostał się przyjemniejszy spłachetek ziemi.

Mówiąc, wyizolował na wyświetlaczu księżyc planety i przybliżał perspektywę, dopóki wyglądająca na brudną kulę nie zajęła większości ekranu.

– Oto Nowy Svalbard. Stanowi nasz wodopój w systemie, lecz nie nadaje się na wiele więcej. Mam nadzieję, że spakowaliście ciepłe gatki, bo na jakiś czas wzmocnimy tamtejszy garnizon.

W sali rozbrzmiały niechętnie pomruki. Jeden z sierżantów z kosmicznych ratowników uniósł dłoń.

– Sir, jak zamierzamy wcisnąć tam dwa bataliony i cały pułk? Obóz Sopol nie pomieści więcej niż dwie lub trzy kompanie.

– Zgadza się – przyznał Michaelson. – Rozdzielimy naszych przyjaciół z SOZ między wszystkie bazy terraformujące, po jednym plutonie na stację. Ich pluton dowódczy zostanie z naszymi ludźmi w Sopolu. Pułk PK będzie pozostawać w rotacji: jedna kompania na powierzchni, a pozostałe trzy tu, na „Midway”, wraz z desantowcami, jako siły szybkiego reagowania. Zatrzymuję też pluton rozpoznania i wszystkich trzech ratowników. Kontrolerzy walki zostaną przydzieleni do SOZ, po jednym na batalion. Będziecie służyć jako łącznicy z flotą i wyznaczać cele dla armat, jeśli coś się solidnie popsuje. A na dodatek przypilnujecie SOZ.

Kapitan zaczął wchodzić w szczegóły, ja zaś zastanawiałem się nad rozwojem sytuacji i nie potrafiłem nie odczuwać odrobiny niechętnego szacunku dla geniusza ze sztabu floty, który wymyślił, gdzie umieścić te dwa niepewne bataliony bez potrzeby blokowania trzech tysięcy miejsc w więzieniu wojskowym. Szkoda, że jedyni mądrzy ludzie na górze korzystali z szarych komórek tylko po to, by udupiać swoich rodaków, zamiast zastanawiać się nad lepszymi sposobami zabijania Dryblasów.

Według mojego dowódcy jednym z powodów, dla których przydzielono mnie do żołnierzy SOZ, była chęć umieszczenia zaufanej pary oczu w ich szeregach, czułem się więc trochę jak wywrotowiec, gdy zaraz po odprawie szukałem Fallon, by wtajemniczyć ją w plany floty.

– Nieźle to pokręcone – stwierdziła, gdy naszkicowałem jej ogólny obraz. – Dzielą nas na plutony, żebyśmy nie dysponowali naraz zbyt dużą liczbą broni. Bez desantowców będziemy musieli tkwić tam, gdzie postanowią nas wcisnąć.

– I łatwo im będzie spacyfikować niesforne jednostki, skoro na orbicie zostanie większość pułku wraz ze wszystkimi pojazdami.

– Ale co powstrzyma naszych przed zejściem się i odtworzeniem kompanii?

Pokręciłem głową.

– To Nowy Svalbard. Szkoliłaś się kiedyś na Ziemi w zimnym klimacie?

– Owszem. Na Ziemi Ognistej i w Antarktyce.

– Wyobraź więc sobie Antarktykę w samym środku zimy. Nie licząc pasa tundry otaczającego równik, takie warunki na Nowym Svalbardzie nazywano by upałem. Większość powierzchni księżycy jest skuta lodem, na biegunach grubym na dziesięć kilometrów. Mamy jedno duże osiedle i sześćdziesiąt cztery stacje terraformujące. Wszystko to otacza równik. Owszem, dzięki temu uzyskaliśmy pas tundry, ale zimą i tak zdarzają się tam wiatry wiejące z prędkością trzystu kilometrów na godzinę. Nawet systemy grzewcze w pancerzach nie utrzymają was przy życiu wystarczająco długo, żeby dało się przejść z jednego wymiennika atmosferycznego do następnego. Będiesz wołała trzymać się blisko elektrowni fuzyjnej.

– Po prostu wspaniale – rzekła Fallon, wymieniając spojrzenia z innymi siedzącymi wokół stołu żołnierzami SOZ. – Cholernie dobry sposób, żeby nas rozdzielić.

– Coś wymyślimy – uznał ktoś z przekonaniem. Inni zgromadzeni pokiwali potwierdzająco głowami.

– Jasne, że tak – odparła Fallon. – Tacy przecież jesteśmy. Improwizacja, adaptacja, supremacja. Niech mnie diabli wezmą, jeśli dam się wcisnąć do puszki jakimś wyrzygom z marynarki.

Skinęła mi lekko i knykциями obu dłoni zaczęła stukać w powierzchnię prowizorycznego stolika.

– Dzięki, że mówisz nam, co jest grane, Andrew. Jestem twoją dłużniczką.

– Wcale nie – odpowiedziałem. – To ja zaczynam spłacać wszystko, co jestem winien tobie. Razem z pięcioma latami odsetek.

Poszedłem do dziupli służącej kapitanowi Michaelsonowi za biurko. Gdy zapukałem, spoglądał właśnie na mapę taktyczną Nowego Svalbardu. Nie podnosząc wzroku, gestem zaprosił mnie do środka.

– Byłeś już kiedyś na dole, Grayson?

– Tak jest, sir. Parę razy, żeby uzupełnić zapasy wody. Nigdy jednak nie musiałem wyjść poza obóz Sopol.

– Ja byłem tam ostatnio przed trzema laty, jeszcze jako podporucznik – oznajmił. – Od tego czasu na pewno nie zrobił się tam tropikalny kurort.

– Postanowił już pan, gdzie mnie przydzielić?

– Jeszcze nie. A co, masz jakieś preferencje?

– Znam kogoś w Trzystu Trzydziestym, sir.

Przez chwilę przyglądał mi się z nieodgadnionym wyrazem twarzy i byłem niemal pewny, że zamiast tego dołączy mnie do Trzystu Dziewiątego, lecz wzruszył ramionami i wrócił wzrokiem do ekranu z danymi.

– Jasne, idźcie z Trzystu Trzydziestym. W sumie możemy im uprzyjemnić pobyt. Zameldujcie się w ich dowództwie i przygotujcie swoje rzeczy do transportu. Na orbicie znajdziemy się za około sześć godzin.

Dziwnie było opuszczać orbitę na spokojnie, bez pośpiechu i nerwówki typowych przed desantem bojowym. Gdy nadszedł rozkaz wejścia na pokład, ustawiłem się na pokładzie lotniczym obok plutonu dowódczego 330 i wszedłem do przydzielonej Osy. Wszyscy mieliśmy na sobie pancerze bojowe i byliśmy obładowani bronią oraz wyposażeniem osobistym,

zapakowanym w solidne polioplastowe pojemniki na kółkach, zabezpieczone zamkiem kodowanym DNA.

Zająłem miejsce i chwyciłem pasy. Gdy gmerałem przy klamrze staromodnej uprząży, ktoś ze stęknieniem opadł na sąsiednie siedzenie. Podniosłem wzrok i ujrzałem twarz Fallon.

– Gotów na miłe wakacje?

– Cześć. Nie wiedziałem, że jesteś w plutonie dowódczym.

– Bo nie jestem. – Mrugnęła do mnie. – Tak naprawdę jestem w kompanii Delta. Tylko nie mów nikomu.

Umieściła karabin w klamrze obok fotela i włączyła blokadę.

– Dokonałiśmy paru zmian. Pluton sztabowy leci do obozu Sopel, nie do stacji terraformujących. Trochę przetasowaliśmy talię, żeby wszystkie asy wylądowały w odpowiednim miejscu. W końcu nigdy nie wiadomo, co się stanie, racja?

– Cholerna racja – przyznałem.

Obóz Sopel składał się ze skupiska kopuł ze zbrojonego betonu przytulonych do zbocza wzgórza. Mieścił się w pobliżu głównego ośrodka terraformującego na Nowym Svalbardzie, w samym środku nadającego się do zamieszkania pasa tundry wykrojonego wzdłuż równika po kilku dekadach niestrudzonej modyfikacji atmosfery. Oczywiście w tutejszych warunkach „nadające się do zamieszkania” oznaczało jedynie „nie natychmiastowo śmiertelne dla osób pozbawionych stosownego wyposażenia”. Gdy tylna rampa naszego desantowca opadła na płytę lądowiska, przez lądowię natychmiast przemknął polarny wicher, chłodno witający nas w jednym z najmniej przyjemnych miejsc, jakie kiedykolwiek zasiedliła ludzkość. Wszyscy żołnierze natychmiast opuścili wizjery hełmów.

Nie czekał na nas żaden komitet powitalny. Wyszedłem na beton, który, ku mojemu zaskoczeniu, nie był pokryty śniegiem jak podczas poprzednich wizyt. Fallon zatrzymała się na końcu rampy, po czym powoli, starannie wymierzonymi krokami, zeszła na lądowisko. Skrobnęła czubkiem buta powierzchnię betonu i zbliżyła się do mnie.

– Pierwsze kroki na innym świecie – powiedziała na prywatnym kanale. – Wcale nie wygląda inaczej niż Ziemia. Jestem trochę rozczarowana.

– Wybieramy kolonie pod względem dobrego dostępu do minerałów lub wody – odparłem. – Piękno nie znajduje się wysoko na liście priorytetów. Większość osiedli nie jest zbyt przyjemna.

– Przynajmniej mamy czyste powietrze. I wspaniały widok.

Briana zatoczyła koło, by przyrzeć się całej okolicy bazy. Miasteczko w dolinie poniżej stanowiło jedyny dowód ludzkiej obecności. Za naszymi plecami łańcuch ośnieżonych gór wznosił się w stalowoszare niebo, a za miasteczkiem leżał przestwór tundry i lodowców, pozbawiony śladów życia.

– Nikogo nie widać – stwierdziła Fallon. – Zdecydowanie przebija metropleksy. Gdyby tylko podkręcić termostat o kilkadziesiąt stopni, byłoby jak w raj.

Obóz Sopel powiększył się, odkąd zaglądałem tu ostatnio po wodę. Wcześniej budynki zdołałyby pomieścić tylko wzmocnioną kompanię oraz pluton czy dwa pojazdów. Teraz ich liczba niemal się potroiła. Widzieliśmy cztery koszary kompanijne, nową stołówkę i salę gimnastyczną, a także znacznie większy hangar. W drodze na kwaterę zauważyłem, że miejscowy garnizon dysponował własną eskadrą okrętów desantowych. Cztery nowiutkie Ważki zaparkowano schludnie w ogrzewanym i wyglancowanym hangarze. Dawny paskudny posterunek z minimalnymi udogodnieniami zamienił się w pełnoprawną bazę wojskową.

– Stacjonujemy w bloku B, wraz z plutonem sztabowym z Trzysta Dziewiątego. Szeregowi na pierwszym i drugim piętrze, podoficerowie na trzecim – usłyszeliśmy od najwyższego rangą hierarchii sierżanta w plutonie, gdy znaleźliśmy się na centralnym dziedzińcu wraz z całym wyposażeniem. – Ludzie z floty już tu są, więc nie następujcie nikomu na odciski. Mieszkają w bloku C.

Nowe budynki kompanii były przysadziste i płaskie, o zaokrąglonych narożnikach i grubych ścianach, bardziej przypominały bunkry niż kwatery mieszkalne. Cztery takie stały w rzędzie po jednej stronie głównej drogi przecinającej obóz. Skoro tutejszy garnizon stacjonował w bloku A, kompania piechoty kosmicznej z „Midway” w bloku C, oba plutony sztabowe z batalionów Sił Obrony Ziemi zostały zgrabnie wciśnięte pomiędzy przeważające siły żołnierzy PK.

Zaciągnęliśmy graty do bloku B, zlokalizowaliśmy swoje pokoje i rozmieściliśmy rzeczy w nowych szafkach przy łóżkach. Znow mogłem się cieszyć kwaterą tylko dla siebie, kontynuując tym samym szczęśliwą i nieprzerwaną tradycję ciągnącą się, odkąd wróciłem do floty ze Szkoły Kontroli Walki. Wyciągnąłem OTI i sprawdziłem, czy łączy się z siecią. Osoby odpowiedzialne za rozbudowę obozu Sopol nie zapomniały o infrastrukturze komunikacyjnej, ponieważ natychmiast zalogowałem się do miejscowego węzła MilNetu, bez opóźnienia w przekazie danych, typowego dla większości kolonii na odludziu.

Zajrzałem do skrzynki odbiorczej, wbrew rozsądkowi mając nadzieję, że Halley zdążyła naskrobać odpowiedź, zanim „Midway” przeprowadził ostatnią synchronizację danych przed wejściem w komin. Znalazłem jednak wyłącznie administracyjne śmieci od floty. Jeśli miało się okazać, że po raz ostatni opuściłem ziemski system słoneczny, wspólna historia moja i Halley nie doczeka się formalnego zakończenia.

Nie chciałem rozpamiętywać rzeczy, na które nie miałem wpływu, schowałem więc OTI i wyszedłem z pokoju, by zrobić coś rozsądnego i typowo żołnierskiego: udałem się na stołówkę, żeby sprawdzić jakość miejscowego jedzenia.

Dzień na Nowym Svalbardzie liczył ponad sto godzin, lecz większość z nas od tak dawna żyła w pozbawionych okien rurach w sześciogodzinnym cyklu zmianowym, że nie potrzebowałem ciemności, by móc zasnąć. Kolejne dwie zmiany spędziłem na śnie, jedzeniu i zadamawianiu się w nowym środowisku. Trafiliśmy w środek nowosvalbardzkiego lata, czyli mogliśmy chodzić na zewnątrz w zwykłych mundurach roboczych, nie zamieniając się po kilku minutach w ekspresjonistyczne lodowe rzeźby. Droga biegnąca od głównej bramy bazy do miasteczka została przerobiona z gruntowej na solidnie ubitą żwirową, samo osiedle zaś podeszło na tyle blisko obozu, że dotarcie do niego leżało już w granicach możliwości.

– Możecie tam dojść – powiedział strażnik przy bramie, odgadując moje myśli, gdy przyglądałem się tundrze. – Półtora kilometra. Często chodzimy przy dobrej pogodzie. Nie próbujcie tylko tego, gdy wieją zimowe wichury, chyba że wyjdziecie w ogrzewanym pancerzu.

– A warto tam w ogóle iść?

– W miasteczku jest parę barów. Nowa sala gimnastyczna w bazie jest fajniejsza niż wszystko, czym dysponują cywile, ale czasami przychodzi ochota, żeby zobaczyć się z ludźmi, którzy nie noszą mundurów, prawda?

– Tak – zgodziłem się.

Wartownik skinął mi głową i wrócił do obowiązków, czyli do przyglądania się ekranom w budce, sygnalizującym ewentualne alarmy.

Przeszedłem przez bramę i jakiś czas podążałem ubitą drogą, dopóki nie znalazłem się poza zasięgiem słuchu od stróżówki. Wiatr wiał od północy, od poszarpanej ściany ośnieżonych gór. Było tak zimno, że nie chciałbym spędzić tu godziny w samym mundurze bojowym, ale

dotąd temperatura mi nie przeszkadzała. Zazwyczaj musiałem oddychać oczyszczonym okrętowym powietrzem, a gdy desantowałem się na powierzchnię planet kolonialnych, zwykle za bardzo pochłaniały mnie chęć utrzymania się przy życiu i konieczność zabijania wrogów, żebym mógł na spokojnie docenić czystą atmosferę. Nowy Svalbard był surowy, mroźny i jałowy, charakteryzował się jednak czystością, która zapierała dech w piersiach komuś wychowanemu w Dzielnicy Zakwaterowania Komunalnego, gdzie w jednym wieżowcu mieszkało więcej ludzi niż w całym miasteczku sąsiadującym z bazą. Żałowałem, że nie mogłem nakręcić wideo dla mamy. Przez dwadzieścia przeżytych na Ziemi lat nigdy nie znalazłem się w miejscu, z którego rozciągałby się widok na trzydzieści kilometrów w każdym kierunku, a jednocześnie nie dostrzegało się żadnej ludzkiej istoty.

Jeszcze dziesięć lat terraformowania i zrobi się tu pięknie, pomyślałem. A później, gdy już odwalimy całą ciężką pracę, ZCR spróbuje nam to wszystko zabrać i ten księżyc zamieni się w pole bitwy. Oczywiście przy założeniu, że Dryblas nie zjawia się znacznie wcześniej.

Z zachmurzonego nieba sfrunęły dwa okręty desantowe. W zwartej formacji przeleciały nad Soplem, mrugając światłami pozycyjnymi. Do pylonów na skrzydłach podczepiono mnóstwo pojemników transportowych. Desantowce z „Midway” przez ostatnie dwie zmiany przewożyły ludzi i sprzęt pomiędzy lotniskowcem a posterunkami. W wyniku tego mostu powietrznego w niecałe dwanaście godzin liczba żołnierzy Wspólnoty na powierzchni wzrosła dziesięciokrotnie. Dwa bataliony SOZ rozproszone pomiędzy stacjami terraformowania nie dysponowały własnym wsparciem lotniczym ani ciężkimi pancernymi, jednak dla ZCR księżyc stanowiłby twardy orzech do zgryzienia, gdyby rzucono przeciwko nam coś mniejszego niż brygadę. Natomiast dla Dryblasów nasza obecność nie miałaby znaczenia – ot, raptem kilka mrowisk więcej do rozrzucenia.

Chciałem pospacerować jeszcze po zimnej tundrze, nacieszyć się tak rzadkimi chwilami samotności i przestrzenią otaczającą obóz, jednak nagle ożyły głośniki bazy, niweczając nastrój:

– Cały niepełniący służby personel ma o godzinie szesnastej zgłosić się do stołówki na odprawę. Powtarzam, cały niepełniący służby personel ma o godzinie szesnastej zgłosić się do stołówki na odprawę.

Zerknąłem na zegarek i stwierdziłem, że zostało mi piętnaście minut, zatem z wahaniem skierowałem się z powrotem do bramy.

Nowa stołówka ledwo wystarczała, by pomieścić wszystkich żołnierzy przebywających obecnie w bazie. Gdy wszedłem, niemal wszystkie stoliki okazały się zajęte. Fallon i jej świta z SOZ siedzieli z tyłu sali, przy jednym z wyjść. Zamachała do mnie, precyzyjnie się więc przez tłum i usiadłem z sozetami.

– Ciekawe, co takiego mają do powiedzenia, że wszyscy musieli się tu zjawić – odezwała się Fallon.

– Nie mam pojęcia – odparłem.

Naczalstwo nie kazało nam długo czekać. Zerwaliśmy się na baczność, gdy do stołówki weszli dowódca tutejszego garnizonu oraz szefowie batalionów. Obaj oficerowie SOZ byli podpułkownikami i przewyższali stopniem zwierzchnika PK, zaledwie majora, lecz wyglądało na to, że to on dzierżył palmę pierwszeństwa.

– Posłuchajcie – oznajmił. – Dowódca zespołu zadaniowego chce zwrócić się do wszystkich jednostek.

– Do wszystkich, uwaga – z głośników dobiegł głos. – Mówi generał Pearce, głównodowodzący Zespołu Zadaniowego Dwieście Trzydzieści-Siedem. Przejdę od razu do

rzeczy. Przybyliśmy do systemu Fomalhaut i zamierzamy tu pozostać. Wzmacniamy garnizon na Nowym Svalbardzie. Powód, dla którego zabraliśmy tyle dodatkowych zapasów, jest następujący: nasz pobyt został uznany za bezterminowy. Dobrą wiadomością, jeśli można ją tak określić, jest to, że wywiad floty wreszcie odkrył metodę przemieszczania się Dryblasów i odnajdywania przez nich naszych kolonii. Zła wieść polega na tym, że te paskudne gnojki wykorzystują przeciwko nam naszą sieć Alcubierre'a.

Po tych słowach nawet wojskowa dyscyplina i protokół odpraw nie mogły powstrzymać zgromadzonych żołnierzy przed wyrażeniem zaskoczenia. W sali rozbrzmiały naraz setki rozmów. Spojrzałem na majora PK i zauważyłem z pewną satysfakcją, że był równie zaskoczony jak my. Dowództwo floty starannie rozegrało karty w tej partii i choć odgadłem, że zwykłym żołnierzom znowu się oberwie, znaczenie zasłyszanych informacji na chwilę mnie oszołomiło.

– Nie odkryliśmy, w jaki konkretnie sposób tego dokonują, ale wiemy, że Dryblasy używają węzłów przejścia, naszych i ZCR, aby wyszukiwać kolonie. Wyszło na to, że w zasadzie rozstawiliśmy im mrugające drogowskazy. W związku z tym flota postanowiła zamknąć całą sieć, dopóki nie wymyślimy, jak walczyć z okrętami nasiennymi. Nasze przejście do Fomalhaut było ostatnim, zanim flota wyłączyła węzeł po stronie ziemskiego układu słonecznego. Boje zostały zdezaktywowane, punkty przejścia zaś są obecnie minowane bombami atomowymi.

– Cisz! – krzyknął major z PK, gdy narastający szmer poruszonych żołnierzy zaczął zagłuszać głos generała w głośnikach. Harmider przycichł, ale tylko nieznacznie.

– Nie mogę wam powiedzieć, ile czasu zespół zadaniowy pozostanie w tym systemie. Mogę wam jednak zagwarantować, że zamierzamy wywieszać flagę Wspólnoty nad Nowym Svalbardem tak długo, ile okaże się potrzebne. Miesiąc, rok lub więcej. Będziemy chronić tego księżycyca przed każdym zagrożeniem, czy to ze strony Rosjan, Chińczyków, czy też Dryblasów, dopóki dowództwo nie otworzy na nowo sieci Alcubierre'a i nie zwolni nas z obowiązku. Do tego czasu nic nie ulegnie zmianie. Harmonogram awansów wciąż obowiązuje. Każdy, komu podczas naszego pobytu upłynie okres kontraktu, będzie mógł zaciągnąć się na kolejny regulaminowy okres, w innym przypadku dotychczasowy kontrakt zostanie przedłużony do chwili naszego powrotu na Ziemię. Ci z was, którzy zdecydują się odsłużyć następny pełny kontrakt, otrzymają prawo do dodatkowej premii po jego upływie.

Niektórzy siedzący przy stoliku żołnierze wydali z siebie powstrzymywany śmiech. Wszyscy sozeci albo wciąż pozostawali w szoku, albo rozmawiali między sobą. Hałas w sali pozostawał na poziomie absolutnie nieakceptowalnym podczas przemowy oficera wysokiego stopniem, jednak dowódcy nie podejmowali wysiłków, by nas uciszyć.

– Oczekuję, że żadne z was nie zaprzestanie wykonywania obowiązków, dopóki nie zostaniemy zwolnieni z zadania i nie wrócimy do domu. Okręty wchodzące w skład zespołu zadaniowego rozpoczną patrole orbitalne zgodnie z ustalonym grafikiem. Pod względem taktycznym znajdujemy się w dobrej pozycji. Posiadamy wystarczającą ilość artylerii, by odeprzeć przeważające siły, i zapasy, by wystarczyły nam na wiele miesięcy. Na powierzchni dysponujemy siłami przekraczającymi dwa bataliony, przy czym w każdej stacji terraformowania znajduje się przynajmniej pluton. Dochodzi do tego pułk zaokrętowany na „Midway”, który w ciągu godziny może pojawić się w dowolnym zagrożonym miejscu na powierzchni. Wystarczy nam sprzętu i żołnierzy, aby zrobić krwawą łaźnię nawet półbrygadzie marines ZCR. Jeśli zaś trafią tu Dryblasy, zanim flota nas odwoła, rzucimy na nich wszystko, co mamy, gdy tylko pierwszy z nich postawi tutaj nogę.

Wszyscy obecni na stołówce kosmiczni piechociarze wiedzieli, że jeśli Dryblasy zapragną tego księżycyca, wezmą go sobie, nieważne, ile karabinów w nich wymierzymy. Motywacyjna gadka generała zapewne miała złagodzić niepokój kontyngentu SOZ i przekonać jego żołnierzy,

że nie zostali ciśnięci na zapomniany księżyc, by ustanowić tu pozbawioną szans reductę, po otaczających mnie twarzach dostrzegałem jednak, że sozeci dysponowali równie dobrze skalibrowanymi detektorami bzdur, co my.

– Sierżancie sztabowy Grayson – Fallon zwróciła się do mnie na tyle głośno, by usłyszała to reszta zgromadzonych przy stole – ile kolonialnych planet i księżyców Dryblasy zaatakowali do tej pory?

– Gdy widziałem ostatnie wyliczenia, było to czterdzieści cztery, pani chorąży Fallon – odrzekłem równie donośnie.

– A ile z nich udało nam się obronić, sierżancie Grayson?

– Gdy widziałem ostatnie wyliczenia, zero, pani chorąży Fallon.

Wokół nas rozległy się nerwowe chichoty. Z przodu sali major PK wystosował kolejną prośbę, by się uciszyć. Generał kontynuował jednostronną przemowę, nieświadom nagłego poruszenia w szeregach:

– Okopimy się i utrzymamy, dopóki nie zostaniemy zwolnieni z obowiązku. Dryblasy nigdy nie okazali zainteresowania systemem Fomalhaut, a Chino-Ruscy mają inne problemy, spodziewam się więc, że nasz pobyt na Nowym Svalbardzie okaże się miły i spokojny.

Fallon odchyliła się na krześle i skrzyżowała ramiona na piersi. W przeciwieństwie do większości swych żołnierzy, nie wyglądała na zszokowaną albo zaniepokojoną. Zamiast tego na jej twarzy wykwitł porozumiewawczy uśmiešek, zupełnie jakby właśnie usłyszała puentę dobrego, choć znanego dowcipu.

– Wiesz co? – odezwała się do mnie. – Nie postawiłabym na to żadnych pieniędzy.

Rozdział 16

Konflikt władzy

Wjechaliśmy do miasteczka niczym dowództwo najeźdźczej armii.

Siedziałem w tyle jednego z obozowych mułów – opancerzonych, ośmiokołowych transportowców przypominających olbrzymie klocki wykonane z kompozytowego, wzmocnionego materiału. Przedział mieścił dziesięcioosobowy oddział w pełnych strojach. Spośród obecnych tylko ja byłem wyrzygiem z floty, resztę miejsc w pojeździe zajmowali dowódcy obu batalionów Sił Obrony Ziemi, major kierujący tutejszą kompanią Piechoty Kosmicznej oraz trójka najstarszych rangą podoficerów z tych jednostek. W kubełkowym fotelu obok Fallon drzemała lub przynajmniej udawała, że drzemie, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Zgodnie z rozkazami z góry mieliśmy pancerze bojowe bez hełmów, a także pistolety i karabiny. Generał dowodzący zespołem zadaniowym był rezerwistą, nie brał udziału w walce, odkąd zaczęły się kłopoty z Dryblasami, i nieustannie się bał, że jeśli obcy nagle pojawią się na orbicie, zostaniemy zaskoczeni. Ci z nas, którzy walczyli z nimi od pięciu lat, dobrze wiedzieli, że w takim przypadku nie miałoby znaczenia, czy bylibyśmy ubrani w pancerze, i że niewielkie zbiorniki tlenu zapewniłyby nam zaledwie kilka godzin, w czasie których moglibyśmy zastanawiać się nad nadciągającą śmiercią. Jednak rozkaz to rozkaz, wyglądaliśmy więc jak banda solidnie uzbrojonych zawodników futbolowych szukających zwady z miejscowymi.

Gdy mijaliśmy pierwsze budynki Nowego Longyearbyen, żołnierze SOZ obracali się, by z ciekawością wyglądać przez niewielkie, wzmocnione okienka. Poszedłem za ich przykładem, choć przez ostatnich kilka lat widziałem mnóstwo kolonialnej architektury. Tylko major z lokalnego garnizonu nie zwracał sobie głowy wykrzywianiem szyi, a Fallon wciąż spała z głową na piersi.

Nowe Longyearbyen nie przypominało żadnej innej kolonialnej osady, jakie widziałem. Wszystkie budynki wydawały się zbudowane z przesadą, niemal jak bunkry, aby zdołały wytrzymać surowe zimowe warunki, odcinające księżyc na pół tutejszego roku. Podczas gdy domy i zakłady na ciepłych świątach zazwyczaj wykonywano z tych samych standardowych prefabrykowanych modułów, budowle tutaj postawiono z grubych na metr żelazobetonowych ścian. Ustawiono je nie w siatce prostych ulic, lecz w zaprojektowanych przez komputer nieregularnych pętach i wzorach, mających zminimalizować efekty wichrów, które nawet w stosunkowo ogrzonym pasie tundry wiały z prędkością kilkuset kilometrów na godzinę.

Nasz kierowca prowadził wielkiego pancernego muła uliczkami składającymi się głównie z zakrętów. Gdy dojechaliśmy przed cywilny ośrodek administracyjny i pojazd zatrzymał się łagodnie, z sapnięciem hydropneumatycznego zawieszenia, Fallon otworzyła oczy i z przesadnym ziewnięciem rozejrzała się po przedziale osobowym.

– Już jesteśmy?

– Tak – odpowiedziałem. – Oto kwitnąca metropolia Nowe Longyearbyen, populacja dziesięć tysięcy.

Wysiedliśmy z muła, ocierając się pancierzami o wejście z polistalowego laminatu, którego projektant nie przewidział, że ktoś będzie chciał przez nie przechodzić w pełnym stroju bojowym oraz z karabinami o półmetrowych lufach.

Budynek administracyjny wyglądał jeszcze solidniej niż bunkrowaty klocek, który Chińczycy postawili na Syriuszu A d, by później rozbić go w gruz własnym nalotem. Całość wyglądała jak wielki bochen chleba. Budowla nie posiadała okien, a jeśli oceniać grubość betonowych ścian po regularnie rozmieszczonych wnękach wejściowych, musiały one mierzyć

przynajmniej dwa metry. Wzdłuż całego szczytu widać było kopułki sensorów i chowane anteny, dzięki którym ośrodek przypominał górną część kosmicznej fregaty zagrzebanej w wiecznej zmarzlinie.

Czwórka żołnierzy SOZ rozglądała się z wyraźną ciekawością, podczas gdy major PK i jego podoficer wyglądali na ostentacyjnie niezainteresowanych, była to dla nich tutejsza rutyna. W oddali widzieliśmy ośnieżone góry, znacznie wyższe niż na wschodnim wybrzeżu Wspólnoty, i musiałem uznać, że jak na obce światy, Nowy Svalbard okazał się jednym z ładniejszych pod względem krajobrazu.

Gdy tak staliśmy, gapiąc się, najbliższe drzwi budynku administracyjnego otworzyły się i wyszedł z nich człowiek w mundurze, choć nie wojskowym. Był bardzo wysoki, jego pierś zaś miała obwód, który wprawilby w zakłopotanie każdego płatnerza floty, gdyby musiał wydać jej właścicielowi pancerz bojowy. Ubrany był w granatowy uniform roboczy z białymi naszywkami na ramionach oraz odznaką w kształcie tarczy na lewej piersi, identyfikującą go jako kolonialnego policjanta, cywilnego funkcjonariusza porządku publicznego. Ubiór uzupełniały okulary o małych, okrągłych soczewkach. Gdy szedł od przedsionka wejściowego do miejsca, w którym rozprostowywaliśmy nogi, zauważyłem, że rankiem rzucił już popołudniowy cień. W wytartej kaburze na jego udzie widziałem pistolet, starszy wielkokalibrowy automatyczny model. Wojsko przestało je stosować przed stu laty, ponieważ na nic nie zdawały się przeciwko pancerzom bojowym, jednak przeciętni cywilni przestępcy nie nosili zbyt często balistycznych osłon.

– Cześć, Matt. – Major PK wyciągnął rękę do policjanta. – Jak leci?

– Nieźle – odparł gliniarz. Przyjrzał się stojącemu za nami pojazdowi. – Po co ten sprzęt? Spodziewacie się problemów?

– Co masz na myśli?

Funkcjonariusz wskazał głową trzydziestomilimetrowe działko automatyczne na dachu muła. Gniazdo broni było modułowe i załogi pojazdów zwykle jeździły bez ciężkiego uzbrojenia, jednak rozkazy dowódcy naszego zespołu zadaniowego, troszczącego się o gotowość bojową, nie ograniczały się do osobistych pancerzy.

– A, to – niemal z żażenowaniem odparł major. – Nowe kierownictwo. Jakiś ziemski jednogwiazdkowy rezerwista, który jeszcze się nie szarpał z Dryblasami. Chyba spodziewa się, że w każdej chwili mogą spaść z nieba.

– Cieszę się, że wreszcie macie jakieś sensowne dowództwo – stwierdził policjant z cierpkim uśmiechem. – Ta wiatróweczka zrobi wielką różnicę, jeśli okręt nasienny zleci nam na głowy. Przekażę reszcie kolonii, że jesteśmy już zabezpieczeni przed inwazją.

Wszyscy zachichotali na te słowa, choć zahaczało to o niesubordynację. Uznałem, że wysoki funkcjonariusz mi się podoba.

– Pora na prezentację – rzekł major i zaczął wskazywać nas po kolei. – Podpułkownik Kemp, podpułkownik Decker, chorąży Fallon, starszy sierżant Dalton, starszy sierżant Zelnick, sierżant sztabowy Grayson. A to komendant Guest, najwyższy rangą przedstawiciel prawa na Nowym Svalbardzie.

– Kierujący potężną armią pachołków – dodał Guest. – Dwudziestu jeden zaprzysiężonych funkcjonariuszy i czterech na niepełny etat. – Rozejrzał się po zebranych żołnierzach z różnych formacji. – Sporo tu gwiazdek, jak na jeden mały księżyc. Słyszałem już o nowych ziemskich wojskach, których zrzuciliście przy terraformerach. W sumie dwa bataliony? Nie mówcie, że szykujecie się do walki z kimś o tę skałkę.

– O niczym takim nie wiemy – odpowiedział major. – Mamy jednak inną sprawę. Jest administrator?

– A zdarza się, że go nie ma? – odparł Guest. – Ekipa naukowa też jest. Składają mu cotygodniowy hold.

– Bez ciebie?

– Wyszedłem odetchnąć świeżym powietrzem. – Wzruszył ramionami. – Wchodź. Pierwsze piętro, duża sala konferencyjna obok kuchni. Wiesz gdzie.

– Owszem, wiem. – Major obrócił się do reszty z nas. – Jeśli chcecie iść ze mną, oprowadzę was i przedstawię administratorowi oraz jego pracownikom. Sierżancie sztabowy Grayson, najlepiej będzie, jeśli udacie się na lotnisko, spotkacie z pełniącym służbę kontrolerem lotów i zapoznacie z infrastrukturą, w razie gdybyśmy potrzebowali później waszych usług.

– Tak jest, sir – odrzekłem. – I tak nigdy nie przepadałem za zebraniem.

Obserwowałem, jak pozostali wchodzą do budynku. Za moimi plecami kierowca muła ostrożnie wjeżdżał swym przerośniętym wehikułem w wolną przestrzeń po drugiej stronie wąskiej uliczki, by zwolnić drogę innym pojazdom. Niektórzy koloniści kręcili się w bezpiecznej odległości, obserwując, jak pokryty kamuflażem stalowy potwór z zupełnie niepasującym do okolicy działkiem na dachu próbuje wpasować się w miejsce nieprzewidziane dla takich kolosów. Zapewne mogliśmy przyjechać jednym z lekkich, nieopancerzonych minimułów albo po prostu przejść dwa kilometry z okładem, ale nowe dowództwo kazało wziąć ciężką bestię, a ja po prostu załapałem się na przejazdkę jako młodszy członek kadry.

Kilka razy byłem już na Nowym Svalbardzie, zawsze jednak tylko jako pasażer okrętu zatrzymującego się, by uzupełnić zapasy wody. Nigdy nie trafiłem na cywilne lotnisko. Gdy spytałem komendanta Guesta o drogę, wzruszył ramionami z uśmiechem.

– Jasne, ale to kawałek do przejścia. Może pan pójść z buta przez miasto, ale mogę też pana podwieźć, jeśli nie przeszkadza panu maleńki quad.

– Będę wdzięczny – odparłem. – I może pan być pewien, że wszelka duma, jaka została mi po szkoleniu przygotowawczym, już dawno mnie opuściła.

Lotnisko okazało się znacznie okazalsze, niż się spodziewałem. Wyobrażałem sobie zwirową powierzchnię i kilka zbiorników na paliwo, czyli standard w każdym małym osiedlu kolonialnym. Gdy quadem policjanta dotarliśmy na miejsce, okazało się, że placówka wygląda na bardziej rozbudowaną niż lądowisko dla okrętów desantowych w Sopl. Dostrzegłem sześć hangarów o wyjątkowo grubych betonowych murach, a gdy jechaliśmy biegnącą przy nich drogą, widziałem, że ich potężne hydrauliczne drzwi mogłyby wytrzymać uderzenie rakiety MARS.

– Według projektu lotnisko ma z nawiązką obsługiwać cały ruch planetarny – oznajmił Guest ponad niskim szumem elektrycznego silnika quada. – Nie posiadamy jeszcze orbitalnej stacji zaopatrzeniowej, ale tutejsza ekipa zajmująca się zapasami wody potrafi zatankować zbiorniki promu transportowego w równo dwadzieścia minut.

Na wykonanej z gładkiego betonu powierzchni wykreślono dwanaście osobnych stanowisk pionowego startu. Zauważyłem również klasyczny pas startowy, tysiące metrów gładkiego asfaltu sięgającego w dal.

– Dwa niezależne układy automatycznego systemu lądowania, pozwalające działać w górnianej zwykle pogodzie, tankowanie pojazdów cywilnych i wojskowych, a także najnowsze urządzenia meteorologiczne oraz nawigacyjne. Posiadamy nawet sieć satelitarną dla celów komunikacji i namiarów nawigacyjnych. Może nie jest tu zbyt okazale, ale mamy naprawdę niezły sprzęt. Brakuje nam tylko stacji obsługowej na orbicie, żeby duże okręty nie musiały wysyłać promów transportowych po wodę pitną albo do reaktorów. Oczywiście z powodu bieżącej sytuacji raczej nie dostaniemy nic nowego w najbliższym czasie, zwłaszcza że

zaprzestano lotów kolonialnych.

Funkcjonariusz zatrzymał quada przed budynkiem wyglądającym jak wykonana w mniejszej skali kopia masywnego ośrodka administracyjnego w miasteczku. Jediną różnicę stanowiła charakterystyczna wieża kontroli lotów osadzona na jego krótszym boku, skierowanym w stronę pasa startowego i stanowisk pionowego startu.

– Nie chodzi tylko o loty kolonialne – powiedziałem w ciszy, jaka nastąpiła po wyłączeniu silnika pojazdu. Guest spojrział na mnie z uniesioną brwią. – Ominęła pana odprawa, która właśnie ma miejsce w urzędzie w mieście. Może zechce mi pan towarzyszyć, gdy będę przekazywał wieści miejscowym kontrolerom lotów?

Potrzebowałem dwóch minut, by się przedstawić i podzielić informacjami z sześciorgiem kontrolerów lotów oraz pilotów, którzy tego ranka pełnili służbę. Gdy skończyłem, w pokoju operacyjnym na kilka chwil zapadło milczenie, po czym miny wyrażające uprzejme zainteresowanie ustąpiły nieskrywanemu zaskoczeniu i niepokoju.

– Chyba nie mówi pan poważnie – stwierdził szef kontrolerów lotniczych, krępy i twardy mężczyzna, któremu pasowałby mundur starszego sierżanta sztabowego. Na naszywce miał napisane BARNETT i choć stroje cywilne nie posiadały oznaczeń stopni, po jego zachowaniu widziałem, że to on dowodził. – Mamy wszystko zamknąć? Całość?

– Owszem, całość. Koniec ruchu wychodzącego i przychodzącego z całego systemu gwiazdowego albo pomiędzy zewnętrznymi węzłami tranzytowymi. Wypuścili parę okrętów z zapasami dla kolonii i wyciągnęli wtyczkę. Jesteśmy zdani na siebie.

– Na jak długo? Wody mamy pod dostatkiem, ale potrzebne nam dostawy żywności. Wie pan, niewiele tu ziemi uprawnej.

– Nie mam pojęcia – oznajmiłem. – Jestem sierżantem sztabowym. Zwykle nie zapraszają mnie na odprawy oficerskie. Generał mówi, że blokada zostanie utrzymana, dopóki nie wymyślą, jak powstrzymać ekspansję Dryblasów.

Barnett zachichotał bez cienia wesołości.

– Jeśli ludzie z obrony są równie tępi jak ci z administracji kolonialnej, to może potrwać parę dekad.

– Chyba lepiej pomyślmy, jak uprawiać sałatę i ziemniaki w wiecznej zmarzlinie – uznał komendant Guest.

Miejscowe centrum kontroli lotów okazało się lepiej wyposażone niż wiele widzianych przeze mnie placówek wojskowych. Aktualizowałem właśnie swój komputer taktyczny o cywilne częstotliwości, gdy słuchawka systemu komunikacyjnego zasygnalizowała rozmowę przychodzącą.

– Sierżancie Grayson, tu major Vandenberg. Jak wygląda wasza sytuacja?

– Aktualizuję sprzęt taktyczny, sir. Jeszcze dziesięć minut i skończę.

– Lepiej to przyspieszcie. Wracamy do bazy, i to już.

– Zrozumiałem. Wyruszam, Grayson bez odbioru.

Z niechęcią zamknąłem połączenie w połowie procesu i zabrałem rzeczy.

Gdy zszedłem do wyjścia, okazało się, że komendant Guest zniknął już ze swoim quadem, udałem się więc na piechotę w kierunku centrum. Gdy znalazłem się jakieś czterysta metrów od budynku administracyjnego, zza rogu przede mną wyjechał muł, ze znacznie większą prędkością, niż regulaminy dopuszczają w cywilnych osiedlach. Podbiegłem w jego stronę i

pojazd zatrzymał się przede mną z sykiem zawieszenia.

– Wskakuj – powiedział przez otwarty właz sierżant z tutejszej kompanii.

– Coś się stało? – spytałem, gdy wdrapałem się do muła i zajmowałem poprzednie miejsce.

– Po prostu banda cywilów robi scenę – odrzekł za niego major. – Przyzwyczailiśmy się. Tutejsi ludzie są ulepieni z twardej gliny.

Wróciliśmy do bazy, lecz zamiast ruszyć trasą, którą tu dotarliśmy, kierowca dowiózł nas do granic miasteczka, a następnie objechał je po nierównym terenie. Gdy muł zaczął się kołysać na skalistym, niepewnym podłożu, niczym statek na sztormowym morzu, musieliśmy zapiąć pasy. Pojazd znalazł się wreszcie na utwardzonej drodze i znów jechało się gładko.

Wiedziałem, że lepiej nie próbować wyciągać informacji z oficerów. Zamiast tego spojrziałem pytająco na Fallon. Na jej wargach wykwitł szybki, tajemniczy uśmiech i uniosła palec wskazujący, co oznaczało, żebym zaczekał.

– Już sam pomysł, żeby pojechać tam wozem opancerzonym, był idiotyczny – stwierdził podpułkownik Kemp, dowódca batalionu Fallon. Jego nastrój wydawał się teraz utrzymywać na pograniczu rozbawienia i rozdrażnienia.

– To nie moje rozkazy – odparł major Vandenberg. – Może to pan zgłosić do szefa swojego zespołu zadaniowego. Mogłem mu powiedzieć, że tutejsi cywile nawet w spokojnych czasach nie lubią, gdy wojsko kładzie ręce na ich zasobach. A już wjechanie tam z czołgiem i w pancierzach...

Znajdowaliśmy się z powrotem w centrum operacyjnym bazy. Wciąż nie do końca wiedziałem, co wydarzyło się podczas spotkania z cywilnym administratorem, ale z komentarzy wymienianych przez szefostwo zaczynałem się domyślać.

– No cóż – odezwał się podpułkownik Kemp. – Ja na pewno nie zamierzam rozmawiać z nim w taki sposób. Dajcie mi połączyć się ze starym. Sprawdzimy, co nam zaproponuje jako oficer flagowy. – Swoój ton doprawiał zaledwie maleńką szczyptą sarkazmu.

Uznałem, że nastroje wśród wojskowych – zarówno szeregowych, podoficerów, jak i oficerów – wydawały się niezwykle dziwne. W zwyczajnych okolicznościach otwarta krytyka głównodowodzącego oficera flagowego przez oficera sztabowego równałaby się z niesubordynacją, zwłaszcza w obecności osób niższych stopniem.

Fallon, opierająca się o ścianę przy oknie, zerknęła na mnie i wskazała głową w stronę drzwi. Odpowiedziałem skinieniem i podszedłem do wyjścia, zostawiając oficerów i starszych podoficerów, by dalej radzili między sobą.

Ruszyłem korytarzem w kierunku stołówki. Po kilku chwilach Fallon zawołała mnie z tyłu. Zatrzymałem się, by pozwolić jej się dogonić.

– Znajdźmy sobie jakiś zaciszny kącik, dobrze? – zaproponowała.

Wzięliśmy kawę z blatu na stołówce i usiedliśmy przy stole obok okna. Było tu znacznie przyjemniej niż w mesach okrętowych, co stanowiło pewne zadośćuczynienie za służbę na zamarznętym pustkowiu, gdzie przez pół miejscowego roku nawet nie dawało się wyjść na zewnątrz bez podgrzewanego pancerza.

– Oto, jak się sprawy mają – zaczęła tłumaczyć Briana. – Według floty mamy przejąć kontrolę nad całymi cywilnymi zasobami na tym księżycu. Żywnością, rezerwami wody, wszystkim.

– Wygląda na to, że nasz generał nie chce błagać cywilów o jedzenie i wodę, jeśli skończy nam się to, co przywieźliśmy.

– Ich szef powiedział naszemu dowództwu, żebyśmy poszli się walić. Właśnie w takich słowach. Zachęcał ich również, żeby przekazali tę wiadomość generałowi. Mówił, że postawi swoich gliniarzy przy wszystkich magazynach i że aresztuje każdego, kto bez pozwolenia postawi tam stopę.

– Cywilnych gliniarzy? Zglupiał. Jego ludzie nie zdołają nas przecież powstrzymać. Mają pistolety. Mogliby równie dobrze rzucać kamieniami, bo będą tak samo skuteczne przeciwko pancerzom.

– Nie w tym rzecz, Andrew. Myślisz, że możemy tak po prostu przyjść i zacząć strzelać do cywilnej policji? Miejscowi przeważają nad nami w stosunku dwadzieścia do jednego. Jeśli ich za bardzo wkurzymy, wpadniemy w głębokie gówno. Wątpię, czy ten jednogwiazdkowy rezerwista, któremu wydaje się, że rządzi z góry, ma dość jaj, żeby rozkazać nam strzelać do cywilów.

– A jeśli tak zrobi? – spytałem.

Fallon upiła łyk kawy i wyrzała przez okno. Zachód miejscowego słońca malował stłumionymi odcieniami ochry oraz purpury rozciągający się na horyzoncie ośnieżony łańcuch górski.

– Skończyłam ze strzelaniem do cywilów – powiedziała cicho. – Jeśli każą nam otworzyć ogień do tych ledwo uzbrojonych gliniarzy, każę moim ludziom, żeby odstąpili, i w dupie będę miała rozkazy. Wątpię, czy tutejszy areszt zdoła pomieścić całą kompanię. Zakładając oczywiście, że pójdziemy tam spokojnie – dodała.

Spojrzała na mnie wyczekująco, jakby chciała, bym się z nią spierał. Nie musiałem się jednak długo zastanawiać.

– Cholera – powiedziałem. – Pamiętasz Detroit? Jeśli zdarzają mi się nocne koszmary, nie widzę w nich Chino-Ruskich czy pieprzonych Dryblasów, tylko tamtą zjebaną akcję.

Zadumałem się nad zakręconym śladem śmietanki w kawie.

– Skończyłem ze strzelaniem do cywilów w chwili, w której ewakuowali mnie z tamtego gówna. I nie bardzo mam ochotę zacząć na nowo.

Briana kiwnęła z satysfakcją głową i znów spojrzała na krajobraz otaczający naszą tymczasową siedzibę.

– Nie wiem, jak ty, ale ja mam już dość sprzątania gówna dla tych ludzi. Jeśli pojawią się Dryblasy, z przyjemnością wystrzelę w nich każdy ładunek, jaki mamy na składzie. Jeśli jednak ten zidiociały generał każe mi wycelować karabin w niestwarzających zagrożenia mieszkańców, zerwę insygnia i powiem, żeby wsadzili sobie moje pieniądze w dupę. Razem z tym medalem pieprzonego honoru.

Rozdział 17

Bastylia

Następnych kilka dni poświęciliśmy na rozgoszczenie się w kwaterach, rozładowanie towarów z promów orbitalnych i zjadanie zbyt wielu posiłków w wypasionej stołówce. Po tygodniu od niepomyślnej wyprawy do miasta pozwoliłem sobie na nadzieję, że być może dowódca zespołu zadaniowego nie do końca postradał zmysły.

Ósmego dnia pobytu ta drobinka nadziei została zmiażdżona, choć niekoniecznie ku mojemu zaskoczeniu.

Ktokolwiek tym kierował, albo cenił sobie dramatyzm chwili, albo też żywił skłonności sadystyczne. Ledwo wstaliśmy z łóżek, gdy w budynku zaczął brzęczeć alarm wzywający na stanowiska bojowe. Szorowałem właśnie zęby w łazience, gdy oświetlenie zmieniło się na złowieszczo czerwone. Wszędzie wokół mnie podoficerowie z plutonu sztabowego SOZ rzucali poranne czynności i wybiegali z pomieszczenia.

- Lepiej, żeby to była inwazja Dryblasów – odezwała się Fallon z jednej z kabin za mną.
- Nieważne, kto to, ale streszczaj się tam – odparłem.
- Grayson, jeśli to udawany alarm, nie ma powodu, żebyśmy się spieszyła. A jeśli ten księżyc czeka zagłada, to nie robi mu żadnej różnicy, czy zdążę postawić klocka, czyż nie?
- Do zobaczenia przy wydawaniu broni – powiedziałem i z uśmiechem wyszedłem z łazienki.

Ludzie z SOZ byli równie zorganizowani jak Piechota Kosmiczna. Wszyscy członkowie plutonu znajdowali się w pełnym opancerzeniu bojowym i ze standardowym wyposażeniem w niecałe pięć minut od pierwszych dźwięków alarmu. Nie wyznaczono nam posterunków, opuściliśmy więc budynek i pobiegliśmy do centrum operacyjnego, obciążeni bronią i pancerzami.

– Pluton SOZ, sala odpraw Charlie – powitał nas w wejściu jeden ze starszych stopniem sierżantów PK. Miał na sobie mundur bojowy, nie pancerz, uznałem więc, że na obóz Sopol nie kieruje się obecnie okręt nasienny Dryblasów lub flota inwazyjna Rosjan. Wbiegliśmy do środka i zgodnie z poleceniem usiedliśmy w sali odpraw Charlie. Żołnierze PK pełniący służbę w centrum operacyjnym poruszali się bez szczególnego pośpiechu.

– To kurewsko podłe – mruknął jeden z sierżantów SOZ, gdy zajmowaliśmy miejsca, wciskając opancerzone cielska w zdecydowanie za małe krzesła. – Mogli zaczekać z tym głównym, aż zjemy śniadanie.

Nikt się nie sprzeciwił. Protokół alarmowy rządził się niepisаныmi zasadami i uważało się za nieuprzejme wzywanie całego plutonu lub kompanii na stanowiska bojowe, jeśli jednostka przeprowadzała zabiegi higieniczne lub jadła.

– Baaa-czość!

Porucznik dowodzący plutonem SOZ zerwał się na nogi, gdy do pomieszczenia weszli major PK i szef kompanii. Poszliśmy za jego przykładem.

– Spocznij – polecił major.

Czterdzieścioro żołnierzy w pancerzach opadło z powrotem na krzesła.

– Przepraszam za alarm przed porannym posiłkiem – ciągnął major. – To zarządzenie starego z góry. Chyba nie jest świadom miejscowego czasu.

– To raczej nie jedyna rzecz, której nie jest świadom – mruknął ktoś za mną.

– Zdaję sobie sprawę, że taki manewr nie został przećwiczony – oznajmił major. Podszedł do pulpitu dla spikerów i podniósł pilota obsługującego holograficzny wyświetlacz na ścianie za

sobą. – Wieści dotarły dopiero przed godziną. Operacja ma kryptonim „Spizarnia”.

Włączył holoe ekran, na którym natychmiast ukazał się trójwymiarowy obraz Nowego Longyearbyen. Kilka miejsc na mapie zostało oznaczonych ikonami stref desantu.

– Powinno pójść szybko, ponieważ mamy do czynienia głównie z nieuzbrojonymi cywilami. Zgodnie z zarządzeniem o stanie wyjątkowym zamierzamy przejąć kontrolę nad cywilnymi obiektami magazynowymi.

Znaczniki stref błyskały po kolei, gdy major na nie wskazywał.

– Cel A to główny skład żywności. Cel B to przetwórnia wody. Cel C to ośrodek kontrolny szklarni hydroponicznych, a cel D to skład paliwa dla cywilnego lotniska. Do akcji wysyłamy wasz pluton, po jednym oddziale na cel.

Członkowie plutonu w ciszy przyswajali tę informację. Spojrzałem na siedzącą po drugiej stronie sali Fallon, na jej beznamietną i nieprzenikloną twarz. Wreszcie porucznik uniósł dłoń.

– Sir, zamierzacie wysłać cztery oddziały do miasta liczącego ponad dziesięć tysięcy ludzi, żeby zająć ich najważniejsze zasoby?

– Będziecie w pancerzach bojowych i otrzymacie wsparcie lotnicze ze strony wszystkich czterech Ważek. Cywile nie dysponują niczym bardziej niebezpiecznym od pistoletów i paru paralizatorów.

– Dlaczego nie idzie tam kompania PK? – spytała Fallon. – Sir – dodała z odrobiną żółci w głosie.

– Generał uważa, że pluton SOZ jest lepiej przygotowany do tego zadania. Zostaliście wyszkoleni i wyposażeni właśnie do takiego rodzaju misji. Poza tym macie znacznie więcej doświadczenia w kontaktach z wojowniczymi cywilami niż my.

Wróciłem myślami do nieprzyjemnych wspomnień z desantu na Detroit sprzed niemal pięciu lat: nasz oddział przyciśnięty do ściany budynku i tłum rozwścieczonych mieszkańców nacierających na nas niczym katastrofa naturalna, a następnie grzechot naszych karabinów i fleszety przedzierające się przez ciała, koszące rzędy ludzi w krwawych żniwach. Nie wierzyłem w istnienie dusz, jeśli jednak ją posiadałem, to spora jej część zginęła tamtej nocy.

– Wykonamy szybkie pionowe zejście. Jedna Ważka na oddział, a więc wszyscy znajdziecie się na ziemi w tej samej chwili. Zabezpieczycie teren, ustanowicie perymetr obronny i po zajęciu celów wezwiecie kawalerię. Jeśli cywile zaczną bruździć, użyjcie nieśmiertelnych środków odstraszających. Po wykonaniu przez was zadania Ważki wrócą do bazy i zabiorą po plutonie PK, które wzmocnią cele. Powinno pójść jak po maśle.

– Powiedział człowiek, którego tam nie będzie – mruknął pod nosem siedzący obok mnie sierżant.

Pokiwałem potwierdzająco głową.

Chciałem porozmawiać z Fallon, zanim wsiądziemy na desantowce, by urządzić pokaz siły, ale w drodze na lądowisko szła otoczona resztą należących do plutonu podoficerów. Z kamuflażem floty na pancerzu i marynarskim uzbrojeniu i tak czułem się już trochę jak intruz wśród żołnierzy SOZ, a samotny marsz do desantowców jedynie wzmacniał to odczucie. Tuż przed wejściem na stanowiska startowe wędrowną radą rozerwała szeregi i zauważyłem, że niektórzy podoficerowie zerkali na mnie z ukosa.

Bez szczególnego entuzjazmu wchodziliśmy po rampach oczekujących Ważek. Ładownia mogła pomieścić pełny pluton, więc nasz mały oddział dysponował mnóstwem miejsc. Usiadłem z tyłu, by móc szybciej wyjść, ale Fallon i dwóch jej podoficerów usadowili się przy przedniej grodzi, tuż przy rozkładanym siedzisku szefa załogi oraz przejściu do kokpitu.

Gdy nasza Wążka wzniosła się w chłodne poranne powietrze, zacząłem mieć bardzo dziwne przeczucia w związku ze zbliżającym się desantem.

Licząca cztery okręty eskadra wzięła kurs w kierunku przeciwnym niż miasteczko, by nabrać pułapu poza zasięgiem wzroku oraz słuchu mieszkańców. Kiedy znaleźliśmy się już na tyle wysoko, by nie dało się nas dosłyszeć z powierzchni, zawróciliśmy i skierowaliśmy się prosto na cele.

– Przygotować się do desantu bojowego – oznajmił pilot przez pokładowy interkom.

Gdy na pułapie siedmiu kilometrów dolecieliśmy nad miasto, nasz desantowiec skręcił nagle, wyłączył silniki i zaczął opadać. Albo piloci byli uzależnieni od adrenaliny, albo też nie zdarzało im się zbyt wiele okazji do wykonywania zrzutów bojowych. Wszyscy stękaliśmy w uprzężach, gdy szalencie przy sterze utrzymywał trzy g przez, zdawało się, całe minuty. Nagle silniki znów się odezwały i grawitacja wepchnęła nas z powrotem w fotele. Wążka spowolniła gwałtowne zejście i po kilku chwilach płozy dotknęły ostro ziemi.

– Do wszystkich oddziałów – na kanale plutonu odezwał się głos Fallon. – Bastylia, Bastylia, Bastylia.

– Na nich! – zawołał szef załogi. Rozpięliśmy pasy i złapaliśmy broń z klamr bezpieczeństwa.

Większość oddziału opuściła desantowiec biegiem, lecz Fallon i dwóch jej podoficerów nie ruszyli ich śladem. Zatrzymałem się na końcu rampy i obejrzałem. Jeden z sierżantów SOZ mierzył z karabinu w szefa załogi, który wyglądał na zupełnie osłupiałego. Fallon pobiegła korytarzykiem prowadzącym do kokpitu, a za nią drugi podoficer.

Wskoczyłem z powrotem do środka, uważając, by trzymać dłonie z dala od karabinu przerzuconego przez pierś, inaczej żołnierz celujący w szefa załogi mógłby uznać, że zamierzałem pokrzyżować szaleńczy plan wprowadzany właśnie w życie przez Fallon.

– Ręce z dala od sprzętu łącznościowego – polecił sierżant szefowi załogi i podkreślił swoje słowa gestem lufy. Przeszedłem obok nich, kierując się do kokpitu, a żołnierz SOZ skinął mi lekko głową.

Gdy stanąłem w otwartym włazie do sterówki, ujrzałem, że Briana i jej podoficer trzymali pistolety przy hełmach pilotów.

– A teraz posłuchaj, oblatywaczu – powiedziała Fallon do pilota, który wyglądał na równie oszołomionego jak wcześniej szef załogi. – Twoja bryka staje się własnością Sił Obrony Ziemi. Odłącz hełm, a potem opuść fotel i okręt.

– Czy panią doszczętnie pojebało, pani chorąży? – spytał pilot.

– Jestem zdecydowanie zdrowsza psychicznie niż w dniu, w którym zapisałam się do tego gówna – odparła Briana. – A teraz decyzja należy do ciebie. Jeśli choć dotkniesz jakiegoś przycisku, przebiję ci łapę kulą.

Wyciągnęła lewą rękę i wyjęła mu pistolet z kabury. Lufa trzymanej przez nią broni w tym czasie nawet nie drgnęła. Pilot ostrożnie rozpiął pasy i zaczął wstawać.

– Nie ma potrzeby robić niczego nieprzyjemnego, pani chorąży. I tak gówna zdołacie zrobić z tym ptaszkiem.

– Skoro tak uważasz – odparła Fallon.

Gdy piloci opuścili już swoje fotele, Briana wyprowadziła ich pod pistoletem z kokpitu. Wcisnąłem się we wnękę zbrojowni, by dać im przejść.

– Cameron, bierz okręt. Andrew, możesz iść ze mną.

W kokpicie sierżant SOZ podniósł hełm i usiadł w prawym fotelu.

– Uhm, pani chorąży – odezwałem się. – On na pewno ma tym latać?

– A dlaczego, kurwa, nie? – odparła. – Na Ziemi właśnie tym zarabiał na życie. Jest

jednym z naszych pilotów Szerszeni.

Przypomniałem sobie jej wcześniejszy komentarz o przetasowaniu składu osobowego batalionu i o dopilnowaniu, by odpowiedni ludzie znaleźli się na właściwych miejscach. „Sierżant” z SOZ uniósł dwa palce do krawędzi hełmu w niedbałym salucie, a ja wyszczerzyłem zęby w uśmiechu.

Nie da się wylądować czymś tak wielkim i hałaśliwym jak Wążka na środku kolonii, nie zwracając na siebie od razu uwagi. Uzyskany element zaskoczenia natychmiast stracił znaczenie, gdy żołnierze SOZ nie wpadli do pancernego składu stanowiącego nasz cel. Kilka minut po naszym przybyciu w okolicy roilo się już od zaciekawionych cywilów. Członkowie plutonu stali jedynie w wejściu do bunkra z uniesionymi wizjerami i bronią przewieszoną przez piersi.

– Do wszystkich oddziałów, cele zabezpieczone. Ptaszki w sieci.

Fallon potwierdziła krótko odbiór, po czym ściągnęła hełm i podeszła do najbliższej grupki osób.

– Bardzo proszę o przyprowadzenie administratora oraz szefa policji. I to szybko. Nie mamy wiele czasu.

Administrator kolonii pojawił się po kilku minutach na quadzie w towarzystwie Guesta i dwóch jego funkcjonariuszy. Podeszli do Fallon, która jako jedyna z nas nie miała głowy zakrytej hełmem. Urzędnik wyglądał na wściekłego, a gliniarze też nie wydawali się w przyjaznym nastroju.

– Co, do cholery, robicie przy składzie żywności, ubrani jak na pieprzoną wojnę? – wrzasnął na Fallon. – Zbierzcie żołnierzy i wracajcie do bazy. Cywilne zasoby to nie wasza sprawa.

– Niech pan się zamknie i posłucha – odparła Briana. – Nie przylecieliśmy, żeby zająć wasze zapasy. Zrobią to jednak ludzie wysłani po nas.

Administrator przeniósł wzrok z Fallon na gotowych do walki żołnierzy.

– Po co więc tu jesteście, i to w takich strojach?

– Kazali nam zagarnąć waszą żywność i paliwo – wyjaśniła. – Nie mam jednak zamiaru wykonywać nielegalnych rozkazów.

Komendant Guest skrzyżował ramiona na potężnej piersi i popatrzył na mnie z uniesionymi brwiami oraz niemal niewidocznym uśmiechem.

– Organizujecie bunt?

– Na to wygląda – odrzekłem.

– Nie przypuszczam, żeby flota na orbicie podzielała pani interpretację przepisów. – Guest spojrzał na Fallon.

– Ja też nie przypuszczam – odparła. – Głównie dlatego, że facet, który wydał rozkaz, dowodzi tą flotą.

– To może być problem – odezwał się administrator. – Jest was tylko jeden oddział. Mogą tu w każdej chwili przylecieć i zawlec was do aresztu, a potem i tak zabrać nasze zasoby.

– Jest nas pluton – poinformowała Fallon. – Reszta moich ludzi znajduje się na lotnisku, na farmie hydroponicznej i przy przetwórni wody. Okopują się, szykując do obrony.

– Jakie siły zostały na orbicie?

– Większość pułku Piechoty Kosmicznej, do tego dwie kompanie PK w obozie Sopol – wyjaśniłem. – Flota nie będzie jednak raczej strzelać w środek cywilnego miasta. Przylecą i wyłuskają nas w standardowy sposób.

– Nie podoba mi się perspektywa strzelaniny tu, w osiedlu – stwierdził administrator. –

Za mało wolnej przestrzeni dla zabłąkanych kul.

– Owszem, ale oni też to wiedzą – rzekła Fallon.

Urzędnik znów spojrzał na garstkę żołnierzy stojących w wejściu do magazynu żywności.

– Powariowaliście. Nie żebym nie doceniał waszej decyzji, ale co zrobicie z jednym plutonem całemu pułkowi? Ile to, czterdziestu przeciwko tysiącowi?

– Dwóm tysiącom – sprostowałem.

– Cóż – odezwała się z leciutkim, krzywym uśmiechem Fallon. – Mamy też na tej skale dwa pełne bataliony moich ludzi z Sił Obrony Ziemi. Na lotnisku znajdzie się parę skoczków atmosferycznych, prawda?

Administrator i policjanci odeszli na moment na bok i omówili sytuację ściszonymi, lecz ożywionymi głosami, po czym wrócili do nas.

– Posłuchajcie – oznajmił urzędnik – nie chcę, żebyście strzelali do siebie na środku mojego miasta.

Spojrzał na skład i przez chwilę przygryzał dolną wargę.

– Ale już na pewno nie pisałem się na okupację wojskową ze strony mojego własnego narodu. Konstytucja Wspólnoty mówi, że to wy służycie nam, a nie odwrotnie.

– Jest pan tu najwyższym rangą cywilem – stwierdziła Fallon. – Dopóki nie otworzą na nowo komina i nie przyślą innych rozkazów, właśnie pan pozostanie moim szefem, a nie jakiś jednogwiazdkowy gryziopiórek na orbicie.

Wskazała głową żołnierzy stojących w wejściu do magazynu.

– Jeśli woli pan zachować to wszystko w cywilnych rękach, proszę powiedzieć. Jeśli chce pan, aby was chronili, oddam całą jednostkę pod pańską władzę. Całkiem możliwe, że nie spróbują wyłuskać wszystkich tysiąca pięciuset z nas. A gdyby spróbowali, poznają na własnej skórze, że Siły Obrony Ziemi są lepsze od nich w tej grze.

– Co zamierza pani zrobić z tymi desantowcami? – spytał komendant Guest. – Mogą dokonać zrzutu prosto na nasze głowy, gdy tylko zechcą. Macie coś, co by je odstraszyło?

Briana wyszczerzyła zęby.

– Cóż, powiedzmy, że pożyczylimy sobie nowiutkie desantowce tutejszego garnizonu.

Wszystkie cztery.

Guest pokręcił głową z uśmiechem.

– Zróbcie to – uznał administrator. – Zanim zwietrzą, co tu wyrabiacie. Gdy już będziecie gotowi, połączę się przez radio z szefem floty. Sprawdzę, czy uda mi się przemówić mu do rozsądku.

Komendant Guest obrócił się do pozostałych gliniarzy.

– Będę potrzebować dużo odznak. Mam zamiar zaciągnąć wszystkich tych wojaków.

– Pora wybrać stronę – powiedziała do mnie Fallon chwilę później, gdy oddział ustawiał się na stanowiskach obronnych wokół składu. – Przydałaby mi się twoja pomoc. Jesteś specjalistą, jeśli chodzi o sieć taktyczną. Potrzebuję kogoś, kto będzie koordynował skoczki i desantowce. Kto da nam znać, jeśli z orbity wyślą nam towarzystwo. Nie zamierzam jednak trzymać ci broni przy głowie, żeby cię tu zatrzymać. Jeśli nie chcesz brać w tym udziału, możesz wrócić do Sopla i nie będę żywić urazy. Zapewne wszyscy wylądujemy przed sądem wojennym, a to najoptymistyczniejszy scenariusz. Nie proszę, żebyś spuścił karierę wojskową w kiblu.

Nie podobało mi się, że musiałem opowiedzieć się po jednej ze stron, przeciwko innym żołnierzom i marynarzom. Gdybym przyłączył się do Fallon i jej SOZ, już zawsze byłbym *persona non grata* w każdej okrętowej mesie i kajucie, nawet gdybym nie spędził kolejnych

dwudziestu lat w wojskowym więzieniu za bunt. Ponieważ trwała wojna, zapewne na tym by się nie skończyło. Za to, co tu robiliśmy, mogliśmy trafić przed pluton egzekucyjny.

Po co tu jednak jesteśmy? – zastanawiałem się. Jeśli istniejemy po to, by bronić kolonii, czy opowiedzenie się po stronie cywilów można uznać za zdradę?

Przypomniałem sobie przysięgę, jaką ponownie złożyłem zaledwie kilka tygodni temu, po podpisaniu drugiego kontraktu. „Z odwagą bronić jej praw oraz wolności jej obywateli”.

Czy przestrzegamy przysięgi, czy bronimy praw Wspólnoty, jeśli pozwalamy naszym dowódcom je ignorować? Czy bronimy wolności jej obywateli, pozbawiając ich jej pod lufami karabinów?

Nie chciałem strzelać do towarzyszy, jednak myśl o użyciu broni przeciwko cywilom wzburzała mnie jeszcze bardziej. Nie chciałem wybierać strony, lecz skoro zostałem do tego zmuszony, nie miałem wątpliwości.

– Może w Leavenworth umieszczą nas w sąsiednich celach – powiedziałem, a Briana się uśmiechnęła.

Poklepała mnie po ramieniu i obróciła się do mieszkańców stojących wokół quada.

– Czy ktoś z was mógłby podwieźć sierżanta Graysona na lotnisko?

Zanim dotarłem na cywilne lądowisko na obrzeżu miasteczka, administrator przekazał już wieści do wszystkich placówek kolonii. Sparowałem konsolę z główną stacją roboczą miejscowego systemu kontroli lotów, po czym szybko przeskanowałem przestrzeń powietrzną i orbitalną nad Nowym Longyearbyen.

– Pani chorąży, tu Grayson – nadałem do Fallon. Przemieniła kanał plutonu w nowy najwyższy obwód dowodzenia. Szyfrowanie nie było stuprocentowo pewne, lecz nawet przy sprzęcie, jakim dysponowali na „Midway”, flota potrzebowała czasu, by włamać się do naszej buntowniczej sieci komunikacyjnej.

– Dawaj – odparła.

– Podłączyłem się. Nie ma zupełnie nic w powietrzu między nami a zespołem zadaniowym. Wygląda na to, że jeszcze się nie połąpali.

– Oj nie, na pewno całkiem nieźle się orientują. Od ostatnich piętnastu minut baza wciąż zasypuje mnie komunikatami. Coś o tym, że cała eskadra desantowców nie odpowiada.

Wyszczrzyłem zęby i wyjrzałem na zewnątrz. Na stanowisku dla okrętów desantowych w pobliżu wieży kontroli lotów wszystkie cztery Ważki z Sopla stały ustawione na betonie z włączonymi silnikami, podłączone do systemu szybkiego tankowania. Bez możliwości transportu lotniczego obie kompanie PK z Sopla nie mogły nawet marzyć o odzyskaniu swych głównych latających pojazdów bojowych, a gdyby zespół zadaniowy postanowił wysłać z orbity grupę uderzeniową w kierunku lotniska, Ważki wzbiłyby się i przemieściły, zanim Osy znalazłyby się w promieniu kilkuset kilometrów.

– Sprawdź, czy zdołasz połączyć mnie z jednostkami floty na górze. Chciałabym pogawędzić sobie na osobności na wąskim paśmie z kapitanami okrętów bez zakłóceń ze strony szacownego dowództwa.

– Zobaczą, co uda mi się zrobić na tutejszym sprzęcie – odrzekłem.

– Świetnie. I daj mi znać, jeśli będą się zbliżać jacyś goście, w powietrzu albo na ziemi. Fallon bez odbioru.

Sprzęt w cywilnym centrum kontroli lotów okazał się tak dobry, że pilnowanie sytuacji było śmiesznie proste. Główna konsola wyświetlała trójwymiarową projekcję, przy której holostwoły na naszych okrętach sprawiały wrażenie przestarzałego złomu. Ukazywała połączone

dane z kilkudziesięciu różnych źródeł: ziemi, powietrza, radaru pogodowego, przyrządów meteorologicznych ze wszystkich stacji terraformowania, satelitów. Wszystko było powiązane z siecią komunikacyjną. Potrzebowałem zaledwie paru chwil, by przypisać zaparkowane na zewnątrz Ważki do mojej listy dostępnych zasobów, sprawdzić status tutejszych skoczków i przyporządkować je do oddzielnych lotów, aby zaczęły przywozić żołnierzy SOZ ze stacji równikowych. Ważkom przydzieliłem osobne zaszyfrowane łącza oraz załadowałem szczegóły misji do ich komputerów pokładowych.

– Panowie, tu Dysza Jeden. Będę dziś waszym kontrolerem walki. Proszę o sprawdzenie łączności.

– Zrozumiałem, Dysza Jeden – nadał w odpowiedzi któryś z pilotów. – Wykorzystujemy poprzednie sygnały wywoławcze?

– Sprawdźcie ekrany tak-łącza. Stajecie się niniejszym Łotrami od Jeden do Cztery.

– Przyjąłem – oznajmił inny pilot z wyraźnym chichotem. – Łotr Dwa odbiera pięć na pięć.

– Tak-łącze w pełni ustanowione. Na razie horyzont pusty. Powiadomię was o nadlatujących obiektach, gdy tylko pojawi się towarzystwo z góry, bądźcie więc gotowi na natychmiastowy start.

– Odbiór – nadał Łotr Jeden. Pozostali piloci również potwierdzili.

Gdyby na orbicie znajdowały się siły chińskie lub rosyjskie, nasza sytuacja taktyczna wydawałaby się paskudna. Cywilna sieć sensorów obejmowała cały księżyc, więc niełatwo byłoby nas zaatakować potajemnie desantowcami, lecz wszystkie te wspaniałe sensory umieszczono na otwartym terenie, narażone na bombardowanie kinetyczne lub kierowane z orbity. Z drugiej jednak strony zabunkrowaliśmy się w dziesięciotysięcznym miasteczku i nawet siedzący na górze nieogarnięty rezerwista zapewne nie zamierzał z miejsca nakazywać natarcia artyleryjskiego na osiedle kolonialne Wspólnoty. Gdyby zdecydowali się stłumić nasz bunt pułkiem wysłanym z orbity, moglibyśmy dostrzec ich z daleka.

– Grayson, tu Fallon.

– Słucham.

– Administrator ściąga pilotów do skoczków. Wyślij ich, gdy już będą gotowi, żeby zaczęli zbierać naszych ludzi. Chcę tu mieć jak największe siły, zanim połączę się z flotą.

– Rozumiem. Skieruję ich najpierw do najbliższych terraformerów.

– Tak zrób. Poza tym komendant wysłał paru swoich na lotnisko. Dopilnuj, żeby ktoś wydał im broń ze zbrojowni na Ważkach. Nic ciężkiego, ale przynajmniej coś, co zdziała więcej niż te antyki, z którymi teraz chodzą.

– Przyjąłem. Pozwolę im zabrać karabiny i pancerze.

Koncepcja uzbrojenia cywilnych policjantów w wojskową broń wywoływała we mnie wrażenie, że przekraczamy jakąś granicę, ale szykowaliśmy się do obrony miasteczka przeciwko żołnierzom zahartowanym w walce. Skoro dysponowaliśmy tak ograniczonymi siłami, rozsądek nakazywał zwiększyć wartość bojową gliniarzy odpowiedzialnych za tutejsze bezpieczeństwo. Nie rozdawaliśmy przecież wyrzutni rakiet rolnikom i lodowym górnikom. Gdy wszyscy wylądujemy już przed sądem wojennym, złamanie regulaminu posługiwania się bronią raczej nie pogorszy już naszej sytuacji.

Cztery Ważki stały na lądowisku z silnikami na jałowym biegu. Stanowiły cały zbrojny komponent naszej małej zbuntowanej armii i czekały na mój sygnał przechwycenia pojazdów, które flota wyśle z orbity, by zaciągnąć nas do pierdła. Tamci dysponowali miążdzącą przewagą osobową oraz w powietrzu, my zaś znajdowaliśmy się na idiotycznie odsłoniętych i przewidywalnych pozycjach. Z jakiegoś powodu nie czułem się jednak spokojniej od miesięcy, a

może nawet od lat.

Rozdział 18

Kto mrugnie pierwszy

Przez następne dwie godziny koordynowałem loty wahadłowe pomiędzy lotniskiem a stacjami przetwarzania atmosfery. Cywilne skoczki były powolne i niezgrabne w porównaniu ze skradzionymi przez nas desantowcami, ale nie mogliśmy sobie pozwolić, by nasze nieliczne powietrzne siły bojowe pełniły rolę taksówek, więc to właśnie skoczki przewoziły po jednym plutonie rozproszone bataliony SOZ. W moim komunikatorze pilne wiadomości z dawnego dowództwa pozostawały bez odpowiedzi. Fallon poinstruowała nas, żebyśmy ignorowali sygnały z floty, dopóki ona sama nie odezwie się do wszystkich jednostek WPA nad Nowym Svalbardem. Na zewnątrz piloci Ważek zabijali czas pomiędzy lądowaniami skoczków, ćwicząc na sucho przeloty bojowe na końcu pasa startowego.

Wreszcie ludzie dowodzący obozem Sopol zmęczeni zostawianiem wiadomości. Jeden z sensorów na obrzeżach miasteczka wychwycił pojazdy zbliżające się drogą od strony bazy. Wymierzyłem w tamtym kierunku aktywny radar naziemny i użyłem czujników optycznych, by określić, co nadciąga. Dwa opancerzone transportery piechoty jechały w ostrożnym tempie ubitą trasą. Na ich dachach znajdowały się działka automatyczne.

– Fallon, tu Grayson – odezwałem się na naszym szyfrowanym obwodzie dowodzenia.

– Mów.

– Zbliżają się do nas siły naziemne. Dwa muły z działkami. Jadą drogą od Sopla. Przy ich bieżącym tempie kontakt nastąpi za około dziesięć minut.

– Zrozumiałam. – Milczała przez kilka chwil, po czym nadała: – Wyślij w ich stronę jedną z Ważek. Najpierw strzały ostrzegawcze przed nimi. Zachowajmy się uczciwie.

– Przyjąłem. Grayson bez odbioru.

Przekazałem instrukcje eskadrze Ważek rojących się na przeciwległym krańcu lotniska.

– Łotr Jeden, udaj się do sektora Delta Siedem i zabaw się w bramkarza. Gdy wejdą w zasięg, omieć ich radarem kierowania ogniem. Oby zrozumieli wiadomość, zanim zacniemy do siebie strzelać.

– Tu Łotr Jeden, przyjąłem – odparł pilot. – Już ruszamy.

Ważka przerwała symulowany przelot bojowy, poderwała się w górę i z pełnym przyspieszeniem przemknęła nad pasem startowym. Gdy siedemdziesięcotonowa maszyna przelatowała nad moją głową, zbrojne okna wieży kontroli zatrzęsły się we wzmocnionych ramach.

– Chyba czas się ujawnić – odezwała się Fallon. – Andrew, przełącz mnie na kanał floty. I dopilnuj, żeby odbierali mnie też w Soplu.

Odpaliłem cywilną radiostację, mającą jakieś sto razy większą moc niż nadajnik w moim panczeru, po czym otworzyłem połączenie z kanałem awaryjnym floty i dopiąłem do niego łącze Fallon.

– Możesz mówić – przekazałem jej. – Przynajmniej dopóki nas nie zakłóca.

Na kanale przez chwilę słychać było tylko szum, po czym odezwał się głos Briana, tym razem z dowódczą intonacją.

– Do wszystkich jednostek Wspólnoty, do wszystkich jednostek Wspólnoty. Tu chorąży Briana Fallon z Trzysty Trzydziestego Samodzielnego Batalionu Piechoty Sił Obrony Ziemi. Przejęłam kontrolę nad wszystkimi jednostkami Wspólnoty w mieście Nowe Longyearbyen. Przed trzema godzinami otrzymaliśmy rozkaz zajęcia cywilnych magazynów żywności i zakładów produkcyjnych w mieście. Odmówiłam wykonania tego rozkazu. Nie zamierzam wejść

w skład dyktatury wojskowej na tym księżycu. Znajdujący się pod moją komendą żołnierze podlegają obecnie administracji cywilnej. Do wszystkich jednostek Wspólnoty poza miastem: nie zbliżajcie się do niego z bronią, inaczej w waszym kierunku zostaną oddane strzały. Być może nie dysponujemy przewagą liczebną, ale nie pozostajemy bezbronni. Każdy atak na chronione przez nas zasoby cywilne zostanie uznany za próbę przewrotu wojskowego i spotka się z odpowiednią reakcją. Do wszystkich jednostek floty na orbicie: siedzimy na większości zapasów żywności, paliwa i wody w całym systemie gwiazdowym. Jeśli podejmiecie próbę bombardowania lub ataku z orbity, narazicie życie tysięcy cywilów i zniszczycie strategiczne zapasy. Do wszystkich żołnierzy i pilotów: wybór należy teraz do was. Możecie zdecydować, że wykonujecie bezwarunkowo rozkazy, lub też postąpić zgodnie z prawem. Pamiętajcie, że bez prawa nie jesteśmy wojskiem, a tylko zbrojną zgrają podobnie ubranych ludzi. Podejmijcie roztropnie decyzję, ale nawet przez chwilę nie sądzcie, że nie odpowiemy ogniem. Fallon bez odbioru.

Na kanale awaryjnym zapadła całkowita cisza, po czym moja radiostacja zaczęła błyskać dziesiątkami połączeń przychodzących ze wszystkich poziomów dowodzenia. Na razie zablokowałem je wszystkie i zamknąłem otwarte łącze.

– Chyba przyciągnęliśmy ich uwagę – powiedziałem do Fallon.

– Myślę, że blefujemy – nadał na kanale kontroli walki Łotr Jeden. – Tępe dupki z PK.

Zerknąłem na wyświetlacz i ujrzałem, że dwa transportery opancerzone z Sople podjęły powolną, ostrożną jazdę w kierunku Nowego Longyearbyen. Podpiąłem się do łącz naziemnych, ale przestawili się na własną szyfrowaną sieć prywatną, idąc za naszym przykładem.

– Łotr Jeden, nie odpowiadają. Omieć ich radarem kierowania ogniem. Może coś do nich dotrze.

Desantowiec włączył kopułkę radaru i krótkimi skupionymi falami długości jednego milimetra przejechał po dwóch nadjeżdżających mułach. Jeśli ich detektory zagrożenia działały, konsole taktyczne w obu pojazdach musiały rozjarzyć się jak choinki. Przełączyłem się na obraz z przedniej matrycy sensorycznej Ważki, by widzieć bezpośrednio sytuację.

Muły zatrzymały się na poboczu, w połowie drogi między Soplem a Nowym Longyearbyen. Nagle działko automatyczne jednego z nich obróciło się w stronę kamery umocowanej na okręcie desantowym. Ujrzałem błyski, a następnie aż z drugiej strony miasteczka na własne uszy usłyszałem dudniące staccato strzałów. Obraz zmienił się gwałtownie, gdy pilot podjął manewry uchyleniowe.

– Myślę, że wyraźnie zrozumieli nasz przekaz – nadał pilot.

– Zezwalam na użycie broni – odparłem. – Spróbuj unieruchomić pojazd. Nie chcę przelewać krwi, jeśli nie będziemy musieli.

– Zrozumiałem.

Widok znów się zmienił, a na dole ekranu pojawił się napis STEROWANIE RĘCZNE. Następnie obiekt obrócił się, pokazując ziemię tuż przed wojowniczym mułem.

Dziobowa wieżyczka desantowca wypuściła z siebie krótką, chrapliwą serię. Chwilę później obraz z kamery celowniczej zamazał się, gdy lecące z wielką prędkością pociski poderwały zamrożony pył i żwir. Z odległości niemal kilometra odgłosy strzałów przypominały grzmot odległej letniej burzy. Zobaczyłem, że znajdujący się na czele muł obrócił działko. Dzięki transmisji dźwięku z Ważki usłyszałem, że detektory zagrożenia w kokpicie zasygnalizowały alarm.

– Co za kretyn – niemal niedbale skomentował pilot. Wieżyczka dziobowa Ważki znów zagrzmiała i tym razem pociski spadły jeszcze bliżej muła. Pilot przejechał serią wzdłuż całego przodu pojazdu. Jeden z ładunków uderzył w pancerz pod ostrym kątem i odbił się w deszczu

iskier oraz odłamków laminatu. Kolejny trafił prosto w lewe przednie koło i rozwalił je na strzępy. Pojazd przechylił się na bok, gdy zakołysały nim połączone siły pocisku oraz wybuchającej opony.

– Obróćcie działko w tył i wyłączcie radar namierzający, inaczej kolejna seria pójdzie prosto przez wasz środek – pilot ostrzegł załogę pojazdu na kanale awaryjnym. – Nie jestem w nastroju do zabawy.

Świergot czujnika zagrożenia ucichł, gdy strzelec muła wyłączył system aktywnego namierzania. Następnie działko zaczęło się obracać, dopóki nie zatrzymało się w kierunku przeciwnym niż Ważka. Drugi pojazd wypuścił z siebie obłok dymu i radar desantowca wskazał, że jego kierowca odjeżdża ze sporą prędkością.

– Drugi się wycofuje. Puść go. A jeśli ten uszkodzony wykona jakiś podejrzany ruch, rozwal mu też resztę kół – poleciłem pilotowi Ważki.

– Żaden problem – odparł. – Jeśli spróbują znów użyć tego działka, odstrzelę im je z dachu.

Cóż, przynajmniej to oni strzelili pierwsi, pomyślałem.

Główny wyświetlacz sytuacyjny na moim holostole zasygnalizował nadejście nowych informacji. Przesunąłem wzrok, akurat by zauważyć cztery symbole w kształcie litery V wchodzące w zasięg czujników z góry, niemal osiemset kilometrów od lotniska. Opadały w atmosferę z wielką szybkością, a więc chodziło o desantowce albo maszyny do ataku celów naziemnych. Trajektoria prowadziła ich poza Nowe Longyearbyen, ale nie pocieszało mnie to. Znałem zasady prowadzenia takich scenariuszy i wiedziałem dobrze, co się wydarzy.

– Uwaga, nalot. Uwaga, nalot – obwieściłem na kanale taktycznym. – Dwie eskadry po dwa pojazdy weszły w atmosferę z orbity. Zejdą blisko powierzchni poza zasięgiem sensorów, a później podlecą do nas na jak najniższym pułapie. Prawdopodobne wektory podejścia to od dwudziestu dwóch do czterdziestu dwóch stopni. Powtarzam, nalot, zagrożenie z powietrza, kod czerwony.

Ważki zakończyły przeloty ćwiczebne i rozpoczęły patrole na wyznaczonych trasach. Uzbrojono je do nieskomplikowanych działań powietrze-ziemia i nieszczególnie nadawały się do odpierania ataku lotniczego, zwłaszcza jeśli w nadlatujących siłach znajdowały się Dzierzby. Chciałem jednak, by nasze cenne desantowce znalazły się w górze i w ruchu, zamiast robić za cele na lądowisku.

– Do wszystkich promów, trzymajcie się nisko i przestrzegajcie ciszy radiowej. Śnieguła Jeden-Cztery, przyspiesz podejście i gdy tylko to będzie możliwe, zejdź na tysiąc dwieście. Lepiej opuść szybko tę strefę.

Śnieguła Jeden-Cztery była jednym z kolonialnych skoczków, powolnym i nieuzbrojonym transportowcem. Połowa żołnierzy SOZ wciąż znajdowała się w powietrzu lub czekała na odbiór ze stacji terraformowania. Jeśli choć jednemu z pilotów floty zadrżałby palec na spuście, czekała nas szybka i brutalna rzeźnia.

– Wszędzie indziej zdejmuję ludzi, ale wysłałem do ciebie większość kompanii – odezwała się Fallon. – Uderzą najpierw na ciebie, mogę się założyć.

– Wiem. Sam też bym tak zrobił. Nie muszą odzyskiwać desantowców, jeśli zdołają umieścić oddział czy dwa na ich stacji benzynowej.

– Nie wychylajcie się więc. I nie dajcie im zająć lotniska, inaczej nasz buncik szybko zostanie stłumiony.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Jeśli mieliby cię rozwalić, chcę, żebyś wiedział, że jesteś całkiem zdolnym wojakiem, jak na wyrzyga z floty. Pewnie wyłazi z ciebie szkolenie z czasów AT, zanim postanowiesz

zabawić się w snoba i uciekłeś w kosmos.

Uśmiechnąłem się do wyświetlacza holograficznego przed sobą.

– Szkoda, że nie mogliśmy dłużej pogadać i popić ze sobą, zanim zaczęli do nas strzelać.

– Wystrasż flotę i pozbadź się tego pułku PK, a postawię ci tyle pieprzonej kawy, ile tylko zdołasz wypić.

– Łatwizna – odparłem ze śmiechem. – Byłoby jednak łatwiej, gdybyśmy mogli skierować w górę parę atomówek.

Na moim holostole na kierunku dwustu trzydziestu stopni zaczęła mrugać czerwona kropka. Gdzieś tam jedna z naziemnych matryc sensorycznych wyłapała krótkie odbicie od desantowca albo Dzierzby, które minimalnie za długo wyłoniły się spomiędzy górskich dolin.

– Obiekt zbliża się z wektora dwa trzy zero, odległość dwa cztery zero.

Jeśli z orbity wysłano Dzierzby, nie dysponowaliśmy niczym, co mogłoby się z nimi równać. Skoro naszą najpotężniejszą bronią przeciwlotniczą pozostawały wystrzeliwane z ramienia rakiety ze zbrojowni desantowców, niewiele mogliśmy zrobić, jeśli dwa pojazdy szturmowe zamierzały rozwalić naszą infrastrukturę w gruz. Najlepszą naszą obronę stanowił fakt, że otaczało nas dziesięć tysięcy cywilów.

W przedniej części holostolu znajdowała się konsola z czerwonymi przyciskami sprzętowymi. Nacisnąłem jeden z nich i po chwili usłyszałem dobiegający z każdego zakątka Nowego Longyearbyen ostry wizg syren przeciwlotniczych.

– Nalot, nalot! Do wszystkich, kryć się!

Choć cywilny system kontroli lotów był nowy i wyrafinowany, miał wady. Na aparaturze wojskowej mógłbym pozwolić, by sieć sama zebrała wszystkie zasoby i automatycznie kontrolowała każdy najmniejszy sprzęt. Żołnierze musieliby jedynie wymierzyć wyrzutnie rakiet w ogólnym kierunku zagrożenia i przełączyć kontrolę ognia na tak-łacze, a komputer wyszukałby niebezpieczeństwo i odpalił tę raketę, która znalazłaby się w zasięgu. Nie dysponowałem jednak takimi udogodnieniami. Mogłem jedynie kierować wszystkimi zasobami ręcznie w nadziei, że zdołam podejmować właściwe decyzje.

– Łotr Trzy, tu Dysza Jeden. Odwróć kurs, skieruj się na dwa trzy zero i zajmij pozycję w sektorze Delta Dwa. Utrzymuj ciszę radiową, ale być może będziesz musiał szybko robić za pikietę radarową.

– Przyjąłem, Dysza Jeden. Wykonam.

Łotr Trzy obrócił okręt i przemieścił się w stronę prawdopodobnej osi zagrożenia.

Diagram znów zaświergotał, gdy dwa obiekty zmaterializowały się na kierunku, gdzie wcześniej dostrzegłem niewielkie echo. Pędziły na niskim pułapie z szybkością sześciuset węzłów, czyli chodziło albo o desantowce na pełnym gazie, albo też lecące leniwie Dzierzby. Dla naszego dobra miałem nadzieję, że to pierwsze. Miały wyłączone transpondery, a ich ikony świeciły się wrogą czerwienią. Nagle od nadlatujących pojazdów odłączyły się po dwa kolejne symbole i z prędkością ponaddźwiękową pomknęły ku centrum wyświetlanego obrazu.

– Wampir, wampir. Nadlatują rakiety! – zawołałem na kanale awaryjnym. – Oś zagrożenia dwa trzy zero. Do wszystkich jednostek, przejść do defensywy. Włączyć zakłócanie.

Diagram ukazywał trajektorie rakiet i czas pozostały do uderzenia. Pierwsza para leciała prosto ku środkowi mojej holograficznej półkuli, gdzie radarowe i lidarowe nadajniki głównej stacji sensorycznej wydzielają energię oraz promieniowanie.

– Łotr Trzy, zejdź na trzydzięści i działaj wieżyczką jako bramkarz. Strzelają HARM-ami w radar.

– Przyjąłem, wykonam.

Radar milimetrowy Łotra Trzy przejął kontrolę nad wieżyczką działka w dziobie Wazki.

System kontroli ognia potrafił samodzielnie zestrzeliwać nadlatujące rakiety, jeśli wpadały w jego zasięg. Na holostole ikony pocisków pędziły do środka obrazu. Widoczne obok nich liczby raptownie się zmniejszały: dwanaście, dziesięć, osiem, sześć. Wieżyczka działka Ważki unoszącej się nad przeciwległym krańcem lotniska nagle wypluła trzy krótkie i pewne serie z precyzją komputera naciskającego spust. Tuż za pasem startowym pojawił się rozbłysk i rozbrzmiał niezbyt spektakularny huk, gdy jedna z wycelowanych w radar rakiet wybuchła z prędkością trzykrotnie przewyższającą dźwięk. Serce mi podskoczyło, gdy ujrzałem, że jeden z symboli na ekranie zniknął tuż przed dotarciem do centrum hologramu. Wieżyczka desantowca znów szczeknęła, lecz drugi pocisk znajdował się już obok niej. Chwilę później usłyszałem eksplozję dobiegającą od matrycy sensorów i mój holostół zamrugał. Gdy obraz wrócił, nie widniały na nim ikony rakiet.

Gdzie zniknęła druga para? – zastanawiałem się.

Na zewnątrz pojawił się oślepiający błysk i nagle znalazłem się na podłodze po drugiej stronie pomieszczenia kontroli lotów. Brzęczało mi w uszach i straciłem dech. Wieżyczka falowała niczym blok komunalny podczas trzęsienia ziemi. Gdy usiadłem, zauważyłem, że połowa okien wypadła, a wewnątrz wypełniło się smrodem płonącego paliwa. Coś piszczalo w słuchawce, ale nie rozróżniałem słów. Światła w pomieszczeniu zgasły, podobnie jak ekran holograficzny.

Zanim zdołałem podnieść się na nogi, gryzący dym wpływał już przez rozbite okna. Pokuśtykałem po pokrytej szczątkami podłodze, żeby wyrzeć. Po drugiej stronie lądowiska dla desantowców stacja tankowania zamieniła się w powykręcane, płonące resztki. Betonowe ściany hangaru za stacją zostały osmalone i poznaczone szrapnelami. Cokolwiek trafiło w pompy paliwowe, wystarczyło, by roztrzaskać całą budowlę na kawałki, choć ledwo zarysowało znajdujący się pod nią beton.

Komputer taktyczny w moim pancerzu nawet się nie zasapał. Włożyłem hełm na głowę i włączyłem wyświetlacz.

– Do wszystkich, tu Dysza Jeden. Rozwalili w drobny mak główny radar i stację paliwową na lotnisku. Wieża kontroli lotów też oberwała.

– A co z tobą, Andrew? – spytała Fallon.

– Jestem tylko trochę wstrząśnięty. Pompy paliwowe wybuchły pięćdziesiąt metrów ode mnie.

– Słyszałam to. Niezbyt to miłe, co nie?

– Przynajmniej teraz wiemy, że nie cofną się przed niczym. Wypatrujcie nadlatujących pojazdów. Gdzieś tam są dwie pary okrętów desantowych, a mój radar poszedł w diabły.

– Nie martw się – poradziła. – Jeśli chcą się bawić ostro, dotrzemy im kroku.

Skoro nie dysponowałem radarem ani holostolem, nie było sensu, żebym pozostawał w wieży kontrolnej. Podniosłem karabin i zszedłem na najniższy poziom budynku. Dwóch cywilów, pracujących tam, gdy jakiś czas temu wchodziłem, zniknęło.

Na zewnątrz dym z płonącego paliwa zaczął drapać mnie w gardło, uszczelniłem więc hełm i znów zerknąłem na wyświetlacz taktyczny. Łotr Trzy unosił się w pobliżu w powietrzu, skanując okolicę w poszukiwaniu zbliżającego się zagrożenia.

– Uciekaj stamtąd! – usłyszałem za sobą głos. Obróciłem się i ujrzałem, że jeden z cywilnych kontrolerów lotów przywołuje mnie gestami zza oddalonego o pięćdziesiąt metrów hangaru. – Człowieku, pod lądowiskiem jest sto tysięcy litrów paliwa.

Dogoniłem go przy hangarze.

– Pieprzone dupki – wydyszał, gdy zatrzymaliśmy się między dwoma budynkami. – Zbiorniki mają zawory bezpieczeństwa, ale jeśli zawiodą, pół lotniska pójdzie z dymem.

– Wysadzili tylko pompy paliwowe – powiedziałem. – Żebyśmy nie mogli tankować naszych pojazdów. Da się je jakoś naprawić?

– Pewnie tak. Mamy części zapasowe. Spytaj szefa, ja jestem tylko robotem.

– Nadlatujący obiekt – oznajmił przez radio pilot Łotra Trzy. – Okręt desantowy, dwa trzy zero stopni, odległość pięć kilometrów. Leci na pełnym gazie, prosto na lotnisko.

– Zrzuć nam na głowę pluton – uznałem. – Gdzie nasi, pani chorąży? Zaraz zrobi się tu interesująco.

– Będą lada chwila – odparła Briana.

Spojrzałem na dane z tak-łacza. Desantowiec zauważony przez Łotra Trzy wchodził właśnie na krótkodystansową mapę, pędził w kierunku lądowiska z maksymalną prędkością. Po drugiej stronie mapy na wyświetlaczu zaczynały pojawiać się ikonki przyjaznej piechoty. Nie musiałem być taktycznym geniuszem, by zdawać sobie sprawę, że niebieskie i czerwone symbole spotkają się na środku ekranu, akurat na mojej pozycji.

– Idź stąd – poleciłem cywilowi. – Za jakieś trzydzieści sekund wybuchnie tu strzelanina.

Technik pobiegł w bezpieczniejsze miejsce. Przez chwilę musiałem walczyć z ochotą, by podążyć za nim, lecz sprawdziłem tylko stan naładowania karabinu i pospieszyłem do krawędzi hangaru, by dobrze widzieć pas startowy.

Pojazd floty mknął tuż nad ziemią. Dostrzegalem już, że to stara Osa, lecąca tak nisko, że ciągnęła za sobą ogon lodu i zamrożonej ziemi. Znalazłszy się nad pasem, pilot podciągnął dziób i skierował silniki w dół, aby wytracić prędkość. Drugiego okrętu nie było widać.

– Nie pozwól mu otworzyć tylnej rampy – rozkazałem Łotrowi Trzy. – Jeśli wysadzi żołnierzy na ziemię, będziemy musieli wyluskiwać ich spomiędzy hangarów.

Łotr Trzy kliknął w odpowiedzi przyciskiem nadawania, po czym omiół Ose wszystkimi aktywnymi systemami namierzającymi swojej Ważki. Dla większego efektu wypuścił jeszcze serię pocisków smugowych, które ledwo ominęły opancerzony spód intruza. Pilot desantowca floty odsunął się z drogi strażów i obrócił swój pojazd. Gdy jego dziób skierował się znów w stronę hangarów, ujrzałem, że wieżyczka obraca się w poszukiwaniu celów.

– Mam cię namierzonego – ostrzegł Łotr Trzy pilota Osy. – Wyłącz radar, posadź okręt i nawet nie próbuj otwierać tylnej rampy.

Pojazd floty odpowiedział serią z wieżyczki dziobowej. Łotr Trzy zareagował na to własną bronią – nie wieżyczką dziobową, brzmiającą wysoko, niczym piła przecinająca pień, lecz niskim, dudniącym bum-bum-bum zamontowanego pod pokładem wielkokalibrowego działka do atakowania celów naziemnych. Prawy silnik Osy rozpadł się pod ogniem automatycznym, po chwili w jego ślady poszedł pylon uzbrojenia. Kolejny pocisk roztrzaskał tylny ster kierunku. Drugi silnik zawył, gdy pilot jego ciągiem próbował kompensować zejście i posadzić pojazd w jednym kawałku, jednak miał już zbyt niski pułap. Osę rzuciło nagle w lewo i spadła gwałtownie na beton. W ostatniej chwili pilot zdołał wyprostować okręt i wyglądało na to, że uda mu się wykonać twarde lądowanie awaryjne, lecz nagle jedna z płóz dotknęła ziemi i desantowiec z donośnym hukem przewrócił się na bok.

Zanim zdążyłem poczuć przestrasz, od strony drugiego krańca lotniska dobiegł donośny łomot, po nim zaś potężny ryk wielolufowego działka szturmowego Dzierzby. Łotr Trzy przyjął na siebie serię przeciwpancernych pocisków i spadł. Gdy Ważka zderzyła się kilkadziesiąt metrów ode mnie z betonem, wybuch posłał we wszystkich kierunkach płonące elementy i paliwo. Atakująca Dzierzba przemknęła z ponaddziesięciokrotną prędkością nad lądowiskiem, zostawiając za sobą hałas i zniszczenie.

Już jakiś czas temu uszczelniłem hełm, by nie dostawał się pod niego dym z płonących pomp, więc spadające na mnie płonące paliwo było jedynie niepokojące, nie zabójcze. Sam

pancerz, wyposażony w znacznie szybsze odruchy niż jego właściciel, zhermetyzował się już i włączył awaryjne źródło tlenu. Na skraju pasa startowego, sto metrów ode mnie, Osa z floty podrygiwała na boku z silnikiem na pełnych obrotach, ryjąc w betonie bruzdę złamanym lewym skrzydłem. Spoglądałem z przerażeniem na dym zaczynający unosić się spod okrętu. Nagle desantowiec zapłonął na środku jeziora spalającego się już paliwa.

Gdzieś nad Nowym Longyearbyen usłyszałem odpalane rakiety. Na ekranie taktycznym ujrzałem, że pozostałe Ważki sprzęgły swe systemy kierowania ogniem i wystrzeliły ładunki przeciwlotnicze w kierunku Dzierzby, która właśnie zlikwidowała jedną czwartą naszych bojowych sił powietrznych. Komputery wypuściły wszystkie rakiety z wyrzutni na czubkach skrzydeł Ważek: jedną, dwie, cztery, osiem, dwanaście. Dzierzba uciekała z pełną prędkością, jednak pociski były zdolne do znacznie większego przyspieszenia. Automatyczne środki obronne szturmowego pojazdu floty zdołały zmylić część z nich, jednak połowa rakiet pomknęła prosto na dysze silników Dzierzby, strącając ją z nieba. Spadła na zamrzniętą ziemię i wbiła się w jakiś cywilny budynek po przeciwległej stronie miasteczka. Po chwili na moim ekranie pojawiła się ikonka pilota, który zdążył się katapultować. Pozostała szóstka rakiet przeciwlotniczych nie dysponowała już celem, więc ich komputery detonowały je w powietrzu.

Rzuciłem się pod osłonę najbliższego hangaru i zacząłem tarzać po zamrzniętym betonie, by pozbyć się wciąż płonących na panczeru resztek paliwa. Po wcześniejszej kakofonii wielkokalibrowej strzelaniny, naddźwiękowych grzmotów i eksplozji panująca cisza wydawała się surrealistyczna. Chciałem wezwać pomoc, miałem jednak zbyt wyschnięte gardło, by mówić do mikrofonu. Zdusiłem zamiast tego płomienie na stroju i leżałem na ziemi, próbując odzyskać dech.

Po chwili podbiegła do mnie grupa cywilnych techników w skafandrach przeciwpożarowych, usiadłem więc, by im pokazać, że żyję.

– W porządku, żołnierzu? – spytał jeden z nich, zatrzymując się przede mną. Pozostali popędzili do płonących szczątków Osy z floty, niosąc dysze gaśnicze i zbiorniki ze środkiem przeciw płomieniom.

Uniosłem wizjer.

– Tak, czuję się dobrze. Przysmażyło mnie tylko trochę, to wszystko.

– A czego nie przysmażyło – odparł. – Płonie połowa lotniska. Co się, kurwa, stało?

– Sądziłem, że to my mrugniemy pierwsi, a my, że oni – powiedziałem. – Wygląda na to, że wszyscy się myliliśmy.

Rozdział 19

Bratobójczy ogień

No cóż, nie poszło za dobrze – stwierdziła Fallon.

Przebywaliśmy we wzmocnionym schronie pod potężnym cywilnym budynkiem administracyjnym. Towarzyszyli nam dowódcy obu zbuntowanych batalionów, asystujący im podoficerowie oraz kilku cywilnych urzędników.

– To niedopowiedzenie – skomentował podpułkownik Kemp. Był dowódcą 330. Batalionu i nominalnym zwierzchnikiem Fallon, ale najwyraźniej nawet oficerowie jej teraz ustępowali.

– Straciliśmy jeden okręt desantowy i stację paliwową – podsumowała. – Oni są w plecy z okrętem desantowym, a do tego Dzierzbą i ponad dwudziestką żołnierzy. Ponieśli większe straty, ale mogą je uzupełnić. Nam przy kolejnym szturmie będzie brakowało tej Ważki. Pod względem taktycznym mamy remis. Pod strategicznym ledwo się trzymamy.

– To paskudnie chłodny sposób spisania na straty ponad trzydziestu osób – oznajmił administrator.

– Mamy wojnę – powiedziała beznamyślnie Fallon. Gdy cywil zmierzył ją zbulwersowanym spojrzeniem, parsknęła. – A jak pan sądził, co mogło się stać, gdy postanowili siłą zabrać wasze zapasy, a my zdecydowaliśmy się odpowiedzieć? Myślał pan, że wycofają desantowce, stwierdzą „no trudno” i wrócą na lotniskowiec?

Administrator pokręcił głową.

– Nie, raczej nie. Nie przywykłem jednak do wojskowej metody radzenia sobie z ofiarami. To nie równanie matematyczne.

Briana ściągnęła karabin z ramienia i rzuciła na stół przed sobą. Urzędnik cofnął się o krok.

– Podczas swojej ostatniej misji tłumienia zamieszek na Ziemi straciłam dwadzieścioro siedmioro żołnierzy w piętnaście minut. Dobrze pamiętam nazwiska wszystkich moich ludzi, którzy tego dnia zginęli. A pilot straconej przez nas Ważki? Nazywał się starszy chorąży Beckett Cunningham. Trzy Srebrne Gwiazdy, pięć Brązowych Gwiazd, trzy Zaszczytne Krzyże Lotnicze. Przyjaźniliśmy się od ośmiu lat, ocalał mi życie kilkadziesiąt razy, a teraz została z niego dymiąca kupka węgla i paliwa lotniczego na waszym jebanym lotnisku. Nie ma pan pojęcia, w jaki sposób sobie z tym radzę, proszę więc nie pierdolić.

Administrator zerknął na resztę z nas i przygryzł dolną wargę, po czym wzruszył ramionami i znów obrócił się do Briany.

– Przepraszam. Chyba okazałem się nieco arogancki. Po prostu jestem dość wstrząśnięty. Wojna to dla mnie zupełna nowość.

– Spróbują znowu – oznajmiłem. – Teraz już się nie wycofają. Bez radaru nie dostrzeżemy ich, zanim zbliżą się na tyle, by wychwyciły ich Ważki. A wtedy będzie już za późno.

– Każdego z krytycznych punktów strzeże kompania – wytłumaczyła Fallon. – Gdy dotrze reszta Trzysta Dziewiątego, będziemy dysponowali jeszcze trzema kompaniami w rezerwie. Mają jednak przewagę mobilności. Jeśli uderzą wystarczająco mocno w każdym z miejsc, pobiją nas.

Szef kontrolerów lotniczych, Barnett, odchrząknął.

– Radar został ciut wyszczerbiony, ale to duża matryca, a rakiety były małe. Kilku ludzi pracuje właśnie nad naprawą. Powinien znów działać za godzinę czy dwie. Wygląda na to, że

zniszczyli tylko jeden z czterech przekaźników.

– To dobra wieść – powiedziałem. – Choć jeszcze przez jakiś czas będziemy nieco niedowidzieć. Mogą właśnie desantować z orbity większość pułku, a my dowiemy się o tym, dopiero gdy zobaczymy Osy wykonujące zejście bojowe.

– A co z pompami paliwowymi? – spytała Briana.

– Rozwalili zgłębniki tankujące, a wolałbym nie zabierać się za instalację nowych, dopóki nie będę miał czasu, żeby sprawdzić cysterny pod spodem – poinformował Barnett. – Na lotnisku mamy też inne zbiorniki, ale nie mają one odpowiednich zgłębników do pojazdów wojskowych. Na razie możemy zorganizować tankowanie za pomocą ręcznych pomp, jednak wypełnienie takich potworów trochę zajmie.

– Weźmy się zatem do roboty, zanim nasze ptaszki spadną z braku paliwa.

Jeden z cywilnych techników radiowych wszedł do sali konferencyjnej i rozejrzał się, najwyraźniej nie znając się na hierarchii wojskowej. Po chwili obrócił się do Fallon, która gdziekolwiek by się znajdowała, wyglądała, jakby dowodziła.

– Mamy wąskopasmową szyfrowaną transmisję z orbity. Chcą rozmawiać z chorążym Fallon.

– To ja. – Podniosła broń i gestem wskazała, żebym poszedł za nią. – Panowie też mogą nam towarzyszyć – powiedziała do dwóch podpułkowników.

Skwapliwie jej posłuchali.

– Proszę włączyć na głośnik – poleciła technikowi Briana, gdy weszliśmy do centrum operacyjnego. – Mówi chorąży Fallon z Nowosvalbardzkiej Armii Terytorialnej – oznajmiła. – Słucham.

– Tutaj dowódca „Indianapolis”, pułkownik Campbell – odezwał się znajomy głos. – Na linii jest też z nami szyper „Gordona”.

Briana popatrzyła na mnie i uniosła brew.

– „Indy” to orbitalny okręt bojowy – wyjaśniłem. – Mała eskortująca puszeczka. A „Gary I. Gordon” jest transportowcem pomocniczym. Pułkownikowi Campbell – zwróciłem się bezpośrednio do dowódcy „Indianapolis” – tu sierżant sztabowy Andrew Grayson. Byłem pana administratorem sieci neuronowych na „Wersalu”.

Po drugiej stronie połączenia rozległ się pełen zaskoczenia śmiech.

– A niech mnie. Jak się pan miewa, panie Grayson?

– Świetnie, sir, zważywszy na okoliczności. Cieszę się, że po Willoughby dali panu dowództwo.

– Owszem – odparł. – Nad OOB wielkości jednej piątej „Wersalu”. Niezły awans. – Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Ale to świetny okręciś ze wspaniałą załogą.

– Spodziewaliśmy się, że najpierw odezwie się „Midway”, sir – stwierdziłem. – Zrobili z „Indy’ego” okręt flagowy zespołu zadaniowego, a może to rozmowa prywatna?

– Hmm, powiedzmy, że opuściliśmy ZZ Dwieście Trzydzieści-Siedem. Mój pierwszy oficer i szyper „Gordona” zgodzili się z przeprowadzoną przez panią chorąży interpretacją prawa Wspólnoty. Odłączyliśmy się od zespołu zadaniowego przed dwiema godzinami i odeskortowałem „Gordona” na inną orbitę.

W pomieszczeniu zapadła wynikająca z szoku cisza, w której rozważaliśmy nagły zwrot akcji.

– Wydaje mi się, że stanowimy teraz orbitalne siły Nowosvalbardzkiej Armii Terytorialnej. Wybierzcie jednak oficjalny skrót, bo strasznie długo trzeba to wymawiać.

– Przyjąłem, sir – odrzekłem, chichocząc.

Po drugiej stronie pokoju Fallon dała technikowi sygnał, by wyciszył linię, po czym

spojrzała na mnie.

– To na serio czy podstęp?

– Był moim pierwszym oficerem, gdy „Wersal”, pierwszy okręt, na którym służyłem, został zestrzelony przez Dryblasów – wyjaśniłem. – To dobry człowiek. Nie wiem, co w tym momencie by zyskali, bawiąc się w sztuczki. I tak dysponują wszystkimi dobrymi kartami.

– Cóż, na wszelki wypadek trzymajmy jednak nasze przy orderach.

– Jasne – odpowiedziałem.

Briana skinęła głową operatorowi.

– Informuję was, że „Midway” dokonuje właśnie sporego zrzutu – ciągnął pułkownik. – Z tego, co widzę, to same okręty desantowe, nie szturmowe. Nie mam jednak pewności. Gdy ogłosiliśmy nasze zamiary, odcięli nas od tak-łącza zespołu zadaniowego.

– Sir, jestem kontrolerem walki i posiadam w pancerzu procesor danych. Czy pozwoliłby mi pan podłączyć się do tak-łącza „Indy’ego”? Dzięki temu miałbym lepszy ogląd sytuacji.

– Nie mam nic przeciwko – odparł pułkownik Campbell. – Powiem technikowi, żeby się tym zajął. Kto dowodzi tam na dole?

– Najwyższymi rangą oficerami na powierzchni są podpułkownicy Kemp i Decker, lecz operacją kieruje obecnie chorąży Fallon. Jest pan więc chyba najwyższy stopniem w naszej formacji, sir.

– Wspaniale. Każę kwatermistrzostwu, żeby zrobili mi mundur z mnóstwem gwiazdek.

Podpułkownik Decker i jego sierżant roześmiali się i nawet Fallon lekko się uśmiechnęła.

– Nie spodziewajcie się jednak z mojej strony żadnych natchnionych porad – kontynuował Campbell. – Gównowicie wiem o walce naziemnej. Jestem tylko szyprem małej metalowej puszki. Jeśli chorąży Fallon i panowie pułkownicy chcą przejąć dowodzenie, proszę bardzo. Zresztą hierarchia nie ma w tym momencie większego znaczenia.

– Przy obecnym rozwoju sytuacji będą musieli zarezerwować dla nas całe skrzydło w Leavenworth – skomentował Decker.

Z pomocą technika sieci neuronowych z „Indianapolis” podłączyłem się do tak-łącza okrętu i przejrzałem dane z sensorów. „Indy” i „Gordon” pozostawały same na swojej orbicie, z dala od reszty zespołu zadaniowego. Nigdy nie przebywałem na nowych orbitalnych okrętach bojowych, słyszałem jednak pogłoski o ich możliwościach i gdy teraz wpiąłem się do ośrodka nerwowego jednego z nich, widziałem, że nawet co bardziej przesadzone pogłoski miały się z prawdą. OOB nie osiągał rozmiarów fregaty, lecz jego sensory i sieć neuronowa przewyższały wszystko, co dotąd widywałem. Gdy zerknąłem na dane z czujników połączonego z nim siecią transportowca pomocniczego, dostrzegłem, że echo radarowe „Indianapolis” było tylko nieznacznie większe niż desantowca, również bez włączonych mechanizmów maskujących. Owszem, pokrywał go cienki pancierz, lecz dysponował niezwykle wyczulonymi zmysłami. Sprawdziłem szybko zapasy uzbrojenia i znalazłem niewiele broni przeciwokrętowej, ale system obrony przed atakiem z przestrzeni i powietrza przysporzyłby problemów nawet lotniskowcowi pełnemu Dzierzb, poza tym w połowie kadłuba widziałem też cztery wyrzutnie bomb atomowych przeciwko celom naziemnym, każda wyposażona w dwadzieścia cztery niezależne głowice. Jak na tak mały okręt, „Indy” mógł spuścić niezłe manto przeciwnikowi znajdującemu się na powierzchni planety lub księżycy. Nasz dezertujący dowódca kierował najmniejszą jednostką z zespołu zadaniowego, lecz zdecydowaną najnowocześniejszą – tylko ona w całym ZZ 230.7 nie pochodziła z floty rezerwowej przeznaczonej na złomowisko.

– Nadlatujące obiekty – oznajmił Łotr Jeden. Ważki służyły nam za improwizowaną

pikietę radarową, latały ósemkami nad Nowym Longyearbyen. – Czterech intruzów, kierunek trzy dziesięć, odległość jeden czterdzieści, wysokość dwanaście tysięcy. Wygląda na zrzut transportowy, nie bojowy.

Spojrzałem na informacje na swoim ekranie i oceniłem wzorzec lotu zbliżającej się formacji.

– „Indy” mówi, że to Osy, nie Dzierzby. Tak w ogóle, mamy teraz oczy i uszy na orbicie.

– Wygląda na to, że przesyłają rzeczy do Sople – powiedział Łotr Jeden. – Mogę się założyć o cokolwiek, że wybrali tak wysunięty na północ kurs, żeby nie przelecieć nad miastem.

– Myślę, że to słuszne przypuszczenie – przyznałem. – Pani chorąży, eskadra okrętów desantowych nadlatuje od północy. Poruszają się powoli i schodzą w stronę Sople. Mogą jednak próbować wywieść nas w pole.

– Przekaż dane żołnierzom – poleciała Fallon. – Kompania Delta bawi się w bramkarza od północy. Powiedz im, żeby na wszelki wypadek rozgrzali ręczne wyrzutnie.

Licząca cztery desantowce eskadra mogła przewieźć całą kompanię gotowej do walki piechoty, choć bez broni ciężkiej. Przy naszej bieżącej dyslokacji mogliśmy ich powitać w sile kompanii na równych warunkach, gdyby tylko postanowili wylądować w mieście, lecz perspektywa bitwy dwóch kompanii na środku cywilnego osiedla przyprawiała mnie o spore mdłości.

– Przyjąłem – odparłem, po czym przekazałem informacje dowódcom kompanii Delta oraz plutonów. – Miejmy nadzieję, że nie chodzi im po głowie nic paskudnego.

– Oczywiście, jeśli przewożą żołnierzy do Sople, niedługo czekają nas zupełnie inne problemy – stwierdziła Briana.

– Nie sądzę, że są na tyle głupi, żeby próbować natarcia naziemnego w lekkich pancierzach – powiedziałem, ale w tym samym momencie poczułem nieprzyjemne wątpliwości. Jeszcze półtorej godziny temu nie pomyślałbym, że dowództwo PK zdecyduje się na pionowy szturm na lotnisko za pomocą pojedynczego desantowca i Dzierzby.

– Ostatnie ptaszki znajdują się w kurniku za trzydzieści minut – wtrącił Barnett. – W samą porę. Od północy nadciąga kiepska pogoda.

– Jak kiepska? – spytała Fallon.

– Kiepska nawet jak na Nowy Svalbard. Przylecieliście akurat pod koniec tego, co uchodzi tu za lato. Nie macie pojęcia, jakie mieliśmy szczęście, mogąc przez cały tydzień przeprowadzać loty. Skoczki nie spisują się zbyt dobrze w niskich temperaturach, zimę spędzają więc w hangarach.

– To teraz nie jest już zimno? – Briana zerknęła na wskazania temperatury na wielkim ekranie w centrum operacyjnym. Widniało tam: TEMP-18C/WIATR45KMHNE/WID15KM.

– Teraz? – zachichotał kontroler. – Dla nas to jak upał. Widziała pani kiedyś temperaturę podaną jako trzycyfrowa liczba ujemna? Nie bez powodu budujemy się właśnie w taki sposób.

– Minus sto stopni Celsjusza? – zapytała z niedowierzaniem Fallon, a Barnett przytaknął.

– I stukilometrowe wiatry w spokojny dzień. Na trzy albo cztery miesiące w zasadzie schodzimy pod ziemię.

Briana popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się.

– Andrew, zapomnij, co wcześniej mówiłam. Tu wcale nie jest jak w raj.

– No wiecie – odezwał się kontroler – gdyby tu było idealnie, wszyscy chcieliby zająć Nowy Svalbard. Tymczasem jesteśmy tylko zamrożonym księżycem na zadupianym krańcu trzydziestki. Wątpię, czy nawet Dryblasy są zainteresowani tym miejscem. Chińczycy ani Rosjanie nigdy nam nie przeszkadzali.

– I dobrze – wtrącił pułkownik Decker, podnosząc wzrok znad sterty wydruków, które

przeglądał od piętnastu minut. – Bo wasza sieć obrony jest do dupy. Widywałem dzielnice komunalne lepiej chronione niż ten księżyc. Ktokolwiek projektował sieć obronną, powinien zostać wywalony za absolutny brak kompetencji lub zastrzelony za zdradę. Albo jedno i drugie.

– Tak szczerze mówiąc, to nie jesteśmy zasiedlonym światem – odparł Barnett. – To tylko naukowa stacja badawcza i punkt zaopatrywania w wodę. Nie będziemy gotowi do pełnej kolonizacji, dopóki te wymienniki atmosferyczne nie popracują jeszcze z dziesięć lat.

– Mimo wszystko – zripostował Decker – brak tu systemu obrony orbitalnej. Nie ma zapasów broni nuklearnej. Ani jednego działła dalekiego zasięgu. Tylko jedno lotnisko zdolne obsługiwać flotę, które na dodatek mieści się obok jedyne go tutejszego osiedla. Żadnych opancerzonych wozów bojowych, nie licząc sześciu mułów w Soplu. Zupełnie żadnego zintegrowanego systemu obrony przeciwlotniczej. Ten księżyc mógłby zostać zdobyty przez zastęp harcerzy ze scyzorykami.

– No nie wiem, pułkowniku – odezwała się Fallon. – Zważywszy wszystko, raczej się cieszę, że te kosmiczne małpy z Sopla nie dysponują czołgami ani artylerią.

– Można i tak na to patrzeć. To dobrze, że nie straciliście umiejętności dostrzegania pozytywnych stron, pani chorąży.

– Owszem, straciłam – odparła. – Jeszcze na Ziemi. Mniej więcej wtedy, gdy musiałam zastrzelić swojego pierwszego szczura na zasiłku za to, że chciał zjeść coś lepszego niż przetworzone gówno.

– Wiesz, że tak czy inaczej mamy przejebane? – powiedziała do mnie Briana jakiś czas później, gdy wyszliśmy na zewnątrz odetchnąć świeżym powietrzem. Przez ostatnich kilka godzin temperatura spadła tak, że byłem wdzięczny za ogrzewanie zainstalowane w pancerzu.

– Wiem – odrzekłem. – Jeśli flota zwycięży, wylądujemy w areszcie, a później na kolejnych dwadzieścia lat w wojskowym więzieniu. Jeśli my wygramy, będziemy mogli siedzieć na tym zamrożonym pustkowiu tylko do chwili, aż uruchomią z powrotem komunikację i pojawi się więcej jednostek floty. A jeśli sieć dalej będzie leżała, będziemy musieli się martwić, że znajdą nas Dryblaszy. Żadnych szans na szczęśliwe zakończenie.

– No to po co zmieniłeś stronę? Wiesz przecież, że nie powstrzymałabym cię, gdybyś zechciał wrócić do Sopla z tamtymi pilotami, prawda?

– Wiem. – Oderwałem odznakę jednostki od naramiennika pancerza i jej się przyjrzałem. – Tak naprawdę miałem kilka powodów.

– Jakich?

– Nie podobały mi się rzeczy, które musieliśmy robić w AT. Te wszystkie desanty do zamieszek. Owszem, strzelali do nas w dzielnicach komunalnych, ale tylko dlatego, że ładowaliśmy się do mieszkań, gotowi spuścić im manto. Nie żywię do nich urazy. Nawet za te dwie kulki, które dostałem w Detroit.

Briana spoglądała na mnie z nieodgadnioną miną.

– A później dostałem bilet do floty – ciągnąłem. – Zaczęło się całe to gówno z Dryblaszami i naprawdę czułem się dobrze z tym, co robiłem. Ratowałem ludzkość i w ogóle. Cholera, nawet nie przeszkadzała mi walka z Rosjanami i Chińczykami. Przynajmniej byli porządnymi wrogami, na dodatek równie dobrze uzbrojonymi jak my. Do nich również nie żywię urazy. Chodzi jednak o to, co powiedziałaś flocie przez radio. Wolałbym, żeby mnie pokreśliło, niż miałbym wrócić do tej policyjnej roboty w gettach. Gdy obracamy się przeciwko swoim, tracimy rację bytu.

Fallon uśmiechnęła się szeroko. Robiła to tak rzadko, że przez chwilę wydawała się

zupełnie inną osobą.

– Mamy być twardzielami, Andrew. Po to dostajemy broń, lepsze żarcie i konta bankowe. Pozwalamy więc trzymać się na smyczy i gryziemy wszystko, na co nas poszczują.

– Poszczuj mnie na kolonię Dryblasów, a pozwolę ci wystrzelić się w biokapsule z orbity i wezwę ostrzał nuklearny na własną pozycję. Jeśli jednak chcą, żebym znowu bawił się w strażnika więziennego, niech znajdą kogoś innego.

– Właśnie po to mieliśmy się tu znaleźć – powiedziała. – Po to nas wzięli. Chcieli nas usunąć z Ziemi i zmusić do kontrolowania cywilów, podobnie jak tam. To wy mieliście trzymać nasze smycze.

– Jak na razie nie bardzo się udaje, prawda?

– Nie bardzo. – Kopnęła czubkiem buta parę kamieni. – Prawdę mówiąc, chętnie zamieniłabym się teraz z muchą siedzącą na ścianie w siedzibie departamentu obrony na Ziemi. Jeśli nie mogą liczyć na to, że ich doborowe oddziały zdołają zapanować tutaj nad paroma nicponiami z SOZ, to wątpię, że tam idzie im lepiej. Może gdy wrócimy, nie będzie już Wspólnoty Północnoamerykańskiej. A raczej „jeśli” wrócimy.

– Może być gorzej – odparłem. – A jeśli włączą z powrotem sieć i wrócimy na Ziemię, a tam na orbicie trafimy na kilkaset okrętów nasiennych i atmosferę złożoną w dwudziestu procentach z dwutlenku węgla?

Fallon wzruszyła ramionami.

– Wtedy przemogę ochotę, żeby strzelić sobie w łeb, i dołączę do tej części ludzkości, która będzie chciała poszukać sobie nowego miejsca. Ludzie są twardzi. Zrobią, co będą musieli, żeby dalej żyć, nieważne, jak gówniane okazałoby się to życie. Spytaj tych biednych gnojzków w dzielnicach komunalnych.

– I pomyśleć, że gdy dostałem list potwierdzający, wydawało mi się, że czeka mnie coś lepszego – rzekłem. – Jeden na stu kandydatów i tak dalej.

– No ale przecież tu jesteś, prawda? Mogło być gorzej. Przynajmniej dysponujesz karabinem i niezłymi umiejętnościami. Wystarczy, żeby móc powiedzieć naszemu szacownemu dowództwu, że nie bawisz się już w ich grę.

Naszą rozmowę przerwał świergot priorytetowego przekazu.

– Dysza Jeden, tu „Indianapolis”.

– Mów, „Indy” – odparłem.

– „Midway” wysłała Dzierzby, które nie eskortują żadnych desantowców. Wygląda na to, że leci połowa całego ich skrzydła. Nie możemy zweryfikować dokładnego uzbrojenia, ale uważamy, że wiozą dodatkowe zasobniki artyleryjskie.

– Odebrałem, „Indy”. Połącz mnie, proszę, z diagramem z BCI.

Wyświetlacz taktyczny ukazał mi przekaz z groteskowo nowoczesnej głównej matrycy sensorów „Indianapolis”. Dzierzby łączyły się w pary i wchodziły w atmosferę w niewielkich odstępach z prędkością sugerującą duże obciążenie.

– Widzę je. Nie sądzę, żeby to był tylko lot transportowy, a już na pewno nic nie eskortują. Mogę się założyć o niesojowego steka, że leci na nas grupa uderzeniowa.

– Nie założę się z tobą, Dysza. Nie wychylajcie się tam na dole. Zamierzamy ich śledzić i informować was, dopóki będzie ich obejmować nasz radar.

– Dzięki, „Indy”. Dysza Jeden bez odbioru.

Przełączyłem nadajnik na miejscowy kanał alarmowy.

– Do wszystkich, nadciąga nalot. Druga fala to trzy pary Dzierzb wchodzące w atmosferę nad północną półkulą. Rozgrzejcie sensory wyrzutni raketowych i czekajcie na podanie wektorów zagrożenia. Włączyć cywilne syreny przeciwlotnicze. Powtarzam: nadciąga nalot,

nadciąga nalot.

Wszędzie wokół nas zaczęły wyc syreny z cywilnego systemu ostrzegania.

– Nalot, nalot. To nie ćwiczenia. Do wszystkich, kryć się!

Obok mnie Fallon sprawdziła stan magazynka z niedbałą starannością kogoś, kto wykonywał tę czynność milion razy.

– Cóż, miło było pogadać, Andrew. A teraz wracajmy do strzelania do ludzi.

Rozdział 20

Bitwa o Nowy Svalbard

Pierwsza para Dzierzb wpadła bez cienia subtelności. Przeleciały nad miastem na pełnej prędkości i na wysokim pułapie ponad dwóch tysięcy metrów. Okręt lecący na przedzie miał wyłączone wszystkie aktywne przekaźniki, lecz ten z tyłu emitował zagłuszaczami tyle energii, że z odległości kilometra upiekłby pasztet sojowy.

– Do eskadry Łotrów i wszystkich jednostek naziemnych, wstrzymać ogień rakietowy – ostrzegłem na kanale awaryjnym. – To układ „dzika łasica”. Próbują nas skłonić do użycia rakiet ręcznych.

Dzierzby nie zwalniały nam nad głowami. Dudnienie wywołane prędkością ponaddzwiękową przetaczało się po ulicach niczym niedaleka kanonada artyleryjska. Oba samoloty szturmowe wyrzucały elektroniczne środki zakłócające, w odpowiedzi nie wystrzelowano jednak rakiet. Jedna z naszych Ważek wypuściła wymownie serię z działka, jednak pociski nie sięgały tak daleko i smugowce nie doleciały do celu.

– Składam skargę we flocie – z cywilnego centrum operacyjnego dobiegł głos, w którym rozpoznałem Barnetta. – Taki przelot z prędkością ponaddzwiękową nad miastem stanowi rażące naruszenie zasad ruchu lotniczego.

Ktoś inny roześmiał się na kanale.

– Naprawdę. Takie coś może spowodować uszkodzenie słuchu.

– Coś się dzieje w Soplach – ostrzegł Łotr Jeden. – Sześć... Nie, osiem Os leci w tę stronę.

Obserwowałem na diagramie, jak grupka okrętów desantowych z obozu Sopol rozdziela się na cztery pary. „Dzika łasica” zniknęła na południu, lecz pozostałe Dzierzby z „Midway” sfrunęły spomiędzy stalowoszarych chmur i zajęły pozycje eskortujące za desantowcami.

– No i mamy cztery grupy szturmowe, w każdej dwie Osy i jedna Dzierzba. Przydzielam im kryptonimy od Nalot Jeden do Cztery.

– Przynajmniej tym razem nie bawią się w półśrodki – stwierdziła Fallon. – Lotnisko, znów na was uderzą. Nie dajcie im zdobyć przyczółku.

– Zrozumiałem. – Dowódca tamtejszej kompanii AT wydawał się znacznie spokojniej niż ja podchodzić do coraz bliższej perspektywy desantu dwóch plutonów szturmowych PK na nasze głowy.

– Eskadra Łotrów, nie atakujcie jeszcze okrętów desantowych. Pozostałe wam rakiety wykorzystajcie na Dzierzby. Jeśli rozwalicie którąś z Os, Dzierzby rozerwą was na strzępy.

Ważki potwierdziły odbiór. Wyłożyliśmy wszystkie atuty na stół i teraz po pierwszych posunięciach miało się okazać, kto lepiej rozplanował rozgrywkę.

– Ładuj tyłek do centrum operacyjnego – nadała Briana zza rogu, gdzie sprawdzała rozstawienie plutonu mającego ochraniać budynek. – Stanowisz teraz całą naszą sekcję C-Trzy. Nikt inny nie potrafi obsługiwać tego wypasionego komputera.

– Jestem wzruszony pani troską, pani chorąży – odparłem.

– Próbuję jedynie oszczędzić nasz ograniczony zapas jajogłowych.

Obserwowałem na diagramie zbliżające się powoli do miasteczka czerwone ikony. Każda z nich symbolizowała trzydziestu lub więcej żołnierzy, ludzi, z którymi dzieliłem mesę, mężczyzn i kobiety noszących na mundurze tę samą flagę co ja. Wokół nas rozpadał się wszechświat, a my wciąż nie mieliśmy nic mądrzejszego do roboty, niż tylko próbować pozabijać się nawzajem. Nie żywiłem żadnych ciepłych uczuć do Dryblasów, tych dziwnych istot, które zabierały nam planety i zabijały nas z niedbałą skutecznością, lecz przez niemal pięć lat wojny z

nimi nigdy nie widziałem, by dwóch obcych walczyło ze sobą.

Nad nami formacja statków desantowych i szturmowych podzieliła się na dwie grupy. Jedna skrzyła na wschód i utrzymała wysokość. Druga zboczyła na zachód i rozpoczęła gwałtowne zejście w kierunku rozległej otwartej przestrzeni lotniska.

– Lotnisko, uwaga – oznajmiłem. – Cztery Osy i dwie Dzierzby lecą prosto na was.

Dzierzby wysunęły się naprzód i zajęły pozycje na obu krańcach pasa startowego, podczas gdy okręty desantowe podjęły podręcznikowy zrzut bojowy, schodząc z wysokości po korkociągu, aby operatorzy wrogiej artylerii przeciwlotniczej nie mogli przewidywać ich trajektorii. W powietrzu niemal trzeszczało od fal radiowych, ponieważ Dzierzby wspierały swych podopiecznych systemami zagłuszania elektronicznego, by zakłócać działanie nieposiadanych przez nas radarów namierzających.

Osy schodzące nad lotnisko ledwo co zdążyły wyrównać kurs tuż nad ziemią, gdy na samym środku pasa na moim wyświetlaczu taktycznym pojawiły się nagle dwa niebieskie symbole.

– Wykonać paradę – nadał Łotr Jeden.

Dwie Ważki, które właśnie ukazały się na diagramie, wykonały zgodny skręt na południe i odpaliły sekwencyjnie trzy rakiety krótkiego zasięgu powietrze-powietrze w Dzierzbę, która zajęła południowy kraniec pasa startowego. Przy tak małej odległości pilot nie miał czasu na wykonanie manewrów uchyleńiowych. Ledwo zaczął podrywać samolot i podkręcać obroty silników, gdy wszystkie trzy pociski trafiły go w połowie kadłuba i czerwony symbol zniknął z mojego wyświetlacza. Z odległości ponad połowy kilometra poczułem w podeszwach butów wstrząs eksplozji.

– Eskadra Łotrów, jedna Dzierzba zlikwidowana – nadałem automatycznie. – Druga odlatuje w kierunku zero dwa zero.

Samolot szturmowy przeszedł w prędkość ponaddźwiękową i raptownie pomknął ku górze, by wydostać się z zasięgu wyrzutni ręcznych. Następnie wykonał zwrot z powrotem ku lotnisku. Z tej odległości wielolufowe ciężkie działko Dzierzby brzmiało jak Dryblas ze wzdęciem, oczywiście jeśli obcy posiadają podobne systemy trawienne jak my. Ciężkie przeciwpancerne pociski wyryły mierzącą kilkadziesiąt metrów szramę w betonowej powierzchni pasa startowego.

Gdy tylko Dzierzba wyrównała lot, sześć ręcznych wyrzutni wypluło za nią rakiety. Pilot odpalił ładunki obronne, które rozsypały się za nim niczym konfetti, i znów przyspieszał swój pojazd poza barierę dźwięku. Kolejne odgłosy kanonady dobiegły do mnie, zanim jeszcze dwa niebieskie symbole pary Ważek znów pojawiły mi się na wyświetlaczu. Desantowce sprzęgły komputery kierowania ogniem, aby wykorzystać swe radary i działka jako improwizowaną baterię przeciwlotniczą, i wystrzelone przez nich serie idealnie przewidziały prędkość oraz kierunek skrętu uciekającej Dzierzby. Przełączyłem się na obraz z ich kamer celowniczych, akurat by ujrzeć, jak pocisk w gryza się w pylon lewego silnika samolotu bojowego, rozsypując fragmenty pancerza. Przez chwilę wydawało się, że Ważki znów zdołały zlikwidować przeciwnika, lecz nagle pilot Dzierzby wyprostował uszkodzony okręt i umknął na pełnej przepustnicy, wlokąc za sobą strumień dymu.

– Kurwa, te cholerstwa są twarde – skomentował Łotr Dwa. – Nie wierzę, że skurwysyn ciągle leci.

– Widziałem kiedyś Dzierzbę wracającą na lotniskowiec z połową lewego skrzydła i odstrzelonym jednym silnikiem – powiedziałem. – Skonstruowano je tak, by zniosły niezłe manto. Dobrze się spisaliście.

Na moim ekranie zostały cztery wrogie czerwone symbole. Obraz z kamer Ważek

przesunął się, ukazując cztery Osy wypuszczające żołnierzy obok pasa startowego, zaledwie kilkadziesiąt metrów od wieży kontrolnej.

– Nienawidzę tego, co muszę zrobić – oznajmił Łotr Jeden głosem, w którym brzmiał szczery żal. Następnie wieżyczki dziobowe i zamontowane pod pokładem działka automatyczne Wążek w tej samej chwili otworzyły ogień. Osy i ich pasażerowie byli jak na patelni, pozostawali w najniebezpieczniejszej fazie lądowania szturmowego. Żołądek ścisnął mi się na ten widok.

Okręty desantowe zostały opancerzone przeciwko strzałom z broni ręcznej i lekkich działek, lecz nawet laminatowe płyty nie były w stanie wytrzymać pocisków z wielkokalibrowych działek przeciwpancernych strzelających z tak bliska. Pierwsze serie wbiły się w boki Os niczym młoty w kartonowo-gipsowe płyty. Proces wyładunku piechoty doszedł już do połowy i wybiegający żołnierze trafili w deszcz wybuchających pocisków oraz latających fragmentów pancerza. Choć eskadra Łotrów celowała selektywnie w powierzchnie skrzydeł i silniki, obserwowana przeze mnie masakra przerażała. W mniej niż dziesięć sekund wypełnionych krótkimi seriami wszystkie cztery desantowce floty zamieniły się w dymiące wraki, a ich elementy rozrzuciło po całym pasie startowym. Wokół grupy unieruchomionych Os leżało przynajmniej kilkunastu żołnierzy PK, którzy nie zdążyli zejść z linii ognia. Reszta w wyraźnym szoku biegła w kierunku hangarów w poszukiwaniu osłony.

Gdy nasi z SOZ zaczęli strzelać ze swych pozycji pomiędzy hangarami, rozgorzała krótką, gwałtowną palba. Kosmiczni piechociarze, zaskoczeni na otwartej przestrzeni pomiędzy płonącymi okrętami floty a przygotowanymi stanowiskami obronnymi, szybko uświadomili sobie beznadziejność swojego położenia, zwłaszcza że nasze Wążki ustawiły się zaraz za nimi. Strzelanina zgasła równie szybko, jak się zaczęła, pozostali przy życiu PK odłożyli broń na ziemię i unieśli ręce.

– Przerwać ogień! – ktoś rozkazał. – Poddają się.

– Pierwsza mądra rzecz z ich strony – odparł Łotr Jeden. Odsunął się od niewidocznej dla mnie osłony, pod którą ukrywał się przed Dzierzbami, i podleciał do dymiących Os, kierując wieżyczkę dziobową w kapitulujących żołnierzy. – Wiecie co, te nowe ptaszki z floty są całkiem niezłe. Chyba go zatrzymam.

– Ofiary na lotnisku – poinformowałem Fallon. – Z ich strony, nie naszej.

– Wyślijcie tam jak najszybciej sanitariuszy – poleciła dowódcem plutonów. – I, do ciężkiej cholery, rozbróćcie najpierw tych piechociarzy. Nie chcę, żeby zmienili zdanie co do swoich szans na zwycięstwo.

– Znajdziemy dla nich jakiś zaciszny kącik – odparł dowódca kompanii.

– Andrew, gdzie druga eskadra?

Zerknąłem na ekran taktyczny.

– Nadlatuje łukiem od wschodu. Wciąż są na ponad dwóch tysiącach. Trudno powiedzieć, co zamierzają, ale na pewno stracili okazję, żeby zaatakować nas z zaskoczenia.

– Śledzę ich naocznie – oznajmił Łotr Cztery.

– Nie włączaj aktywnych sensorów – powiedziałem mu, po czym przełączyłem się na obraz z jego kamery.

– Jasne, zrozumiałem. Nie chcę, żeby HARM wleciał mi w dupę.

– Mogliby się już na coś zdecydować – wtrącił Łotr Jeden.

Gdy eskadra Nalot Dwa znalazła się dokładnie nad centrum miasteczka, wciąż na wysokim pułapie i poza zasięgiem ręcznych wyrzutni naszej piechoty, wreszcie rozerwała formację przelotową. Dzierzby zajęły pozycje wspierające w górze, Osy zaś rozpoczęły zejście bojowe, opadając korkociągami niczym garść jesiennych liści, które zlatują z gałęzi. Mój komputer taktyczny wykreślał ich przewidywaną trajektorię i kropkowana czerwona linia

kończyła się akurat w miejscu, w którym stałem razem z Fallon.

– Nalot Dwa opada na centrum administracyjne – oznajmiłem znacznie spokojniej, niż się czułem.

Osy zlatywały się z czterech głównych kierunków róży wiatrów. Zawisły na pozycjach nad skrzyżowaniami wokół budynku i wyrzuciły przez otwarte tylne rampy liny desantowe. Po chwili kosmiczni piechociarze zaczęli zjeżdżać z wysokości piętnastu metrów. Tym razem Ważki nie pojawiły się zniechęca, by cełnym ogniem zakłócić dyslokację, a żołnierze SOZ na ziemi nie wypuszczali rakiet z obawy przed strąceniem Os na ciasno ustawione cywilne budynki mieszkalne. Gdy wszystkie cztery plutony znalazły się na powierzchni, okręty z rykiem silników pomknęły z powrotem w górę, zostawiając za sobą chmury środków zakłócających.

– Przy centrum administracyjnym wylądowała kompania – oznajmiłem, choć mój komputer podzielił się już danymi z każdym pancernym bojowym i pojazdem podłączonym do sieci taktycznej.

– Pluton z centrum administracyjnego, uwaga! – nadała Fallon. – Przytrzymamy ich, żeby spuścić im manto.

Plutony PK rozdzieliły się na oddziały i zaczęły podchodzić do budynku. Pobiegłem za róg i dołączyłem do Briany oraz oddziału, który zajął pozycję obronną na rogu budowli. W wiecznie zamrażanej ziemi nie sposób było się okopać, więc stanowisko powstało ze stłoczonych elementów modułowych barier z żelazobetonu.

– W samą porę – skomentowała Fallon, gdy przeskoczyłem przez niską barykadę, lądując przy niej. – Zastanawiałam się, czy zamierzasz samodzielnie zająć się tymi piechociarzami.

– Jasne – odparłem. – I znowu dostać dwie kulki.

Wzorzec dyslokacji plutonu SOZ stanowił podręcznikowy przykład czterokierunkowego szturm z powietrza. Gdy żołnierze PK wyłonili się zza budynków na przeciwległych rogach wszystkich czterech skrzyżowań, przed nimi znajdowały się zabezpieczające się nawzajem stanowiska strzeleckie oraz działka automatyczne osłonięte betonowymi zaporami. Kosmiczni piechociarze zaczęli podchodzić skokami przy akompaniamencie grzechotu karabinów fleszetowych, na który natychmiast odpowiedziały bardziej stanowcze odgłosy działek. Napastnicy przerwali szaleńczy bieg w kierunku centrum administracyjnego i szukali osłony w wejściach oraz za śmietnikami. Potoczyli po ulicy granaty dymne, choć musieli być świadomi, że nasze hełmowe sensory pozwolą nam widzieć przez podnoszące się opary.

– Boczna alejka, godzina jedenasta, pięćdziesiąt! – zawołała Fallon w panującym harmidrze.

Przesunąłem cel i ujrzałem czterech żołnierzy PK zajmujących pozycje strzeleckie w wylocie wąskiej uliczki pomiędzy dwoma budynkami mieszkalnymi. Piechociarz na czele łądował granatnik wbudowany w karabin. Nie byłem w stanie stwierdzić, czy przygotowywał granat dymny, czy też aktywujący się w bliskości wroga odłamkowy. Fallon wypuściła serię i fleszety wyrwały broń z dłoni intruza, jego samego ciskając w tył. Towarzysze odciągnęli go poza nasze pole widzenia, ostrzeliwując się jednocześnie.

– Pilnuj tych desantowców! – krzyknęła Briana.

Na diagramie taktycznym widziałem płataninę czerwonych i niebieskich ikon. Pięć plutonów ścierało się na obszarze otaczającym centrum administracyjne. Osy z floty krążyły wysoko nad okolicą, czekając na prośbę o wsparcie lotnicze ze strony swych podopiecznych na ziemi. Wszędzie wokół siebie słyszałem grzechot karabinów i dudniące niskie staccato działek strzelających od czasu do czasu seriami.

Kolejne niebieskie symbole pojawiły się na diagramie, gdy jedna z naszych kompanii SOZ podeszła, atakując wojska PK od tyłu. Napastnicy utknęli pomiędzy dwiema grupami

obrońców, jak między młotem a kowadłem. Wystarczyło mi spojrzeć na ekran, by wiedzieć, że kosmiczni piechociarze sami nie zdołają odebrać nam centrum administracyjnego, nie jeśli po zaledwie kilku minutach od szturmowania musieli bronić się ze wszystkich stron. Gdybyśmy nie dysponowali działkami, mielibyśmy problem, skoro jednak każdego rogu budynku broniły dwa z nich, żołnierze PK znaleźli się w kiepskiej sytuacji.

– Obiekt szybko zbliża się z kierunku dwa osiem zero! – ostrzegł Łotr Cztery. – Ten kretyn wykonuje przelot ostrzeliwujący!

W oddali usłyszałem znajomy potępieńczy skowyt Dzierzby lecącej na pełnym ciągu i nagle pierwsze pędzące z ogromną prędkością pociski zasypały obszar wokół oddziału ufortyfikowanego na lewo od nas. Odgłosy palby karabinowej zostały stłumione przez grzmot eksplodujących dwuzadaniowych ładunków. W zaledwie sekundę czy dwie pozycja na południowo-zachodnim rogu budynku została przysłonięta chmurą zamarznętej ziemi i betonowego pyłu. Następnie Dzierzba przemknęła nad nami, na tyle nisko, że mogłem rozpoznać oznaczenia na opancerzonym kadłubie. Strzelanina na chwilę ucichła. Gdy dym się rozwiął, okazało się, że połowa betonowych barykad na tym narożniku zniknęła, w grubym betonie ściany centrum administracyjnego widniała kilkanaście wgłębień wielkości kół muła.

– Te cholerstwa są mordercze – stwierdziła Fallon. – Jeszcze jeden taki przelot i możemy się pakować.

Przyczajeni naprzeciwko tego narożnika żołnierze PK rzucili granat dymny przed zniszczoną barierę i rzucili się do szarży na drugą stronę ulicy. Z pozycji naszego oddziału odezwały się strzały, ale tylko z jednego, najwyżej dwóch karabinów. Zamknąłem wizjer helmu, przełączyłem tryb widzenia na wielopasmowy i na pełnym automacie opróżniłem cały magazynek w sylwetki biegnących przez dym kosmicznych piechociarzy. Obok mnie niektórzy żołnierze SOZ również zmienili cel i natarcie PK utknęło w połowie skrzyżowania. Paru przeciwników padło, a reszta wycofała się pod osłonę budynków z tyłu.

– Nie przejdą – oznajmił jeden z SOZ.

– Jeśli ta Dzierzba zrobi jeszcze parę przelotów, nie będą musieli – odparłem. – Mogą po prostu poczekać, a później wejdą, żeby po nas posprzątać.

– Trzymajcie tego szturmowego ptaszka z dala od naszych tyłków – poleciła Fallon Wążkom z eskadry Łotrów. – Właśnie straciliśmy większość oddziału. Nie dajcie mu przelecieć tak po raz kolejny.

– Zrobimy, co będziemy mogli – stwierdził Łotr Jeden. – Skurwiel jest zbyt szybki dla naszych działek, chyba że znalazłby się naprawdę blisko, a skończyły się nam powietrze-powietrze.

W oddali usłyszałem kolejne strzały – nie szaleńczy wizg potężnego działka przeciwpancernego Dzierzby, lecz wolniejsze stukanie działek automatycznych z desantowców. Gdzieś w uliczce za spornym skrzyżowaniem ręczne wyrzutnie rakietowe wysłały swe ładunki w niebo. Nie wiedziałem, kto z nich wystrzelił, ani też czy celowano w nasze desantowce, czy też we wroga. Na diagramie roilo się od stłoczonych na niewielkiej przestrzeni czerwonych oraz niebieskich ikon, a cała bitwa szybko przeradzała się w potężny pierdólnik. Jedna z Dzierzb znów wykonała przelot na niskiej wysokości, prażąc do jakiegoś celu przy oddalonym o pół kilometra lotnisku. Z frustracji wystrzeliłem w nią stufleszetową serię, choć dobrze wiedziałem, że trójmilimetrowe tungstenowe igiełki zdołają co najwyżej zarysować jej lakier. Dzierzba odbiła ostro w lewo i odleciała z rykiem, zrzucając za sobą chmurę środków obronnych.

Fala uderzeniowa eksplozji tak mocno zatrzęsała mi ziemię pod nogami, że musiałem odsunąć się o krok od betonowej barykady, by się nie przewrócić. Gdy odgłos detonacji przetaczał się przez miasto, nie miałem wątpliwości, że to, co właśnie wybuchło, było

zdecydowanie zbyt duże, jak na głowicę konwencjonalną. Wszędzie zmniejszyła się intensywność strzałów. Obróciłem się w stronę źródła dźwięku i ujrzałem ogromny pióropusz zamazanej gleby oraz lodu, wznoszący się na trzysta lub więcej metrów na północy. Niektórzy żołnierze obok mnie krzyknęli z zaskoczenia i niepokoju. Nagle ziemia znów zadygotała, kolejne tytaniczne uderzenie poderwało pył z ulicy przed nami i w pobliżu wcześniejszego wyrósł kolejny pióropusz. Strzały wokół centrum administracyjnego zupełnie już ucichły, zarówno z naszej strony, jak i nieprzyjaciół. Tylko dwa rodzaje broni w arsenale zespołu zadaniowego były zdolne podnieść pył na taką wysokość, a głowice nuklearne spadały wokół mnie już wystarczająco wiele razy, bym potrafił odróżnić, że to nie one wybuchły przed chwilą.

– Co to, kurwa, było? – spytała z niemal komicznym zdziwieniem Fallon.

– Uderzenie kinetyczne – wyjaśniłem. – Ktoś przesłał wiadomość z orbity.

– A teraz posłuchajcie – na kanale awaryjnym floty odezwał się głos pułkownika Campbella. – Do wszystkich jednostek floty, tu dowódca „Indianapolis”. Wystrzeliłem właśnie dwie głowice kinetyczne w obszar pomiędzy obozem Sopol a Nowym Longyearbyen. W zbrojowni mam jeszcze dziewięćdziesiąt osiem takich samych. Od tej chwili mają zostać zakończone wszelkie działania bojowe przeciwko jednostkom kolonialnym lub obiektom cywilnym w Nowym Longyearbyen, inaczej kolejne dwie głowice wylądują na środku obozu Sopol. Jeśli później wciąż będziecie strzelać do własnych rodaków, zamierzam wystrzelić resztę rakiet kinetycznych w każdy należący do floty sprzęt na powierzchni, który jest większy niż sprzączka od paska.

Zamilkł na moment. W tym czasie część żołnierzy SOZ obok mnie spoglądała na siebie i śmiała się z niedowierzaniem.

– Kazałem również przygotować do działania wszystkie cztery wyrzutnie nuklearne i ustawić im namiary na „Midway” oraz jego eskortę. Zapamiętajcie sobie, że jeśli wystrzelicie we mnie rakiety, ja zdążę odpalić atomówki. Wypuściłem również swoje dwa niewidzialne dla radarów myśliwce przechwytyjące z ładunkami nuklearnymi. Są tak nieuchwytnie, że nawet ja nie zdołałbym ich znaleźć. Flota ma zaprzestać wszelkich działań zaczepnych i odwołać wszystkie swoje pojazdy na „Midway”. Jeśli podejmiecie jakąkolwiek akcję ofensywną przeciwko „Indianapolis” albo instalacjom cywilnym na powierzchni, poślę atomówki na „Midway”. Wtedy będziecie mogli sprawdzić, czy system obrony punktowej sprzed dwóch cykli modernizacyjnych zdoła znieść dwadzieścia cztery półmegatonowe głowice wypuszczone z bliskiego zasięgu.

Fallon pokręciła głową z niedowierzającym uśmiechem i popatrzyła na mnie.

– Czy Campbell właśnie zagroził wypuszczeniem atomówek na okręt floty?

– Owszem – potwierdziłem. – I jest do tego zdolny.

– Chyba go kocham. Chcę go poznać.

– Wasze działania na tym księżycu to lekkomyślna głupota, która prowadzi do ofiar w ludziach – kontynuował pułkownik Campbell na kanale awaryjnym. – Rozważcie umieszczenie na mostku okrętu flagowego kogoś, kto nie jest tępy wojakiem na pół etatu. A teraz odwołajcie te ptaszki i przerwijcie ogień, inaczej za sześćdziesiąt sekund następna porcja głowic kinetycznych spadnie na obóz Sopol. Dowódca „Indianapolis” bez odbioru.

W pobliżu niektórzy żołnierze SOZ zaczęli klaskać i wiwatować.

– Myślisz, że to zrobi? – spytała Fallon.

– Nie mam nawet cienia wątpliwości.

– Kurczę, szkoda, że dopiero co wysłali do Sopla cały pułk kosmicznych małp – stwierdziła z krzywym uśmiechem. – Nie chciałabym się tam teraz znajdować. Te kinetyczne ładunki potrafią niezłe przywalić. Słyszałam, że powstają po nich spore leje.

Wszędzie wokół nas pył i ziemia z ogromnych pióropuszy zaczęły spadać niczym brudny

deszcz.

– Zgadza się – powiedziałem. – Moc małej atomówki, a bez tego paskudnego promieniowania.

Na długo przed upływem minuty na kanale awaryjnym rozbrzmiała zwięzła odpowiedź floty:

– „Indianapolis”, wstrzymaj ogień. Do wszystkich jednostek floty, odstąpić. Powtarzam, do wszystkich jednostek floty, odstąpić. Do wszystkich jednostek latających, odstąpić, odstąpić.

Po drugiej stronie skrzyżowania w szybko rzedającym dymie żołnierze PK wycofywali się pod osłonę budynków mieszkalnych i w wąskie uliczki. Śledziliśmy ich celownikami, dopóki nie zniknęli nam z pola widzenia. Ktoś wyłączył system kierowania ogniem działka automatycznego i jego silniki elektryczne przestały brzęczeć. Po wcześniejszym harmidrze nagła cisza wydawała się lekko surrealistyczna.

Briana poklepała mnie po naramienniku i przeskoczyła przez betonową barykadę, lądując na ulicy.

– Chyba będzie lepiej, Andrew. Wezwijmy sanitariuszy do pierwszego oddziału. I miej się na baczności, w razie gdyby tamci zmienili zdanie.

Rozdział 21

Zagadka logiczna

Chcę, żeby ten generał trafił do aresztu. Później ma stanąć przed sądem wojennym. A jeśli zwycięży rozsądek i facet wyląduje pod murem, chcę stanąć za plutonem egzekucyjnym i pomachać mu na pożegnanie.

Fallon nie podnosiła głosu, ale wystarczająco ją znałem, by rozpoznać, kiedy była nieustępliwa w złości.

– To może się okazać dość trudne – powiedział pułkownik Campbell przez łącze wideo z „Indianapolis”. – Jest najwyższym dowódcą tego motłochu zwanego zespołem zadaniowym. A gdyby obrócić się przeciwko niemu, musielibyśmy również pociągnąć do odpowiedzialności wszystkich, którzy wykonywali jego rozkazy.

– Mówi pan to w taki sposób, jakby to było nierozsądne – odparła Briana. – Mamy tu trzydzieści dziewięć ofiar śmiertelnych i siedemdziesięciu rannych. Zniszczono Ważkę, Dzierzbę i cztery Osy, poza tym ten furiacki atak sprawił, że w osiedle cywilne wystrzelono setki pocisków z działka. Gdyby tutejszych budynków nie budowano jak pieprzonych bunkrów, do rachunku zapewne moglibyśmy dodać pięćdziesięciu czy stu cywilów. Idiota, który wydał rozkaz wykonania tej misji, powinien przejść się po desce, pułkowniku.

– Pani chorąży, nie przeszkadzałaby mi zbytnio taka perspektywa, ale nie za bardzo mogę wysłać tam kogoś, kto zakuje generała w kajdanki – oznajmił Campbell. – Co sugerujecie?

– Proszę im powiedzieć, że kolonia nie dostarczy im żywności ani wody, dopóki nie pozbawią generała dowodzenia i nie wsadzą do aresztu, żeby czekał na sąd wojenny.

– Nie przypuszczam, żeby im się to spodobało, pani chorąży.

– A więc ogarną się, jeśli wymienniki wody im wyschną – stwierdziła bezceremonialnie Briana.

– Pani tam rządzi na dole. Wyślę informację do zespołu zadaniowego.

– Węszyli w ogóle koło pana, pułkowniku? – spytałem.

– O tak. Żadnych agresywnych ruchów, ale cały zespół ma nieustannie włączone wszystkie aktywne sensory. Nawet w tak nieuchwytniej łajbie muszę trzymać się z dala od nich.

– A jak stan waszych zapasów?

– Cóż, to orbitalny okręt bojowy, a nie pancernik operujący w dalekiej przestrzeni. Mamy wodę i żywność jeszcze na kilka tygodni. Chcę jednak najszybciej, jak to będzie dogodne, opracować harmonogram uzupełniania wody oraz rotacji załogi. „Indianapolis” nie został przewidziany do długich dyslokacji i nie chcę, by moi ludzie zgłupieli, zmuszeni siedzieć w puszcze.

– Zdecydowanie, panie pułkowniku – powiedziała Fallon. – A jeśli sam zarządzi pan sobie krótką przepustkę tu, na dół, chętnie usiądę z panem na drinka. Miejscowi wyrabiają wściekły bimber, a dookoła nie brak lodu.

– Bardzo dobra propozycja, pani chorąży – stwierdził Campbell. – Skorzystam z niej chętnie, gdy tylko rozplączemy tu na orbicie tę popieprzoną sytuację i będę mógł znów założyć plomby na wyrzutnie nuklearne. Dowódca „Indy’ego” bez odbioru.

Sala odpraw na dolnym poziomie centrum administracyjnego posiadała cały urok wojskowej stołówki, choć z ładniejszymi meblami. Ścianę u szczytu stołu konferencyjnego zajmował duży holograficzny ekran. Kolonia została niedawno założona, dysponowała więc świetnym sprzętem komunikacyjnym, lepszym nawet niż ten w BCI nowiusieńkiego „Indianapolis”. Fallon zachodziła tam, by porozmawiać z kapitanami „Indianapolis” oraz

„Gary’ego I. Gordona” bez ryzyka podsłuchania.

– Nasza flota nie jest szczególnie imponująca – uznałem. – Jeden orbitalny okręt bojowy i wiekowy transportowiec. Pod względem uzbrojenia tamci wciąż przewyższają nas pięćdziesiąt do jednego.

Rozległo się pukanie do drzwi i jeden z kolonijnych urzędników wsunął głowę do środka.

– Pani chorąży Fallon, ktoś chce się z panią zobaczyć.

– Wojskowy czy cywil?

– Cywil, proszę pani. To kierowniczka naszej misji naukowej.

– A zatem zdecydowanie proszę ją wpuścić.

Do sali odpraw weszła ciemnowłosa, szczupła kobieta, niemal dorównująca mi wzrostem. Na jej twarzy widniał wyraz irytacji. Podeszła do stołu konferencyjnego, przy którym Fallon i ja siedzieliśmy obok siebie, i zajęła krzesło naprzeciwko nas.

– Proszę nie oczekiwać, że spytam o pozwolenie, żeby usiąść – powiedziała. – Nie zwykłam pytać wojskowych o możliwość korzystania z naszych własnych obiektów i raczej nie zacznę tego robić.

Briana uniosła brew i uśmiechnęła się nieznacznie.

– A pani to...?

– Doktor Stewart – odparła kobieta. – Kieruję wydziałem naukowym tej kolonii.

– Nazywam się Briana Fallon. Czy ma też pani konwencjonalne imię, a może rodzice od razu przewidzieli pani przyszłą karierę naukową?

Doktor Stewart skopiowała jej niemal niezauważalny uśmiech.

– Na imię mam Janet – rzekła. – Proszę mi wybaczyć, że nie zwróciłam się do pani z podaniem odpowiedniego stopnia. Niezbyt sprawnie idzie mi odczytywanie insygniów wojskowych.

– Nie sędzę, by miało to w tym momencie znaczenie – stwierdziła Fallon. – Nasza nowa hierarchia dowódcza jest raczej niezbyt ortodoksyjna. Mam jednak stopień chorążego. A ten osobnik obok to sierżant sztabowy Grayson.

– Andrew – podsunąłem.

Doktor Stewart skinęła mi głową.

– Jak możemy pani pomóc? – spytała Briana.

– No cóż. – Stewart złożyła dłonie na blacie i uśmiechnęła się lekko. – Na pewno szybko przechodzi pani do rzeczy. Cenię to w ludziach.

Spojrzała na wielki holoekran, pokazywał on jednak tylko szary obraz gotowości do pracy.

– Moglibyście bardzo pomóc mnie oraz sobie, pakując wszystkich tych dodatkowych żołnierzy, których umieściliście w mieście, i jak najszybciej zabierając ich z powrotem. Najlepiej przed rozpoczęciem zimy.

Briana parsknęła i pokręciła głową.

– Niczego bardziej nie pragnę. Jeśli jednak nikt nie poinformował was, naukowców, flota wyłączyła sieć Alcubierre’a i zaminowała wszystkie wyjścia. Obawiam się, że na razie jesteśmy na siebie skazani.

– Zatem mam nadzieję, że zabraliście dość kanapek, żeby wystarczyło na parę lat. Wiem, że urzędaszy z biura administratora nie są zbyt dobrzy w matematyce, zapewne więc jeszcze na to nie wpadli, ale na pewno nie mamy wystarczająco wiele żywności, żeby wyżywić siebie i parę tysięcy gości.

– Myślałem, że sami uprawiacie żywność – odezwałem się.

– W znacznej mierze, choć w paru aspektach wciąż jesteśmy zależni od dostaw z Ziemi.

Przy normalnej populacji zapewne wytrzymałobyśmy długo, ale na pewno nie jest to możliwe w bieżących okolicznościach. Mówiąc krótko, jesteśmy w stanie wyżywić x ludzi, a teraz na powierzchni księżyca przebywa ich dwa x.

– Czy możemy zwiększyć powierzchnię uprawną? Postawić dodatkowe szklarnie? – spytałem.

– Chciałabym, żeby to było takie proste – odparła Stewart. – Na miejscu nie mamy jednak jak wytwarzać prefabrykowanych modułów szklarniowych. A nawet gdybyśmy mogli, okres wegetacyjny jest tu naprawdę krótki i właśnie niemal dobiega końca.

– W ładowniach lotniskowca znajduje się mnóstwo żywności i zapasów, ale niekoniecznie wpadamy do siebie nawzajem na gościnne obiady z resztą floty.

– Gdy tylko przekonamy tamte jednostki, żeby przestały strzelać i zaczęły rozmawiać, będziemy mogli połączyć zapasy – rzekła Briana. – Zapasy z waszych magazynów i z rezerw zespołu zadaniowego zapewne pozwolą nam przetrwać do następnego okresu wegetacyjnego. I to raczej wszystko, co mogę teraz zaproponować. Nie powiem po prostu tysiącowi moich żołnierzy, żeby popełnili samobójstwo tylko dlatego, że jest nas zbyt wiele.

– Oczywiście, że nie. – Doktor Stewart uśmiechnęła się krótko.

– I to przy założeniu, że dotrzemy do następnego sezonu bez odwiedzin Dryblasów – dodałem. – Jeśli się bowiem pojawią, problemy z zaopatrzeniem okażą się najmniejszym z naszych zmartwień.

– Nigdy nie okazywali zainteresowania tym systemem – powiedziała Stewart. – Niewiele tu jest. Dwa małe księżyce, jeden zbyt ciepły, drugi zbyt zimny, żeby je porządnie zasiedlić. Gdyby nie lód, zapewne w ogóle by nas tu nie było. Zbyt jałowo i za daleko od domu.

– Oby podzielili pani pogląd na wartość tej nieruchomości – stwierdziłem. – Bo jeśli pewnego ranka pokażą się na orbicie, kilka tygodni później wszyscy zamienimy się w kompost.

– Chce pan powiedzieć, że ci dodatkowi żołnierze nie zrobią różnicy?

– Na dłuższą metę nie.

– Więc po co tu są?

– Żeby znaleźć się z dala od Ziemi i wszystkich innych miejsc, w których mogliby sprawić kłopoty – odpowiedziała za mnie Fallon. – Jesteśmy głównie malkontentami i wichrzycielami, mającymi na koncie wiele przypadków niesubordynacji. Wasz księżyc stał się poniekąd kolonią karną.

Doktor Stewart znów przywołała na twarz krzywy uśmiezek.

– Wspaniale. Zostaniemy zabici przez Dryblasów albo zagłodzimy się na śmierć. Chyba nie ma sensu, żebym aktualizowała życiorys zawodowy.

– Witamy na zakończeniu gatunku – oznajmiłem. – Przynajmniej mamy miejsca w pierwszym rzędzie.

– No cóż. – Stewart złożyła ręce na kolanach i znów zerknęła na oczekujący holoeckran, po czym wróciła spojrzeniem do nas i wzruszyła ramionami. – Niezbyt dobrze wychodzi mi siedzenie na tyłku i czekanie, aż zegar skończy odliczać. Równie kiepsko idzie mi strzelanie z karabinu albo latanie okrętem desantowym, ale dysponuję naukową placówką badawczą pełną mądrych ludzi. Możemy coś zrobić, żeby polepszyć naszą pozycję? Macie jakiś plan?

Fallon skrzywiła się cierpko.

– To określenie zakłada poziom zorganizowania, do którego jeszcze nie mogę rościć sobie praw. Powiedzmy, że na razie jesteśmy na etapie improwizacji.

Rozdział 22

Niespodziewani goście

Regulamin floty przewidywał ściśle przestrzegany i niezbyt szczodry limit wagowy dla przedmiotów osobistych. Przesłanie kilograma materii na dziesiątki lat świetlnych było szalenie kosztowne, każdy żołnierz miał więc prawo do zaledwie dwudziestu kilogramów ekwipunku niestandardowego. Mogliśmy wysłać fizyczną pocztę do domów, lecz wyłącznie do sumy pięciuset gramów na pół roku, z Ziemi zaś mogliśmy w tym czasie otrzymać tylko dwieście gramów. Zawartość osobistej części mojej szafki ważyła niecałe siedem kilogramów, żeby nie trzeba było dużo ciągać ze sobą pomiędzy dyslokacjami. Z biegiem lat przysyłałem mamie futerały od medali, żeby ich nie stracić i ponieważ wiedziałem, że chciałyby je przechowywać. Sama nigdy nic do mnie nie nadawała, z wyjątkiem zeszłego roku, gdy dostałem od niej list – nie e-mail przez MilNet, takowe wymienialiśmy bowiem mniej więcej co miesiąc, lecz prawdziwy, materialny list, zapisany na papierze z trzciny cukrowej wąskim, staromodnym, pochyłym pismem. Liczył zaledwie cztery strony i nie zawierał niczego, czego nie mogłaby wpisać w terminalu MilNetu w urzędzie dzielnicy, ale stanowił coś fizycznego, co trzymała wcześniej w dłoniach.

Teraz pozostał mi tylko ten list. Odkąd go otrzymałem, tkwił w wodoodpornej przegródce na dokumenty w kieszeni nogawki spodni. Wszystkie pozostałe przedmioty znajdowały się w szafce w Sopl, chyba że stłoczeni tam żołnierze PK już wyrzucili albo rozkradli nasze rzeczy. Te cztery papierowe arkusiki, tak cienkie, że niemal przejrzyste, to wszystko, co miałem. Jako szczur na zasiłku nigdy wiele nie posiadałem, lecz teraz zostałem zupełnie pozbawiony przedmiotów osobistych.

Odrywałem właśnie naszywki jednostki od kurtki mundurowej, gdy ktoś zapukał do drzwi magazynu służącego mi za tymczasową kajutę.

– Proszę.

Drzwi otworzyły się na skrzypiących zawiasach i Fallon wsunęła głowę do środka. Spojrzała na leżącą u moich stóp kupkę naszywek i uniosła brew.

– W zasadzie przyzwyczałem się już do koncepcji, że nie należymy do zorganizowanej służby wojskowej – powiedziałem. – Zastanawiam się, czy nie wyrzucić też insygniów stopnia.

– Niech krawiec zrobi ci nowe – zaproponowała. – Kto przeszkodzi ci być dwugwiazdkowym generałem?

Weszła do pomieszczenia, przykucnęła przede mną i podniosła jedną z naszywek.

– Czy to nie dziwne? Poświęciliśmy tyle czasu i potu, żeby je zdobyć, a przecież są tylko tanimi szmatkami wyszytymi nicią. Niewiele, jak na piętnaście lat i pół nogi, prawda?

– Nie zapominaj o koncie w banku – przypomniałem. – Milion bezwartościowych wspólnotowych dolców.

– Prawie trzy miliony bezwartościowych wspólnotowych dolców – poprawiła. – Trzy premie za kolejny kontrakt, sto pięćdziesiąt miesięcznych żołdów i zupełnie nic, na co można by to wydać. To jedynie parę cyferek w bazie danych.

Postukała się w protezę podudzia.

– I oczywiście ta drobna pamiątka, choć nie sędzę, żeby to się liczyło. Nie potrzebowałabym jej, gdyby wojsko nie wysłało mnie w miejsce, w którym odstrzelono mi poprzednią.

– A co ze lśniącem medalem na błękitnej wstążce?

– Medalem Honoru? – Parsknęła ironicznie. – Tym pieprzonym gównem? Gdy tylko

założyli mi go na szyję, stałam się dla wojska obiektem reklamowym. Musiałam ich w zasadzie zaszantażować, żeby pozwolili mi zostać w czynnej bojowo jednostce. Przyznaję jednak, że raz czy dwa uchronił mnie przed sądem wojennym. Z obecnego bałaganu raczej mnie jednak nie wyciągnie.

– Nie postawią całych dwóch batalionów pod ścianą – uznałem.

– Od paru lat nie przebywałeś na Ziemi. Szczerze, nie jestem w stanie stwierdzić, czy nie byłiby do tego zdolni. Im mniejszą mają kontrolę nad motłochem, tym bardziej skracają smycze swoim psom stróżującym.

W korytarzu niewidzialne głośniki zaczęły nadawać obwieszczenie. Mówił przyjemny kobiecy głos, tak bezcelowo wesoły, że mógł należeć tylko do komputera:

– Uwaga, do wszystkich. Ogłasza się alarm pogodowy drugiego stopnia. Wiatr z północy od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, opady śniegu od lekkich do umiarkowanych, temperatura minus dwadzieścia stopni Celsjusza. Wszystkie osoby przebywające na zewnątrz proszone są o poszukanie schronienia lub założenie odzieży ochronnej. Powtarzam, ogłasza się alarm pogodowy drugiego stopnia. Bieżące warunki będą nadawane na kanale MetSat. Koniec obwieszczenia.

– Minus dwadzieścia? – odezwała się Briana. – Ciut mroźnie.

– I śnieg. Wygląda na to, że nadchodzi zima.

– No to bierz pancerz i chodźmy się rozejrzeć. Nie widziałam czystego białego śniegu od desantu bojowego w Trondheim w dziewięćdziesiątym dziewiątym. Oczywiście nie został długo biały.

Przebywaliśmy w centrum administracyjnym tylko dwie godziny, ale gdy znowu wyszliśmy na zewnątrz, okolica wyglądała, jakby przeniesiono ją z zupełnie innej planety. Niebo przybrało barwę brudnego betonu, a śnieg padał tak gęsto, że ledwo widziałem światła budynku po drugiej stronie niewielkiego placu, choć znajdowałem się zaledwie pięćdziesiąt metrów od nich. Ostry jak żyłeczka arktyczny wiatr szybko sprawił, że zdrętwiała mi twarz, opuściłem więc wizjer hełmu i zrobiłem kilka kroków naprzód. Biała warstwa na ziemi sięgała mi już do połowy pancernych nagolenników.

– Cholera – skomentowała Fallon, gdy wróciliśmy do środka z pancerzami pokrytymi cienką warstwą śniegu i lodu, mimo że wypuściliśmy się ledwie na dwie minuty. – Klimat dość nagle zrobił się paskudny.

Jeden z cywilnych techników pracujących przy wejściu, masywny facet w pobrudzonym smarem kombinezonie i grubej termicznej kurtce, usłyszał komentarz Briany i zachichotał.

– Takie coś nazywamy lekkim prószeniem. Typowa późnojesienna pogoda.

Za nami znów ożył system informacyjny. Tym razem odezwał się z niego nie przyjemny, choć sztuczny kobiecy głos, ale jeden z łącznościowców z centrum operacyjnego:

– Chorąży Fallon i sierżant sztabowy Grayson proszeni są do CO. Priorytetowa transmisja wąskopasmowa z orbity.

Strzepnąłem śnieg z pancerza i kilka razy tupnąłem butami o beton, by zrzucić z nich breję.

– Chyba trzeba wracać do pracy – odezwała się Briana. – Właśnie dlatego nie cierpię stanowisk dowódczych. Wszyscy ciągle zawracają ci o coś dupę.

– Kilka minut temu pojawili się na naszych systemach długodystansowych – pułkownik

Campbell poinformował połączeniem głosowym z „Indianapolis”. – Odległość trzy jednostki astronomiczne. Znajdują się na płaszczyźnie ekliptyki i kierują w naszą stronę możliwie najprostszym kursem, z tego, co mówią moi specje od sensorów.

– Dryblaszy? – spytałem, bojąc się odpowiedzi.

– Wątpliwe. Chyba że nauczyli się naśladować bit po bicie sygnał transpondera awaryjnego. Nasz nieznajomy w sześćdziesięciosekundowych odstępach nadaje sygnał pomocy ZCR.

Fallon spojrzała na mnie.

– Walka w przestrzeni to nie moja działka – powiedziała. – O co chodzi? Mamy przerabane?

– Skoro leci w naszą stronę i nadaje sygnał pomocy z takiej odległości, nie rwie się do walki i nie jest Dryblasem – stwierdziłem.

– Chyba że to jakiś podstęp – podsunął Campbell.

– Czy zespół zadaniowy już go wychwycił?

– Wątpię. Nie widać wśród nich żadnego poruszenia. Nasz sprzęt jest znacznie czulszy niż ich, poza tym wypuściłem daleko czujki, żeby nic nie zakłócało odczytów. Przy tej trajektorii niedługo go jednak usłyszą. Daję im parę godzin, w zależności od tego, jak przytomni są ich ludzie od sensorów.

– Ma pan jakiś pomysł, co to może być?

– Wciąż jest bardzo daleko, ale po sygnaturze ELINT i profilu optycznym powiedziałbym, że to duży okręt bojowy zdolny do dalekich lotów. Może ciężki krążownik albo jeden z tych ich wielkich kontrolerów przestrzeni.

– Dlaczego miałyby lecieć w naszą stronę z radiem rozkręconym na maksa? – zapytała Briana.

– Cóż, albo to podstęp, żebyśmy spoglądali na niego, gdy jego kumple podejną z innego kierunku, albo...

– Naprawdę ma kłopoty i szuka pomocy – dokończyłem.

– Jeśli przed czymś ucieka, to na ogonie nie siedzi mu nikt z naszych – rzekł pułkownik. – Każda jednostka floty w systemie orbituje teraz wokół tego księżyca. A jeśli nie ucieka przed nami...

Tym razem nikt nie dokończył jego wypowiedzi, ale miałem wrażenie, jakby temperatura w pomieszczeniu nagle spadła o dwadzieścia stopni.

– Miejmy nadzieję, że to podstęp i że w naszą stronę zmierza zespół zadaniowy ZCR – skonkludował cierpko Campbell. – Przynajmniej mielibyśmy jakieś szanse.

Kolejną godzinę spędziłem przy konsoli w centrum operacyjnym. Połączyłem ją z komputerem w moim pancerzu, który z kolei podpiąłem do strumienia danych z BCI na „Indianapolis”. Fallon znała diagramy taktyczne, lecz nie potrafiła odczytywać ich w czterech wymiarach, by rozeznac się w obiektach rozrzuconych na przestrzeni wielu godzin świetlnych, wyjaśniałem jej więc sytuację, gdy wspólnie spoglądaliśmy na materiał z sensorów „Indy’ego”.

– Jeśli wysyła sygnał pomocy i nie obchodzi go, czy widzimy, że nadlatuje, może rzeczywiście ma sytuację awaryjną? – rzuciła Briana. – Zdarzały się już przecież dziwniejsze rzeczy.

– Nie sądzę, żeby to było prawdopodobne – stwierdziłem i wskazałem kilka znaczników na diagramie. – „Indy” oznacza jego pozycję za każdym razem, gdy nadaje sygnał. Widzisz tu? To pierwszy sygnał. A to drugi. Trzeci. Czwarty. I piąty. Jeśli przez te punkty poprowadzisz linię, okaże się, że leci prosto na nas. Jeśli jednak wydłużysz ją w tył... – Nakreśliłem prostą palcem. – To księżyc z jedyną kolonią ZCR w systemie. Nawet teraz jest znacznie bliżej niego

niz nas. Jeśli to tylko awaria pokładowa, dlaczego nie udaje się do własnej bazy, lecz do wroga na drugim końcu systemu?

– Nie podoba mi się to rozumowanie – uznała Briana.

– Mnie również. Jedyne, co ma dla mnie sens, to że ktoś napadł na chińsko-rosyjską bazę i ten krążownik uciekł. Jeśli tak, w takim razie to, co go wypłoszyło, wcześniej czy później poleci za nim. Sieć Alcubierre’a nie działa, nie mamy więc dokąd się wycofać.

– Ostrzec żołnierzy?

– Jeszcze nie. Ten krążownik ZCR wciąż jest daleko. A jeśli na tyłku siedzi mu okręt Dryblasów, nie zrobi to większej różnicy. Równie dobrze możemy zginąć wypoczęci.

– To „Archangielsk” – poinformował pułkownik Campbell na szyfrowanym łączu godzinę później. – Dane floty mówią, że znajdował się już w systemie, gdy przylecieliśmy, pasuje też sygnatura ELINT. Należy do typu Kirow, nieco przestarzałego, ale solidnego. Dysponuje dużą siłą ognia. Jeśli coś knuje i szuka kłopotów, stanowi dość równorzędne wyzwanie dla zespołu zadaniowego.

– Niemal chciałbym, żeby tak było – powiedziałem.

– Jest coś jeszcze. Nie porusza się tak, jakby przed czymś uciekał. Leci z przyspieszeniem jednej czwartej g. To mniej, niż są w stanie wyciągnąć ich najwolniejsze zaopatrzeniowce.

– Ile minie czasu, zanim tu dotrze?

– Przy tej prędkości samo dojście do punktu odwrócenia ciągu zajmie mu osiem dni.

Myślę, że w sumie ze trzy tygodnie.

– Czy zespół zadaniowy już go namierzył?

– Nie wygląda na to. Ale pewnie już niedługo go wykryją.

– Co zrobią, gdy go zauważą? – spytała Briana. Śledziła w milczeniu naszą taktyczną gadkę, czując się wyraźnie niezręcznie poza swoją dziedziną.

– Trudno powiedzieć, skoro dowódcą jest taki urzędnik – odparł Campbell. – Jednak po tym, jak postępował z małym buncikiem, mógłbym postawić niemało, że zaraz rzuci się na spotkanie zagrożenia.

– My się donikąd nie wybieramy – stwierdziłem.

– Nie dowodzę waszymi żołnierzami i nie zamierzam. Trochę głupio byłoby w tym momencie nadużywać stopnia. Sugeruję jednak, żebyście się przygotowali tam na dole. Nieważne, czy to podstęp ZCR, czy pościg Dryblasów, ale istnieje szansa, że coś niedługo zakłóci nam spokój.

– Słusznie. – Fallon westchnęła i spojrzała na mnie. – Proszę nas informować o gościu, pułkowniku. Zobaczmy, co uda nam się tu wymyślić. A na razie miejmy nadzieję, że temu ruskiemu krążownikowi tylko zepsuł się napęd fuzyjny czy coś. Raczej nie jestem jeszcze przygotowana na inne scenariusze.

– Tak zrobię. Dowódca „Indianapolis” bez odbioru. – Głośnik w konsoli łącznościowej wydał z siebie opadający dwudźwiękowy trzel przerwanego połączenia wąskopasmowego.

– Załóżmy, że za tamtym krążownikiem leci w naszą stronę okręt Dryblasów – powiedziała Briana. – Co byś zrobił przeciwko nim przy całym swoim doświadczeniu bojowym?

– Podwinął ogon i uciekł – odparłem. – Tylko że w tym systemie nie ma dokąd uciekać, a punkt przejścia został zamknięty. – Wzruszyłem ramionami. – Uzbroiłbym wszystkich po zęby, wydał każdą wyrzutnię raketową i taktyczną atomówkę, jakie są w magazynach. Uderzyłbym na nich po wylądowaniu i kazał słono zapłacić za ten księżyc. Jeśli go jednak zechcą, w zasadzie jest już ich.

– Co za defetyzm. Tego uczą was we flocie?

Pięścią walnęła mnie w naplecznik pancerza.

– Chodźmy do ekipy naukowej. Musimy sprawdzić, czy ci mądrzy ludzie mają jakieś pomysły, żeby ten dzień zapisał się w dziejach. Jeśli mam zginąć, chcę przynajmniej znaleźć się w książkach mówiących o „najbardziej bohaterskich bojach na śmierć i życie w historii”.

Rozdział 23

Podejście naukowe

Proszę powtórzyć – powiedziała doktor Stewart. – Co mam zrobić?

– Chcemy, aby pomogła nam pani wymyślić, jak rozwalić okręt nasienny Dryblasów – rzekła Fallon. – To chyba dość oczywiste, że ma pani dobrą motywację, żeby znaleźć rozwiązanie.

– Poprawcie mnie, jeśli się mylę, ale czy takie rzeczy to raczej nie wasza działka? Myślałam, że to żołnierze wymyślają nowe metody niszczenia różnych rzeczy.

– Próbowaliśmy – odparłem. – Gdy znajdą się już na powierzchni, możemy do nich strzelać, ale to niełatwe. Możemy też spuścić im na głowę atomówkę, co jest prostsze, ale za mało miejsca na tym księżycu, żeby rozrzucać głowice nuklearne. I nikomu nie udało się jeszcze zniszczyć okrętu nasiennego.

– Wasze atomówki nie działają?

– Nie w przestrzeni. W próżni bomby nuklearne nie są zbyt skuteczne, a okręty obcych mają twarde pancerze. Nigdy nie słyszałem, żeby komuś udało się go rozbić, a brałem udział w bitwie, w której cały zespół zadaniowy wypuścił wszystkie posiadane atomówki. Dziesiątki megaton nawet nie zdołały go wyszczerbić.

– Rozumiem. – Stewart odchyliła się na fotelu i skrzyżowała ramiona na piersi. Nie byłem w stanie stwierdzić, czy jej mina wyraża rozbawienie, czy niedowierzanie.

Znajdowaliśmy się w biurze pani doktor w części naukowej centrum administracyjnego. Było małe i zabałaganione, składało się z biurka zarzuconego tabletkami oraz wydrukami i paru zawalonych foteli. Jeśli czysty gabinet stanowił oznakę nieporządnego umysłu, to umysł doktor Stewart musiał być uporządkowany niczym szafka rekruta na szkoleniu przygotowawczym.

– Pozwólcie, że to sobie poukładam – oznajmiła. – Próbuje rozwiązać ten problem od niemal pięciu lat. Żadna z waszych wojskowych zabawek nie wykonała zadania i wszystkie te militarne wielkie umysły przez tyle czasu nie stworzyły rozwiązania. A teraz prosicie mnie, żebym załatwiła to w siedem dni?

– Nawet wcześniej, jeśli się da – odezwała się Fallon. – Żebyśmy mogli przygotować się do obrony, zanim tamci znajdą się nam nad głową.

– Gdy już tu dotrą, zaczną desantować zwiadowców i każde odnalezione przez nich ludzkie osiedle zostanie zagazowane z orbity. Później rozbiją nasze terraformery i postawią własne. Dwa miesiące później atmosfera będzie składała się głównie z dwutlenku węgla – wyjaśniłem.

– Czytałam wszystkie informacje – rzekła doktor Stewart. – A przynajmniej wszystko, co pozwolono czytać cywilom. I muszę przyznać, że nie nastroiło mnie to szczególnie optymistycznie.

Briana uśmiechnęła się krótko.

– To niedopowiedzenie miesiąca. Sama nie postawiłabym wiadra ciepłych siuszków na ten księżyc, gdybyśmy musieli atakować Dryblasów tym, co mamy. Moi ludzie są z Sił Obrony Ziemi. Nie zostali wyszkoleni pod kątem walki z obcymi, nie dysponują odpowiednią bronią, nie mają doświadczenia. Mam dwa bataliony świetnych oddziałów do tłumienia zamieszek wraz z wiatrówkami.

– Ja mam scyzoryk – powiedziała Stewart. – Kilka pojemników kwasu chlorowodorowego w laboratorium. Dwie wyrzutnie towarowe, z których nie można w nic celować, chyba że przekona się to coś, żeby znalazło się w odpowiednim miejscu na orbicie. A

nasi funkcjonariusze noszą pistolety i paralizatory. Niezbyt imponujący arsenał, obawiam się.

– A te wyrzutnie towarowe?

– Służą do wystrzeliwania kontenerów na orbitę. Okręt podlatuje z pustymi zasobnikami, zrzuca je na powierzchnię, my je odnajdujemy, napełniamy wodą i wysyłamy wyrzutniami na orbitę. Pozwalają zaoszczędzić sporo paliwa. Dysponujemy dwoma stałymi stanowiskami. Ich moc wystarcza jedynie do umieszczenia kontenerów na niskiej orbicie za pomocą minimalnej wymaganej ilości energii.

– Możemy je nieco podkręcić? – spytała Fallon.

– Trochę tak, ale to nie ma sensu. Nie da się nimi celować. To jedynie rampy w dołach. I nawet przy pełnej mocy nie wystrzelą nic na tyle szybko, żeby dać większą energię niż pięćdziesiąt gigaton atomówek. Zostały zaprojektowane do wysyłania towarów na orbitę, a nie jako planetarna broń defensywna.

– Niewiele więc możemy zrobić, na dodatek nie ma czym – stwierdziła Fallon.

– Wygląda to na prawidłową ocenę. – Doktor Stewart odchyliła się znów w fotelu i przyglądała ekranowi upchniętemu w róg zabałaganionego biurka. – Nie jestem ekspertką od broni, lecz astrofizykiem. Możecie mi jednak dać listę swoich zasobów i sprawdzę, co uda nam się wymyślić w dziale naukowym. Muszę wiedzieć, jakimi dysponujemy okrętami i jaka artyleria się na nich znajduje, zwłaszcza wszystko, co jest wyposażone w głowice nuklearne. Potrzebuję też znać maksymalną moc ich reaktorów fuzyjnych oraz przyspieszenie.

– Dostarczymy te dane – powiedziałem. – Lista nie będzie długa. Obecnie po naszej stronie znajdują się dwa okręty i jeden z nich to zdezelowany stary transportowiec.

Doktor Stewart westchnęła cicho.

– Niewiele więc możemy zrobić, na dodatek nie ma czym – powtórzyła wcześniejsze słowa Fallon. – Przekonamy się, czy zdołamy się na coś przydać.

– Siedem dni – stwierdziła Briana w zadumie, gdy szliśmy z powrotem do centrum operacyjnego. – Jeśli nie wymyślimy sposobu, jak rozwalić obcych w siedem dni, mamy przejebane.

– Możliwe, że ten rosyjski krążownik nie ucieka przed okrętem Dryblasów – rzekłem, choć nie potrafiłem nawet samego siebie przekonać do takiej ewentualności.

– Możliwe, że tak naprawdę wcale nie tkwię na jakiejś zapomnianej kuli lodu na zadupiu Galaktyki – odparła Briana. – Możliwe, że wszystko to zły sen po zbyt wielu gównianych sojowych piwach w kantine podoficerskiej. Jak sądzisz?

– Sądzę, że jeżeli w dziale naukowym nie wymyślą nic naprawdę mądrego, będziemy mieć przejebane – stwierdziłem.

– Nigdy nie przypuszczałam, że kopnę w kalendarz w przestrzeni. Zawsze wydawało mi się, że światło mi zgaśnie gdzieś w DZK. Wyjrzę zza złego narożnika i bam! A tu proszę, inwazja obcych.

Przez chwilę wróciłem myślą do pamiętnej nocy sprzed pięciu lat, gdy z karabinem w prawej ręce, lewą ciągnąłem ranną Brianę. Wciąż pamiętałem uczucie absolutnej pewności, że zaraz czeka nas oboje śmierć, kiedy wystrzeliwane przez buntowników fleszety przemykały obok nas z naddźwiękowym hukiem. Wciąż czułem krew spływającą mi po boku i pamiętałem, jaki ból wywoływał każdy oddech, zupełnie jakby ktoś wbijał mi nóż między żebra. Najgorsze było jednak wrażenie zupełnego porzucenia, pozostawienia na śmierć na środku brudnej, zapuszczonej dzielnicy komunalnej, w otoczeniu ludzi, którzy tak bardzo nienawidzili nas za to, kim byliśmy i co zrobiliśmy, że rozerwaliby nas na strzępy gołymi rękoma.

– Jeśli przyjdzie nam wywinąć orła, przynajmniej zginiemy na świeżym powietrzu – powiedziałem. – Z karabinami w dłoniach i serdecznym „pierdolcie się” na ustach.

– Można odejść w gorszy sposób – zgodziła się Fallon. – Oczywiście zanim dojdzie do umierania na świeżym powietrzu, chcę zbadać każdą inną możliwość.

W pozbawionym okien budynku administracyjnym, gdy na zewnątrz wicher miotał śniegiem z prędkością niemal stu kilometrów na godzinę, nam, żołnierzom, łatwo było wrócić do cyklu zmianowego. Swoje wachty spędzałem w centrum operacyjnym przy konsoli admina, wpatrując się w dane z sensorów orbitalnych i pakiety, które spec od sieci neuronowych z „Indy’ego” przesyłał mi szyfrowanymi, trwającymi ułamek sekundy transmisjami. Okręt wyposażony był w najnowsze komputery oraz najnowocześniejszą technologię niewykrywalności i obecnie tylko to dawało mi choćby cień nadziei. Sponiewierany krążownik ZCR – jeśli istotnie był uszkodzony, a nie tylko takiego udawał, by zbliżyć się do nas na zasięg swoich rakiet – z każdą godziną podpełzał do Nowego Svalbardu, lecz nawet najczulsze czujniki „Indianapolis” nie dostrzegały jeszcze, przed czym uciekał. Jednostki floty dotrzymywały rozejmu, lecz ich fregata na pewno prowadziła własne poszukiwania, próbując wysledzić „Indy’ego”. „Midway” i eskortujący go lekki krążownik wykonywały powolne, przewidywalne okrążenia orbitalne, w równie przewidywalny sposób omiatając okolice sensorami aktywnymi. Jeśli oceniać wyłącznie zdolność bojową, nawet lekki krążownik przewyższał „Indianapolis”, ale obserwując, jak te dwa relikty starały się wysledzić lokalizację nowiutkiego okrętu niewidzialnego dla czujników, niemal czułem zażenowanie.

W pewnym momencie podniosłem wzrok znad ekranu i zauważyłem, że zostałem sam w sali. Sprawdziłem godzinę i okazało się, że było wpół do drugiej czasu miejscowego, środek nocy. Odchyliłem się i przeciągnąłem, ziewając.

Za mną otworzyły się drzwi i do środka weszła doktor Stewart. Wyglądała równie żywo, jak ja się czułem, a w dłoni trzymała duży, staromodny, porcelanowy kubek. Pod drugim ramieniem ścisnęła tablet.

– Dobry wieczór – oznajmiła, widząc mnie siedzącego w rogu. – A może raczej dzień dobry.

– Wszyscy wyszli – odrzekłem. – Technicy operacyjni odmeldowali się jakiś czas temu.

– Tak naprawdę przyszedł tu zobaczyć się z panem. Gdzie pana koleżanka?

– Chorąży Fallon? Pewnie w swojej kwaterze. Buntowanie się bywa męczące – dodałem, a Stewart uśmiechnęła się krzywo.

– Jeśli ma to jakieś znaczenie, cywile są naprawdę wdzięczni, że postanowiliście z nami zostać.

– Tamci nie mieli prawa zajmować waszych zapasów. Podobno stanowimy siły obronne, nie armię okupacyjną.

– Miałam uprzedzenia – przyznała – ale zdołaliście uczynić w nich wyłom. Nie przywykłam do idei, że żołnierze zastanawiają się nad etyczną stroną swojego zajęcia. Wydawało mi się, że po prostu wykonują rozkazy.

– Zazwyczaj. Nie zawsze. Wie pani, w obozie przygotowawczym nie usuwają nam chirurgicznie zdolności odróżniania tego, co słuszne, od tego, co niewłaściwe.

– Mogę usiąść? – spytała.

– Pewnie – odparłem. – To pani jest tu u siebie.

Odsunęła jeden z pustych foteli od rzędu stanowisk komputerowych i podjechała nim bliżej mnie. Zabrałem karabin, który stał oparty o biurko, by zrobić Stewart miejsce. Usiadła z

lekkim westchnięciem i postawiła kubek z kawą oraz tablet na blacie, obok mojej wypożyczonej konsoli administracyjnej.

– Dlaczego nie poszedł pan też do swojej kwatery? Pan chyba też brał udział w buncie, z tego, co pamiętam.

– Pójdę, gdy sierżant Fallon wstanie. Ktoś musi tu pilnować sytuacji, w razie gdyby „Indianapolis” chciał przesłać z orbity jakieś wieści. Stanowią teraz poniekąd nasze oczy i uszy.
– Wskazałem konsolę. – Ten sprzęt jest połączony z komputerem mojego pancerza, żebym mógł bezustannie odczytywać dane.

– To pańska praca? Łączność? Wydawało mi się, że jest pan strzelcem czy czymś w tym stylu. – Wskazała brodą M-66.

– To do ochrony osobistej. Natomiast to – pokazałem znów ekran konsoli administracyjnej – służy do przywoływania prawdziwej broni. Moim zadaniem na ziemi jest wzywanie nalotów, skoordynowanych natarć lotniczych i tym podobnych rzeczy. Dzięki tej konsoli mogę wyrządzić znacznie większe szkody niż karabinem.

– Rozumiem. – Doktor Stewart upiła łyk i skrzywiła się lekko. – Zrobiła się letnia. I za mocna. Za długo stoi.

– Dlaczego nie śpi pani o tej porze?

Odstawiła naczynie i podniosła tablet.

– Odrabiam zadaną przez was pracę domową – odrzekła. – Próbowałam wymyślić, jak zamienić ten mały, przytulny wodopój w zagrożenie dla okrętów Dryblasów, ale na razie nic nie przyszło mi do głowy. Chyba nie potrafię myśleć jak żołnierz.

– Moglibyśmy walczyć z nimi na powierzchni, gdyby całe tutejsze siły znajdowały się w robalowych skorupach i dysponowały odpowiednią bronią. Jest nas wielu, ale problem w tym, że wszyscy mamy karabiny do zabijania ludzi, nie Dryblasów.

– Zatem nie możemy ich tak naprawdę atakować, gdy wylądują – uznała Stewart. – A zanim wejdą na orbitę? Mówił pan, że nikt jeszcze nie zniszczył okrętu nasiennego, ale czy udało się któryś kiedyś skłonić do zawrócenia, do ucieczki?

Pokręciłem głową.

– Trudno ich zabić na ziemi, lecz w ich okrętach staje się to zupełnie niemożliwe. Są odporni na wszystko, co możemy cisnąć w ich stronę.

– Używają broni organicznej, prawda?

– Tak, swoistego penetratora. Jeśli zbliżyć się wystarczająco do okrętu nasiennego, wypuszczają ich tysiące. Przebijają laminatowe pancerze naszych jednostek.

– Próbowaliście robić to samo?

– Nasza główna broń przeciwokrętowa to rakiety. Te kierowane przeciwko Dryblasom posiadają głowice nuklearne. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek zrobiły jakąś różnicę w walce.

Doktor Stewart postukała palcem wokół ekranu tabletu i zmarszczyła brwi.

– Gdyby flota trochę szcudrzej dzieliła się danymi na temat Dryblasów, zamiast każdą drobnostkę traktować jak tajemnicę państwową, może już dysponowalibyśmy rozwiązaniem. Sądzę jednak, że nie chcieli niepokoić cywilów.

Spojrzała na mnie ze skupieniem.

– Czy ktoś ugodził kiedyś ich okręt czymś naprawdę dużym?

– Kapitan krążownika próbował kiedyś taranować Dryblasę swoim okrętem. Nie zadziałało. Nasze największe jednostki ważą dwieście pięćdziesiąt tysięcy ton. Okręty nasienne mierzą kilka kilometrów, więc zapewne ważą parę milionów ton. Dwudziestotysięczny krążownik nawet ich nie spowolni.

– To zależy, jak szybko by się przemieszczał – oznajmiła Stewart. – Kadłuby mogą być

tak twarde, że nie uszkodzimy ich bronią okrętową, ale te stworzenia są żywymi, organicznymi istotami. Nie mogą być odporne na prawa fizyki. Gwarantuję, że jeśli uderzymy okręt nasienny wystarczająco mocno, wszyscy w środku zginą.

– Kilkaset atomowych megaton nawet nie zrobiło wgniecenia. Trzeba by poruszać się nieźle szybko, żeby tak mocno ich ugodzić.

Doktor Stewart uśmiechnęła się i znów upiła łyk zimnej kawy.

– Widzi pan, może i niełatwo myśli mi się jak żołnierzowi, ale pan za bardzo myśli po żołniersku. Proszę zapomnieć o gigatonach, a zacząć rozumować jak naukowiec. Proszę pomyśleć o petadżulach. O eksadżulach. Nie chcemy bitwy, chcemy natomiast spowodować zjawisko astronomiczne, które za dwadzieścia pięć lat będzie można dostrzec przez teleskop z Ziemi.

Nie mogłem nie uśmiechnąć się na myśl, że okręt nasienny Dryblasów stałby się nową gwiazdą w systemie Fomalhaut.

– Ma pani moje pełne poparcie. Jak to jednak osiągniemy? Dysponujemy jedynie tym przestarzałym, nieuzbrojonym transportowcem oraz okrętem patrolowym. Jak już mówiłem, nie jest to zbyt imponujący zespół zadaniowy.

– Proszę myśleć w kategoriach fizyki, nie broni. Kamień wielkości pięści nie jest szczególnie przerażający, prawda? Jeśli jednak rzucić nim z jedną dziesiątą prędkości światła, energia uderzenia wystarczyłaby, żeby na krótką chwilę życie na tym księżycu stało się naprawdę ciekawe.

Podniosła znów tablet i zaczęła zapisywać coś palcem na ekranie.

– Ile może ważyć ten transportowiec?

– Pięć, może sześć tysięcy ton – odparłem. – W pełni załadowany trzy albo cztery razy tyle. Nie da się jednak tak po prostu wlecieć nim w Dryblasów.

– Dlaczego nie?

– Cóż, nie znajdzie pani załogi. Nie na podróż w jedną stronę.

Stewart wzruszyła ramionami.

– A kto powiedział, że potrzebna jest załoga? Musimy jedynie ustawić go w dobrą stronę i otworzyć przepustnicę. Jeśli zaś nasz gość zbliża się niezmienną trajektorią, po starcie nie będziemy musieli nawet tknąć steru. Te okręty Dryblasów są wielkie, prawda? Nie tak trudno trafić półkilometrowy cel, nawet przy dużej prędkości. Dla komputera to nie problem.

– Ale ktoś musi...

Spojrzałem na leżącą obok mnie konsolę admina. Ukazywała teraz diagram taktyczny, ale pół życia temu ucześnieczałem do Szkoły Sieci Neuronowych i wiedziałem, że tylko zapory bezpieczeństwa powstrzymywały mnie przed zdalnym sterowaniem zasadniczymi systemami „Indianapolis”. Stary transportowiec na pewno był znacznie mniej zaawansowany pod względem technologicznym. I jako jednostka z floty pomocniczej miał na pokładzie osprzęt wojskowy, nie cywilny.

– Nieważne – stwierdziłem. – Szanse mamy wyjątkowo niewielkie, ale nie zerowe.

– Zajmuję się nauką – odpowiedziała doktor Stewart. – Astrofizyką, jak mówiłam. „Wyjątkowo niewielkie szanse” to w zasadzie motto mojej profesji.

Rozdział 24

Wyjątkowo niewielkie szanse

Wygląda na to, że ktoś tam się wreszcie obudził – zakomunikował pułkownik Campbell przez połączenie wąskopasmowe.

Fallon i ja staliśmy przed skromnym wyświetlaczem sytuacyjnym w centrum operacyjnym. Admin sieciowy puścił przekaz z mojego komputera na ekran holograficzny. Jednostki floty na orbicie wciąż były symbolizowane przyjaznym niebieskim zamiast wrogą czerwienią, pomimo naszych bieżących niezbyt serdecznych stosunków. Ikony przedstawiające lotniskowiec i dwa eskortujące go okręty szybko opuszczały przewidywalną orbitalną trajektorię, na której przebywały przez ostatnie półtorej doby. Nowy kurs prowadził je mniej więcej w stronę nadlatującego rosyjskiego krążownika, wciąż pozostającego niemal trzy jednostki astronomiczne od Nowego Svalbardu.

– Albo dysponują głównianymi sensorami, albo też ich spece od taktyki trzymają głowy w dupach – stwierdziłem. – Powinni byli zobaczyć tę łajbę dwanaście godzin temu.

– Pewnie jedno i drugie – odparł Campbell. – Połowa ich załogi jest z rezerwy.

– Przynajmniej nie będzie już pan musiał bawić się z nimi w chowanego – skomentowałem. – I musimy się martwić tylko o ten pułk PK, który wcisnęli do Sopla.

– Nie martwiłbym się teraz o nich zanadto. Policzyłem, że większość ich desantowców znajduje się teraz z powrotem na „Midway”. Na powierzchni zostawili tylko dwie Osy, to wszystko.

– I tak pogoda niespecjalnie nadaje się do lotów – wtrąciła Fallon, przyglądając się informacjom pogodowym wyświetlanym na ścianie.

Obserwowaliśmy, jak grupa lotniskowca opuszcza orbitę i przyspiesza, by oddalić się od księżycy. Osiągnęli jeden g – nie pędzili, ale i nie tracili czasu. Minęło piętnaście minut, później trzydzieści. Godzinę po tym, jak sygnał transmisji zerwał mnie z podśmierdzącej wąskiej leżanki w magazynie, wyglądało na to, że zespół zadaniowy istotnie zamierzał przechwycić rosyjską jednostkę, a nie tylko stosował fortel, by później wrócić do Nowego Longyearbyen.

– Jaki mamy plan? – spytałem Brianę.

Opadła na jeden z foteli i odetchnęła ze znużeniem.

– Chyba możemy na chwilę odstąpić od pełnego statusu bojowego – uznała. – Pilnujmy jednak obozu, żeby tamtym z PK nie przyszły do głowy jakieś wyjątkowo głupie pomysły. Ważki mogą jednak teraz cyklicznie odpoczywać na powierzchni. Jeden ptaszek pozostaje w pełnej gotowości, drugi powinien być gotowy do startu w ciągu pięciu minut, a trzeci niech odsapnie. Piloci muszą trochę się przespać.

Podniosła na mnie wzrok i skinęła głową w stronę głównego wyjścia z centrum operacyjnego.

– To dotyczy też ciebie. Spałeś trzy godziny po całonocnej zmianie. Walnij się na wyrko i nie wracaj wcześniej niż o osiemnastej. Jeśli stanie się coś ważnego, ściągnę cię z łóżka, nie martw się.

Wiedziałem, że lepiej nie klócić się z dawną dowódczynią, wziąłem więc karabin, sprawdziłem, czy jest zabezpieczony, i na ociążałych nogach powlokłem się spać.

Dziewięć godzin później obudziłem się tylko dlatego, że zechciało tego moje ciało, a nie z powodu alarmu sygnalizującego jakąś krytyczną wiadomość.

Zlazłem ze składanej leżanki i obwąchałem mundur roboczy. Nosiłem ten sam strój od czasu desantu bojowego oraz późniejszej potyczki z flotą i nawet antybakteryjne włókna nie potrafiły zamaskować woni niezbyt świeżo pachnącego ciała. Pod pancerzem bojowym bywało ciepło, a spędziłem w nim większość czasu od opuszczenia Soplą.

Według mojego komputera była dwudziesta. Spałem głęboko i bez zakłóceń, odpoczął mi więc mózg, jednak ciało wydawało się jak po ciężkiej walce, jakbym musiał przed zaśnięciem nosić cały dzień wielkie skrzynie i przebiec pięć kilometrów w pełnym pancerzu. Godziny, które spędziłem w fotelu w centrum operacyjnym, też nie bardzo mi pomogły.

Wygladziłem pognieciony mundur, włożyłem buty i otworzyłem drzwi magazynu. Zostawiłem pancerz w rogu przy leżance, jednak zabrałem karabin i przerzuciłem przez ramię.

Siedziałem w fotelu zaledwie pięć minut, gdy system łącznościowy zasygnalizował priorytetowe połączenie wąskopasmowe od „Indianapolis”.

– Centrum operacyjne, tu dowódca „Indy’ego”.

– Dowódca „Indy’ego”, tu centrum operacyjne. Słucham – odparłem. Poczucie strachu, które zaległo mi się w żołądku, zderzyło się z kawą, którą pospiesznie wypilem po drodze z kwatery. Pułkownik Campbell nie wykonywał priorytetowych połączeń bez solidnej przyczyny.

– Zbliżający się gość ma coś na ogonie – poinformował pułkownik. – To Dryblaszy. Niech pan ogłosi alarm na dole. Przygotujcie się.

Wezwałem Fallon, dowódców SOZ i urzędników cywilnych. Niespełna dziesięć minut później wszyscy zgromadziliśmy się w centrum operacyjnym, by wysłuchać wieści z „Indianapolis”.

– Czy mamy stuprocentową pewność, że to Dryblaszy? – spytał podpułkownik Kemp, szef 309. sbp, jednostki Fallon, rozproszonej teraz po Nowym Longyearbyen oraz kilkunastu stacjach terraformowania.

– Owszem – oznajmił Campbell. – Odkryliśmy ich jako bardzo słabo odbijającą światło, trzykilometrową plamę na tle przestrzeni. Nie widać ich w podczerwieni, nie emitują promieniowania. Gdyby nie blask z płomieni wydechowych Rosjan, moglibyśmy ich zapewne przegapić nawet przy ogromnym powiększeniu. Skurwysynów naprawdę trudno dostrzec z daleka, jeśli nie wiadomo, gdzie konkretnie szukać.

Znów przekazałem strumień danych z BCI „Indy’ego” bezpośrednio na holostół w centrum operacyjnym i uprościłem nieco diagram na użytek oficerów piechoty. Rosyjski krążownik był symbolizowany przez czerwony, migający punkt na trajektorii parabolicznej w kierunku Nowego Svalbardu, wciąż znajdował się w odległości ponad dwóch jednostek astronomicznych i pełził z przyspieszeniem ćwierć g. Pomarańczowa ikona odzwierciedlająca okręt Dryblasów widniała niespełna dwa miliardy kilometrów za Rosjanami. Obcy zwalniali, sunęli teraz z dwoma g i doganiali krążownik. Nie trzeba było doświadczenia w walce kosmicznej, by dostrzegać, że okręt nasienny dopadnie jednostkę ZCR na długo, zanim ona zbliży się do nas. Załoga krążownika nie była już dla nas nieprzyjaciółmi, lecz wystraszonymi towarzyszami broni w zepsutym statku, szukającymi pomocy jedynych pozostałych w systemie ludzi, choć pozbawionymi szansy na jej uzyskanie. Nasze okręty wciąż znajdowały się na kursie przechwytyjącym, dwieście pięćdziesiąt milionów kilometrów od Rosjan, i nawet gdyby były w stanie zniszczyć obcych, nie mogły do nich dotrzeć na czas.

– I na tyle zdało się wyłączenie węzłów Alcubierre’a – stwierdził Kemp. – Niepotrzebnie ustawiliśmy się pod ścianą.

– Mogli znajdować się już w tym systemie, gdy odcięliśmy sieć – odparł Campbell. – Mogli również przejść przez węzeł ZCR, niezaminowany przez Chino-Rosjan. Możliwe też, że bomby atomowe nie przeszkodziły im w przejściu. Teraz i tak nie ma to znaczenia.

– Owszem, nie ma – zgodziła się Fallon, przyglądając się diagramowi ze skrzyżowanymi rękoma i wydętymi ustami. – Ma natomiast znaczenie, co z nimi zrobimy, gdy tu dotrą.

– Tak jakbyśmy mogli cokolwiek zrobić – stwierdził cywilny administrator, spoglądając na pomarańczową ikonę Dryblasów niczym mysz obserwująca skradającego się kota. Wszyscy obecni w pomieszczeniu cywile wyglądali, jakby woleli przebywać gdzie indziej.

– To, że nikt jeszcze nie skopał im tyłków, nie znaczy wcale, że to niemożliwe – stwierdziła Briana.

– Nie możemy pozwolić im wylądować – odezwał się. – To kluczowe. Na okręcie nasiennym przebywają setki tych istot. Gdy znajdą się na powierzchni, będziemy mieć przejebane. Dysponujemy dwoma batalionami plus tym, co upchnięto w Sopl, ale nie mamy broni do walki z Dryblasami. Zbyt trudno ich zabić konwencjonalnym uzbrojeniem. Zjedliby nas wszystkich na obiad, nawet bez potrzeby zagazowywania.

– Zatem musimy wymyślić, jak nie dopuścić do desantu – rzekł przez wąskopasmowe łącze pułkownik Campbell. – Zrobię na „Indym”, co zdołam, ale to OOB, a nie ciężki krążownik. Jeśli uda nam się dostatecznie długo wymykać okrętowi Dryblasów, możemy przynajmniej ostrzeliwać kinetycznie z orbity ich miejsca lądowania.

– Może istnieć inny sposób – oznajmiłem.

Pułkownik i administrator obrócili się w moją stronę.

– Jaki właściwie, sierzancie?

Spojrzałem na holostół, gdzie ikona okrętu nasiennego powoli, acz miarowo podpełzała coraz bliżej czerwonego symbolu krążownika ZCR. Mały pomarańczowy romb odzwierciedlał jednostkę długości trzech kilometrów, czarną i lśniąca jak pancierz owada, niedająca się zniszczyć nawet głowicami atomowymi i pełną dwudziestopięciometrowych stworów, które w najlepszym razie uważały nas za utrapienie.

– Czy mógłby pan poprosić tu doktor Stewart? – poprosiłem administratora.

– Nie wiem, czy to najgłupszy, czy też najgenialniejszy plan, jaki w życiu słyszałam – skomentowała cierpko Fallon, gdy Stewart przedstawiła podstawowe założenia koncepcji, którą nakreśliliśmy zeszłej nocy.

– Chcecie wykorzystać połowę naszych sił kosmicznych i wlecieć nią w okręt Dryblasów? – spytał pułkownik Campbell.

– Teraz „Gordon” i tak na niewiele się przydaje – odparłem. – Dostarczył towar i obecnie służy jedynie za cel. Nie jest dość duży, żeby pomieścić wszystkich PK, nawet gdybyśmy mieli miejsce, żeby ich zabrać. Dysponuje jednak klamrami dokującymi i zaczepami dla standardowych zasobników transportowych.

– A my mamy ich tutaj pod dostatkiem – kontynuowała doktor Stewart. – Możemy wypełnić je wodą, wystrzelić na orbitę i zapakować do transportowca. Zwiększymy masę i zapewnimy dodatkowe paliwo do reaktora. Możemy nawet zalać wnętrze. Woda się nie kompresuje. Może wytrzymać potężne przyspieszenie.

– A załoga? Każemy im obsługiwać okręt w skafandrach próżniowych? Zresztą czy ktoś zgłosi się na ochotnika na podróż w jedną stronę?

– Nikt nie musi się zgłaszać – odparłem. – „Gordon” posiada standardową sieć neuronową, prawda? Wraz z pańskim adminem sieci i zbrojmistrzem możemy kierować okrętem z BCI na „Indym”.

– Mówi pan o trafieniu w cel z odległości ilu właściwie, dwóch jednostek astronomicznych? – zapytał Campbell. – Nawet przy przyspieszeniu jeden g w grę wchodzi

prędkości zbliżone do relatywistycznych. Nie uda się skorygować odpowiednio trajektorii, jeśli Dryblasz nas zauważy.

– To idiotyczne. – Podpułkownik Decker pokręcił głową. – Naprawdę idiotyczne. Nie da się trafić niczego na taką odległość, nawet transportowcem.

– Owszem, da się – sprzeciwiła się Stewart. – Mówimy o celu długim na trzy kilometry i o średnicy kilkuset metrów. Nawet na odległość dwóch jednostek astronomicznych dla komputera nie jest to niemożliwy strzał.

– Jeśli się pani myli, stracimy „Gordona” na darmo.

– A jeśli mam słuszność, uderzymy w okręt Dryblasów z energią kilkuset gigaton – odparła doktor Stewart. – Nie obchodzi mnie, jakimi atomówkami wcześniej w nich strzelaliście, ale gwarantuję, że dwudziestotysięcznotonowy transportowiec poruszający się z jedną dziesiątą prędkości światła unicestwi obcych.

– Kilkuset gigaton? – Fallon znów spojrzała na diagram i uśmiechnęła się lekko. – Nie wiem, jak wam, ale mnie naprawdę podoba się ta liczba.

Przez kilka następnych chwil w pokoju operacyjnym toczyła się ożywiona dyskusja, cywile i żołnierze jednocześnie wyrażali swe opinie na temat pomysłu doktor Stewart. Z tego, co słyszałem, połowa obecnych uważała, że plan jest sensowny, druga połowa zaś zgadzała się z oceną, że koncepcja jest koszmarnie głupia. Spór został przerwany przez świergot połączenia przychodzącego z orbity.

– Mój spec od broni twierdzi, że taki strzał wcale nie byłby trudny – poinformował pułkownik Campbell. – Zakładając oczywiście, że obcy nie zmienią kursu.

– Nawet jeśli zbroczą, nie okaże się to problemem – skomentowała Stewart. – Wyślemy okręt z przyspieszeniem czterokrotnie wyższym niż Dryblasów i będziemy dysponować przewagą niezależnie od tego, co zrobią. Zawsze możemy skorygować trajektorię, a oni nie zdołają się uchylić.

– Jest pani bardzo pewna takich kwestii, jak na cywila – odezwała się do niej Fallon.

– Może i nie znam się ani trochę na broni, za to wiem co nieco o matematyce i fizyce – odparła naukowiec.

– Jeśli to takie pewne, dlaczego nikt jeszcze nie wypróbował tej idei? – spytał pułkownik Decker. Pomysł wyraźnie do niego nie przemawiał, a jego mowa ciała wyrażała coś pomiędzy frustracją a uporem.

– Ponieważ jest szalona – stwierdził Campbell z orbity. – I ponieważ zwykle nie wiedzieliśmy, że nadlatują. Poza tym nie stawia się nigdy wszystkiego na jedną kartę, chyba że zmusza do tego desperacja.

– Nie wiem, jak reszta – rzekła Fallon – ale ja uważam, że desperacja to najlepsze określenie naszej sytuacji. Oczywiście jestem otwarta na inne koncepcje, jeśli ktoś je posiada. W tym momencie pomysł „transportowca zagłady” wydaje się nieco szalony, jeśli jednak jedyną alternatywą jest pozwolić im wylądować i zasypać ich atomówkami, wolę szaleństwo.

– Zgadzą się – powiedział pułkownik Kemp, a jego sierżant przytaknął.

– Zagłosujmy – zaproponowała Briana. – Wszyscy popierający „transportowiec zagłady” ręka w górę.

Kemp i ja podnieśliśmy dłonie. Doktor Stewart rozejrzała się po pomieszczeniu, jakby nie miała pewności, czy też może głosować, po czym uniosła ramię. Dołączył do nas również administrator.

Pułkownik Decker trzymał ręce opuszczone. Sierżant z Trzysty Działytego też był przeciwko planowi. Zastępca administratora kolonii dodał swój głos do sprzeciwiających się.

– Jestem „za” – oznajmiła Fallon. – Mamy pięć do trzech. Ostateczna decyzja należy do

pana i do szypra „Gordona”, pułkownika Campbell.

Przez parę chwil nic nie słyszeliśmy na wąskopasmowej linii, po czym dobiegło nas westchnięcie Campbella.

– „Indianapolis” i „Gordon” zgadzają się na szalony wariant – oznajmił. – Poza tym szyper „Gordona” mówi, że jego łajba to i tak kupa gówna. Ma nadzieję, że okaże się lepszym pociskiem niż transportowcem.

Rozdział 25

Operacja „Kołatka”

Zamieć śnieżna, która poprzedniego dnia zmuszała nas do pozostawania w budynkach, ograniczając widoczność do zera, ucichła. Śnieg zelżał, ale między betonowymi kopułami budynków lotniska wciąż przemykał przenikliwie zimny wicher.

Wyszedłem z wieży kontrolnej i natychmiast musiałem powstrzymać ochotę, by opuścić wizjer hełmu. Towarzysząca mi doktor Stewart miała na sobie pożyczony wojskowy skafander próżniowy, wyglądający, jakby był dla niej o pięć rozmiarów za duży.

Przed głównym hangarem stała z otwartą tylną rampą i włączonymi silnikami jedna z porwanych przez nas Ważek. Choć jednostki floty znajdowały się na kursie przechwytyjącym sporo godzin drogi od Nowego Svalbardu, wykorzystywanie jednej trzeciej naszych bojowych sił lotniczych, by przewieźć dwie osoby na „Indianapolis”, wydawało się wyjątkowym marnotrawstwem i głupotą, jednak niewidoczne dla radarów ptaszki z „Indy’ego” nie miały miejsca dla pasażerów i nie mogły nas zabrać.

– Kiedy ostatnim razem była pani w przestrzeni? – spytałem Stewart, gdy wchodziliśmy po rampie desantowca. Przyglądała się wnętrzu ładowni, wyposażonemu w zwyczajowe uprząże dla opancerzonych żołnierzy.

– Ani razu, odkąd tu przyjechałam – odparła. – Trzy lata, dziewięć miesięcy. I nigdy nie leciałam czymś takim.

– Okręt desantowy typu Ważka. Nieprzyjemna bestyjka. Mieści pełen pluton Piechoty Kosmicznej w pełnych pancerzach, a gdy żołnierze znajdą się już na ziemi, zapewnia im wsparcie ogniowe.

– Wygląda nieprzyjemnie – przyznała.

Nie było szefa załadunku, jedynie dwóch pilotów na przedzie. Podeszedłem do konsoli załadunkowej i podłączyłem się do obwodu komunikacyjnego.

– Pasażerowie na pokładzie. Dajcie nam minutę na przypięcie, a potem winda w górę. Na pewno potrafiacie wykonywać dokowanie orbitalne?

– Jasne, bez obawy – odpowiedział pilot leniwie rozwlekłym tonem, którego chyba uczyli w Szkole Lotnictwa Bojowego. – Czytałem podręcznik. Nie może to być zbyt trudne, skoro udaje się lataczom z floty.

Doktor Stewart zmagiała się z uprzążą na jednym z foteli. Podeszedłem i pomogłem jej się zapiąć.

– Dzięki – powiedziała. Wyglądała równie nerwowo jak ja, gdy przed pięciu laty i w zupełnie innym życiu siadałem w Osie Armii Terytorialnej, by wykonać pierwszy desant bojowy. Sprawdziłem hermetyczność zapięcia hełmu pani doktor, po czym podłączyłem ją do okrętowych obwodów tlenu oraz łączności.

– Jeśli nastąpi dekompresja, pani wizjer opuści się automatycznie. Proszę się jednak nie martwić. Nie ma tu nic, co mogłoby do nas wystrzelić. Niech pani siedzi spokojnie i cieszy się podróżą.

Usiadłem obok niej i zapiąłem się. Odgłosy silników uległy zmianie i poczułem, jak Ważka odrywa się od ziemi. Po chwili ruszyliśmy w przód, a następnie pilot stworzył całkowicie przepustnicę i skierował okręt w niebo. Podłączyłem się do systemów optycznych Ważki i obserwowałem obraz z licznych sensorów umieszczonych na kadłubie.

– Chce pani obejrzeć swój mały księżyc z góry? – spytałem Stewart przez interkom.

– A mogę? – Rozejrzała się. – Tu nie ma okien.

Wyciągnąłem dłoń i opuściłem wizjer jej hełmu, po czym podpiąłem ją do wizji i pokazałem różne tryby widoku z matrycy optycznej. Niebo nad osiedlem miało kolor brudnego śniegu. Pokrywa chmur rozciągała się wzdłuż całego horyzontu i gdy wznosiliśmy się przez nią, wiatr miotał siedemdziesięcotonową Ważką.

– Naprawdę nie powinniśmy osiedlać się w takich miejscach – stwierdziłem.

– Dlaczego nie?

– Należy włożyć zbyt wielki wysiłek w to, żeby pozostać przy życiu. Minęło dziesięć lat terraformowania, a gdybym wyszedł na zewnątrz bez ogrzewanego pancerza, w ciągu piętnastu minut umarłbym z wychłodzenia.

– Tacy już jesteśmy – uznała Stewart. – Jako gatunek. Na Ziemi też nie jest jak w przytulnej macicy. Nigdy nie było. Warunki tutaj wcale nie są gorsze niż na Antarktydzie, a przecież od pięćdziesięciu lat mamy tam miasta. Odwiedził pan wiele kolonii, prawda?

– Można tak powiedzieć.

– Zatem wie pan, w jakim stopniu potrafimy się adaptować. Nie mamy wyjścia. Ziemia robi się dla nas wszystkich za mała.

Pomyślałem o okolicy, w której mieszkałem, zanim zaciągnąłem się do wojska: ludzie upchnięci w betonowe pudełka na buty, które ustawiono w niezliczonych wysokich stosach na obszarach dziesiątek kilometrów kwadratowych. Cotygodniowe racje żywnościowe, okazjne smakołyki dzięki kartkom na lepszą żywność oraz niewielka szansa na inne życie dzięki loterii kolonialnej. Sam dobrze wiedziałem, że Ziemia już była dla nas wszystkich za mała, wiedziałem jednak również, jak niewielkie są kolonie, ile czasu zajmowało doprowadzenie planety albo księżycy do warunków pozwalających na choćby ograniczoną egzystencję oraz jak szybko wciąż rosła ziemską populacja, pomimo obowiązkowych środków antykoncepcyjnych w żarcie dla szczurów na zasilku. Zaczęło nam brakować czasu już na długo przed tym, kiedy Dryblaszy zaczęli zabierać nam wszystko, co zdobyliśmy. Jako gatunek wydawali się znacznie lepiej adaptować.

Pokrywa chmur nad Nowym Svalbardem ciągnęła się bez końca. Gdy wreszcie wyrwaliśmy się z białego oparu zerowej widoczności, okrywającego tę część księżycy niczym całun, wysokościomierz wskazywał siedem tysięcy metrów. Niebo miało kolor kobaltu, odległe słońce wisiąło niewielką, lecz jasną kulą nad obłokami, znacznie bliższy glob Fomalhaut c zajmował ćwierć widnokregu z tyłu. Nowy Svalbard wirował właśnie wokół tego gazowego giganta, znajdującego się dwukrotnie dalej od swojej gwiazdy macierzystej niż Neptun od naszego ojczyściego Słońca. Widok był przepiękny, lecz przypominał mi o niewyobrażalnym ogromie wszechświata oraz o odległości, jaka dzieliła nas od reszty ludzkości.

Pilot zachowawczo wchodził na orbitę, oszczędzając paliwo, mogliśmy więc przez pół godziny obserwować scenerię, zanim zbliżyliśmy się do „Indianapolis”. Orbitalny okręt bojowy został skonstruowany pod kątem niewykrywalności i nie dostrzegałem go, dopóki pilot nie poprosił o zezwolenie na dokowanie, wówczas „Indy” zapalił światła pozycyjne. Dwadzieścia stopni od naszej lewej burty znikąd pojawił się smukły kadłub, mgliste wrażenie kształtu podkreślanego jedynie migającym oświetleniem. Gdy się zbliżyliśmy, mogłem wreszcie przyjrzeć się zewnątrz jednostki typu Konstytucja. Przypominał trochę zminiaturyzowany okręt Dryblasów, składał się bowiem w całości z krzywizn i opływowych powierzchni, wyglądał niemal jak istota organiczna. Desantowiec podleciał bliżej i ustawił się pod kadłubem „Indy’ego”, czekając na automatyczną procedurę dokowania, lecz nawet z odległości stu metrów nie widziałem żadnych odsłoniętych anten czy wydechów, jedynie szereg otworów w pobliżu tylnego krańca, kojarzących się bardziej ze skrzelami niż z dyszami napędowymi.

Po kilku minutach Ważka zadrżała lekko, gdy pochwyciły ją klamry dokujące i zaczęły

wciągać do hangaru „Indianapolis”. Dioda statusu na konsoli szefa załadunku zmieniła się z czerwonej na zieloną, po chwili podobnie stało się z lampą nad tylną klapą. Odłączyłem się od sensorów i podniosłem wizjer.

– Może się pani rozpiąć – powiedziałem doktor Stewart.

– Istnieje jakaś procedura wchodzenia na okręt marynarki? Na przykład czy muszę wytrzeć buty albo coś w tym stylu?

– Zajmę się tym – odparłem, odwzajemniając jej krzywy uśmiezek.

Odpiąłem uprząż i podeszedłem do konsoli załadunkowej, by otworzyć rampę. Zaczęła opadać ze znajomym cichym sykiem mechanizmu hydraulicznego, odsłaniając wnętrze niewielkiego hangaru.

A właściwie klaustrofobicznie małego. Gdy zeszliśmy po laminatowej rampie, zauważyłem, że Ważka zajmowała większość dostępnej przestrzeni. Dostrzegłem końcówkę pompy paliwowej, automatyczny podajnik amunicji i niewiele więcej oprócz dwóch członków załogi podchodzących do desantowca, by sprawdzić, czy uzbrojenie jest zabezpieczone. Kapral w mundurze floty i z bronią ochrony osobistej przewieszoną przez pierś stał przy grodzi naprzeciwko nas. Zatrzymałem się na końcu rampy i zasalutowałem fladze WPA namalowanej nad głową podoficera.

– Proszę o pozwolenie wejścia na pokład i zameldowania się u dowódcy – oznajmiłem.

Kapral odwzajemnił mój salut.

– Udzielam pozwolenia.

Zszedłem z desantowca, a doktor Stewart poszła w moje ślady.

– Mały ten hangar – odezwałem się do kaprała, gdy podeszliśmy do wjazdu. – Na żadnej łajbie, na której byłem, nie widziałem mniejszego.

– Z wyposażenia powietrzno-kosmicznego posiadamy jedynie dwa niewidzialne ptaszki – odparł podoficer. – I dysponują one własnymi kwaterami w kadłubie. Hangar jest przeznaczony tylko dla promów i gości.

– Rozumiem. – Obejrzałem się przez ramię i zauważyłem, że końcówki skrzydeł Ważki są oddalone od ścian tylko na tyle, by zmieścić się wózek z amunicją.

– Cóż, to nie lotniskowiec – stwierdził kapral. Wjazd obok niego otworzył się bezszelestnie. – Ale wszystko jest nowe i lśniące. Najlepszy kambuz we flocie, zapewniam.

Pułkownik Campbell stał z założonymi rękoma przy wyświetlaczu taktycznym, gdy wszedłem do BCI wraz z doktor Stewart. Obrócił się i krótko odwzajemnił salut, po czym wyciągnął rękę.

– Witam panią na pokładzie – oznajmił. – Od czasów dziewiczego lotu jest pani pierwszym cywilem na pokładzie.

– Dziękuję – odparła Stewart. – Okręt jest, hmm, imponujący.

– Wprost przeciwnie. – Uśmiechnęła się. – To przereklamowany patrolowiec. Jestem jednak wdzięczny za komplement.

Wyciągnął dłoń również do mnie, uściśnięm ją mocno.

– Pan Grayson. Dobrze widzieć pana w jednym kawalku. Wygląda na to, że sporo się z panem działo, odkąd się widzieliśmy.

Gdy ostatni raz spotkałem się z pułkownikiem Campbellem, był komandorem podporucznikiem, zastępcą dowódcy na pierwszym okręcie, na jaki mnie przydzielono. „Wersal” skończył jako drobne szczątki rozproszone po powierzchni planety Capella A c. Mniej więcej rok po naszej premierowej sprzeczce z Dryblasami, w której obaj mieliśmy okazję z honorowych

miejsce obserwować pierwszy kontakt, zmieniono strukturę marynarki, wprowadzając w niej stopnie z sił lądowych.

– Tak jest, sir – przyznałem. – Nie za dobrze czułem się sam w biurze. Od trzech lat jestem kontrolerem walki.

Pułkownik skinął głową.

– Wiedziałem, że zanudzi się pan jako administrator sieci. Gdy meldował się pan u mnie na „Wersalu”, już miał pan przecież na kurtce odznaczenie za desant i Brązową Gwiazdę.

Bojowe Centrum Informacyjne okazało się bardzo małe, podobnie jak wszystko na tym okręcie. Przebywało w nim sześć osób, mniej niż jedna trzecia personelu służącego w ośrodku nerwowym lotniskowca. Pierwszym oficerem „Indy’ego” okazała się niska, przysadzista kobieta o włosach koloru piasku, przedstawiona przez Campbella jako major Renner. Odwzajemniła mój salut i uściśliła dłoń doktor Stewart.

– Chyba powinniśmy przejść do rzeczy – powiedziałem. – Czy mogę zadzwonić na dół, a później usiąść z waszymi specami od sieci neuronowych i broni?

– Okręt jest pański – oznajmił pułkownik. – I myślę, że mówię w imieniu wszystkich członków naszej żalosnej namiastki floty, życząc, aby dobrze pan wycelował. Mamy jeden nabój i żadnej szansy na przeładowanie.

– Fallon, tu Grayson. Rozgościłem się na „Indym” i jestem gotowy do ruszenia z „Kołatką”.

Operacja „Kołatka” była naszym wymyślnym kryptonimem dla planu „transportowca zagłady”, podlegającemu poprawkom, nawet gdy już zaczęliśmy szykować „Gary’ego I. Gordona” do jego ostatniej drogi. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego flota miała zwyczaj nadawać statkom niebojowym, jak transportowce, nazwy upamiętniające bohaterów wojennych z armii lądowej, ale uważałem, że jego imiennik – pośmiertnie odznaczony Medalem Honoru żołnierz, który za cenę własnego życia ochraniał załogę pojazdu lotniczego w jakiejś akcji policyjnej przed czasami WPA – pochwaliby pomysł poświęcenia „Gordona”, by zaliczyć pierwsze zniszczenie okrętu nasiennego Dryblasów w historii.

– Grayson, tu Fallon. Zrozumiałam. Zespoły naziemne wciąż napełniają ostatnią porcję pojemników orzeźwiająjącymi napitkami. Za jakieś dziewięćdziesiąt minut powinny ruszyć na orbitę.

Miejscowe ekipy wykonywały swą zwyczajową pracę, czyli napełniały standardowe zasobniki transportowe floty wodą i wystrzeliwały je na orbitę. Okręty potrzebowały zapasów wody jako paliwa do reaktora i do zwykłych zastosowań konsumpcyjnych oraz higienicznych, a Nowy Svalbard stanowił jedno z galaktycznych źródełek. Następnie transportowiec wysyłał orbitalne holowniki, które zbierały kontenery i mocowały je do klamr załadunkowych. Załoga „Gordona” tak zmodyfikowała system, aby umożliwić nam zdalne zalanie wnętrza statku zawartością pojemników. Pompy i wewnętrzne mechanizmy przenoszenia towarów były wykorzystywane w zdecydowanie nieregulaminowy sposób, wymagający obejścia wszystkich ważniejszych i pomniejszych protokołów bezpieczeństwa. Według zespołu naukowego niepoddająca się kompresji woda miała przemienić statek w skuteczny pocisk, odporny na trwałe przyspieszenie rzędu czterech g, wymagane do trafienia okrętu obcych w wyliczonym punkcie odwrócenia ciągu.

– Cel znajduje się teraz dwa miliony kilometrów od Rosjan – oznajmił za moimi plecami oficer taktyczny. Odwróciłem się, by zerknąć na holograficzny diagram, na którym czerwona ikona krążownika ZCR i pomarańczowa Dryblasów niemal już się stykały.

– Oho – stwierdził pułkownik Campbell. – Wygląda na to, że flota wychwyciła naszych przerośniętych przyjaciół. Zespół zadaniowy zmienia kurs i przyspieszenie.

Na schemacie skupisko symboli oznaczających „Midway” i jego eskortę opuściło trajektorię przechwytyjącą, na której znajdowało się od dwunastu godzin. Od Nowego Svalbardu dzieliło ich pół jednostki astronomicznej, czyli siedemdziesiąt pięć milionów kilometrów, od Rosjan i ścigających ich Dryblasów – jeszcze dwieście milionów kilometrów.

– Zawracają? – spytałem.

Campbell pokręcił głową, nie spuszczając wzroku z diagramu.

– Nie, uciekają.

Powiększył odpowiedni fragment obrazu i obrócił go, by symbole taktyczne ustawiły się pod kątem, pod którym mogłem je widzieć.

– Przyspieszyli. Przypuszczam, że zamierzają osiągnąć maksymalną akcelerację. I kierują się dziewięćdziesiąt stopni od gości zmierzających na imprezę. W stronę dalekiej przestrzeni.

– Uciekają – powtórzyłem. Chciałem zezłościć się na to, że dowódca zespołu zadaniowego postanowił schować męstwo do kieszeni, zamiast wrócić do nas i spróbować ochronić jedyne osiedle WPA w systemie przed niemal pewnym unicestwieniem, ale część mnie nie potrafiła go winić. Ta sama część pragnęła znajdować się w tej chwili na „Midway”. Gdy pozbędziemy się już z rąk wszystkich atutów, mogą pozostać jedynymi żywymi ludźmi w systemie Fomalhaut.

– Sprytnie – pułkownik powtórzył moje myśli. – Nie odważnie, ale rozsądnie.

– Intruz dogoni krążownik za piętnaście minut – oznajmił oficer taktyczny. Zauważyłem, że okrętu ZCR nie określał również jako intruza. Obserwowałem czerwoną ikonkę podczas bezcelowej, niezdarnej ucieczki przed ścigającym ją potworem. Przed miesiącem czy nawet tygodniem cieszyłbym się perspektywą, że rosyjski krążownik kontroli przestrzeni zniknie z diagramu, ale teraz żołądek ścisnął mi się na myśl o tych biedakach, którym zostało piętnaście minut życia, zanim dopadną ich Dryblasy i naspikują od rufy do dziobu grubymi na metr szpikulcami, które rozerwą wszelkie pozostałe im hermetyczne pomieszczenia.

Zegar w BCI odliczał kolejne minuty, my zaś obserwowaliśmy schemat. Zupełnie jakbyśmy patrzyli na skazańca kulącego się przed nadchodzącym katem. Odległość pomiędzy symbolami zmniejszała się i wreszcie nawet przy maksymalnym powiększeniu wyglądały, jakby nakładały się na siebie.

– Dwieście pięćdziesiąt tysięcy! – zawołał oficer taktyczny. – Dwieście... Sto pięćdziesiąt... Sto...

Włączył przekaz wizyjny z głównej matrycy optycznej i nałożył na diagram taktyczny. Rosyjski krążownik wyglądał jak mała szara kropka. Dryblasów w ogóle nie dostrzegałem.

– Pięćdziesiąt. Dwaście pięć. Dopadną ich za... Już!

Wciąż nie dostrzegałem obcych na ekranie, lecz nagle pojawił się jaskrawy rozbłysk, oślepiający i rozgrzany do białości nawet przy takiej odległości i powiększeniu. Rosyjski okręt zamienił się w kulę płomieni, które szybko rozproszyły się i zgasły w czerni kosmosu.

– Co to było, do cholery? – spytał oficer taktyczny.

– Eksplozja nuklearna – wyjaśniłem. To nie napęd fuzyjny wybuchł z powodu uszkodzeń odniesionych w trakcie bitwy, lecz głowica atomowa znacznej mocy została odpalona w próżni.

– Skurwysyny – skomentował z szacunkiem w głosie pułkownik Campbell. – Wystrzelili atomówki z przyłożenia.

– Zniszczyli Dryblasów? – spytała Stewart. Wyglądała, jakby ją mdliło.

– Nie sądzę – odparł Campbell, zanim jeszcze oficer taktyczny poszukał odpowiedzi w obrazie z kamer. – Zresztą nie o to im chodziło, byłyby to jedynie dodatkowa korzyść.

– Odeszli na własnych warunkach – odezwałem się. – Odpalili atomówki, żeby zabić siebie i spróbować zabić Dryblasów.

– To obłąd – stwierdziła doktor Stewart.

– Nigdy nie widziała pani okrętu zaatakowanego przez obcych salwą burtową – odrzekłem. – Penetratory Dryblasów rozrywają ludzi na pół. Pozbawiają ich powietrza. Paskudna śmierć. A nuklearna pożoga to natychmiastowe odejście.

– I środkowy palec wystawiony na pożegnanie przeciwnikowi – dodał pułkownik.

– Widzę znów Dryblasów – oznajmił oficer taktyczny. – Wybuch wciąż podświetla ich od tyłu. Ta sama prędkość i kurs. Nie zwolnili nawet trochę.

– A może dostali dwadzieścia megaton prosto w zadek – uznał Campbell. – Proszę śledzić okręt nasienny, dopóki go pan nie zgubi, a później niech komputer namierza za pomocą matrycy optycznej, zakładając niezmienną prędkość. Wcześniej czy później znów przestaniemy go widzieć, lepiej więc, żebyśmy wiedzieli, gdzie szukać.

– Zatem wiemy, na czym stoimy – oznajmiłem do nikogo w szczególności, po czym połączyłem się z Nowym Longyearbyen.

– Fallon, tu Grayson. Dryblaszy dogonili Rosjan. Lecą teraz w naszą stronę tym samym kursem. – Nie musiałem dodawać, że z krążownika ZCR została jedynie chmura szczątków wciąż poruszających się z przyspieszeniem ćwierć g.

– Zrozumiałam – nadała w odpowiedzi Briana. – Teraz wszystko zależy od was. Operacja „Kołatka” rozpoczyna się za sześćdziesiąt minut. Informuj mnie. Fallon bez odbioru.

W BCI nie było okien – Bojowe Centrum Informacyjne zawsze umieszczano w środku okrętu, gdzie groziło mu najmniejsze niebezpieczeństwo – mogłem jednak podpiąć się do licznych sensorów optycznych na zewnątrz kadłuba. Pod nami przesuwiała się zimna, biała, zamrożona kula Nowego Svalbardu, niewiele przyjaźniejsza od reszty systemu. Fomalhaut wyglądał eterycznie w swej niemal przejrzystej postaci, niebieskie burze wielkości całych ziemskich kontynentów kłębiły się w jego atmosferze. Gdzieś w rozciągającej się za nim czarnej pustce, od strony gwiazdy Fomalhaut mrugającej jasno w oddali, znajdował się zbliżający do nas okręt Dryblasów i wszystkie nasze plany wydawały mi się teraz równie wartościowe jak strategia bojowa karaluchów obserwujących opadający na nie but.

Mimo to zamierzaliśmy rzucić w obcych kamieniami oraz pokazywać im środkowy palec, tacy bowiem byliśmy. Kapitan rosyjskiego krążownika, czy też ktokolwiek, kto piastował tam dowództwo, tak właśnie zrobił, gdy but miał go zmiażdżyć, i jeśli nasz wypełniony wodą pocisk kinetyczny miał nie trafić w cel, chciałem odejść w podobny sposób. Problem w tym, że nikt by się o tym nie dowiedział.

Ostatnią godzinę przed startem spędziliśmy na ciągłym sprawdzaniu obliczeń. Doktor Stewart za każdym razem otrzymywała taką samą odpowiedź z komputera, a jednak raz za razem weryfikowała rachunki ręcznie oraz na tablecie. Spec od sieci neuronowych z „Indy’ego” był sierżantem, na oko w moim wieku. Ukończył szkolenie w tym samym roku co ja, dwa kursy wcześniej, i pomyślałem, że znajdował się w tym samym punkcie kariery, w którym byłbym i ja, gdyby nie zdziwiło mnie obserwowanie całymi dniami pasków postępu na ekranie. W alternatywnym wszechświecie mógłbym siedzieć właśnie w ośrodku sieci na „Indianapolis”, być może z innym kontrolerem walki zagląającym mi przez ramię. Może w jeszcze innym uniwersum wciąż znajdowalibyśmy się w uciekającym zespole zadaniowym albo też stanowilibyśmy część chmury szczątków rozpraszających się za nadlatującymi Dryblasami.

Obserwowałem, jak sieciowiec systematycznie wyłączał wszystkie zabezpieczenia i protokoły bezpieczeństwa na „Gordonie”. Chodziłem do Szkoły Sieci Neuronowych i przez ponad rok wykonywałem we flocie zadania admina, wiedziałem więc, że niektóre z tych

czynności podobno były niemożliwe do zrobienia, a już na pewno stanowiły poważne pogwałcenie regulaminów. Dzięki temu wiedziałem również, że gość był fachowcem, a nie kimś z dolnych dziesięciu procent kończących uczelnię techniczną.

– Jestem zapewne pierwszym adminem we flocie, który robi coś takiego naprawdę – powiedział, przekopując się przez kolejny podsystem w głównym komputerze transportowca. – Szczam właśnie na wszystkie protokoły.

– Zdegradują cię do szeregowca i wywalą bez pieniędzy – oznajmiłem, a on wyszczerzył zęby.

– Przestań – odparł.

Bez załogi na pokładzie i z wszystkimi pustymi przestrzeniami wypełnionymi wodą „Gordon” mógł osiągnąć znacznie większe trwałe przyspieszenie, reaktor zaś nie musiał marnować generowanej energii na utrzymanie paneli sztucznej grawitacji. Zamierzaliśmy dokonać czegoś, czego jeszcze nikt nie robił, a co było możliwe tylko dlatego, że „Gordona” wyposażono w wojskowy napęd i systemy komputerowe pozwalające mu łączyć się z jednostkami floty, które miał za zadanie zaopatrywać. Projektantom transportowca nie przyszło jednak do głowy, że zostanie rozpędzony do czterech g trwałej akceleracji i będzie musiał ją utrzymać przez trzydzieści pięć godzin. Nasza desperacja naprawdę sięgała zenitu.

– To był ostatni – poinformował admin. – Bezpiecznik mocy reaktora i system automatycznego wygaszenia. Nie da się tego zhakować, mówili w szkole.

– Nie ma rzeczy, których nie da się zhakować – stwierdziłem.

– Jest tylko strach przed sądem wojennym. – Stuknął w ekran i włączył procedurę rozgrzewania reaktora. – Piętnaście minut, żeby osiągnął sto dziesięć procent. To maleństwo ruszy z bloków startowych jak wojownik.

Obserwowałem przez zewnętrzne kamery, jak automatyczne holowniki zaciągnęły dwa ostatnie kontenery na pozycje i umieściły w mocowaniach. Sam transportowiec miał podłużny, gruzłowaty kadłub z mostkiem na przodzie i maszynownią na rufie, połączonymi długim kręgosłupem. Zewnętrzne zasobniki łączyły się ze środkową częścią i formowały korpus „Gordona”. Każdy z nich można było oddzielnie odłączyć i skierować w stronę powierzchni. Była to znacznie prostsza i tańsza metoda transportu niż wożenie wszystkiego na planetę czy księżyc pojazdami atmosferycznymi.

Spec od sieci gwizdnął cicho.

– Ciężar osiągnął czterdzieści trzy tysiące ton – oznajmił. – Myślę, że to rekord w tej klasie. Woda w zasadniczym kadłubie dodała niemal osiem tysięcy ton.

Doktor Stewart stuknęła przez chwilę w tablet, po czym również gwizdnęła.

– Jeśli ten okręt trafi... gdy trafi, będziemy tu potrzebowali solidnej ochrony oczu. To dlatego, że energia uderzenia wyniesie dwieście gigaton! Tak w przybliżeniu, w zależności od tego, ile wody zostanie zużyte jako paliwo po drodze.

W BCI rozległy się odgłosy wyrażające podziw i zaskoczenie. Wszystkie głowice nuklearne znajdujące się na jednostkach całego zespołu zadaniowego wspólnie składały się zapewne na mniej niż jedną tysięczną tej mocy.

– Jeśli chybimy, będzie to największe marnotrawstwo amunicji w całej historii walk kosmicznych – skomentował oficer taktyczny.

– A więc lepiej, żebyśmy nie chybili. – Pułkownik Campbell podniósł wzrok na zegar umieszczony na grodzi. – Czy Dryblasy wciąż są tam, gdzie chcemy?

– Pojawiają się i znikają. Sensory ich gubią, ale komputer śledzi przewidywaną trasę. Co jakiś czas wyłapujemy odbicie i wtedy okręt wraca do spektrum widzialnego. Pozostaje na kursie. Przyspieszenie jeden g. Trzydzieści sześć godzin, jednaście minut i trzy sekundy do

punktu odwrócenia napędu, chyba że Dryblaszy potrafią negocjować prawa fizyki i zatrzymują swoje jednostki w miejscu bez potrzeby użycia ciągu wstecznego – dodał zbrojmistrz.

– Miejmy nadzieję, że nie. Pierwsza, proszę zresetować zegar. Przygotować się do startu. Działajcie.

Gdy od zderzenia dzieliło nas trzydzieści sześć godzin i trzy minuty, administrator sieci otworzył przepustnice rakietowych silników fuzyjnych „Gordona” i zwiększył moc reaktora do stu dziesięciu procent, czyli do wskaźnika osiąganego w nagłych sytuacjach. Transportowiec wyskoczył ze swego orbitalnego miejsca parkingowego niczym rakieta MARS wylatująca z wyrzutni. Nigdy dotąd nie widziałem okrętu tak szybko ruszającego z miejsca, nie mówiąc już o pięćdziesięcioletnim frachtowcu. Rozważaliśmy wykorzystanie masy Fomalhaut c i puszczenia „Gary’ego I. Gordona” wokół planety, by asysta grawitacyjna zwiększyła jego prędkość, lecz silniki i tak mogły dysponować całą mocą reaktora, uznaliśmy więc, że ryzyko utraty telemetrii oraz wprowadzenie do obliczeń dodatkowego czynnika, jakim było wzajemne oddziaływanie okrętu oraz planety, nie były warte dodatkowej akceleracji w momencie startu. Podporządkowaliśmy system nawigacyjny oraz kontrolę przepustnicy transportowca sieci neuronowej na „Indianapolis” i „Gordon” stał się ogromnym bezałogowym pociskiem kierowanym z konsoli znajdującej się przede mną w BCI.

– Proszę wysłać grzecznościową wiadomość do „Midway” i jego świty – rozkazał pułkownik Campbell. – I powiedzcie im, żeby trzymali się z dala od tamtej okolicy. Nie trzeba ich zresztą do tego przekonywać.

Łącznościowiec wykonał polecenie, ja zaś wykorzystałem okazję, żeby skontaktować się z centrum operacyjnym w Nowym Longyearbyen.

– Fallon, tu Grayson. Operacja „Kołatka” rozpoczęta. Czas do celu: trzydzieści sześć godzin.

– Postawiliśmy wszystko, co mamy, i rzuciliśmy kośćmi – odparła Briana. – Zostajesz na górze, Andrew?

– Potwierdzam. Zostało tyle czasu, że będę wspierać tutejszego specja od sieci, żebyśmy nie musieli łykać środków pobudzających.

– Sensownie. Poinformuję żołnierzy tu, na powierzchni. – Milczała przez chwilę. – Jeśli chybimy, ile minie, zanim Dryblaszy wproszą się nam na imprezę?

– Lecą ze stałym przyspieszeniem jeden g, zatem od momentu odwrócenia ciągu i rozpoczęcia wytracania prędkości mamy siedemdziesiąt godzin.

– Czyli w sumie sto sześć godzin. Chyba nie muszę jeszcze kazać wszystkim ładować broni. Powodzenia, Andrew. Jeśli nie trafimy, dawaj tyłek na dół, żebyśmy mogli razem stanąć bohaterko na ostatniej reducie.

– Zrozumiałem, pani chorąży – oznajmiłem. – Grayson bez odbioru.

Obróciłem się do diagramu taktycznego. „Gordon” opuścił już zasięg podstawowej optyki, ale na holoekranie ledwo zbliżył się do Dryblasów. Niebieska ikonka leciała w kierunku czerwonej, cisnęliśmy nieodpartą mocą w stronę niewzruszonego obiektu.

Tylko, kurwa, nie chyb, pomyślałem. Wpadnę w głębokie gówno, jeśli nie stawię się na własny ślub.

Rozdział 26

Domniemany nieprzyjaciel

Ostrzeżenie wzywające na „Indym” do zajęcia stanowisk bojowych miało postać kulturalnego, cichego, elektronicznego trełu, który mimo to natychmiast wyrwał mnie ze snu. Otworzyłem oczy i zauważyłem, że kajuta jest oświetlona czerwonymi lampami awaryjnymi. Czułem się, jakbym dopiero co zasnął, lecz gdy zerknąłem na zegar na grodzi, okazało się, że spałem niemal sześć godzin. Wstałem, założyłem buty i pobiegłem do BCI.

– Wyłapaliśmy sygnatury promieniowania z węzła Alcubierre’a, który zaminowaliśmy przed tygodniem – poinformował mnie pułkownik Campbell, gdy przechodziłem przez próg, potykając się i niemal upadając na twarz. – Kilka eksplozji nuklearnych w trzycyfrowym zakresie kiloton.

– Wygląda na to, że ktoś uaktywnił pole minowe – uznałem.

– Albo coś – zasugerowała pierwsza oficer.

– Coś przeszło?

– Jeszcze nie wiadomo – odparł Campbell. – Przy tej odległości szum nuklearny zasłania wszystko inne. Będziemy musieli poczekać, aż opadnie pył, że tak powiem.

Spojrzałem na zegar odliczający czas do zderzenia transportowca z Dryblasami. Pokazywał dwadzieścia osiem godzin. Gdyby ktoś pojawił się przy węźle Alcubierre’a, nadlatywałby niemal od przeciwnej strony niż nasz cel. Reszta jednostek floty uciekała z podkulonym ogonem w daleką przestrzeń, więc to, co być może znalazło się właśnie w systemie, musiałyby jedynie zepchnąć z drogi nasz mały OOB, aby przejąć kontrolę nad Nowym Svalbardem.

– Może to posiłki? – podsunęła pierwsza oficer. – Przecież to nasz węzeł Alcubierre’a.

– Wtedy nie uaktywniliby min – odparłem. – Chyba że ich transpondery IFF poszły w diabły.

– Możliwe, że ZCR odkrył położenie naszego węzła – powiedział pułkownik. – Możliwe też, że ich węzeł akurat znajduje się w pobliżu naszego. Wolę wszystko to niż kolejnych Dryblasów nadlatujących z przeciwnej strony. Przed ZCR przynajmniej możemy skapitulować i zostawić naszych kolonistów przy życiu.

Matryca sensoryczna „Indy’ego” była najlepsza w całej flocie i komputer nie potrzebował wiele czasu, by za pomocą optyki, podczerwieni oraz radaru przeniknąć szum promieniowania.

– Nie widzę, kto to, ale jest ich kilku – oznajmił oficer taktyczny. – Za daleko na łączność, ale sygnatury IFF się nie weryfikują. – Przerzucał kolejne okienka na swym wyświetlaczu. – Trzech... Czterech... Pięciu... Sześciu... W sumie ośmiu, może dziewięciu.

– A zatem to nie Dryblasy – uznałem. – Nigdy nie widziałem więcej niż jednego naraz.

– Nie Dryblasy – zgodził się taktyczny. – Są za mali.

– Nie jestem pewien, czy cały zespół zadaniowy ZCR szczególnie poprawia nasze perspektywy – stwierdził pułkownik Campbell. – Teraz jednak wezmę to za dobrą monetę. Proszę zidentyfikować obiekty, gdy tylko znajdą się na tyle blisko, że da się odczytać ich IFF.

Niedługo później znów wszyscy zebraliśmy się w BCI, obserwując holograficzną sferę wyświetlaną nad stołem taktycznym niczym nowoczesna wróżebna kula. Nowo przybyli wyświetlali się jako jasnoczerwone ikony, oznaczające **OBIEKT NIEPOTWIERDZONY**, **DOMNIEMANY NIEPRZYJACIEL**. Szli od komina Alcubierre’a w kierunku Nowego

Svalbardu, przyspieszając miarowo.

– Wciąż za daleko na łączność, ale mam już szczytkowe wyniki rozpoznania optycznego – poinformował oficer taktyczny. Pierwsza oficer i Campbell podeszli, by spojrzeć mu przez ramię. – To całe zgrupowanie okrętów. System wciąż nie identyfikuje większości, ale mówi, że jednostka na przedzie na pewno jest chińskim niszczycielem typu zero osiem dziewięć D. Z prawdopodobieństwem siedemdziesięciu procent druga to indyjska fregata typu Godavari.

– No to wspaniale – westchnął pułkownik. Ikony na wyświetlaczu zmieniły się z bładoczerwonych na jaskrawoczerwone symbole NIEPRZYJACIEL.

– Nowe kontakty zostały oznaczone jako Nalot Jeden. Dwa koma pięć jednostek astronomicznych, lecą w głąb systemu z dwoma g i przyspieszają.

– Znajdą się w zasięgu łączności akurat, gdy „Gordon” doleci do punktu odwrócenia ciągu przez Dryblasów – powiedział pułkownik, zerknąwszy na zegar. – To nie wystarczy.

– Czy możemy wyjaśnić im sytuację? – spytała doktor Stewart. – Chyba rozumieją, że unicestwienie nas, gdy akurat zamierzamy zniszczyć okręt nasienny, nie do końca leży w ich interesie.

– Możliwe – odrzekła pierwsza oficer – choć wolałabym nie negocjować z chińskim dowódcą zespołu zadaniowego w chwili, gdy będziemy tu przyklejeni do systemów zdalnego sterowania.

– Mogą też po prostu nas zdmuchnąć, gdy tylko znajdziemy się w zasięgu ich broni dalekodystansowej – oznajmiłem.

– Dopóki siedzimy tutaj i utrzymujemy łączę z „Gordonem”, nie możemy nawet wrócić w tryb niewidzialności – powiedziała pierwsza oficer.

– Dostrzegą nas z daleka, skoro używamy tak wiele aktywnego sprzętu – zgodził się pułkownik.

– Zatem musimy uciekać – zaproponowała pierwsza. – Lećmy za „Gordonem” i trzymajmy się poza zasięgiem ZCR tak długo, jak to możliwe. Przynajmniej dopóki nie trafimy lub chybimy celu.

– Chce pani zostawić naszych ludzi na dole bez osłony orbitalnej? – spytałem, czując wzbierający we mnie gniew. – Uciec jak reszta zespołu zadaniowego?

– Gdybyśmy dysponowali tu „Midway” i jego eskortą, mielibyśmy szansę – stwierdził pułkownik. – Przeciwno dziewięciu okrętom nie byłaby ona zbyt wielka, ale przynajmniej zastanowiliby się, zanim ruszyliby na grupę lotniskowca. A przy jednym OOB, który nie może wejść w tryb niewidzialności? Wolne żarty.

Przyglądał się przez chwilę diagramowi, wydymając wargi i opierając dłonie na biodrach, po czym pokręcił głową.

– Sterówka, zabierzcie nas stąd. Prędkość maksymalna, kurs, którym posłaliśmy „Gordona”.

– Mają nad nami przewagę przyspieszenia, sir – zauważył oficer taktyczny. – Dogonią nas wcześniej czy później.

– Nie będziemy uciekać w nieskończoność – odparł Campbell. – Zamierzamy tylko utrzymać się poza ich zasięgiem, dopóki „Gordon” nie wykona swojego zadania. Wtedy możemy znów zniknąć z diagramu i wymyślić coś innego.

Wiedziałem, że miał rację. Idąca na nas potęga zdecydowanie przekraczała możliwości jednego orbitalnego okrętu bojowego, nawet tak nowoczesnego i uniwersalnego jak „Indianapolis”. Wiedziałem jednak również, co zostawiamy: trzy tysiące żołnierzy pozbawionych wsparcia lotniczego i kosmicznego, łatwy kąsek dla pułku desantowego chińskich marines osłanianych na orbicie przez całą grupę bojową.

Podszedłem do konsoli komunikacyjnej i podłączyłem się do sieci, by wywołać centrum operacyjne na powierzchni.

– Centrum operacyjne, tu sierżant sztabowy Grayson na „Indianapolis”. Słyszycie mnie?

– Głośno i wyraźnie, sierżancie – ktoś odpowiedział. – Co się dzieje?

– Wezwijcie Fallon. To pilne.

Przez minutę na linii panowała cisza, po czym usłyszałem lekko zdyszana Briane.

– Tu Fallon. Mów.

– Zespół zadaniowy ZCR leci w naszą stronę od węzła Alcubierre’a – poinformowałem ją. – Dotrą tu w niecałą dobę. Przynajmniej dziewięć okrętów.

– Kurwa mać – oznajmiła z irytacją, a ja uśmiechnąłem się lekko. – Nawet chwili spokoju, co nie?

– Ostatnio nie – przyznałem. – „Indy” zmyka na moment, co oznacza, że zostaniecie bez osłony orbitalnej.

– A więc chyba jednak ogłoszę alarm wcześniej. Dokąd lecicie?

– Musimy utrzymać się poza ich zasięgiem, póki nie rozwalimy Dryblasów, inaczej wszystko pójdzie na marne. Później zawrócimy i sprawdzimy, co uda nam się ugrać.

Kadłub „Indianapolis” zawibrował leciutko, gdy okręt obrócił dziób, a silniki osiągnęły maksymalne przyspieszenie. Mimo że sztuczna grawitacja kompensowała nagle trzy g akceleracji, musiałem przytrzymać się brzegu konsoli łącznościowej.

– To miejsce będzie dla nich twardym orzechem do zgryzienia – oznajmiła Fallon. – Przynajmniej na nich mamy odpowiednią broń.

– Nie dysponujecie wsparciem lotniczym, nie licząc Ważek – odparłem. – Może lepiej, żebyście z nimi negocjowali.

– To do ciebie niepodobne, Andrew – skomentowała beznamiętnie. – Pomarańczowe stroje jenieckie nie pasują mi do cery.

– Utrzymajcie się tak czy inaczej. Dopóki nie wrócimy. Ostatnia reduta i tak dalej.

– Będziemy tu – odrzekła. – Tak czy inaczej. A wy zabijcie tych wielkich skurwysynów. Rozłączyła się.

Opuszczaliśmy Nowy Svalbard z maksymalną prędkością, czyli dość szybko, jak na okręt równie niewielkich rozmiarów jak „Indy”. Poczucie winy, jakie odczuwałem na widok zmniejszającego się za nami lodowego księżycy, niemal pozbawiało mnie chęci do czegokolwiek. Powinienem znajdować się teraz na powierzchni wraz z Fallon i resztą żołnierzy, okopywać się w oczekiwaniu na nieuchronną bitwę z siłami desantowymi ZCR. Próbowałem sobie przypomnieć, ile osób mieściło się na chińskich lub rosyjskich lotniskowcach. Tworzyli licznie obsadzone jednostki marines, więc do włożenia pancerzy bojowych szykowały się zapewne cztery tysiące żołnierzy. To przy założeniu, że nie zabrali drugiego lotniskowca, co było całkiem prawdopodobne, zważywszy na rozmiary zespołu zadaniowego. My dysponowaliśmy na księżycu czterema tysiącami, lecz podzielonymi na dwie frakcje, z których nasza rozproszona była po kilkudziesięciu stacjach terraformowania. Znajdowaliśmy się w paskudnej sytuacji taktycznej, zamierzaliśmy jednak walczyć, jeśli zostaniemy zaatakowani, a ja powinienem też uczestniczyć w bitwie. Zamiast tego uciekałem. Wiedziałem, że misja „Indy’ego” oraz „Gordona” jest krytyczna dla kwestii naszego przetrwania, wciąż jednak czułem się okropnie, że poleciałem na orbitę.

Wyświetlacz taktyczny przedstawiał łańcuszek ikon: „Gordon” na czele, za nim „Indy” i wreszcie grupka jednostek ZCR. Wszyscy kierowaliśmy się prosto na Dryblasów, którzy uparcie

utrzymywali ten sam kurs i przyspieszenie, odkąd zobaczyliśmy ich w świetle dysz wylotowych zniszczonego rosyjskiego krążownika. Wymieniałem się przy stacji sieci neuronowych z adminem z „Indy’ego”. Ekran na środku BCI automatycznie zmieniał rozdzielczość i zakres skanowania, aby utrzymać widziane przez sensory jednostki w odpowiednich relacjach przestrzennych na kuli taktycznej, widoczna obok skala kilometrowa zmniejszała się z każdą mijającą godziną. Uciekaliśmy, lecz zespół zadaniowy ZCR powoli nas doganiał z powodu swej przewagi przyspieszenia. Zegar na grodzi odliczał czas, ale wydawało się, jakby minuty i sekundy miały znacznie wolniej niż zazwyczaj.

W połowie trzeciej szczyty coś się zmieniło. Grupa ZCR znajdowała się sto pięćdziesiąt milionów kilometrów od Nowego Svalbardu i dotąd nie zmieniała akceleracji, ale nagle zaczęliśmy się od niej oddalać.

– Odwrócili ciąg – stwierdziła pierwsza oficer. – Nie ścigają nas. Lecą do kolonii.

Odwrócenie ciągu oznaczało, że drugą połowę podejścia do Nowego Svalbardu spędzą, przyspieszając w przeciwnym kierunku, a zatem zdecydowanie zamierzali zatrzymać się na orbicie, zamiast uganiać się za nami.

– Niewielkie pocieszenie – uznałem. – Jest ich zbyt wielu, żeby nasi zdołali sobie z nimi poradzić. Jeśli zapragną zająć księżyc, praktycznie już jest ich. – Nie miałem wątpliwości, że Fallon i jej żołnierze SOZ każą ZCR słono zapłacić za zwycięstwo, znałem jednak taktykę szturm orbitalnego i jeśli dowodzący grupą bojową Chińczyk bądź Rosjanin nie przespał wykładów na uczelni wojskowej, zabiorą nam Nowy Svalbard.

– Dwie godziny i szesnaście minut do uderzenia – oznajmił oficer taktyczny.

– Zobaczmy, czy w ostatecznym rozrachunku to wszystko będzie miało znaczenie – uznał posępnie pułkownik.

Rozdział 27

Sytuacja bez precedensu

Gordon” leci cztery tysiące osiemset kilometrów na sekundę – poinformował oficer taktyczny. – Czas do uderzenia: trzy minuty, trzy sekundy.

– Widzą nas? – spytała doktor Stewart.

– Być może nie – odparła pierwsza oficer. – Być może ich to nie obchodzi. Wątpię, czy ktoś kiedyś próbował ich staranować z prędkością relatywistyczną.

Na diagramie Dryblasy wciąż parli trajektorią paraboliczną w kierunku Nowego Svalbardu, z tym samym przyspieszeniem jednego g, które utrzymywali od ostatnich czterdziestu godzin. Nikt nie wiedział, jak działa ich technologia ani czy w ogóle posiadali technologię, lecz jeśli nawet używali czegoś do orientacji w środowisku, nie informowało ich o pocisku kinetycznym pędzącym na nich z szybkością zdolną do roztrzaskania planetoidy. Możliwe również, że byli w pełni świadomi naszej obecności i nie uważali skompresowanej w transportowcu energii kinetycznej rzędu dwustu gigaton za zagrożenie, co wcale nie okazywało się wesołą perspektywą. Wiedziałem o fizyce akurat tyle, by zdawać sobie sprawę, że bardzo słabo rozumiałem temat, miałem jednak szczerą nadzieję, że doktor Stewart nie myliła się w swojej ocenie potencjału destrukcyjnego „Gordona”.

– A co, jeśli dysponują zbliżeniowym systemem obronnym, jak nasze okręty? – spytałem.

– To nie ma znaczenia – odrzekła Stewart. – Rozbicie naszego transportowca i odparowanie całej tej wody wymagałoby teradzuli energii. I jeśli zdmuchnęliby go teraz, wszystkie szczątki i tak uderzyłyby w nich z tą samą prędkością. Fizyka – dodała z lekkim uśmiechem. – Nikt nie jest odporny na fizykę, jakkolwiek by był wielki i twardy.

Obserwowałem ikony na wyświetlaczu taktycznym oraz skalę kilometrową zmniejszającą się z każdą mijającą sekundą. Strach gnieźdzący się gdzieś we mnie niemal był balansowany przez odczuwane podniecenie. Gdybyśmy chybili albo gdyby Dryblasy w ostatniej chwili uchylili się przed pociskiem, w zasadzie bylibyśmy już martwi. Natomiast jeślibyśmy trafili, osiągnęlibyśmy coś, co jeszcze nikomu się nie udało, i żylibyśmy dalej. Być może tylko do chwili, gdybyśmy wrócili do kolonii i zdecydowali się na zaatakowanie sił ZCR, które wkrótce miały wejść na orbitę, jednak wtedy byśmy działali na własnych i równych warunkach, nie czekałby nas los karaluchów eksterminowanych na dnie śmietnika.

BCI było pełne ludzi. Większość z nas stała w kręgu wokół holostolu. Doktor Stewart wyglądała, jakby chciała trzymać w rękę w tym momencie coś ciut mocniejszego niż kawa z mesy. Pułkownik Campbell z nieodgadnioną miną stał z rękoma założonymi za plecami. Napięcie wydawało się tak silne, że mogłoby odbijać światło.

– Dwie minuty – oznajmił oficer taktyczny.

Obserwowaliśmy wyświetlacz holograficzny, jakby przedstawiał ostatnią minutę ostatniego odcinka najciekawszego sieciowizyjnego serialu.

– No dalej – mruknęła pod nosem pierwsza oficer. – Dalej.

„Gordon” wciąż był widoczny na przyrządach optycznych. Malutka plamka rozjarzonej dyszy napędu fuzyjnego mknęła przez czerń przestrzeni ponad sto pięćdziesiąt milionów kilometrów przed nami. Lecący w przeciwnym kierunku Dryblasy byli dla nas niewidzialni, komputer mógł jedynie odgadywać ich obecność i pozycję na podstawie sporadycznych odbić od pancerza albo też zaciemnień gwiazd w oddali. Bez rosyjskiego krążownika daremnie uciekającego w stronę Nowego Svalbardu nie wiedzielibyśmy o okręcie obcych, dopóki nie pojawiłby się na orbicie nad kolonią i nie zacząłby wypuszczać desantu.

– Jedna minuta.

Zegar na grodzi przeskoczył w tryb dwucyfrowy i zaczął odliczać ostatnie sekundy. Ikony taktyczne znajdowały się teraz tak blisko siebie, że wyglądały jak nałożone. Wstrzymałem oddech, obserwując obraz z kamery, na którym „Gordon” mknął do celu niczym wściekły świetlik.

Tylko nie chyb, pomyślałem. Nie chyb, nie chyb, nie chyb.

– Dziesięć. Dziewięć. Osiem. Siedem. – Głos oficera taktycznego łamał się od stresu. – Cztery, trzy, dwa, jeden. Uderzenie.

Na podglądzie z kamery optycznej nic się nie działo. Wciąż widzieliśmy płomień z dysz „Gordona” pędzącego z prędkością niespełna pięciu tysięcy kilometrów na sekundę.

– Kurwa – skomentował pułkownik.

Nagle na ekranie zapanowała biała, bezgłośna furia. Komputer włączył filtry, żeby nie usmażyć matrycy optycznej, i automatycznie oddalił widok. Daleko w przestrzeni powiększała się rozgrzana do białości kula, znacznie jaśniejsza i bliższa niż tutejsza gwiazda.

„Gordon” nie chybił.

W BCI rozległy się wiwaty i okrzyki.

– Uderzenie! – zawołał przez panujący harmider oficer taktyczny, w jego głosie słychać było wzruszenie. – Jeden koma jeden pięć dziewięć jednostki astronomicznej.

Obok mnie doktor Stewart wydała z siebie długie, drżące westchnięcie i przejechała dłonią po włosach. Uśmiechnąłem się do niej, a ona się roześmiała.

– Nauka – powiedziała do mnie. – Zawsze działa.

– To największa pieprzona kula ognia, jaką widziałem – stwierdził pułkownik Campbell. Spojrzałem znów na obraz z kamery. Wprawdzie tylko na chwilę, ale w systemie Fomalhaut znajdowały się teraz dwa słońca. Choć pożoga wywołana wyzwoloną energią jaśniała w odległości stu pięćdziesięciu milionów kilometrów, i tak dalece przewyższała wszystkie próżniowe detonacje głowic nuklearnych, które miałem dotąd okazję obserwować.

– Nigdy nie widziałem czegoś podobnego – skomentowałem.

– Nikt nie widział – odrzekła Stewart. – Właśnie doprowadziliśmy do największego wyzwolenia energii w historii ludzkości.

– Miną godziny, zanim będę znów coś widział na przyrządach optycznych albo radarze – uznał oficer taktyczny.

– Ta ogniasta kula ma temperaturę pięćdziesięciu pięciu tysięcy stopni Kelvina – oznajmiła doktor Stewart. – Wyzwoliliśmy energię rzędu dwustu gigaton. Jeśli na tamtym obszarze pozostało coś innego poza oparem, zjem wszystkie dyplomy wiszące na mojej ścianie.

Pułkownik usiadł na fotelu dowódcy i włączył radiowęzeł.

– Do wszystkich, uwaga. Tu szyper. Stanowicie załogę pierwszego okrętu floty, który zdołał zniszczyć jednostkę Dryblasów. Operacja „Kołatka” zakończyła się sukcesem. Nasza eksterminacja uległa odroczeniu. Całkiem nieźle, jak na mały OOB. Kontynuować.

W BCI znów rozbrzmiały wiwaty.

– Nie sądzę, żeby na okrętach wojskowych dozwolony był alkohol – wyraziła przypuszczenie Stewart, kierując uwagę w stronę Campbella. – Naprawdę przydałby mi się teraz mocny drink.

– Nie, nie jest dozwolony – odparł pułkownik. – I oczywiście, że się napijemy.

Minęło trochę czasu, zanim sensory „Indy’ego” zdołały przebić się przez szum po eksplozji. Wokół szacowanego punktu odwrócenia ciągu przez Dryblasów pozostała jedynie

rozgrzana do olbrzymiej temperatury chmura powoli rozprzestrzeniających się szczątków. Blask ogniowej kuli stopniowo przygasał, lecz nawet po kilku minutach wciąż robił wrażenie.

– No dobrze, ludzie. Sterówka, zawracamy i ustawiamy kurs z powrotem na Nowy Svalbard – polecił pułkownik. – Taktyczny, proszę o wieści na temat przyjaciół z ZCR. Zbrojmistrz, proszę sprawdzić zapasy i rozgrzać atomówki. Znów wchodzimy w niewidzialność.

Perspektywa czekającego nas rozpaczliwego starcia ze zbliżającymi się do Nowego Svalbardu znacznie potężniejszymi siłami ZCR była niczym zimny prysznic po podnieceniu wywołanym zniszczeniem okrętu nasiennego. Może i daliśmy kolonii trochę czasu, ale jeśli mieliśmy jednym statkiem zaatakować całą grupę lotniskowca, nie widziałem szans na zwycięstwo.

– Są – po krótkiej chwili oznajmił oficer taktyczny. Obserwowałem, jak sfera taktyczna powiększa skalę. Nowy Svalbard znajdował się w odległości stu milionów kilometrów, nieprzyjacielski zespół zadaniowy zaś widniał w równej odległości od księżyca, po jego przeciwnej stronie.

– Dysponujemy przewagą przyspieszenia – stwierdziła pierwsza oficer. – Wrócimy na księżyc przed nimi, ale nieznacznie. Nie wiadomo tylko, czy coś to da.

– To dziwne – rzekł taktyczny. Na diagramie ikony ulegały zmianie, gdy komputer zaczął rozstrzygająco identyfikować jednostki.

– O co chodzi, poruczniku? – spytał pułkownik.

– Niektóre z tych okrętów posiadają nietypowe profile ELINT. Mam pewność, że na czele leci chiński zero osiemdziesiąt dziewięć D. Tam jest Godavari. – Wskazał szybko symbol. – A ten trzeci? Komputer jeszcze go nie rozpoznaje, choć jestem pewien na osiemdziesiąt procent, że to jeden z ich starszych krążowników szturmowych. Może typu Kijów.

Podświetlił kolejne dwie jednostki w tylnej części grupy.

– Ale tamte? Mógłbym przysiąc, że ten wygląda jak krążownik typu Obuch.

Wskazywana przez niego ikonka zmieniła się na bladoniebieską, oznaczającą OBIEKT NIEPOTWIERDZONY, DOMNIEMANY SOJUSZNIK – komputer wydawał się zgadzać z oceną porucznika. Nie było szans, żebyśmy zdołali zająć jeden z okrętów ZCR albo odwrotnie, istniały bowiem liczne mechanizmy zabezpieczające, aż po blokady DNA na konsolach kontrolnych, jednak obecność przyjaznych jednostek obok wrogich wydawała się jeszcze mniej prawdopodobna.

– Pojmany i zmuszony do lotu wraz z nimi? – zastanawiała się na głos pierwsza oficer.

– Możliwe – uznał Campbell. – To by wyjaśniało, dlaczego przeszli przez nasz węzeł Alcubierre'a.

– Ale dlaczego po drodze uaktywnili pole minowe?

– Nie mam pojęcia. – Pułkownik obserwował diagram, drapiąc się po brodzie. – Kurs do punktu odwrócenia ciągu, potem zwalniamy do Nowego Svalbardu – polecił. – Gdy znajdziemy się w zasięgu łączności, zobaczymy, co się dzieje. Coś wiadomo o grupie lotniskowca?

– Nie, sir. Nie ma ich w promieniu dwóch jednostek astronomicznych od nas albo od księżyca.

– Okazali się najmądrzejszymi sukinsynami w tym systemie – mruknęła pierwsza oficer.

Kilka godzin później mogliśmy na powrót nawiązać łączność z kolonią. Skontaktowałem się z sierżantem Fallon, gdy tylko ustanowiłem stabilne łącze. Przy takiej odległości sygnał potrzebował pięciu minut, by dotrzeć na Nowy Svalbard. Tak bardzo pragnąłem usłyszeć wieści, że czas oczekiwania na odpowiedź wzbudzał we mnie ogromną frustrację.

– Okręt Dryblasów został zniszczony – nadałem. – W drobny kosmiczny pył. Wracamy, żeby wspomóc was w obronie.

– To najlepsze wiadomości, jakie słyszałam w tym miesiącu. Kurczę, w tym roku. A może nawet w dekadzie – odesłała. – Gdyby można tu było kupić jakieś drinki, postawiłabym ich do woli ekipie naukowej.

– Okopcie się i utrzymajcie. Lecimy. Dotrzemy tam przed grupą bojową ZCR.

– Mam nadzieję, że lubicie chińskie racje żywnościowe – zakomunikowała. – Cywilny administrator woli poddać księżyc, niż zaryzykować zniszczenie połowy terraformerów. Sama pierwsza ruszyłabym do walki, ale w tym przypadku sędzę, że ma rację. Nie ma sensu zwyciężać, jeśli nie zostanie nam infrastruktura.

W BCI na „Indym” wszyscy wyglądali tak, jakby Briana wygłosiła właśnie jakieś szczególnie poważne bluźnierstwo, ale wiedziałem, że również popierali decyzję administratora. W końcu oddaliśmy nasze niewielkie siły pod jego kontrolę, na dobre czy na złe, i z pewnym wstydem uświadomiłem sobie, że tak naprawdę odczuwam ulgę, nie musząc staczać kolejnej beznadziejnej bitwy.

– Odczytujemy już sygnały transponderów IFF – poinformował nas oficer taktyczny. – Komputer właśnie je odcyfrowuje.

Holoekran wybuchł aktywnością, gdy komputer zaktualizował ikony zbliżającej się grupy bojowej o nazwy jednostek i numery kadłubów. Jeden lotniskowiec szturmowy, trzy statki zaopatrzeniowe, dwie fregaty i jeden niszczyciel, wszystko z ZCR. Jeden nasz krążownik typu Obuch, OWPA „Mściciel”. A także nasz superlotniskowiec OWPA „Regulus”, siostrzany okręt „Polaris”, którego wylosowałem w loterii na zakończenie Szkoły Sieci Neuronowych przed pięciu laty, gdy to wszystko się zaczynało. Wymieniłem się tym przydziałem z inną absolwentką, by móc trafić na „Wersal” z Halley. Superlotniskowce typu Nawigator były cennymi zasobami floty, naszymi największymi i najpotężniejszymi jednostkami, i nie potrafiłem wyobrazić sobie scenariusza, w którym jeden z nich latałby z eskortą złożoną z grupy bojowej ZCR. W BCI „Indy’ego” wszyscy jedynie wgapiali się w ekran taktyczny, próbując to wszystko zrozumieć.

– Proszę połączyć mnie wąskim pasmem z „Regulusem” – pułkownik Campbell polecił wreszcie oficerowi łącznościowemu.

– Tak jest, sir. – Łącznościowiec przez chwilę obsługiwał konsolę. – Gotowe, sir. Jest pan na wąskim paśmie.

– „Regulus”, tu OWPA „Indianapolis”, mówi dowódca, znajdujemy się w dalekiej przestrzeni za Nowym Svalbardem i pozostajemy w trybie niewidzialności. Widzimy was w środku cholernie wielkiego skupiska potwierdzonych okrętów ZCR. Co się dzieje, odbiór?

W normalnej sytuacji zachichotałbym, słysząc szarmancką etykietę komunikacyjną pułkownika, ale w obecnych okolicznościach niemal chciałem pochwalić jego rezerwę.

Czekaliśmy na odpowiedź z „Regulusa” niemal dziesięć minut z powodu dwustu milionów kilometrów dzielących nasze okręty. Samo nadanie komunikatu było ryzykowne, lecz przy wąskopasmowym łączu jednostki ZCR nie zdołałyby namierzyć źródła transmisji, zwłaszcza na taką odległość.

– „Indianapolis”, tu „Regulus”. Towarzyszące nam jednostki ZCR nie są nieprzyjazne. Powtarzam, jednostki ZCR nie są nieprzyjazne. Nie podejmujcie działań ofensywnych. Udajcie się na Nowy Svalbard i spotkajcie z grupą bojową.

– „Regulus”, tu dowódca „Indy’ego”. Ani mi się śni. Nie zrobię nic takiego, dopóki nie będę miał pewności, że w waszym BCI nie stoi oddział chińskich marines z lufami przy waszych głowach.

Przez następnych kilka minut czuliśmy niemal nieznośne napięcie, czekając, aż

„Regulus” odpowie na deklarację pułkownika. Gdy nadszedł przekaz, usłyszeliśmy inny głos:
– Dowódca „Indy’ego”, tu dowódca „Regulusa”, pułkownik Aguilar. Nie jesteśmy zagrożeni. Rozumiem waszą troskę, ale jakiś czas nie było was na Ziemi i nie znacie bieżącej sytuacji.

Nastąpiła przerwa w transmisji, podczas której serce dudniło mi, jakby chciało wyskoczyć przez uszy.

– Pomiędzy nami a towarzyszącymi nam jednostkami ZCR panuje rozejm – ciągnął pułkownik Aguilar. – Nie mają nieprzyjaznych zamiarów. Są uchodźcami. Podobnie jak my. Dryblasy znaleźli się w naszym systemie słonecznym.

Epilog

Pierwszy raz widzę go z bliska – powiedziałem, gdy obserwowaliśmy okręt desantowy ZCR podchodzący do lądowania na naprawionym lądowisku kolonii. Chińsko-rosyjskie pojazdy były większe od naszych Os, niemal rozmiarów Ważek, lecz wyglądały znacznie wredniej: kanciaste, opancerzone i najeżone lufami karabinów. Na pylonach pod skrzydłami nie podwieszono amunicji, mimo to czułem się trochę niepewnie, wpatrując prosto w wyloty działek automatycznych. Przez ostatnich pięć lat walczyłem z ludźmi latającymi tymi desantowcami, a teraz na Nowym Svalbardzie aż się od nich roiło.

Fallon przyciągnęła drugie krzesło i oparła na nim stopy. Siedzieliśmy w wieży kontrolnej lotniska, przed naprawionymi polikarbonowymi oknami. Przez ostatnie godziny obserwowaliśmy mocno nieregularną mieszanię lądujących oraz startujących desantowców ZCR i WPA, samolotów szturmowych i pojazdów cywilnych.

– Naprawdę musi się kończyć świat, skoro tak się obściskujemy z ludźmi, z którymi nakurwialiśmy się przez pięćdziesiąt lat – stwierdziła Briana. Pod nami na betonie wrzała aktywność, ekipy naziemne opróżniały ładownie i tankowały pojazdy.

Więści, jakie otrzymaliśmy od załóg świeżo przybyłych okrętów WPA, w zasadzie zwiastowały nadejście apokalipsy. Dryblasy pojawili się na orbicie Marsa, najważniejszej obok Ziemi stoczni naszej floty w Układzie Słonecznym. Bitwa o Marsa zakończyła się całkowitą klęską. Stocznia przestała istnieć, podobnie jak cała kolonia – dwadzieścia pięć milionów ludzi. To, co przetrwało z floty, rozproszyło się po systemie. Na razie obcy nie zbliżali się do Ziemi, lecz zablokowali węzły Alcubierre’a, zespół zadaniowy, który się do nas przedostał, przed wywalczeniem sobie drogi przez sześć okrętów nasiennych, liczył szesnaście jednostek. Floty WPA i ZCR już nie istniały, pozostały jedynie niewielkie grupy uciekających ludzi. Przynajmniej wreszcie przestaliśmy do siebie strzelać.

– Co zamierzasz zrobić? – spytałem Fallon. – Zostaniesz tu czy dołączysz do kontraktaku?

– Jeszcze nie wiem – przyznała. Wypiła łyk z kubka z kawą, który raz za razem opróżniała i napełniała przez ostatnich kilka godzin. – Mówią, że zupełnie nie da się przewidzieć, czy jakimkolwiek okrętowi uda się ominąć blokadę i dostać na Ziemię. Chcę mieć szansę walczyć, a nie zostać zdmuchnięta w przestrzeni bez możliwości odpowiedzenia ogniem. Może zostanę tu i zaczekam, aż sami do mnie przyjdą.

Odstawiła kubek i odchyliła się na fotelu, wzdychając ciężko.

– A ty? – zapytała, nie spuszczając wzroku z desantowca ZCR osiadającego właśnie na płozach.

Zastanowiłem się nad jej pytaniem, choć decyzję podjąłem w zasadzie w tym samym momencie, w którym przedstawili nam możliwości. Mieliśmy swobodę wyboru, czy wolimy pozostać jako garnizon na Nowym Svalbardzie, czy też dołączyć do zebranej naprędce grupy bojowej WPA/ZCR i wrócić do ziemskiego systemu słonecznego, by spróbować przebić się przez blokadę.

– Jeśli jakiś okręt zdoła dotrzeć do Ziemi, będzie to „Indy” – rzekłem. – Pułkownik Campbell mówi, że możemy się z nim zabrać na potajemną wyprawę do centrum układu.

– Wracasz tam? – uśmiechnęła się Briana. – A co stało się z chęcią odetchnięcia swobodnym powietrzem kolonii? Wydawało mi się, że według ciebie Ziemia to bagno.

– A ty zostajesz tutaj? – odparłem, starannie małpując jej intonację. – Co stało się z chęcią pozostania przy gównie, które znasz? Wydawało mi się, że według ciebie kolonie to

jałowe pustynie.

Wywróciła oczyma, lecz nie przestawała się uśmiechać.

– Gdy ostatnim razem próbowałam wykonywać dobrze swoją robotę, wysłali mnie na wygnanie. Wtedy i tak ledwo trzymało się wszystko w kupie. Myślisz, że jak Ziemia wygląda teraz, gdy Dryblasy stoją na progu?

Próbowałam wyobrazić sobie DZK, i tak wiecznie targane niepokojami, ogarnięte apokaliptyczną histerią. Setki milionów przerażonych i głodnych ludzi świadomych tego, że czeka ich nieuchronna eksterminacja. Wiedziałem, że to ostatnie miejsce we wszechświecie, w którym chciałbym się znaleźć. Nie mogłem jednak przestać myśleć o mamie, Halley i chorążym Kopce, a także o dawnych kompanach z oddziału z 365. sbp w Fort Shughart. Jeśli nasz gatunek i tak czekała zagłada, chciałem walczyć do końca z tą nieliczną garstką ludzi, na których naprawdę mi zależało. Chciałem sam kierować własnym losem, a nie czekać na śmierć na zamrożonym księżycu na zadupiu Galaktyki.

– Ziemia jest bagnem – przyznałem. – Ale to nasze bagno. I nie możemy im pozwolić go zająć.

Fallon znów wyrzła na zewnątrz i podniosła kawę. Upiła długi łyk, siorbiąc.

– Można i tak na to spoglądać – powiedziała. – Mamy apokalipsę u bram. Przetrawanie naszego gatunku jest niepewne. To będzie zajebista walka. Nie chciałabym jej przegapić.

Na dworze przestał zacinać śnieg. Gdy patrzyliśmy na ostatnie pojazdy obniżające się nad lądowisko i z mrugającymi światłami pozycyjnymi osiadające na zaśnieżonym betonie, w pokrywie chmur nagle pojawił się otwór i blask odległego słońca padł na górskie szczyty, malując je błękitem oraz bielą.

– A więc spakujmy się na tę zajebistą walkę – oznajmiłem.

Koniec

Podziękowania

Lista osób, którym należą się podziękowania, coraz bardziej się wydłuża.

Dziękuję Marcowi Berte, który dopilnował, że zawarte w treści elementy naukowe nie są zupełnym kuglarstwem.

Dziękuję mojej redaktor prowadzącej Andrei Hurst, która zasugerowała WSZYSTKIE ZMIANY. Kazała mi przepisywać kiepskie fragmenty, dopóki nie przestały być kiepskie. W ten sposób powstała znacznie lepsza powieść.

Dziękuję mojej miejscowej klice pisarskiej z Upper Valley: Laurze Bergstresser, Patricii Bray i Johnowi Murphy'emu. Wiem, że żadne z was nie recenzowało tej powieści, ale nasze regularne pogawędki przy piwie i frytkach bardzo mnie motywowały, gdy rozważałem już odłożenie pióra i rozpoczęcie kariery ekspedienta.

Dziękuję mojemu agentowi Evanowi, który negocjuje dla mnie umowy w zadymionych, mrocznych pokojach wydawniczego świata, gdzie taki bezradny nowicjusz jak ja zostałby kopnięty w piszczel i zostawiony na śmierć w rynsztoku obok niesprzedanych egzemplarzy „Pięćdziesięciu twarzy Greya”.

I na koniec ogromne dzięki dla wszystkich, którzy kupili „Pobór”, a zwłaszcza tych, którzy poświęcili czas, by napisać recenzję lub polecić powieść znajomym. Jesteście wspierałymi ludźmi o wyjątkowo wyrobionym guście i TAK, JUŻ SIĘ ZAMYKAM.



O autorze

Marko Kloos jest powieściopisarzem, dziennikarzem i nieopłacanym służącym dwójki małych dzieci. Ukończył Viable Paradise SF/F Writers' Workshop.

Pisze przede wszystkim science fiction i fantasy, ponieważ pasjami uwielbia te gatunki, odkąd mógł sobie wyrobić pierwszą kartę biblioteczną. Bywał również żołnierzem, księgarzem, dokerem, robotem z działu obsługi technicznej i administratorem sieci w korporacji.

Urodził się w Niemczech, lecz teraz mieszka z żoną i dwójką dzieci w amerykańskim stanie New Hampshire. Ich kwatera główna, Mroźny Zamek, strzeżona jest przez wędrowną sforę jamników.